

RAFAL DĘBSKI

ZBIÓR OPOWIADAŃ

Dotyk Kata	3
Dlaczego rycerz nie przeląkł się smoka.....	52
Siódmy Liść	59
Wilczy dołek, czyli jak zostać smokiem.....	74
ŻMIJA NA ŚPIĄCO	83
Cena spokoju.....	101
Fliegitterzy.....	126
KOSMICZNE OPĘTANIE.....	137
PASTERZ UPIORÓW	178
TAJEMNICA ŚMIERCI ALBERTO DIAZA	207
ZWYKŁA DZIEWKA	220

Dotyk Kata

Dopadli mnie w ciemnym zaułku, gdzieś między rozsypującą się szopą a odrapanym kamiennym murem. Zdołałbym zapewne umknąć, gdyby nie kupa desek pomieszanych z wapiennym gruzem, która zniecka wyrosła przede mną.

Dwóch chwyciło mnie pod ramiona wykręcając je aż do bólu, a trzeci przysunął swoją twarz do mojej. Owiał mnie cuchnący oddech zepsutych zębów zmieszany z wonią cebuli i gorzałki.

- Nie lubimy tutaj obcych! A osobliwie obcych przybywających wieczorem!

Wyszczerzył zęby w drwiącym uśmiechu. Widywałem w życiu różne obrzydliwe rzeczy, ale ta ospowata gęba z poczerniałymi pieńkami zębów naprawdę mogła przyprawić o mdłości.

- Obszukaj go, Wojtek - poradził ten, który trzymał mnie z lewej. - Sprawdź sakwę.

- Milcz, Kusy! Na to będzie czas później. Czego tutaj szukasz, przybłedo?

Przelknąłem ślinę. Miałem chęć napluć na tę wstrętną fizjonomię. Cóż takiego im uczyniłem, że chcą mnie skrzywdzić?

- Przybyłem do Akademii...

Natychmiast mnie puścili, odskoczyli jak oparzeni.

- Brać go, durnie! - wrzasnął ospowaty Wojtek. - Już za późno! Dotykaliście go tak czy siak!

Zanim zdążyłem cokolwiek zrobić, znów mnie mocno trzymali.

- Do Akademii chcesz? A zabiłeś już kogo?

Patrzyłem prosto w jego kaprawe oczy. Niech sam znajdzie odpowiedź.

- Pewnie - sapnął. - Inaczej nie szukałbyś tej przeklętej szkoły! Musiałeś już zabić!

Nie wiedziałem, czy to dobrze dla mnie czy źle. Czy w ogóle istnieje w tej sytuacji coś, co można uznać za pomyślną okoliczność. Wtedy w jego źrenicach dostrzegłem charakterystyczny błysk. Od samego początku zamierzał mnie zabić, czegokolwiek bym nie powiedział, czegokolwiek bym nie uczynił i to wcale nie dlatego, że chciałem odnaleźć Akademię, ale ze zwykłej żądzy mordu i chciwości.

- Trza zmasać waszą hańbę! - rzekł do towarzyszy. - Dotknęliście niedotykalnego! Położyliście dłonie na tym, kogo nie można musnąć nawet skrajem płaszcza, komu nie wolno pozwolić nastąpić na swój cień. Tylko krew splucze hańbę. Krew i modlitwa! Módlcie się,

gdy będę dokonywał waszego oczyszczenia. Potem pójdziem do kapelana, żeby nas rozgrzeszył! Nie patrzcie teraz na niego, bo jaki urok gotów jeszcze rzucić.

Moi prześladowcy zaczęli mamrotać „Ojcie nasz”, a ospowaty sięgnął za pazuchę. W zapadającym mroku błysnął zdobiony długi sztylet, pewnie łup z jakiegoś rabunku. Wojtek wykrzywił usta w uśmiechu okrutnym i zimnym jak stal, którą zamierzał przesyć moje serce. Słowa modlitwy dziwnie się mieszały z powietrzem cuchnącego zaułka i błyskami ostrza.

Zerknąłem na boki. Mamroczący modlitwę napastnicy ujęli mnie jeszcze mocniej, wpatrując się w połyskujący nóż. Ten nazywany Kusym oblizwał szybko wargi. Wyglądał na takiego, któremu widok krwi sprawia przyjemność.

- My tu nienawidzimy katowskich pacholków - mruknął ospowaty. - My tu tępimy katostwo! Wiedz to, nim zdechniesz.

Wpuściłem ze świstem powietrze, zwiśłem bezwładnie w bolesnym uścisku. Głowa poleciała do przodu.

- Słaby coś jak na ich ucznia - rzekł Kusy. - Omdlał.

- Może nie zabił nikogo wcale, ino przyszedł tylko po nauki - odezwał się ten drugi.

- Do Akademii przychodzą tylko tacy, co już powąchali rzemiosła! Tak mówił mój ojciec!

- Głupiś! Mój zaś prawil, że zdarza się i inaczej!

- Sameś głupi!

Musiałem im zacząć ciążyć, bo przełożyli dłonie głębiej pod pachy. To była chwila, na którą czekałem.

- Trzymajcie go mocno, durnie! - krzyknął Wojtek.

Jednakże było za późno. Dla nich stało się za późno już w momencie, gdy ospowaty zamiast natychmiast pchnąć mnie nożem w żebra, zaczął słuchać ich sprzeczki. Stałem mocno na nogach. Moi prześladowcy, zaskoczeni, rozluźnili chwyt jeszcze bardziej, zakolysali się wytrąceni z równowagi mym nagłym ruchem. Z całych sił machnąłem rękami w przód. Polecieli bezwładnie, zderzając się głowami. Rozległ się ohydny trzask, a po chwili obaj legli na ziemi.

Ospowaty wydał z siebie przeciągły jęk, odwrócił się na pięcie i z wrzaskiem pobiegł w stronę wyjścia z zaułka. W prześwicie między murami pojawiła się zniecka ciemna zakapturzona postać. Uciekający dostrzegł ją w ostatniej chwili. Nie zdążył się zatrzymać, wpadł na tamtego. Zakapturzony wykonał krótki ruch ręką. Doleciało mnie ciche chrupnięcie i mój niedoszły prześladowca jak szmaciana lalka osunął się na ziemię z dziwnie wykręconą głową.

Groźna postać ruszyła w moim kierunku. Wstrzymałem oddech. Przyjaciół czy wróg? Mistrz Eustachiusz przestrzegł mnie, że w tym dziwnym mieście tego jednego nigdy nie będę pewny. Teraz zaś mogłem mieć pewność, że w starciu z tym człowiekiem jestem bez szans.

Stanął przede mną odrzuciwszy kaptur. Ujrzałem siwe, długie włosy i błyszczące w pomarszczonej twarzy, głęboko osadzone oczy.

- Szukasz Akademii? - spytał.

Głos miał chropawy, wysoki. Zbyt wysoki jak na tak potężną postać. Skinąłem tylko głową.

- Chodź za mną. Sam jej nie odnajdziesz.

Widząc, że nadal stoję, strzepnął niecierpliwie dłonią.

- Bierz sakwę i chodź! W Bieczu o tej porze chadza się przy szabli i z nabitym pistoletem lubo w silnej grupie. Musisz mi zaufać. Tak, wiem, uczono cię, że małodobry nie ufa nikomu, jednakże dziś uczynisz wyjątek! Chyba że masz lepszy koncept.

Oczywiście nie miałem.

- Od dziś to będzie twój dom. - Bartosz rzucił tobolek na pryczę. - Nie patrz tak. Każdy nowy dostaje podobną celę. Nie ma się co oburzać. Od chwili kiedy Mistrz Wojciech cię przyprowadził, musisz poddać się naszym obyczajom.

Jednakże mnie nie w głowie były jakiegokolwiek skargi. W tej samej chwili rozległ się triumfalny pisk. Ujrzałem stado szczurów kłębiących się na mojej sakwie. Było ich ze dwadzieścia albo i więcej! Postąpiłem krok naprzód, chcąc je odegnąć, ale powstrzymała mnie dłoń Bartosza.

- Zostaw! Nie wolno płoszyć szczurów! Masz w torbie jedzenie? Nie wolno trzymać w celi żadnej spyży ni napitków!

- Nie wiedziałem...

- Teraz wiesz! W celi masz oddawać się rozmyślanom i nauce. A te stworzenia już dopilnują, żebyś nie miał pokus.

Z odrazą obserwowałem lśniące szare futerka i łyse różowe ogony. Ostre zęby bezlitośnie cięły skórę sakwy.

- I nie patrz na nie z takim obrzydzeniem. Szczur to najlepszy przyjaciel kata. Jeszcze się o tym przekonasz.

Zwierzęta dotarły wreszcie do chleba i kawałka wędzonej słoniny. Zagryzłem wargi. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, jaki jestem głodny. Od poprzedniego wieczoru nie miałem nic w ustach. Nie było na to czasu.

- To dzięki nim Akademia jest bezpieczna - ciągnął mój przewodnik. - Sprawiają, że władza nas toleruje, a część podatków spływa do naszej kasy.

- Nie rozumiem...

- Zrozumiesz. Już niebawem, kiedy nadejdzie czas ofiary. Aby poznać swych podopiecznych i pozyskać ich miłość nie można żałować niczego, nawet krwi.

Rozejrzał się po pomieszczeniu.

- Co znaczą twoje słowa? - spytałem.

- Niepokoisz się? - przywołał na twarz lekki uśmiech. - Ten, kto ma szafować cudzą krwią, musi się najpierw nauczyć upuścić własnej. O, jest!

Podszedł do stolika w rogu, przyniósł stamtąd niewielką miseczkę. Potem sięgnął do mieszka ukrytego w fałdach szaty, wyjął zeń jakieś zawiniątko. Powoli, obserwując mnie uważnie, rozwijał lśniąca skórę. W tej samej chwili, w której zobaczyłem niewielkie ostrze, doleciał mnie dziwny, ale przyjemny zapach nieznanych ziół.

- Podwiń rękaw - rozkazał.

Cofnąłem się pół kroku. Drugi raz w ciągu jednego dnia ktoś wyjmował przeciwko mnie broń!

- Nie pamiętasz, co mówił Mistrz Romuald na Klauzurze? Masz mnie słuchać we wszystkim! Nie uczynię ci wszak krzywdy. Gdyby chodziło o twoją śmierć, czybyśmy nie pojмали cię tuż za bramą i nie dokonali swego?

Miał słuszość, choć to nie zmniejszało mego niepokoju. Posłusznie podwinąłem rękaw.

- Wspaniałe żyły - mruknął z podziwem. - Jak postronki. A mięśnie jak węzły. Gdzieś tak wyćwiczył swoje ciało?

- Mistrz Eustachiusz nie szczędził mi ćwiczeń. Zawsze powtarzał, że ten, kto się para katowskim rzemiosłem, musi mieć sprawne ciało.

- Mistrz Eustachiusz... - W jego głosie znowu zabrzmiał podziw. - Miałeś wiele szczęścia, żeś go spotkał. U nas bajki o nim powiadają. Ponoć tak jest sprawny, że potrafi oskórować skazańca bez uronienia zeń kropli krwi... A, właśnie! - Ocknął się z zamyślenia. - Krew! Szczury muszą się jej napić. Muszą spróbować twej posoki, aby cię przyjęły.

Wzdrygnąłem się.

- No już, Jakubie! Ja przytrzymam naczynie, a ty sam dokonaj nacięcia. Nie bój się, brzeszczot jest czysty, wygotowany i przelany najmocniejszą okowitą, żeby rana się nie paprała. Uważaj, jest bardzo wyostrzony!

Ujął miseczkę w obie dłonie i podstawił pod moje wyciągnięte ramię. Posłusznie przeciągnąłem nożykiem po skórze. Rzeczywiście był ostry. Rana, którą otworzył, okazała się o wiele większa niż zamierzałem. Trysnęła krew, osiadając na twarzy Bartosza.

- Przepraszam...

- Nie szkodzi. - Uśmiechnął się oblizując z warg mokrą czerwień. Zadrżał przy tym, jakby przeszedł go niepohamowany dreszcz rozkoszy. Nagle zeszywniał, spowaźniał i spojrzał na mnie z dziwnym wyrazem w oczach. Z niechęcią? To było coś więcej niż niechęć.

Pomyślałem, że chyba nie dam rady go polubić. Było w nim coś dziwnego, coś przywodzącego na myśl brud i odór lochów. Krew spływała do naczynia. Kiedy wypełniła je do połowy, Bartosz podał mi pas lnianej materii.

- Opatrz nacięcie. A potem postaw miszkę na ziemi.

Ciasno owinąłem ranę. Czulem, jak krew wciąż sączy się z przeciętej żyły. Wziąłem miszkę z rąk mojego towarzysza i postawiłem ją na podłodze. W tej samej chwili szczury przerwały buszowanie w mojej torbie. Spodziewałem się, że rzucają się gwałtownie po nowy łup, jednakże zamiast tego spojrzały na mnie mądrymi ślepkami. Ze zdumieniem obserwowałem, jak po kolei - pewnie według starszeństwa - zeskakują z pryczy i podchodzą do miseczki. Każdy wypijał tyle krwi, ile mu się należało, tak, by starczyło dla wszystkich. Kiedy ostatni skończył wylizywać naczynie, Bartosz otworzył drzwi.

- Teraz już jesteś bezpieczny. Wystarczy, że od czasu do czasu, przynajmniej raz na pięć niedziel, ofiarujesz im nieco swojej posoki, aby cię kochały i w razie potrzeby broniły. Teraz odpocznij. Jutro czeka cię spotkanie z Mistrzem Rektorem.

Rzucił mi jeszcze złe spojrzenie, nim wyszedł. Rozejrzałem się po celi. Szczury znikły. Na pryczy leżała podarta w strzępy sakwa. Nagle poczułem, jak bardzo jestem zmęczony. Zapragnąłem zasnąć, nie zważając nawet na dojmujące ssanie w żołądku. Niewiele myśląc zrzuciłem na deski podłogi resztki mojego skromnego dobytku, by leć bezwładnie. Natychmiast zasnąłem. Poczułem jeszcze, jak szczury wpełzają na moje łóżko, czulem na twarzy ich ciekawe pyszczki, szybkie obwąchujące mnie oddechy. Nawet to nie było w stanie przeszkodzić mi w zapadnięciu w głęboki, ciężki sen.

Mistrz Rektor był niepozornym staruszkciem. Inaczej niż pozostali, których widziałem do tej pory w Akademii, nie nosił na głowie kaptura. W zniszczonej wełnianej opończy można by go wziąć za proszalnego dziada. Jednakże była w nim ukryta siła, co kazała z szacunkiem patrzeć na pochyloną postać. W dłoni trzymał list polecający, który dał mi na pożegnanie Eustachiusz.

- Skoro pomyślnie przeszedłeś pierwszą próbę - zaskrzypiał cichym łamiącym się głosem - możemy chyba rozpocząć twoją edukację... Czy chcesz o coś spytać?

- Tak, czcigodny panie - odparłem nieśmiało. - O jakiej próbie mówisz?

- Drogi chłopcze, skoro tej nocy nie zagryzły cię szczury, to znaczy, że zostałeś przyjęty i możesz podjąć nauki.

Zrobiło mi się zimno.

- Nie wiedziałem, że mogą mnie skrzywdzić. Bartosz zapewniał...

- A co miał powiedzieć? Żebyś uważał? Wtedy być może przetrwałbyś noc walcząc ze zwierzętami, jednakże cóż by była warta taka próba? Pamiętaj o głównej zasadzie naszej uczelni i naszego fachu. Nie ufaj nigdy, nikomu i niczemu! Jeśli pojmiesz żonę i będziesz miał z nią potomstwo, im także nie możesz zaufać! Rodzina może cię zdradzić. Sam siebie możesz zdradzić, nie ufaj więc też samemu sobie. Jeszcze coś?

- Słyszałem, że nie wolno nam wychodzić poza mury Akademii. Ale nie wiem, dlaczego.

- To powinien wyjaśnić ten, kogo przydzielono ci za przewodnika. Jednakże jak zwykle zaniedbał swoich obowiązków. Nie martw się, spotka go za to kara...

- Ale ja... nie chcę, żeby on...

- Dość, chłopcze! Nie ujmuj się za nikim, bo i za tobą nikt obstawać nie będzie. Kat musi wiedzieć, że jest sam, tylko od siebie zależy i tylko na siebie liczyć może! A swoje obowiązki ma wykonywać rzetelnie i do końca! Kto sam nie powinien okazywać współczucia ni miłosierdzia, niechże i od innych go nie wygląda. Tego was tutaj chcemy nauczyć. A wychodzić nie wolno, gdyż zarówno ludność Biecza, jak władze miejskie i sam książę nienawidzą nas gorzej niżli diabłów. Jawnie nic nie uczynią, wszakże wieść niesie, że niektórzy sownie wynagradzają zabicie kata, jednako ucznia i Mistrza. Jeśli się zasłużysz jak należy, będziesz miał prawo do wyjść, ale zawsze pod opieką Mistrza i tylko po zmroku. Czy Eustachiusz nie uprzedzał cię, że zasady Akademii są bardzo surowe?

- Uprzedzał...

Mistrz Rektor skinął głową z zadowoleniem.

- Zatem od dzisiaj przystąpisz do nauki. Czytać i pisać umiesz?

- Umieję. Mistrz Eustachiusz wyuczył mnie tej sztuki, nim zostałem tu posłany.

- Bardzo dobrze. Zatem tę kwestię mamy za sobą. Trzeba ci wiedzieć, że niewielu przybywa do nas z tą rzadką umiejętnością. Ba, z przykrością muszę stwierdzić, że wielu naszych wyzwolonych magistrów bardzo prędko o niej zapomina. No, nieważne, Jakubie. Teraz udasz się do Mistrza Ludwika na zajęcia post mortem. Będziesz na początek terminował na martwych ciałach.

- Nic nie szkodzi, chłopcze - rzekł spokojnie Mistrz Ludwik.

Stałem w rozkroku nad wielką kadzią i wymiotowałem. Odór surowizny już nie przyprawiał mnie o mdłości. Kiedy byłem u Eustachiusza, zdążyłem do tego przywyknąć. Ale widok rozkładającego się trupa okazał się nie do zniesienia.

- Chyba nie zdarzył mi się uczeń, który by nie dostał torsji na tych zajęciach.

- Nie wiedziałem - wykrztusiłem z wysiłkiem - że w tym fachu trzeba mieć do czynienia z czymś takim.

- Zdarza się. Czasem na zlecenie władz trzeba wykopać i obejrzyć trupa, a wtedy porządny kat nie może okazać słabości. Niczego gorszego na tych zajęciach nie doświadczysz. Ale musisz przywyknąć i do tego. Dlatego na resztę dnia i dzisiejszą noc pozostaniesz tutaj, zamknięty z tym nieboszczykiem.

Zacisnąłem szczękę. Miałem ochotę zaprotestować, prosić o zmiłowanie, odroczenie tego przeżycia. Jednakże wiedziałem, że to na nic. Każdy z uczniów musi przez to przejść. Kolejna próba.

- Zostawię ci światło. W ścianach są luczywa. Są też w kolumnach nad katafalkiem. Możesz je zapalić i dokładnie się przyjrzeć rozkładowi, jakiemu ciało ulega po śmierci. To daje do myślenia, chłopcze. Na tacy przy drzwiach zostawię ci coś do jedzenia i picia.

Zostałem sam. Nie miałem najmniejszego zamiaru zbliżyć się do cuchnącej postaci bardziej niż to konieczne. Skoro trzeba przeżyć ten czas, trudno! Jeść i pić też na pewno nie będę. Taki smród!

Usiadłem tuż przy ścianie starając się nie patrzeć w kierunku kamiennego katafalku. Jednakże wzrok sam podążał w tamtą stronę, przyciągany straszliwym widokiem. Ciekawość okazała się silniejsza niż wstręt. Ciekawość czy strach? Trudno powiedzieć. I choć wiedziałem przecież, że to tylko ciało, było coś niepokojącego w tym, że zostawiono mnie w głębokich podziemiach w towarzystwie trupa. Wyglądał jak upstrzona płamami góra. Przytłaczał swoją obecnością. Bałem się poruszyć, a nawet głębiej odetchnąć, by hałasem nie

obudzić przypadkiem tego okropnego zjawiska. Nie wiem, ile tak siedziałem. W każdym razie nogi mi porządnie zdrętwiały.

Nie! - powiedziałem sobie wreszcie - *nie możesz tkwić w bezustannym lęku! Pewnie wielu przed tobą musiało przejść taką próbę i wyszło z niej zwycięsko. Wstań przynajmniej!*

Kiedy się podniosłem, w stopach mnie mrowiło. Podskoczyłem kilka razy.

- Ciebie już nic nie boli, prawda? - powiedziałem do trupa. - Będziesz tak spoczywał, gdzie cię położą, aż ciało odpadnie od kości, a kości rozsypią się w proch. I wtedy wreszcie przestaniesz śmierdzieć.

Wypowiedzenie tych słów podziałało niczym zaklęcie. Od tej chwili wzdęta rozkładem postać nie wydawała się już tak straszna. Coraz mniej też odczuwałem mdłości powodowane przez przykrą woń. Czyżbym zaczął się przyzwyczajać? Czy do czegoś takiego można się w ogóle przyzwyczaić?!

Nagle przeszedł mnie dreszcz przerażenia. Dostrzegłem ruch. Rany boskie! Czy ten zewłok poruszył ręką? Natychmiast przypadłem do ściany, by zapalić świeże łuczywo. Wyrwałem je z uchwytu, uniosłem nad głowę. Ulga... To tylko szczur siedział przy bezwładnej dłoni nieboszczyka.

- Każdego z nas po śmierci zjedzą robaki lub szczury - powiedziałem. - Tobie i tak udało się dość długo zachować całą skórę.

Jednakże nie byłem w stanie patrzeć jak zwierzę zabiera się do jedzenia. Przegnałem je. Nagle zdałem sobie sprawę, że mój umysł zaczyna pracować w dziwny sposób. Nadmiar emocji, zbyt wiele strachu jakby go przytępiło, a jednocześnie pobudziło do życia zakamarki, o których nie miałem do tej pory pojęcia. Przytknąłem płomień do pochodni wokół kamiennego podwyższenia.

- W zasadzie - powiedziałem - skoro już zbliżyłem się tak bardzo, dlaczego by cię nie obejrzeć, przyjacielu?

- Dobrze - rzekł Mistrz Ludwik. - Masz zadatki na dobrego kata. Na diabelnie dobrego kata. Nie spotkałem się dotąd z kimś, kto nie tylko dokonałby pierwszej nocy oględzin gnijących zwłok, ale nawet spożył zostawione jądło... Wielu przypłaciło podobną noc szaleństwem. Ciebie zaś znajduję w pełni sił, w dodatku chrapiącego smacznie!

Obudził mnie o świcie, kiedy ledwie zdążyłem zamknąć powieki. Ze zdumieniem patrzył na wypalone łuczywa nad katafalkiem i opróżnioną tacę zjedzeniem. Nie wiedział, że przekupywałem nim zjawiające się szczury, by dały spokój trupowi. Mimo wszystko nie

byłem w stanie czegokolwiek przełknąć w panującym zaduchu. Nie zamierzałem mu wszak tego mówić. Nie ufaj nigdy, nikomu i niczemu. Mów jak najmniej, słuchaj, co mówią inni. Rzeczą kata jest słuchać właśnie. Tak uczył mnie Eustachiusz, a on wiedział, co mówi.

- Idź, chłopcze, wyparz się w łaźni i zmień ubranie. Wydałem już stosowne polecenia. Potem przyjdź do mnie z powrotem. Zaczniemy właściwe zajęcia.

Pierwszy raz szedłem korytarzem Akademii zupełnie sam, bez eskorty Mistrza albo przydzielonego ucznia. Mijałem nielicznych śpieszących w swoich sprawach zakapturzonych ludzi. Myślałem o tym, jaka będzie kolejna próba.

Ktoś złapał mnie za ramię.

Obejrzałem się.

- Przez twój długi jęzor musiałem odbyć karę!

Ledwie poznałem Bartosza. Był blady, miał suche, spękane wargi.

- Jaką karę?

Bez słowa wyciągnął przed siebie lewą dłoń. Trzy palce były ciasno owinięte szarpkami.

- Łamanie palców. Sam je sobie musiałem połamać! Poczekaj, Jakubie, zemszczę się!

- Każdy kat musi wiedzieć, że jest sam i nikt się nad nim litować nie będzie - powtórzyłem słowa Mistrza Rektora. - Kto nie może innym okazywać litości ni miłosierdzia, niech go sam nie wygląda.

- Znam to! - pociągnął nosem. - Zaraz! Czyżbym wyczuwał delikatną woń starego trupa? Odbyłeś tę próbę? Na samym początku nauki? To dziwne. I przeszedłeś ją pomyślnie? Tak od razu? Kim ty jesteś?

Wyglądał na zdumionego. Zostawił mnie na środku korytarza i odszedł kręcąc głową. Gdyby to nie był Bartosz, pewnie zapytałbym, co go tak dziwi.

Polubiłem nauki u Mistrza Ludwika. Krojenie ciał i poznawanie ich budowy było zajęciem fascynującym.

- Musisz wiedzieć, jak zbudowany jest człowiek, jeżeli chcesz mu zadawać ból.

Powtarzał te słowa przy każdej okazji. Zastanawiałem się tylko,- kiedy wreszcie zacznę uczyć się fachu. Tego dnia z takimi właśnie myślami schodziłem na najgłębszy poziom lochów.

Kiedy wszedłem, Mistrz Ludwik oderwał się od jakiegoś rysunku.

- Dziś nie będziemy kroić trupów - oznajmił. - Nauczyłeś się już dosyć. Dzisiaj pójdziesz do Mistrza Czarnej Śmierci.

- Mistrz Czarnej Śmierci? Słyszałem, że nie wolno go niepokoić...

- Jak sobie radzisz ze szczurami? - spytał.

Wzruszyłem lekko ramionami.

- Dobrze. Chyba nawet bardzo dobrze... Okazują mi przywiązanie.

Pokiwał głową.

- Dziś nadszedł czas kolejnego wtajemniczenia. Czyś nigdy się nie zastanawiał, dlaczego tak hołubimy te stworzenia?

- Prawdę rzekłszy zastanawiam się nad tym nieustannie. A najwięcej, kiedy karmię je krwią...

- Tajemnicę wyjawi ci Mistrz Czarnej Śmierci. Pójdźmy.

Wyszliśmy na korytarz. Mistrz Ludwik jednak zamiast skrócić w prawo, w kierunku wyjścia, skierował się w drugą stronę, gdzie korytarz kończył się ślepą ścianą. To był koniec lochów w tym skrzydle Akademii. Tak przynajmniej dotąd myślałem.

- Odwróć się chłopcze - mruknął. - I nie próbuj podglądać.

Posłusznie odwróciłem się tyłem. Słyszałem, jak Mistrz skrobie po kamieniach, po chwili owiał mnie chłodny podmuch.

- Chodźmy.

Ze zdumieniem zobaczyłem, że cała ściana gdzieś zniknęła. Przed nami ziała ciemna czeluść. W blasku pochodni strome schody nikły w niej, jak gdyby pograżały się w otchłaniach piekła.

- Sądziłem, Mistrzu, że twoja pracownia jest położona najniżej ze wszystkich...

- Jak widzisz, myliłeś się. Nasza Akademia kryje o wiele więcej podobnych niespodzianek.

Schodziliśmy ostrożnie po krętych stopniach. Zapewne nie trwało to długo, ale wówczas miałem wrażenie, że droga nie ma końca. Wreszcie znaleźliśmy się w niewielkiej sali. Ludwik przypalił łuczywo na ścianie.

- Ubierz to - rzucił mi skórzane okrycie - a twarz owiń w tę materię. Dokładnie. Dalej pójdziesz już sam. Mistrz Czarnej Śmierci czeka.

Szedłem długim ciasnym korytarzykiem przyświecając sobie łuczywem. Szczelnie przylegające do ciała skórzane okrycie i wełniana chusta pachniały niepokojąco. Zupełnie

jakby mieszać woń mocnego trunku z zapachem terpentyny lub smoły i czegoś jeszcze, czego nie umiałem określić.

Korytarz skończył się niespodziewanie. Omal nie uderzyłem w małe, okute metalem drzwi. Zapukałem. Bez odpowiedzi. Zapukałem ponownie, po czym wszedłem.

Mistrz Czarnej Śmierci... Spodziewałem się ujrzeć w półmroku postać ponurą, być może zwałistą i potężną, z twarzą ukrytą głęboko w cieniu kaptura. Tymczasem człowiek, który grzał dłonie przy ogniu płonącym w ogromnym kominku, był kruchym staruszkim, nieco podobnym do Mistrza Rektora. I podobnie jak tamten nie miał na głowie kaptura. Przystanąłem w progu, zastanawiając się, czy dobrze trafiłem.

- Dobrze trafiłeś, uczniu - odezwał się starzec, jakby czytając w moich myślach. - Jam jest Mistrzem Czarnej Śmierci. Przywykłem do niedowierzania tych, którzy ujrzą mnie po raz pierwszy. Niech cię jednak nie zmyli moja niepozorna postać ni łagodne oblicze. Obowiązki, które mi powierzono, są bardziej okrutne, niżli całe katowskie rzemiosło, jakiego was uczył tam, na górze.

Milczałem, rozglądając się ciekawie dookoła. Pod ścianą stały rzędy klatek, z których dochodził dobrze znany pisk. Szczury. Zdażyłem przyzwyczaić się do tego, że w Akademii były obecne wszędzie. Pierwszy raz jednak widziałem, żeby umieszczano je w zamknięciu.

- Tak - powiedział Mistrz Czarnej Śmierci. - Widzę, iż dziwi cię widok szczurów w niewoli.

- Istotnie, Mistrzu. Przypuszczałem, że żywimy do nich wielką atencję i przywiązanie... szacunek wręcz większy niż do innych istot...

- Oczywiście, że żywimy, uczniu... Jak cię zwa? Jakub, tak...? Ale czy sądziłeś, że nasza łaskawość dla tych stworzeń jest zupełnie bezinteresowna?

Wzruszyłem ramionami.

- Człowiek rzadko czyni komuś dobro nie oczekując niczego w zamian.

- Zgadza się - na jego wargach zagościł lekki uśmiech. - Zupełnie odwrotnie, niż zalecają nauki Kościoła. I my nie różnimy się w tym względzie od reszty ludzi. Jak się już domyślasz, szczury są nam nieodzownie potrzebne.

- Ale do czego?

- Właśnie dlatego tu przyszedłeś, bym ci rzecz wyjawiał. To jedno z najważniejszych wtajemniczeń Akademii. Dlaczego szczury...?

Podszedł do klatek, przywołał mnie. Skórzany ubiór krępował ruchy, byłem cały mokry od potu. Materiał na twarzy łaskotał nieprzyjemnie, tak że miałem ochotę go zerwać. Zbliżyłem się posłusznie.

- Przyjrzyj się tym zwierzętom. Nie próbuj ich dotykać, a już broń Boże w ich bliskości nie poprawiaj odzienia. Widzisz coś szczególnego?

- Tak, Mistrzu. Te w górnych klatkach wyglądają na zdrowe i zadowolone, te w niższych są nieco osowiałe, może chore... A te na dole... One nie żyją?

- Jeszcze żyją. Ale już niebawem żyć przestaną. A wtedy do dolnych klatek przeniosę szczury ze środka, te z góry pójną niżej, a w ich miejsce zostaną umieszczone nowe sztuki. To odwieczny cykl życia i śmierci w naszej Akademii. Cykl życia i Czarnej Śmierci!

- Czarna Śmierć!

Dopiero teraz dotarło do mnie w pełni znaczenie tych słów. Jednakże nadal nie rozumiałem...

- Mistrzu, to dzuma? Ale...

- Tak, Jakubie, dzuma. Te zwierzęta celowo tutaj zarażamy chorobą. Tak, wiem, że na razie niewiele z tego rozumiesz. Niemniej powinieneś już wiedzieć, czemu kazano ci się oblec w to niewygodne ubranie i założyć na twarz maskę. To konieczne dla ochrony twego zdrowia.

- Ale ty... ty nie masz nic na sobie!

- Ja nie zachoruję. Ja przeszedłem piekielne męki, żeby zyskać władzę nad chorobą. To jest możliwe, lecz niewielu znajdziesz chętnych, by spędzić resztę życia w odosobnieniu, w takim miejscu jak to.

Z niedowierzaniem patrzyłem to na klatki, to na Mistrza Czarnej Śmierci.

- Posłuchaj teraz uważnie, chłopcze. Nasza Akademia jest solą w oku nie tylko mieszczan, plebsu czy miejskich rajców, ale nawet rękodajnych królewskich. To już wiesz, prawda?

Skinąłem głową bez słowa.

- Lecz cierpią naszą obecność, choć przecież mogliby skorzystać z byle okazji i wyżenąć nas precz. Ba, nawet pozabijać bez wielkiego trudu. W końcu nie jest nas tutaj zbyt wielu. Jednakże tego nie robią. Tolerują nawet to, że wykradamy lub kupujemy trupy, by dokonywać ich sekcji, choć to zabronione prawem ludzkim i kościelnym. A wiesz, czemu to zawdzięczamy? Tak, chłopcze, właśnie szczurom. I kasztelan, i rada miejska wiedzą, że możemy sprowadzić na miasto, a nawet i całą okolicę, zarazę, Czarną Śmierć. Starczy, iż nasi podopieczni rozbiegną się wszędzie. Zaczynasz pojmować?

Przeszył mnie dreszcz. Dzuma... najstraszniejsza choroba...

- Co jakiś czas, na polecenie, wezwiesz swoje zaprzyjaźnione szczury i wybierzesz spośród nich dwa... rozumiesz? Dostarczysz je wyznaczonemu Mistrzowi, a on z kolei

przyniesie je do mnie... To ofiara twoja i ich. Kołowrót życia i śmierci musi się kręcić bez przerwy. Bo gdyby nadeszła taka potrzeba i Akademia została poważnie zagrożona, wtedy wyprowadzę chore sztuki, by przyłączyły się do swych stad, niosąc Czarną Śmierć wpierw pobratymcom, a następnie ludziom. W tym czasie wszyscy Mistrzowie i uczniowie zgromadzą się w wielkiej auli by czekać aż rzecz się dokona. Rozumiesz już? To szczury dają nam bezpieczeństwo. Władze miejskie ni królewskie nie wiedzą, jak to zrobimy, ale doskonale zdają sobie sprawę, że możemy zgładzić wiele istnień ludzkich nie opuszczając murów Akademii. To już się zdarzyło, nie u nas wprawdzie, ale w Antwerpii, gdy rajcy miejscy zamierzali zlikwidować uczelnię podobną naszej.

Zamilkł na chwilę przyglądając się swoim podopiecznym.

- Każdy, kto poznał to wtajemniczenie, nie patrzy już na szczury tak, jak przedtem. O przysiędze milczenia nie muszę przypominać, nieprawdaż? Ja kiedyś odejdę, lecz przedtem muszę sobie wychować następcę. Kogoś, kto nie będzie się bał otrzeć o śmierć, by potem spędzić resztę życia w tym podziemiu. Może to będziesz ty?

To na pewno nie będę ja! Spędzić resztę swoich dni w takim miejscu? Bezwiednie wstrzymywałem oddech, obawiając się gdzieś na krańcach umysłu wciągnąć w płuca to samo powietrze, którym oddychają zarażone stworzenia, nawet przez cuchnącą materię na twarzy.

- Teraz, Jakubie, wyjdiesz za drzwi. Na końcu korytarza zrzucisz nie tylko to ochronne odzienie, ale wszystko, co na sobie masz. Mistrz Ludwik przygotował już tam dla ciebie nowe szaty, miskę z płynem i ręcznik. Wytrzesz dokładnie każdy zakamarek swojego ciała, wypłuczesz nim usta. Nie zważaj na pieczenie ni ból. Odwiń nawet napletek i porządnie wymyj żołądek. To ważne! Zresztą Mistrz cię dopilnuje. Poznałeś dzisiaj straszną tajemnicę. Straszniejsza od niej jest tylko tajemnica związana z katowską duszą. Lecz do tej trzeba dojrzeć, a nie każdemu to jest dane... Idź już. Nie powinieneś tu przebywać dłużej niż to konieczne.

Twarda, silna dłoń ścisnęła moje ramię. W półmroku wykuszu ledwie znać było ciemno odzianą postać.

- Nasz najzdolniejszy uczeń - zasyczał szept. - Nasz Jakubek...

- Czego chcesz?

Poznałem go. W czeluści kaptura oczy błyszczały znanym mi już wyrazem nienawiści. Za plecami chował obandażowaną dłoń.

- Chcę porozmawiać z naszym wielkim talentem!

Wyszedł z cienia i stanął przede mną. Był może o pół głowy wyższy, ale szczupły, a już na pewno nie tak krępy jak ja.

- Nie wolno nam ze sobą rozmawiać, Bartoszu. Reguła zabrania spotkania się bez wiedzy i zgody Mistrzów.

- A ty, oczywiście, przestrzegasz reguły, prawda? I myślisz, że wszyscy tak czynią?

- Nie wiem. Ale po to prawo zostało stworzone, aby go przestrzegać.

- Zostało stworzone po to, aby je łamać! - Podniósł głos i zaraz przeszedł z powrotem do szeptu.

- Mów, czego chcesz, i odejź!

- Czego chcę? Niczego. Chciałem spojrzeć w oczy temu, którego przybył dokonać dzieła zniszczenia!

- Za co mnie tak nienawidzisz, Bartoszu? Cóż ci uczyniłem?

- Chodzi o to, co uczynisz, katowski bękarcie! Co uczynisz mnie i Akademii! Wiem, co zrobisz, bo posmakowałem twojej krwi! Zabiłbym cię, ale to ty dokonasz zemsty! Na sobie, na mnie, ale przede wszystkim na przeklętych Mistrzach!

Chwycił mnie za szatę na piersi.

- Zostaw ją w spokoju!

- Kogo? Człowieku, co ty mówisz?!

Puścił mnie tak nagle, że nieco się zachwiałem.

- Zresztą jak sobie chcesz. Ale ostrzegam...

Zza załomu korytarza dobiegł odgłos kroków. Bartosz natychmiast schronił się w wykuszu, a ja poszedłem przed siebie. O co mogło mu chodzić? Kogo mam zostawić w spokoju?

Tej nocy długo nie mogłem zasnąć. Szczury łąziły po mnie popiskując zdziwione, że miast spać miotam się na twardej pryczy.

Dziedziniec tonął w słonecznym blasku. To nie były zwyczajne zajęcia, bo i gość był niezwykle - dawno nie widziany uczeń Akademii. Dlatego wszyscy zostali zgromadzeni, młodsi i starsi uczniowie, by obserwować poczynania Mistrza Herberta. Kończył właśnie wiązać węzeł na nodze nieboszczyka. Cztery potężne konie spokojnie jadły obrok. Stałem przy jednym z nich czekając na polecenia. Mistrz Herbert odwrócił się.

- Skoro już przybyłem po latach do Akademii, poproszono mnie, bym pokazał wam coś ze swojej sztuki. A że znaleziono mi odpowiedniego trupa, obejrzyście kaźń, z której

słyne, a mianowicie rozerwanie końmi. To wielka umiejętność i nie każdy potrafi dokonać rozrywania jak należy. Ten rodzaj karni zawsze gromadzi wielki tłum ciekawskich. Ważną zatem jest rzeczą, aby kat potrafił zapewnić godziwe widowisko. Jak wiecie, za to nam płacą, a nie tylko za proste uśmiercenie skazańca. Zarznąć człeka jak owcę potrafi każdy parobek. Zwróćcie uwagę, jak zawiązałem sznur! Zrzućcie kaptury, by nic nie umknęło waszej uwadze. Kiedy konie ruszą, pętla nie ma prawa zsunąć się z któregośkolwiek członka, a jednocześnie kości mają pozostać całe! Dalej!

Wraz z innymi zdjąłem worek z owsem i pociągnąłem wodze.

- Powoli, nie śpieszyć się! Zadaniem katów jest czynić tak, by skazany czuł, że umiera!

Liny napięły się, nastąpił pierwszy opór. Pociągnąłem mocniej, koń posłusznie postąpił dwa kroki. Ciało naprężyło się, usłyszałem trzask targanych potworną siłą mięśni i wiązań stawów. Za chwilę trup zostanie dokumentnie rozerwany.

- Stać!

Konie lekko cofnęły się, nie na tyle wszakże, by zupełnie poluzować liny.

- Teraz zadanie dla was! Zdarza się czasem, że ciało skazańca nie chce się poddać. Końskie kopyta ślizgają się po bruku, nasz podopieczny wrzeszczy tylko, a jego członki pozostają na miejscu. Kaźń, miast grozy, zaczyna budzić wesołość u ludzi. Co wtedy czynić?

Zapadła zupełna cisza. Słysząc było dobiegające aż tutaj odgłosy sukienego targu.

- Czy ktoś odpowie? - Mistrz Herbert rozglądał się po naszych twarzach. Jego wzrok przez chwilę spoczął na mnie. - Wie ktoś?

Nieśmiało uniosłem rękę.

- Ty, uczniu? Liczyłem raczej na kogoś ze starszych. Dobrze jednak, słucham.

- Nie jestem pewien, Mistrzu, ale wydaje mi się, że sensowne byłoby dokonanie kilku nacięć...

- Nacięć, powiadasz? To ciekawe. A gdzie byś je wykonał?

- W miejscach, gdzie członki trzymają najmocniej...

Popatrzył na mnie z zastanowieniem.

- Pokaż! Któryś ze starszych zastąpi cię przy koniu. Może ty?

Pochwyciłem nienawistne spojrzenie mojego pierwszego przewodnika po uczelni i napastnika sprzed kilku dni. Znów obiecywało piekielne męki. Że też padło na Bartosza! W duchu wzruszyłem po chwili ramionami. Cóż mi w końcu do tego? Przecież nie ja go wyznaczyłem. Podeszedłem do zawieszonoego nad ziemią trupa.

- Jakiego narzędzia byś użył?

- Gdybym miał ciąć bardzo dokładnie, wziąłbym duży nóż. Zważywszy jednak, że mają na to patrzeć ludzie, myślę, że miecz lub bardzo ostry topór byłby lepszy dla widowiska.

- Tak jest. Weź miecz. Topór to narzędzie zdradliwe i trzeba je dokładnie poznać. Łatwo ciąć zbyt głęboko.

Ująłem chropawą ręką, dokładnie przyjrzałem się wyprężonym członkom, przymknąłem oczy przypominając sobie nauki u Mistrza Ludwika. Tu więzadło... zaczepli mięśnia... Trzeba ciąć tak, by nie zanadto upuścić krwi, a tylko osłabić... Tu, co prawda, krew nie pójdzie, bo to trup, ale Mistrz na pewno zauważy każdą pomyłkę.

Nieśpiesznie dokonywałem nacięć w pachwinach i okolicach ramion. Mistrz Herbert z uwagą śledził moje poczynania.

- Nieźle - zamruczał. - Zupełnie nieźle. U kogo pobierałeś pierwsze nauki?

- U Mistrza Eustachiusza.

- Masz, chłopcze, wielki talent. Porozmawiam o tobie z Mistrzem Rektorem. Szkoda, byś marnował czas na jałowych naukach. Ciebie trzeba już pokierować do kogoś, u kogo nabierzesz biegłości.

Machnął ręką na pilnujących koni. Ruszyli tak samo powoli, jak przedtem. Z zafascynowaniem patrzyłem, jak członki nieboszczyka bez trudu oddzielają się od ciała.

- Naprawdę nieźle - powtórzył Mistrz Herbert. - Zasłużyłeś na nagrodę.

Była cudowna. Miała na imię Blanka. Och, oczywiście zdawałem sobie sprawę, że tak naprawdę jej imię brzmiało inaczej, na pewno mniej szlachetnie, jednakże nie chciałem tego zgłębiać. Niech tak zostanie.

- To twój pierwszy raz? - spytała po wszystkim.

Pokręciłem głową.

- Nie, ale tak dawno nie miałem okazji być z dziewczką, że czuję, jakby to był pierwszy raz...

Przytuliła się do mnie.

- Długo tu pracujesz? - spytałem.

- Będzie ze dwa lata. Zmienił się przez ten czas trzech wasi Mistrzowie.

Tak... Eustachiusz wspominał mi, że do obowiązków miejskiego kata należy nadzór i opieka nad lupanarami, sam jednak tego nie robił. Tutaj, w Bieczu, obowiązek ten przechodził po prostu co rok na innego Mistrza, wyjąwszy Rektora... i z pewnością Mistrza Czarnej Śmierci.

- Taka ładna dziewczyna - powiedziałem z żalem. - Szkoda cię...

- A ciebie nie szkoda? - Roześmiała się. - Taki przystojny pacholek na kata. Ile masz lat?

- Chyba ze siedemnaście. Tak mówią.

- A jak trafiłeś do tego zawodu?

Jej pytanie sprawiło, że ozwały się bolesne wspomnienia.

- Nie chcesz, to nie mów... - Dostrzegła grymas na mojej twarzy.

- Nie, Blanko, opowiem ci. Miałem wtedy z osiem lat. Ty tego nie pamiętasz, ale był tatarski najazd. Wielki najazd. Wyludniło połowę ziem. Wciąż jeszcze po nocach widzę ojca wiszącego przy bramie zagrody, a całkiem nagą matkę przybitą gwoździami do drzwi chlewa. Widziałem, jak ją przedtem zhańbili. Tyle tylko, że zdążyła mnie schować w jamie na ziarno. Pewnie by mnie i stamtąd wygrzebali, gdyby nie zjawił się spory podjazd. Tatarzy poszli w rozsypkę, a ja wylazłem z loszku. Nie wiem, co później się ze mną działo, pamiętam wszystko jak przez mgłę. Spalone wsie, powbijanych na pal ludzi, zgwałcone niewiasty... Widziałem rzeczy straszne. Gdym był z tym podjazdem w jednej wsi, wyszła z kryjówki dziewczyna. Pewnie tak jak i mnie matka schowała ją, gdy nadeszli Tatarzy. Nasi nie myśląc wiele... oni ją... rozumiesz? Ci, co mieli za zadanie ratować, wzięli się do gwałcenia dziewczyny z własnego narodu! Wtedy po raz pierwszy poczułem lodowy uścisk przy sercu. Czymże różnili się od Tatarów, co mi zabili rodziciele? Ojca to i nawet nie żałuję, bo pijak był z niego i okrutnie bijął matkę, a i mnie się czasem oberwało. Ale matuś...

Zamilkłem, a ona gładziła moje włosy.

- Zacząłem krzyczeć i przeklinać, porwałem miecz, by przebić pacholka, który pierwszy ruszył za dziewczyną... Dowódca stłukł mnie niemiłosiernie i rzekł, że trza by takiego jak ja oddać karu. I oddali. Napatoczył się Mistrz Eustachiusz. Jemu mnie sprzedali. Pewnie myśleli, że ciśnie mnie gdzieś albo zabije, by pozyskać krew na eliksiry, jak o katach fałszywie powiadają.

- A nie czynicie to eliksirów z niewinnej krwi? Różnie słyszałam, nawet od samych waszych uczniów.

- E, dziewczyno, chwalili się tylko albo chcieli cię oszukać. Co tam niewinna krew. Co to warte? Guślarkom ją daj, wezmą z pocałowaniem ręki. Ale kat...? Inna rzecz mocz wisielca, który wypuści podczas kaźni. Insza jeszcze rzecz włosy z łona heretyckiej niewiasty czy korzeń pokrzyku rosnącego pod szubienicą. Wierz mi, wiele jest rzeczy w człowieku cenniejszych niż krew, choćby niewinna. Krwi ci na świecie dostatek, a każdy jej może utoczyć, nie musi być zaraz katem.

Pochyliła się nade mną i patrzyła prosto w moją twarz. Jej oczy... były szarobłękitne, okolone ciemnymi, poczernionymi węglem rzesami. Takie ciepłe i miękkie...

- Nie masz spojrzenia kata - rzekła po długiej chwili. - Jeszcze nie.

- Ty też nie masz oczu sprzedajnej dziewczki - zauważyłem z pewnym zdumieniem.

- To tylko dla ciebie, Jakubie - odparła z uśmiechem. - Tylko dla ciebie...

Kat nie może nikogo darzyć uczuciem, mawiał Eustachiusz. Dla kata nawet żona czy potomstwo nie może być ważniejsze niż jego praca.

Wracaliśmy niewielką grupką ciemnymi, przedrannymi ulicami. Z mrocznych zaułków wyglądały ciekawskie oczy nocnych włóczęgów. Dla nich byliśmy straszniejsi niżli oni dla zabłąkanych, pijanych przechodniów. Każdy z tych ludzi może kiedyś trafić w ręce kata. Ich nienawiść szła za nami krok w krok. Jestem pewien, że gdyby którykolwiek z nas zapuścił się sam w te rejony, nie pożyłby dłużej niż trwa świst noża ciśniętego wprawną ręką. Wiedziałem, że w towarzystwie prowadzącego nas Mistrza Ambrożego jesteśmy bezpieczni, a mimo to czułem nieprzyjemne mrowienie między łopatkami. Przez cały czas miałem przed oczami twarz Blanki.

Była taka słodka, taka ciepła... Kat nie może nikogo darzyć uczuciem!

Moje rozmyślania przerwał ciężki stukot podkutych butów na bruku. Trzy zwałiste postacie zagroziły nam drogę.

- Kto idzie? - Niski, zdarty głos nie znosił sprzeciwu. Mistrz Ambroży dał znak, byśmy stanęli.

- Nie poznajesz, Janik? - zapytał cicho. - Powiadam ci, kiedyś zawitam do ciebie, a raczej po ciebie, gdy twoi pryncypałowicze już dostrzegą, jaki to z ciebie gorliwy i uczciwy strażnik i zapragną ci za to należycie zapłacić.

- A wy co, Mistrzu... - w głosie tamtego nie było śladu poprzedniej pewności siebie - pozbywać się chcecie tych, co wam ofiar dostarczają?

- A znasz to opowieść o wilku? - Mistrz Ambroży mówił nadal spokojnym, cichym tonem. - O tym, co to nosił razy kilka... Wiem o tobie więcej, niżbyś chciał. A miast włóczyć się bezpiecznie środkiem ulic i wyłudzać za to pieniądze od wystraszonych mieszczan, rozejrzyj się lepiej po zaułkach. Jak nic po dzisiejszej nocy znaleźć tam będzie można kilka obdartych do goła trupów. A teraz ustąp z drogi tym, co swoją pracę traktują uczciwie, choć mówią o nas, żeśmy okrutni.

- Idźcie swoją drogą - odparł niecierpliwie strażnik. - Nic mi do waszej roboty, to i wy nie wtrącajcie się do mojej.

Mistrz długo patrzył na potężną postać dowódcy wachty, aż tamten opuścił głowę, dał znak swoim i sam odszedł na bok.

Kiedy ich minęliśmy, doleciało nas soczyste przekleństwo i splunięcie.

- Kto nie potrafi okazać szacunku innym - odezwał się Mistrz Ambroży - nie szanuje też i sam siebie... Pamiętajcie o tym.

Bramę otworzył Bartosz. Poznałem go pomimo głęboko nasuniętego kaptura. Byłem zdziwiony, gdyż rzadko się zdarzało, by uczeń tak długo przebywający w Akademii musiał pełnić obowiązki odźwiernego. Chyba, że za karę... Kiedy go mijałem, odsunął nieco czarną materię na głowie i obrzucił mnie nienawistnym spojrzeniem. Pociągnął nosem.

- Którą ci dali, Jakubie? - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Blankę...

- Milcz! - warknął Mistrz Ambroży - Chyba że chcesz stać tutaj jeszcze trzy noce!

Bartosz cofnął się przestraszony, ale nie spuszczał ze mnie spojrzenia. Obiecywało zemstę i piekielne męki.

Dlaczego zapytał o Blankę właśnie? Wtedy, w korytarzu powiedział „zostaw ją w spokoju”. Ale przecież nie mógł wiedzieć... ja sam nie mogłem...

Mistrz Rektor siedział na karle z głową opartą na dłoni.

- Rozmawiał ze mną o tobie Herbert - spojrzał na mnie bystrymi ciemnymi oczyma.

Te oczy nie pasowały do pomarszczonej twarzy. Były młode i żywe, zupełnie jakby należały do kogoś innego.

- Mówił mi - ciągnął - że szkoda ciebie na zwykłe nauki. Że jest w tobie coś więcej niż w innych uczniach.

Milczał przez chwilę, mierząc mnie badawczym spojrzeniem.

- To samo zresztą powiada o tobie Mistrz Ludwik. Nawet Mistrz Czarnej Śmierci przesłał mi krótki list na twój temat, a czyni to niezmiernie rzadko. Zastanawiasz mnie, chłopcze, bo sam nie wiem, czy przypisać to wszystko twoim wrodzonym talentom czy raczej naukom, które pobrałeś u Eustachiusza.

- A może jedno i drugie, Mistrzu? - zapytałem nieśmiało.

- Tak - zmrużył oczy. - Może jedno i drugie. Tak sądzisz? Dlaczego?

Wzruszyłem ramionami, gdybym nie obawiał się, że zostanie mi to poczytane za brak szacunku.

- Sam dokładnie nie wiem - odparłem. - Jednakże to, co przekazał mi Eustachiusz... to znaczy Mistrz Eustachiusz...

- Przy mnie możesz mówić o nim po imieniu. Jak sądzę, był z tobą związany bliżej niż nauczyciel z uczniem.

- Był mi poniekąd ojcem...

- Tym bardziej. Mów dalej.

- To, czego wyuczyłem się przy nim, bardzo jest mi przydatne, lecz natknąłem się tutaj na rzeczy i sprawy przedtem mi nieznane, a mimo to... nie wiem, jak rzec...

- Mimo to bez wysiłku radzisz sobie z nimi - pokiwał głową Rektor. - Jak z tym podcięciem pachwin. Tak, chłopcze, wiem, że sam do tego doszedłeś. Eustachiusz nie ma we zwyczaju świadczyć usług związanych z ćwiartowaniem czy właśnie rozrywaniem końmi. Nie mogłeś się u niego tego nauczyć. A jak wpadłeś na concept, żeby uczynić właśnie tak, jak na dziedzińcu?

- To dzięki naukom u Mistrza Ludwika...

- Tak... Zastanowię się, co z tobą uczynić. Najpierw pójdiesz po nauki do Ambrożego... Nie, nie są związane z prowadzeniem zamtuza. Tego uczyć się nie potrzeba. Ambroży wprowadzi cię w arkana wydobywania zeznań. Przez ostatnie lata nie było w naszej uczelni kogoś, kto spełniałby warunki, jakie stawia tego rodzaju praca, którą on wykonuje. Może ty? Zobaczymy. To wielkie wyróżnienie, że Ambroży zgodził się wziąć właśnie ciebie.

Spojrzał mi prosto w oczy, a moje ciało przeszył dreszcz.

- O co chcesz spytać? Spróbuj, może odpowiem.

Zagryzłem wargi. Od wczorajszego dnia nie dawało mi to spokoju.

- Mistrzu - zacząłem nieśmiało - za co tym razem Bartosz został ukarany?

Zmarszczył brwi.

- Uczeń Bartosz - odparł, a w jego głosie mogłem wyczuć niechęć - często podlega karom. Uczeń Bartosz, jak na kata, zbytnio lubi widok krwi i śmierci. Kat ma zadawać cierpienie i śmierć, a nie napawać się nimi.

- Jednak...

- Dość - przerwał mi. - Kat nie jest rzeźnikiem. Jeśli kto lubi patrzeć na strugi krwi, niech idzie pracować do jatek miejskich. A obecność Bartosza musimy tutaj cierpieć z pewnych względów. Mniejsza w tej chwili, jakich. Powiem tylko, Jakubie, jedno. Strzeż się go, bo to zły człowiek.

Dziwne usłyszeć jak jeden kat mówi o drugim „zły człowiek”. Przecież gmin nas wszystkich nazywa małodobrymi...

Z ciekawością obserwowałem, jak Mistrz Ambroży warzy w tyglu miksturę. Ze znanych mi rzeczy wlał tam tylko rozgrzany łój i okowitę. O reszcie składników nie potrafiłbym powiedzieć ani słowa.

- To mieszanka ziół - odezwał się, powoli mieszając drewnianą łyżką - która powoduje, że skóra człowieka staje się bardzo wrażliwa na ból związany z gorącem, a równocześnie łatwiej się goi. Niedouczony kat będzie lał na przesłuchiwanego zwykły tłuszcz. Owszem, ból jest wielki, jeno skóra potem przestaje być podatna na następne męki. Tworzą się na niej ropne bąble, które trzeba przekłuwać i nacierać maściami, by je zabić. Nie ma wtedy w skórze dawnego czucia.

Sięgnął do miecha, by podniecić ogień na palenisku. Był groźny. Groźniejszy niż ci, z którymi miałem dotąd do czynienia. Nie to, żeby wyróżniał się postawą czy surowością, ale miał w twarzy mrok - coś, co przywodziło na myśl grozę zaćmienia słońca.

- Jeśli wylejesz na ciało sporządzoną przeze mnie mieszankę, nie dość na tym, że ból będzie niepomiarowo większy niż zwyczajnie, ale za dwa, góra trzy dni rany się zablizują i można przesłuchiwanego poddać następnej torturze. Do tej pory nie spotkałem się z nikim, kto by odmówił zeznań po powtórnym badaniu. A i duszę takiego łatwiej wtedy...

Przerwał i spojrzał na mnie bystro. Nadstawiłem uszu. Pierwszy raz od przybycia do Akademii ktoś powiedział cokolwiek o duszy, jeśli nie liczyć mętnej wzmianki Mistrza Czarnej Śmierci. Wszyscy dotykali wyłącznie spraw cielesnych. Jednakże Ambroży powrócił do mieszania mikstury.

- To wielka tajemnica - oznajmił. - Skład tej mieszanki jest tak samo tajny jak wiadomość o miejscu, w którym przebywa Mistrz Czarnej Śmierci. Lecz gdy zostaniesz zaprzysiężony, w swoim czasie poznasz i tę tajemnicę. Trzeba ci wiedzieć, że po sporządzeniu mieszaniny trzeba jej użyć najdalej w ciągu trzech dni. Inaczej traci swoje właściwości i działa jeszcze słabiej niż zwykły łój. Za to nadaje się wtedy doskonale do smarowania ran po oparzeniach, bo pozostają w niej właściwości lecznicze.

- Sporządzasz ją dzisiaj, Mistrzu, tylko po to, aby mi to pokazać?

Uśmiechnął się krzywo.

- Oczywiście wiem, o co pytasz w istocie rzeczy. I zapewne domyślasz się, że nie zużywam cennych składników tylko po to, żeby zaspokoić twoją ciekawość. Jutro będzie przesłuchiwany pewien zbój ze sławnej bandy Rocha. Udamy się wpierw do pana hetmana, a on wprowadzi nas do lochów. Będziesz mógł zobaczyć, jak mikstura działa. A na razie...

Zajrzał do tygla, pociągnął lekko nosem.

- Gotowe - mruknął.

Potem uczynił coś, czego zupełnie się nie spodziewałem. Podwinął rękaw i prędkim ruchem drugiej dłoni wydobył drewnianą łyżkę, z której spływała wielka kropla. Pozwolił, by spadła na obnażone przedramię. Zaskwierczała dotykając skóry, a mnie przeszył dreszcz na myśl o katuszy, jaką potrafi zadać. Mistrz Ambroży przymknął oczy, jakby wsłuchiwał się w doznania płynące z oparzonej ręki. Nie było po nim znać bólu. Rzekłbym, iż wyglądał na raczej zadowolonego.

- Wspaniale - powiedział. - Jest jak należy. Chcesz się przekonać?

Oblizalem spierzchnięte nagle wargi. Muszę okazać się godnym pobierania nauk u tak biegłego Mistrza... Muszę znowu przezwyciężyć strach i słabość... Bez słowa odkryłem ramię. Przymknąłem oczy.

To było uczucie, jakby cała ręka została włożona do kotła z gotującą smołą. Nigdy w życiu nie przeżyłem czegoś podobnego! To nie było tylko poczucie oparzenia, ale wręcz pewność, że całe ramię objął niepowstrzymany pożar, a jednocześnie ktoś zgniata ją wielkimi, tępymi cęgami.

Jęknąłem. Nie mogłem się powstrzymać. Natychmiast zerknąłem na Mistrza. Patrzył na mnie z wielką uwagą.

- Nie wrzeszczysz, chłopcze? - raczej stwierdził, niż zapytał. - Niewielu takich tu było. A wiem przecież, jaki to okrutny ból...

Z niedowierzaniem pokręcił głową.

- A może mikstura jest za słaba?

- Nie, Mistrzu - wyszeptałem. Oblizalem krew z ust. Musiałem je mocno przygryźć. - Gdyby ból był większy, nie wiem, czy bym nie omdlał albo i skonał...

Bałem się spojrzeć na swoje ramię. Byłem pewien, że stanowi jedną wielką ranę.

- Poczekaj chwilę - rzekł Mistrz.

Wydobył z zanadru niedużą fiolkę, odkorkował ją i wylał na palec kroplę czegoś, co przypominało gęsty olej. Potem dotknął tym palcem miejsca, gdzie tkwiło ognisko bólu. Po krótkiej chwili zaczął ustępować. Spojrzałem z niedowierzaniem na rękę...

Boże mój... Oparzenie nie było większe niż ślad, który zostawia kropla deszczu.

- Jutro pójdziemy do miejskich lochów - powiedział chowając fiolkę. - Przestało boleć? Widzisz, ten, kto zadaje rany, powinien też umieć je wyleczyć. Nieraz się zdarza, że trzeba badanego dłużej utrzymać przy życiu. W czasie przesłuchań kat nie ma zadawać

śmierci, jeżeli nie musi, a jedynie cierpienie. Zapamiętaj to. Przypadkowe zabicie badanego jest nie tylko błędem. Hańbi imię kata. Byłeś kiedy przy przesłuchaniu?

- Mistrz Eustachiusz w zasadzie wykonywał tylko wyroki. Kilka razy wezwano go do lochów, jednakże nie zabierał mnie ze sobą.

- Więc będzie to dla ciebie nowe doświadczenie...

Dopiero teraz dostrzegłem ten przedmiot. Błyszczał wciśnięty głęboko w kąt. Lśniąca powierzchnia oddawała każdy błysk ognia z paleniska, każdy ruch w komnacie.

- Zastanawiasz się, do czego służy tamten złoty tygiel?

Ambroży był bardzo spostrzegawczy. Podszedł tam, zarzucił ciemną materię na błyszczące naczynie.

- Kiedyś może się dowiesz... Może. Jeśli wraz ze Zgromadzeniem Mistrzów uznam, że jesteś godny i gotowy... Na razie wyśpij się dobrze. Jutro czeka nas obu ciężki dzień.

- Nieswój jesteś - powiedziała Blanka patrząc na mnie z troską.

- Zależy ci na mnie, że cię to obchodzi? - syknąłem.

Nie chciałem jej zranić. Nie to chciałem powiedzieć. Zresztą sam nie wiem.

Ukryła twarz w dłoniach, jej drobnymi ramionami zaczęło wstrząsać łkanie.

- Przepraszam - dotknąłem jej włosów. Były miękkie i dawały poczucie ciepła. - To dlatego, że widziałem dzisiaj straszne rzeczy...

Spojrzała bystro.

- Pomagałeś na torturach? Opowiedz!

- Skąd wiesz? - Byłem naprawdę zdumiony. - Jak się domyśliłaś?

- My, jak nas nazywają, sprzedajne dziewczki, wiemy więcej, niż wam się, mężczyźni, wydaje. Stajecie się bardzo gadatliwi w pewnych, hm... chwilach... rozumiesz o czym mówię, prawda?

Rozumiałem aż za dobrze. Na myśl o tym, że dotykają jej czyjeś brudne ręce, poczułem znajome zimne ukłucie koło serca. Kat nie może nikogo darzyć uczuciem...

- Herbowi, mieszczanie, biedota... nawet wy, kaci. Wszyscy wtedy dużo lubicie mówić.

Milczałem, tłumiąc w sobie narastającą złość.

- Opowiedz - nalegała.

- Nie mogę, Blanko. Bardzo bym chciał, ale nie mogę... Wiąże mnie przysięga.

- Innych też wiąże - nadąsała się - ale opowiadają.

Znowu to przykre ukłucie.

- Ja nie jestem inni - warknąłem. - Ich sobie pytaj!

Bez słowa patrzyła, jak zbieram się z łoża, pośpiesznie zakładam szaty. Miałem wszystkiego dosyć! I jej, i Mistrza Ambrożego, i wszystkich tych spraw, których nie rozumiałem, których, być może, wcale nie chciałem tak naprawdę zrozumieć...

- Przyjdź do mnie jeszcze - doleciał mnie cichy głos, zanim zamknąłem drzwi. - Jesteś taki inny. Przyjdź!

Kat nie może nikogo darzyć uczuciem. Nawet sprzedajnej dziewczki. Ta myśl towarzyszyła mi podczas marszu ciemnymi ulicami. Nie słyszałem kroków moich towarzyszy, nie zwracałem uwagi na cienie przemykające pod ścianami. Blanka... Rzekła, bym jeszcze przyszedł, że jestem inny...

Przy bramie poczułem na ramieniu dotknięcie. Mistrz Ambroży zbliżył wargi do mojego ucha.

- Przyjdź zaraz do pracowni.

Kiwnąłem lekko głową. Miałem ochotę wypić dzban wina, pójść do siebie i zasnąć jak kamień. A przedtem upuściłbym pijanej krwi szczurom, aby przynajmniej one miały dziś odrobinę radości. Zaczynałem pojmować, dlaczego te stworzenia są najlepszymi przyjaciółmi kata. Nie dlatego wcale, że chronią nas przed nienawiścią świata. Zwyczajnie, ich towarzystwo jest o wiele miłsze niż obecność innych ludzi.

Ambroży mieszał w tyglu miksturę na jutrzejsze przesłuchanie.

- Problem mamy z tym zbrojcem. Widziałeś, jak go urządzili pacholkiwie miejscy? I słowa im ponoć nie powiedział. Wytrzymał nawet oparzenia moim wywarem. Domyślasz się, dlaczego?

- Myślę, Mistrzu, że on naprawdę nic nie wie. Nie jest taki twardy, tylko po prostu nie powiedziano mu, gdzie herszt bandy ukrył łupy i gdzie trzyma zakładników. To jakiś zupełnie pomniejszy człowiek u Rocha, nie zasługujący na jego pełne zaufanie.

- Tak - z zadowoleniem kiwnął głową. - Ale nie zawsze płacą nam za to, żebyśmy wydobywali z ludzi tylko to, co wiedzą. Sztuka katowska polega też i na tym, żeby wydobyć z nich to, o czym nie mają pojęcia!

- Ale to niemożliwe!

Uśmiechnął się z wyrazem politowania.

- Drogi Jakubie, chyba zdołałeś już zauważyć, że kat katu nierówny. Są tacy, którzy wykonują brudną robotę, ścinają głowy, rozrywają cęgami, palą ogniem *et caetera*. Ci mogą wydobyć z człowieka zeznania prawdziwe, jeśli ma odpowiednią wiedzę, lub fałszywe, jeśli zmyśla, by tylko uniknąć tortur. My w Akademii kształcimy co prawda różnych katów, jednakże pragniemy wypuścić z naszych murów jak najwięcej takich, o których można by rzec, że są prawdziwymi artystami, a nie jedynie rzemieślnikami czy zwykłymi wyrobnikami. Jutro ujrzysz, jak człowiek, który dziś jeszcze nic nie wiedział, który jest przekonany, że nic nie wie, przekaże nam wieści o sprawach zupełnie sobie nieznanach. I będzie to prawda. Jutro ujrzysz coś, co maluczcy nazywają cudem. My, rzecz jasna, cudowi temu dopomożemy naszą sztuką. Gdyby śledczy wiedzieli, co my tam naprawdę zrobimy, mieliby nas w garści. A właściwie nie tyle oni, co inkwizytorzy.

- Nie rozumiem, Mistrzu...

- Jutro, drogi chłopcze, jego dusza będzie należeć do nas. Na moją prośbę zostawią nas z nim samych. Wtedy zobaczysz... Użyjemy tego właśnie wywaru. Nie myśl, że to znowu substancja parząca. Ten nazywam eliksirem wizji. Jest w nim najprzedniejsze ziele przywożone z dalekich ziem przez italskich żeglarzy. Gdy je spożyjesz, ześle ci obrazy, jakich sam nigdy byś nie wyśnił. Bywają piękne i straszne zarazem... Kosztowne to zioło i niewiele razy w życiu przychodzi go użyć, a prostemu, niekształconemu katu bywa zgoła nieznane.

Patrzyłem na jego twarz rozjaśnioną, rumianą nie wiem, czy zapalem czy gorącym bijącym od tygla. Ambroży zaś spojrział tylko na mnie krótko i ciągnął dalej:

- Znajdziesz tu i jaskółcze ziele, i bielun, i pewien gatunek grzybów, które zebrać można jeno w głębi boru... Ale najważniejszy składnik to szubieniczny pokrzyk, jaki wyrasta tylko tam, gdzie padnie nasienie wisielca, gdy się czasem zdarzy, iż nadchodząca śmierć niczym namiętna kochanka spowoduje wytrysk. Pamiętaj, Jakubie, że wielka jest moc takiego korzenia wyrosłego z przerażenia zmieszanego z doznaniem ostatniej na ziemi rozkoszy. Bez niego cały wywar byłby na nic. To on pozwala, by uwolniona dusza...

Urwał, znowu rzucił mi krótkie spojrzenie.

- Jutro sam zobaczysz... A teraz cię zaprzysięgnę. Wyciągnij lewą rękę.

Błazeńska czapka z wycięciami na oczy. O ileż godniej wyglądałby kat w swoim czarnym płaszczu z głębokim kapturem... Starosta jurydyczny, sędzia i wszyscy pozostali patrzyli, jakby nas nie dostrzegali. Choć gardzą katem, potrzebują go jak powietrza...

- Gdzie ukryliście łupy? Gdzie Roch więzi węgierskich kupców?

Pod koniec drugiego dnia pytania padały wciąż te same. A człowiek rozciągnięty na drewnianej ławie nic nie potrafił powiedzieć. Gdyby miał choć trochę rozumu, zmyśliłby cokolwiek, żeby chociaż na chwilę przerwać ciąg tortur. Na to był jednak zbyt tępy.

- Nie widzę innego wyjścia - odezwał się stary, zupełnie łysy sędzia - jak przychylić się do wniosku mistrza małodobrego. Zostawmy ich z podsądnym samym. Jeśli zdołają wydobyć prawdę, może jeszcze uda się uratować owych kupców. Wielka to będzie strata dla Biecza, gdy się rozniesie, że bandyci hulają bezkarnie. Któż wtedy przybędzie do nas na jarmarki bławatne?

- Lecz dlaczego koniecznie chcą zostać z nim sami? - sprzeciwił się starosta. - Mają coś do ukrycia!

- A czy wy, panie - powiedział Mistrz Ambroży - słyszeliście kiedy o rzemieślniku, co by nie miał swych tajemnic?

- Jednakowoż...

- Dajcie pokój, panie Janie - powstrzymał go sędzia. - Nie pierwszy raz mistrz małodobry świadczy nam usługi. Nie pierwszy też raz pozostawimy go z badanym sam na sam. Niech czyni, co do niego należy.

Nieśpiesznie zebrali się i opuścili loch. Tylko starosta jurydyczny odwrócił się w progu, brzęknąwszy szablą.

- Ma żyć! - rzucił spod nastroszonych wąsów.

- Jego życie należy już do nas - odparł śmiało Mistrz Ambroży. - I nic nikomu do tego. Jeśli nie wydobędziemy zeznań, nie dostaniemy zapłaty. A waszym kupcom wtedy i tak nic nie pomoże!

Starosta otworzył usta, chcąc coś jeszcze rzec, ale tylko owinął się ciaśniej płaszczem i poszedł za innymi. Ambroży spojrzał na zbója.

- Mamy chwilę czasu, zanim odzyska zmysły. Przynieś tu sakwę. Trzeba zagrzać miksturę.

Pochylił się nad nieprzytomnym człowiekiem, oglądając go dokładnie.

- Nie jest tak źle - mruknął. - Silny chłop. Ale trzeba się będzie śpieszyć, bo istotnie gotów nam uciec na tamtą stronę bez pożytku. Weź butlę z wywarem i wlej do tego rondla... tak. A teraz podaj mi sakwę.

Była ciężka. Zastanawiałem się, co do niej włożył. Cięcie, zadane wczoraj podczas składania przysięgi, swędziało nieznośnie pod wpływem gojącej maści.

- Mieszaj powoli, pilnuj tylko, żeby nie zawrzało... Ja zajmę się resztą. Czego chciał od ciebie Bartosz?

- Doprawdy nie wiem, Mistrzu.

- Uważaj na niego, chłopcze. On darzy cię wielką nienawiścią. Taką nienawiść żywić może jeden mężczyzna do drugiego, kiedy idzie o kobietę. Nie wiem, co macie ze sobą, ale uważaj.

Ja też nie wiedziałem, gdzie tkwi przyczyna wrogości okazywanej mi przez Bartosza. Pozostali uczniowie traktowali mnie z taką samą obojętnością, jak i siebie nawzajem. Jedynie Bartosz...

Z uwagą śledziłem każdy ruch Ambrożego. Najpierw wy dobył z torby rzemień zakończony wydrążoną drewnianą kulką. Zamierza zatkać usta badanemu? Dziwne. Potem zaś ujrzałem, jak światło załamuje się w polerowanej powierzchni... Złoty tygiel!

- Dziwisz się, Jakubie? Niebawem pojmiesz, na czym polegała waga przysięgi milczenia, którą mi wczoraj złożyłeś. Już niebawem... A teraz pilnuj uważnie swojego naczynia. Ciecz ma mocno parować, ale niech nie waży się ukazać na powierzchni najmniejszy pęcherzyk!

Przystawił flaszkę z okowitą do zmasakrowanych ust zbója. Ten jęknął cicho, zakrztusił się, a potem przechylił głowę w bok i z wymiotował.

- Bardzo dobrze - rzekł z zadowoleniem Mistrz Ambroży. - Gorzalka z piołunem to niezawodny środek. Aby wywar wizji należycie zadziałał, wnętrze badanego musi być czyste. Zresztą - zerknął na wymiocinę - jak widzę, tego tutaj nie karmili pewnie od trzech dni.

Potrząsnął pokrytą zaschłymi strupami głową naszej ofiary.

- Słyszysz mnie?

- Słyszę...

- Nadszedł twój czas, człowieku. Jakubie - zwrócił się do mnie - teraz podaj wywar!

Ostrożnie uniósł głowę nieszczęśnika, by wlać weń płyn. Widać mikstura miała przyjemny smak, bo zbój łykał łapczywie i nawet się nie zakrztusił. Potem opadł bezwładnie na skrwawione deski.

- Patrz uważnie, chłopcze - szepnął Ambroży. - Zaraz wyjdzie zeń dusza.

Mrowienie przeszło mi przez całe plecy.

- Mistrzu - spytałem równie cicho - ale jeśli wypędzimy z niego duszę, niczego się nie dowiemy.

- Dowiemy się, Jakubie, dowiemy...

Chwycił wydrążoną kulę i przytknął ją szczelnie do rozchylnych warg konającego.

Zbój zacharczał, wyprężył nogi, pierś uniosła się wysoko, aby zaraz opaść wraz ze świstem uchodzącego zeń ostatniego na tym świecie oddechu.

Nieraz widziałem śmierć, niejednokrotnie otarła się o mnie swoją miękką szatą. Jednakże w tym lochu o ścianach spływających wilgocią, śmierdzącym stęchlizną i zastarzalymi ludzkimi wyziewami, ukazała mi swoje nowe oblicze. Była jeszcze okrutniejsza, niż dotąd sądziłem. Okrutniejsza, a zarazem coraz bardziej pociągająca... fascynująca... piękna w nieopisanej potworności. Czyżbym znowu poczuł na policzku jej aksamitne, czułe dotknięcie?...

- Nie gap się, chłopcze! - warknął Ambroży. - Podaj złoty tygiel!

Podsoczyłem natychmiast z naczyniem. Mistrz trzymał w zaciśniętych dłoniach drewnianą kulę.

- To jego zbójcka dusza, Jakubie. Dziwisz się, że zmieścić ją można w tak małym przedmiocie? A któż powiedział, że człowiek ma wielką duszę?

Wrzucił kulę do tygla, prędko uczynił nad nim skomplikowany znak palcami.

- Stąd już nie ucieknie - mruknął. - Idź, zawołaj śledczych.

Niewiele z tego wszystkiego pojmując, wypełniłem polecenie.

- Zbójca jest na tamtym świecie - oznajmił przybyłym Ambroży. - Nie wiem, czy lepszym czy gorszym. On w każdym razie już to wie.

- Miał żyć! - wycodził przez zęby starosta jurydyczny. - Nie zatrudniłszy was jak masarzy do zarznięcia barana, tylko...

Przerwał, kiedy stary sędzia położył mu rękę na ramieniu. Mistrz Ambroży mówił dalej, jakby nie usłyszał tamtego.

- Jutro o świecie niech ktoś przyjdzie pod bramę Akademii. Powiemy, gdzie są kupcy i zbójckie łupy... A teraz pozwólcie, szlachetni panowie, że odejdziemy. Czeka nas jeszcze wiele pracy.

- Ech, wy - starosta splunął - dać by was...

Zawiesił głos, zdając sobie sprawę, że to, co chce powiedzieć, może w odniesieniu do nas zabrzmieć zgoła zabawnie. Mistrz Ambroży wbił w niego wzrok. W otworach kaptura jarzyły się jego ciemne oczy.

- Zapewniam was, panie - rzekł spokojnie - że każdego z nas dano już kiedyś katu. A nawet wielu katom. Na wychowanie. Tylko dzięki temu, że niegdyś dano nas katu, byśmy się wyuczylili rzemiosła, uzyskacie wiadomość, której tak pragniecie. Żegnajcie.

Wyszliśmy w zupełnie ciszy, odprowadzani niechętnymi spojrzeniami.

Kat nie ma przyjaciół.

Nie może ich mieć.

W porównaniu do miejskiego lochu ponura pracownia Ambrożego wydawała się miejscem bez mała przytulnym. Mistrz z całą ostrożnością wlewał do złotego tygla wonną substancję.

- Ma podobny skład jak wywar wizji - tłumaczył mi, nie odrywając wzroku od sączącej się strużki. - Różni się jedynie w proporcjach i w tym, że dodać trzeba do niej nieco własnej krwi. Dlaczego krwi? Widzisz, muszę związać tę duszę, którą kryje tygiel, ze swoim ciałem. Inaczej nie powróci, gdy ją wypuszczę, by przyniosła to, czego oczekujemy.

Nadał niewiele pojmowałem. Straszliwa, niezrozumiała przysięga, za której złamanie miały mi grozić najgorsze piekielne męki, i to wszystko, na co patrzyłem, wydawało mi się jakimś koszmarnym snem. Wiedziałem, że katom zdarza się posługiwać różnymi miksturami, których produkowanie może wydawać się równie tajemnicze jak czarna magia... Ale żeby uwięzić duszę... Jakie jeszcze tajemnice poznam dzisiejszej nocy?

- Teraz, Jakubie - odezwał się Ambroży - wypiję z tygla wywar wraz z duszą. Cokolwiek by się działo, zachowaj spokój. I nie waż się mnie dotykać, zanim otworzę oczy. Mogłoby się to źle skończyć dla nas obu. Obserwuj mnie uważnie. Kiedy tylko uchylę powieki, trzymaj nad moimi ustami złoty tygiel. Niech będzie blisko, tak by dotykał twarzy. Gdy tylko nadejdzie czas, wypuszczę zbójcę. Nie chcę, żeby ta dusza została we mnie. Nie potrzebuję jej. Ale ty musisz ją schwytać! Zrozumiałeś?

Skinąłem głową. Mistrz Ambroży położył się na ławie, uniósł do ust tygiel, wypił duszkiem zawartość, a pusty podał mnie. Zanim jeszcze opadł na deski, oczy mu zasłyły mgłą, wyróciły się białkami do góry, a powieki mocno zacisnęły. Wyprężył się, tak samo jak przedtem zbój w miejskim lochu, i jak tamten zaczął charczeć. W pierwszej chwili chciałem biec po ratunek, jednakże zaraz przyszła myśl, że chyba wie, co uczynił.

Patrzyłem więc tylko.

A on wyprężył się ponownie, ciało wygięło się w łuk skurczem mięśni. Potem legł bezwładnie, wydając długie westchnienie. Spomiędzy rozchylonych warg wydobyła się mgła. Zdumiałem się. Czy to dusza? Lecz nie... ujrzałem identyczną mgłę uciekającą i z moich ust. W dusznym lochu uczyniło się nagle strasznie zimno. Z niedowierzaniem spojrzałem na szron osiadający na złotym tyglu i wszystkich przedmiotach dookoła. Lodowaty podmuch przebiegł przez pomieszczenie. A przecież tutaj nigdy nie bywało przeciągów! Działo się coś niewytłumaczalnego, co sprawiło, że zadrzałem, i to wcale nie z zimna. Przypomniałem sobie

swoją pierwszą noc z rozkładającym się trupem. Wtedy na początku czułem podobne przerażenie. Wzdrygnąłem się i otrząsałem. Drobiniki lodu opadły z płaszcza. Co też Ambroży mówił? Mam go uważnie obserwować! Natychmiast wlepiłem wzrok w oszronioną postać na zbiegających od mrozu deskach. Ile to może potrwać? Ile czasu można wytrzymać w takim przenikliwym zimnie? Stawało się coraz bardziej dokuczliwe, zupełnie jakbym został zanurzony w lodowatej wodzie i natychmiast wystawiony na tęgi mróz. Ścisnąłem w dłoniach tygiel, który stał się tak zimny, że parzył, jakby wiano w niego ukrop. Ręce miałem całkowicie zgrabiłe, stawy zeszywniałe.

To lodowate, przejmujące zimno nie mogło pochodzić z tego świata. Nie ma tak srogiego mrozu, który by przeszył człowieka na wylot w ciągu krótkiej chwili. Przecież wszystko to nie trwało dłużej niż kilka uderzeń serca! Wpatrywałem się z wielką uwagą w twarz Mistrza Ambrożego, czekając na zapowiadane drgnięcie powiek. Oby szybciej, myślałem, zanim upuszczę naczynie! Zanim nastąpi moment, w którym okaże się, że moje ciało tak bardzo zlodowaciało, iż nie mogę wykonać najmniejszego ruchu!

Nie przypuszczałem, aby to było możliwe, ale zimno stało się jeszcze dotkliwsze, poczułem, jakby skóra na twarzy i dłoniach lada chwila miała pęknąć. Byłem pewien, że gdyby ktoś mnie w owym momencie dotknął, rozpadłbym się na drobne kryształki jak krucha rzeźba, którą swego czasu widziałem w kramie pewnego kupca ze Wschodu. Czyżby Mistrz się omylił? Jeśli tak, trzeba się przygotować na spotkanie ze śmiercią.

Lecz w tej chwili dostrzegłem drobny grymas na twarzy Ambrożego. Złudzenie to tylko, spowodowane chęcią ucieczki od wszechogarniającego chłodu, czy rzeczywiście ruszył powieką? Przemogłem słabość w członkach, przypadłem do ławy. Ból, jaki musiałem przy tym pokonać, był zapewne podobny do tego, jaki stawał się udziałem oprawianych w lochach ludzi, bodaj jeszcze większy niżli ten, którego przysporzył mi parzący wywar Mistrza. Znowu drgnięcie powieki.

Teraz już byłem pewien. Może gehenna zaraz się skończy!

Przytknąłem tygiel do warg Ambrożego. Spojrzałem na zapadłą, pozbawioną życia pierś. Oczekiwałem, że zaraz się wypełni, lecz zamiast tego ujrzałem, jak zapada się jeszcze bardziej. Przestraszony oderwałem tygiel od jego twarzy, lecz pomny tego, co mi powiedział, przytknąłem go zaraz znowu.

Mistrz chrapanął przeciągle, gwałtownie wciągnął powietrze. Otworzył oczy.

- Weź tygiel - wycharczał - i postaw do góry dnem na kamiennej płycie nad paleniskiem! Szybko!

Spostrzegłem, że znowu mogę poruszać się normalnie, a szron zniknął wraz z lodowatym powiewem. Mistrz Ambroży uważnie śledził wszystkie moje ruchy. Kiedy się odwróciłem, siedział na ławie.

- Wiem już wszystko - powiedział słabym głosem. - Dusza zbrodniarza pokazała mi to, czego nie potrafiło powiedzieć jego ciało. Kiedy przyśłą po wiadomość, wyjdiesz do klauzury i powiesz, że zakładnicy są w starym domu nad Ropą, o pół dnia drogi, a skarbiec bandy znajdą niewiele dalej, w szopie pod podłogą. Lecz nas teraz czeka jeszcze ważna rzecz do zrobienia... Pomóż mi wstać.

- Powiadasz, chłopcze, że Mistrz Ambroży uwięził duszę?

Rektor nie wydawał się ani zaskoczony, ani wzburzony tą wieścią.

- Tak, Mistrzu. Widziałem, jak to robi, jak przelewa ze złotego tygła dziwnej barwy substancję, a potem pieczętuje butelkę pszczelim woskiem mamrocząc zaklęcia... Potem schował ją w skrytce. Sam mi rzekł, że to dusza rozbójnika. Że jest komuś przeznaczona. Nie rozumiem tego!

Milczałem chwilę, zagryzając wargi. Mistrz Rektor przyglądał się uważnie mojej twarzy.

- Wiem, że może mnie czekać straszna kara i potępienie - powiedziałem w końcu - bom złożył mu przysięgę milczenia na własną krew i zbawienie. Mimo to uważam, że powinienesz wiedzieć, Mistrzu, co dzieje się w twojej Akademii. Ja wiem, że jest obyczaj, iż to, co się znajdzie przy skazanym, należy do kata... Ale czy również dusza?

Mistrz Rektor wstał, podszedł i zajrzał mi prosto w oczy.

- Nie, chłopcze. Dusza należy tylko do Boga. Jednakże my, kaci, mamy swoje powody, aby tak czynić. Pobieramy zresztą dusze także podczas zwyczajnych kaźni, jeżeli to tylko możliwe, a nie tylko podczas takich wyjątkowych przesłuchań. Nie jest sztuką zabrać umierającemu duszę. Sztuką jest umieć ją trzymać na uwięzi. Komu raz podano wywar wizji, ten jest spętany, nawet gdy śladu nie ma po oszołomieniu. A ty miałeś okazję zyskać dwa wtajemniczenia za jednym razem. Zaś to, że przyszedłeś z tym do mnie, to element owych wtajemniczeń. Próba lojalności. Przysięgałeś Ambrożemu, ale wpierw składałeś przysiężenie Akademii i mnie. Gdybyś dochował wierności jemu, oszukując w ten sposób całe nasze Zgromadzenie, byłaby to z twojej strony prawdziwa zbrodnia.

- A jakie są powody, dla których kat może więzić duszę?

- Tego, chłopcze, teraz wyjawic nie moge. Nie nadszedl jeszcze czas. To tajemnica, która mogłaby ci się wydać zbyt straszna. Ale jestem pewien, że przyjdzie chwila, iż dołączysz do wąskiego grona tych, którzy ją znają.

- Ale...

- Wracaj teraz do siebie, Jakubie - przerwał mi - i czekaj na wezwanie. Pomyślnie przeszedłeś kolejne stopnie wtajemniczenia i próbę lojalności. Kiedy zdecydujesz już, u którego z Mistrzów chciałbyś ostatecznie doskonalić swoje zdolności, zgłoś się do mnie.

Siedząc na pryczy rozmyślałem o ostatnich wydarzeniach. Próba za próbą, ciągle sprawdzanie... Zateśkniłem za prostotą Eustachiusza. Przestałem się dziwić, że porzucił Akademię, choć mógł tu zażywać spokoju i dostatku. Kiedy wreszcie zakończy się sprawdzanie? Kiedy wreszcie uwierzą, że jestem lojalny i godny zaufania? Że nadaję się na kata? Nagła myśl - pewnie nigdy! Kat nie ufa nikomu i nigdy!

Moje rozmyślenia przerwało uczucie łaskotania na dłoni. Wielki samiec siedział na derce i lizał mój kciuk.

- Czego chcesz, przyjacielu? - spytałem. - Jeszcze nie czas pić krew...

Spojrzały na mnie małe świecące oczka. Miały dziwny wyraz, jakby zwierzę chciało coś do mnie powiedzieć.

- Czujesz, że jestem smutny? Chcesz mnie pocieszyć?

Szczur zręcznie wdrapał się na moje ramię, polizał policzek, potem ucho. Jego wąsy łaskotały mnie przy tym, a cichy oddech owiał skórę. Roześmiałem się.

- To dlatego mówią, iż szczur jest najlepszym przyjacielem kata! Nikt inny nie interesuje się jego uczuciami. Prawie nikt - dodałem ciszej. - Dla mnie istnieje jeszcze ktoś...

Uwielbiałem zapach jej skóry. Była gładka jak...

- Jak najprzedniejszy jedwab - zamruczałem dotykając zaokrąglenia na biodrze.

- Nigdy nie dotykałam jedwabiu, kochany - przymknęła oczy poddając się pieścizocie.

- Ja dotykałem. Kiedyś... niedawno pewnie, choć zda się, że to było z pół wieku temu. A sam przecież liczę sobie co najwyżej trzecią część takiego czasu.

- To przez Akademię - odparła. - Powiadają, że za jej murami czas płynie inaczej.

Roześmiałem się.

- To tylko głupie przesady.

- Nie wiem - pokręciła głową. Włosy połaskotały moje ramię. - Widuję cię kilka razy w miesiącu i dostrzegam, jak szybko się zmieniasz. Zdajesz się za każdym razem starszy, dojrzały... i coraz bardziej tajemniczy...

Przypomniałem sobie niedawne przeżycia.

- To nie jest wina czasu, Blanco. To raczej sprawa nauk, które pobieram...

- Aż boję się o tym pomyśleć - szepnęła. - Nie chcę, żebyś stał się taki zimny jak twoi nauczyciele. Tak nieludzki. Może to dla ciebie niewiele znaczy, bo jestem tylko zwykłą dziewczką, ale kocham cię, Jakubie... Kiedy jestem z innymi, tęsknię do twego ciała, kiedy z nimi rozmawiam, marzę o twoim głosie. Możesz mną gardzić za to, kim jestem, ale uczucia mam takie same jak zwykłe kobiety...

Wzruszenie na chwilę odebrało mi głos. Nikt nigdy jeszcze nie rzekł mi, że mnie kocha. Może kiedyś matka, ale tego nie pamiętałem.

- Nie jesteś gorsza od innych kobiet, Blanco, możesz mi wierzyć. Podczas podróży z Eustachiuszem widywałem czcigodne mieszcзки i szlachcianki bardziej zasługujące na miano sprzedajnych dziewczek niżli dziewczyny z lupanaru. Ty, kiedy mówisz, że kochasz, wyznajesz to, co czujesz. One tak mówią, choć nienawidzą swoich mężów i kochanków. Są z nimi tylko dlatego, że chcą majątków, pieniędzy. A najczęściej nawet nie one same, ale ich rodziciele czy opiekunowie. Tak, kochana, prostytutka jest bardziej powszechna, niż się sądzi.

Milczałem patrząc na jej kształtne ciało. Nadeszła niechciana myśl.

- Bywa u ciebie uczeń katowski o imieniu Bartosz?

Skrzywiła wargi.

- Dlaczego pytasz akurat o niego?

- Kiedyś powiedział mi, żebym zostawił kogoś w spokoju. Nie znaliśmy się jeszcze, ale myślę, że chodziło o ciebie. Jakby domyślał się, że przychodząc do zamtuza, trafię na ciebie.

Teraz ona zamilkła. Nie popędzałem jej, czułem, że chce odpowiedzieć, tylko musi się w sobie zebrać.

- On wiedział - powiedziała w końcu. - On ma dar...

- Jaki dar?

- O tobie powiadają, że masz wielki talent, że możesz zostać wielkim mistrzem, może nawet w przyszłości zastąpić Rektora... Naprawdę tak mówią.

- Nie wiedziałem.

- Nie wiesz wielu rzeczy, które są znane nam, kobietom zamkniętym w tym przeklętym miejscu. A Bartosz... Mistrzowie cierpią jego obecność w Akademii tylko dlatego,

że ma dar jasnowidzenia. Widzi przyszłość. Sam nie może odejść, bo sam wiesz, że zaraz wpadłby w łapy inkwizytorów, a wasi nauczyciele zbyt sobie cenią przebłąski, które miewa, aby się go pozbyć. Ponoć rzadko się myli, szczególnie gdy może spróbować krwi tego, komu wróży. To zły człowiek, Jakubie. Bardzo zły. I bardzo o mnie zazdrosny. Uważa, że powinnam być jego własnością...

To byłem w stanie zrozumieć. I pojąłem wreszcie, skąd wzięła się jego nienawiść. Musiał wiedzieć, że Blanka mnie pokocha. A jego... nie wiem, czy lubiły go chociaż własne szczury.

Blanka dotknęła mojej twarzy.

- Powiedział, że przyniesiesz w końcu zgubę i mnie, i jemu, i Akademii, a nawet ludziom w Bieczu. Wiesz, o czym mówił?

- Nie wiem, Blanko. Być może to jeden z tych razów, kiedy dar go zawodzi. Mogę być katem, mogą o mnie mówić, że jestem mordercą. Jednakże nie mam zamiaru nikogo gubić. Że ludzi nie lubię, cóż w tym dziwnego? Od ludzi właśnie doznałem wielu krzywd. A jedynym, który mi okazał serce, był, o ironio, kat.

- Uważaj na Bartosza, mój miły. On ci źle życzy.

Korytarz był wąski i kręty. To, że nim tutaj przyszedłem, było równie dla mnie niepojęte, jak rozmowa, którą odbyłem przedtem.

- Jeśli chcesz ujrzeć prawdę o Akademii i o jej Mistrzach - rzekł Bartosz - zaufaj mi. Tylko ten jeden raz. Musisz to zobaczyć sam, bo jeśli tylko usłyszysz rzecz ode mnie, nie uwierzysz. Na ten czas chowam nienawiść do ciebie... Idź do końca. Znam wszystkie skrytki, wszystkie przejścia w Akademii. To ten przeklęty dar... - Wzniósł oczy w górę.

- Co dzień przeklinam Boga za to, że mi go udzielił...

Wzrok miał nieprzytomny, błędny, wyglądał na potwornie zmęczonego.

- Nie lękaj się! Jeśli chciałbym cię zgładzić, nie brakowało wcześniej okazji. Żyjesz, bo gdybym cię zabił, nie wykonałbyś tego, co ci przeznaczone. Idź! Ja zaczekam. Tam nie ma miejsca dla dwóch.

Ciekawość była silniejsza od obaw. A teraz patrzyłem przez szparę w ścianie na pracownię Mistrza Ambrozego. Tajemne przejście kończyło się ślepa ścianą. Przeświecał tylko wąski, podłużny otwór. Był tak umiejscowiony, że dawał z góry widok na całe pomieszczenie.

Ambroży krzątał się nad swoimi tyglami i retortami. Nieświadomie, w obawie, że zdradzi moją obecność, wstrzymałem oddech czekając, co będzie dalej. Nie trwało to długo. Skrzypnęły drzwi.

- Jesteś sam? - zapytał od progu dobrze znany głos.

- Tak, Mistrzu Rektorze.

- Przygotowałeś, co trzeba? Słabnę z każdym dniem... Czas już najwyższy. Dobrze, że nadano nam tego zbójcę... Inaczej stanęlibyśmy znowu przed okropnym wyborem, gdy nie szykuje się żadna kaźń...

- Jest wszystko, Mistrzu. Możesz się położyć. Na kominku stoi eliksir snu.

Zobaczyłem go, jak podchodzi do ławy z glinianym dzbankiem w dłoniach. Wychylił zawartość, ciężko legł na deskach. Po chwili jego pierś zaczęła się unosić w głębokim, rytmicznym oddechu.

Mistrz Ambroży zbliżył się. W dłoniach trzymał znaną mi zapieczętowaną butlę. Ostrożnie zerwał wosk, ujął głowę Rektora, po czym ostrożnie ją przelewał zawartość naczynia do ust śpiącego. Czy za chwilę nastąpi coś podobnego jak wtedy, kiedy sam Ambroży zażył miksturę?... Lecz nie. Mistrz Rektor leżał spokojnie, jedynie wokół jego ciała dała się zauważyć lekka poświata. A może to było tylko odbicie od buzującego na kominku ognia?

Chłonałem każdy szczegół z rozgrywającej się przede mną sceny. Znaczenie tego, co się tam odbywa, docierało do mnie niesłychanie powoli. Mistrz Rektor otworzył oczy. Gwałtownie usiadł na ławie.

- Ktoś nas śledzi - warknął. - W tajnym korytarzu nad twoją pracownią! Tam! Widziałem go, gdyś mi dawał ducha!

Jego palec oskarżycielsko powędrował prosto w stronę mojej kryjówki. Poczulem nagłą słabość w nogach, świat zawirował i osunąłem się w ciemność.

Ocknąłem się, a raczej zbudził mnie potworny ból płynący od stóp ku łądźwiom. Jęknąłem otwierając oczy. Nade mną stał Mistrz Ambroży.

- Jest już przytomny - powiedział do kogoś znajdującego się za nim.

Pojawiła się twarz Mistrza Rektora. Wyglądał ze dwadzieścia lat młodziej niż wtedy, kiedy widziałem go ostatni raz.

- Dobrze, możesz już uwolnić Jakuba. - Wskazał brodą w kierunku moich nóg.

- Przydałaby mu się nauczka - zaprotestował Ambroży.

- Uwolnij go! Chcę się z nim rozmówić w cztery oczy!

Mistrz Ambroży sięgnął do kołowrotu. Usłyszałem głuchy stuk. To drewniane prawidła, w których tkwiły moje nogi, opadły. Ból zelżał. Rektor czekał, aż zostaniemy sami.

- Usiądź, Jakubie - powiedział. - Wiem dobrze, kto wskazał ci sekretne przejście. Bartosz już odbiera zasłużoną karę. Gdyby nie jego dar, zapewne już dawno byśmy się go pozbyli. Jest jednak zbyt cenny. Cenny i krnąbrny. Nie chce się pogodzić z myślą, że jest skazany na pobyt w Akademii. Że nigdy stąd nie wyjdzie, nie zostanie najmniejszym nawet katem gdzieś w zapadłej wiosce.

Z wysiłkiem podniosłem się i opuściłem nogi na ziemię. Przez moment ból spowodował, że przed oczami ujrzałem ciemność, jednakże zaraz opanowałem słabość.

- Wiem, Mistrzu. Jego dar to jasnowidzenie. Dlaczego w takim razie nie używacie go do odkrywania tajemnic śledztwa, zamiast torturować i zadawać śmierć?

- Rzeczą kata, mój chłopcze, jest właśnie zadawanie bólu i śmierci. A tajemnicy jasnowidzenia Bartosza strzeżemy pilnie... Nie wiem, jak ty się tego dowiedziałeś.

- Chyba jednak nie pilnujecie sekretu dość pilnie, skoro ja dowiedziałem się o nim w zamtuzie!

- Tak - rzekł powoli, w zamyśleniu. - Zamtuz to zaiste interesujące miejsce... Wieści, plotki... czasem mam wrażenie, że w takim miejscu właśnie znajduje się środek świata...

- Do czego ci była potrzebna dusza tego zbrojcy, Mistrzu? - spytałem. - Skoro wiem już tyle, mogę chyba dowiedzieć się i tego?

- Właściwie masz rację, Jakubie. Za wcześnie, co prawda, na to wtajemniczenie, ale rzeczywiście zobaczyłeś zbyt dużo, by to pozostawić w zawieszeniu. Gdybyś był mniej zdolnym uczniem, od razu kazałbym cię zgładzić. Jednakże ciebie mi szkoda. Coraz mniej trafia nam się prawdziwych talentów. Nie to, żeby nie było chętnych, niemniej wiesz sam, iż ludzie myślą zawód kata z fachem rzeźnika. Zdaje im się, że wykonywać ten zawód to machać wielkim mieczem albo toporem. A co do duszy... To jest największa tajemnica naszej profesji...

Zawiesił głos i zamyślił się. Cierpliwie czekałem, co powie. Bolesne pulsowanie w stopach stawało się coraz słabsze. Chyba Ambroży nie połamał jednak żadnych kości...

- Kat, Jakubie - podjął Rektor - jeżeli chce zostać Mistrzem, i to nie zwykłym mistrzem małodobrym, ale prawdziwym członkiem Zgromadzenia, musi się pozbyć części duszy. Jest taki obrzęd... straszliwy, który nie każdemu kandydatowi jest dane przeżyć. W nim właśnie tracimy część duszy. To dlatego musimy uzupełnić ją cudzą. A taka obca

dusza nie wystarcza na zawsze, jak się pewnie domyślasz. Co jakiś czas każdy Mistrz musi przyjąć nowego cudzego ducha.

- Dlaczego? Żeby nie umrzeć?

- Żeby uniknąć losu znacznie gorszego od śmierci. Częstka duszy, którą tracimy, jest tą właśnie, która czyni z nas istoty ludzkie i dzięki której pozostajemy ludźmi... przynajmniej w pewnym sensie nimi pozostajemy. Jednakże w zamian możemy sobie przedłużać życie. Możemy żyć naprawdę bardzo długo. Kto wie, może kiedyś będziemy żyli wiecznie?

Wzdrygnąłem się. To było bardziej przerażające i odrażające niż dotyk gnijącej dłoni trędowatego.

- A gdy nadejdzie Dzień Sądu? - spytałem.

Rozłożył ręce.

- Jeśli nadejdzie, Jakubie... Po co się nad tym zastanawiać? Wiedz, że królewscy alchemicy szukają eliksiru młodości, wiecznego życia. Być może my to osiągnęliśmy. Ceną wszakże jest właśnie to, co musimy czynić. Musimy, chłopcze! Los Mistrza, który zaniedba uzupełnienia części swego ducha, jest straszliwy!

- Co się z nim dzieje?

- Tego lepiej nie wiedzieć. Mogę ci tylko rzec, że zmienia się nie do poznania. Staje się istotą zarówno groźną, jak nieszczęśliwą. Gdy zaczynam się czuć osłabiony, wiem, że pora udać się do Ambrożego. Wiem, że ta część, którą przemocą utrzymuję w sobie, odchodzi ode mnie... Towarzyszy temu takie uczucie pustki, że muszę... każdy, kto go doznał, musi... Dopiero gdy Ambroży wleje w usta eliksir, można żyć dalej spokojnie.

- A jeśli nie ma akurat złoczyńcy, z którego można wydobyć duszę? Czy wtedy wybieracie kogoś... - zawiesiłem głos - kogoś z nas? Uczniów?

Zmrużył oczy. Trafiłem.

- To też ci ktoś powiedział? - spytał groźnie.

- Tego, Mistrzu - odparłem śmiało - domyśliłem się sam!

- Tak - rzekł powoli. - Utwierdzasz mnie w mniemaniu, że dobrze uczyniłem nie pozwalając cię zgładzić. Szkoda by było... Zastanawiasz się zapewne, jaki będzie odtąd twój los?

Kiwnąłem głową, starając się ukryć zdenerwowanie.

- Będziesz żył jak do tej pory. Jakby nic się nie wydarzyło. Musisz jeszcze dojrzeć. Może nadejdzie dzień, w którym zechcesz przyłączyć się do Zgromadzenia. W każdym razie, jak już to onegdaj powiedziałem, kiedy zdecydujesz, u którego Mistrza chcesz pobierać nauki końcowe, zgłoś się do mnie.

- Jesteś jakiś inny - powiedziała Blanka patrząc mi prosto w oczy. - Jakbyś przeżył coś strasznego.

- To nic, kochana - odparłem. - To nic. Najważniejsze, że jestem z tobą. Kiedy tylko będę mógł, zabiorę cię z tego miejsca. Kiedy tylko będę mógł pójść na swoje.

- Nie chcesz zostać w Akademii? Mógłbyś tam być kimś ważnym.

- Chcę sobie ułożyć życie z tobą. Mieć dom, żyć przeklęty i nienawidzony przez ludzi, ale z tobą.

Odchyliła głowę śmiejąc się głośno.

- Tak, Jakubie. A ja prowadziłabym taki przybytek jak ten! I musiałabym chodzić do spowiedzi w Wielką Sobotę, jak to kurwom przystoi! Doglądałbyś miejskich lochów i miejskiego gniazda rozpusty... zaiste piękna przyszłość ściele się przed nami.

- Nie szydź, Blanko! Życie w pogardzie ludzkiej, poza zwykłym życiem jest lepsze niż...

- Niż co, kochany? Co jest gorsze?

- Nieważne, Blanko. Kiedy nadejdzie czas, przyjdę tu i zapytam cię. A ty zrobisz, co zechcesz.

Spoważniała.

- A ja odpowiem: tak... Ja też chcę być z tobą. Chcę ci rodzić dzieci. Choć nie wiem - dodała ciszej - czy po tym, co przeszłam tutaj, jeszcze będę mogła.

- To nieważne. Będziemy się starali być szczęśliwi. Powiedz, miła - wziąłem ją pod brodę - czy mam już spojrzenie kata?

Zastanawiała się chwilę.

- Nie wtedy, kiedy patrzysz na mnie. Ale gdy się zamyślasz patrząc w powalę... wtedy masz spojrzenie jak każdy małodobry. Boję się dnia, kiedy ono pozostanie takie samo, kiedy skierujesz wzrok na mnie.

- Nie lękaj się, Blanko. To nie nastąpi nigdy.

Ze snu wyrwał mnie dzwonek sygnatury. Musiało się stać coś bardzo ważnego, skoro w środku nocy wszyscy uczniowie zwoływani są do auli. Niechętnie zwlokłem się z posłania. Kłębowisko myśli. Przed oczami zakreśliły się twarze Ambrożego, Rektora, Bartosza... Mistrza Wojciecha, który ostatnio wprowadzał mnie w tajniki włoskiego krzesła... Blanki...

Tak dawno jej nie widziałem. Czy nie pomyślała, że postanowiłem jej poniechać? A może o tej porze kto inny korzysta z jej wdzięków. Zimne ukłucie koło serca. Kat nie ma prawa do uczuć... Lecz nikt nie jest w stanie zabronić uczuciom przystępu do kata. Wbrew regule, wbrew niemu samemu, wbrew wszystkiemu!

W wielkiej sali zgromadzili się już wszyscy. Byłem jednym z ostatnich. Staliśmy w rzędach, Mistrzowie w jednym, uczniowie w drugim, naprzeciwko siebie, oddaleni o przepisowe siedem kroków. Kaptury głęboko nasunięte, postawa lekko pochylona, wszystko według nakazów reguły. Szkoda tylko, że nie wszyscy stosują ją w życiu.

Na środek wyszedł Mistrz Rektor. Jak zawsze z odkrytą głową, szedł krokiem sprężystym, rzec by można, młodzieńczym. Dobrze mu zrobiła wizyta u Ambrożego. A gdzie ten się podziewa? Staralem się przebić wzrokiem mrok pod kapturami, jednakże na próżno. Z sylwetki zaś trudno poznać. Wszyscy wyglądają tak samo.

Rektor spojrzał po obu szeregach, wyjął z rękawa płaszcza zwitek pergaminu.

- Rada miasta Biecza - rzekł - pragnie złożyć podziękowania jednemu z uczniów Akademii. Komu, o tym za chwilę. Niezmiernie rzadko zdarza się, aby władze w jakikolwiek sposób wyrażały nam swoją wdzięczność, choć świadczymy im usługi, nie żądając zwyczajowych cen. Tym większa chwała dla tego, kto zdołał zaskarbić sobie i nam ich łaski. Posłuchajcie.

Znowu powiódł wzrokiem po zgromadzonych, rozwinął pismo i zaczął czytać:

- „*Wdzięczność winniśmy starszemu uczniowi Akademii Katowskiej w mieście Bieczu, którego odkrył i na jaw był wydobył sprzysiężenie pozbawienie życia księcia Dobrogosta, dobrodzieja stanu miejskiego, na celu mające. Ten katowski uczeń, mianem Bartosz, rodu nam nieznanego, sprawców wskazał, związek ów jasno nam do oczu wyjaśniając. Przeto wszystkich w sprawę zamieszanych, tako mężów, jako i niewiastę jedną, katom w oprowanie powierzamy, by na tym świecie sprawiedliwości doznali, nim ich Bóg w niebie na wieczne potępienie skaże. Zważywszy na to, iż żadne z obwinionych udziałowi swemu w sprawie rządnie nie zaprzeczyło, ni dowodów swej niewinności nie było zdolne przedstawić, przeto mężów na śmierć przez ścięcie, niewiastę zaś na szubienicę skazujemy. A mężów owych czterech jest, niewiasta zaś jako już napisano, jedna.*

Ten zaś, rzeczony Bartosz, którego imię swej uczelni uczynkiem swoim wślawił, niech w zdrowiu i pomyślności nauk swych dokończy, a gdy to się stanie, na kata głównego miasta Biecza powołań będzie. Akademii zaś z własnej szkatuły księżę Dobrogost tysiąc sztuk złota wypłaci.”

Rektor zakończył czytanie, rozejrzał się.

- Bartosz wielce nam się przysłużył. Jego zdolności pozwoliły nie tylko na wykrycie spisku, ale także umocniły pozycję naszej uczelni i całego Zgromadzenia. W uznaniu zasługi podniesiony zostanie do stopnia akolity.

Przysiągłbym, że słyszę zgrzytnięcie zębów Bartosza. Nic dziwnego. To oznaczało, że prawdopodobnie nie zdoła wyjść poza mury Akademii dalej niż na rogatki miasta, a i to w towarzystwie opiekującego się nim Mistrza. Akolita... Zamkną go w którymś z lochów, gdzie do końca swoich dni będzie się szkolił w jednej, jedynej sztuce, by potem przyuczać do niej następnych. Tymczasem Mistrz Rektor ciągnął dalej:

- Każn odbędzie się jutrzejszego ranka. Do szafotu pójda uczniowie Zbigniew, Jan, Borcho i Jakub, pod opieką Mistrza Wojciecha, zaś przy szubienicy stanie Bartosz, a nadzór nad nim sprawować będzie Mistrz Gwido.

Znowu miałem wrażenie, że słyszę zgrzyt zębów. To despekt wyznaczyć zasłużonego ucznia do sznura zamiast do miecza. Tym bardziej musiało boleć, że to mnie w udziale przypadło ścinanie.

- Na ten czas - kończył Rektor - ogłaszam zakaz oddalania się poza mury Akademii pod karą gardła.

Tłum na rynku falował, napierając na miejskich strażników, którzy ze swych długich pik uczynili szczelną barierę. Szafot, wyłożony jaskrawoczerwoną materią, wyglądał w ten słoneczny dzień jak ogromna plama krwi. Obok, pod szubienicą rozłożono sukno ciemniejsze w tonie, prawie wpadające w purpurę.

- To ma być wielkie widowisko - powiedział do nas Mistrz Rektor, zanim wyszliśmy za furte klauzury. - Ucieszcie gapiów swoją sztuką.

Po raz kolejny obejrzałem miecz. Szeroki, równy na całej długości brzeszczot raził w oczy, gdy padł nań promień słońca. Cały wczorajszy dzień spędziłem na czyszczeniu go i doprowadzaniu do niezwyklej ostrości. Nie może dzisiaj zawieść.

- Rektor cię wyznaczył - szturchnął mnie w bok Borcho. Korzystał z tego, że zakaz rozmowy nie mógł być dziś przestrzegany. - Szczeniak taki jeszcze z ciebie, a już do miecza... No, no... - Kręcił głową. - A to sztuka ściąć głowę. To nie takie sobie podcięcie pachwin. Trafisz prosto w krąg miast pomiędzy i wstyd gotów. Ciekaw jestem, czy się nie zbłąznisz.

Chciałem mu odrzec, żeby się nie obawiał. Przy Eustachiuszu miałem okazję wyuczyć się robienia katowskim mieczem. Prawda, że nie ścinałem publicznie człowieka, ale

potrafiłem pozbawić głowy spore ciało. Eustachiusz zaś potrafił jednym cięciem rozplatać człowieka od czubka głowy po krocze. Zmilkiałem jednak. Lepiej słuchać, niż mówić.

Borcho czekał aż coś odpowiem, a potem machnął ręką.

- A stój jak kolek - rzekł niecierpliwie - skoro nie stać cię na żaden koncept.

Tłum nagle zafalował mocniej.

- Jada - wionęło z bocznych ulic ku środkowi rynku - jada skazańcy!

Wieźli ich uroczyście, każde na osobnym wozie. Wszyscy mieli worki na głowach, a ręce związane z tyłu i przymocowane postronkami do poprzecznych belek.

Podniósł się krzyk. Patrzyłem z wysokości szafotu na wykrzywione grymasem nienawiści twarze. Człowiek to dziwna istota. Im więcej ludzi gromadzi się w jednym miejscu, tym stają się głupszy. No bo za co nienawidzili tych skazanych? Przecież tak naprawdę nie zrobili im nic złego. Nawet nie zamierzali. Ten, którego chcieli skrzywdzić, książę, nie raczył się pojawić. Lecz motłoch postanowił nienawidzić skazanych bardziej niż sam Dobrogost. „Kiedy zaczniesz gardzić ludźmi przychodzącymi na kaźń” - mawiał Eustachiusz - „to znak że stajesz się prawdziwym katem. Nie ma bardziej żalosego i godnego politowania widoku niż człowiek śliniący się na myśl, że obejrzy cudze cierpienie i śmierć.”

- Do mieczy i na miejsca - rozkazał swoim wysokim głosem Mistrz Wojciech.

Nie mogłem oderwać wzroku od wozu, na którym jechała kobieta. Nie wiem, skąd nadeszła niechciana myśl, że pod workiem na głowie mogłoby się kryć oblicze Blanki, i aż mną wstrząsnęło. Zerknąłem na pętlę. Ciekawe, czy nasmarowali ją dobrze, tak by śmierć przyszła szybko, czy jest szorstka i będzie się zaciskać niechętnie, powoli. Pewnie to drugie, gdyż widowisko miało być godne zamierzonej zbrodni.

- Ciekawe, dlaczego nie skazano ich na łamanie kołem, rwanie szczypcami czy coś podobnego - mruknął Borcho.

- Sędziowie chcieli, ale książę Dobrogost się sprzeciwił, skoro już musisz wiedzieć - odparł Mistrz Wojciech. - To wielce litościwy pan. Nie powinno cię to jednak ciekawić. Kat ma robotę do wykonania i robi to, czego od niego żądają, bez zbędnych pytań. A ty jesteś nazbyt gadatliwy, uczniu. Dość o tym. Teraz skupcie się na robocie. Będziecie ścinać w takiej kolejności, jaką ustaliłem. Wpierw Borcho, potem Jan, Zbigniew i na końcu Jakub. Będę stał przy każdym z was, by natychmiast poprawić, jeżeli coś się nie powiedzie. Rozpoczynacie kaźń, kiedy tylko worek zostanie zdjęty z głowy.

Tymczasem pachołkowie miejscy przywiązywali skazańców do krzeseł.

- Nie tak! - odpędził ich Wojciech. - Zostawić to mnie!

Zniknęli natychmiast, uchodząc w strachu, że zostaną dotknięci przez kata, albo że któryś z nas nastąpi na ich cień. Mistrz sam podociągał sznury i rzemienie. Jak na ludzi, którym przyjdzie za chwilę pożegnać się z życiem, spiskowcy byli dziwnie spokojni.

- Dusze ich niech osądzi Bóg w niebiesiech - zawołał stojący pod szafotem wójt - a ciała wydane zostaną katom!

W tej chwili jeden ze złoczyńców zaczął się szarpać i jęczeć. Chciał zapewne krzyczeć, ale nie mógł wydobyć głosu. Czy przerażenie może sprawić, że człowiek zapomni własnej mowy?

- Mistrzowie małodobrzy, czyńcie swą powinność!

Spadł pierwszy worek. Teraz zrozumiałem, dlaczego skazaniec nie może mówić. W ustach tkwiła drewniana kula knebla. Poznałem odźwiernego z lupanaru. Zapewne zdawał sobie sprawę, co może stać się z jego ciałem w naszych rękach. Ludzie myślą, że po śmierci los ich powłoki cielesnej ma jakieś znaczenie. A może mają rację...? Może on wiedział coś o wydrążonych kulach, w które Mistrzowie łapią dusze?

Świsnął miecz. Borcho okazał się lepszym katem, niż wyglądał. Struga krwi strzeliła wysoko w powietrze, głowa spadła do kosza.

- Bardzo dobrze - mruknął z uznaniem Mistrz Wojciech.

Gdy opadł drugi worek, zobaczyłem tłustą twarz człowieka, który w zamtuzie obsługiwał łaźnię. Trzecim był posługacz kuchenny... Zastanawiałem się, kogo mnie przypadnie w udziale pozbawić głowy. Może kucharza? Czy w istocie rzeczy spisek przeciwko księciu uknuli ludzie z przybytku rozkoszy? Ciekawość stłumiła we mnie obawę, że mogę sobie nie poradzić przy cięciu, że jednak trafię nieszczęśliwie...

Twaz ostatniego skazańca okazała się mi obca. Szczupły młodzieniec o bladej cerze i podkrążonych oczach. Patrzył na mnie, kiedy ważyłem w ręku miecz. Czy to on był przywódcą sprzysiężenia?

- Tnij! - syknął Mistrz Wojciech. - Na co czekasz?

Ująłem mocno rękojeść, tak jak mnie uczono. Prawa dłoń jak najbliżej jeliców, lewa na niewielkiej główicy. Katowski miecz ma ciężką klingę. Nie ma służyć do walki, a tylko do zadania jednego, pewnego cięcia... Uniosłem go, spojrzałem pod słońce. Pojedynczy promień wtargnął w wycięcia na oczy Mistrza. Widziałem, że lekko zmrużył powieki, potrząsnął niecierpliwie głową. Zawinałem bronią, słysząc wyraźnie świst przecinanego powietrza. Celowałem między piąty a szósty krąg. Wtedy głowa najefektowniej odskakuje od tułowia. Kimkolwiek był ów młodzian, teraz nie miało to żadnego znaczenia - najważniejsza była moja sztuka. Gdy tylko główica zbliżyła się do karku, wyrównałem jej lot, tak by szła płasko,

i postąpiłem pół kroku do przodu. Prawie nie poczułem oporu. Ciągnąłem miecz jeszcze pół obrotu, słysząc tylko westchnienie tłumu.

- Bardzo ładnie - to Mistrz Wojciech.

Dopiero teraz spojrzałem na swoje dzieło. Ciało spoczywało na krześle, ręce wciąż jeszcze kurczowo zaciskały się na poręczach, głowa zniknęła. Zapewne wylądowała już w koszu. Struga krwi opadła na czerwony kobierzec mieszając się z posoką pozostałych skazańców.

- Teraz będą wieszać kobietę - oznajmił Mistrz Wojciech. - A zaraz po zakończeniu kaźni zabieramy ciała i wracamy do Akademii. Nie ważcie się wyjmować któremukolwiek knebla!

- Ciekawe, czy jej też wsadzili w usta kulę - rzekł Zbigniew. - Po co w ogóle wkładać je skazańcom? Niechby krzyczeli.

Gdybyś to wiedział - pomyślałem - nie mógłbyś spokojnie zasnąć. Ja bardziej jestem ciekaw, czy przy ścięciu duch też uwalnia się z człowieka ustami... Chyba tak, bo po cóż by zatykać usta tych, których bezgłowe ciała uwalniano właśnie z krzesel? Zapewne wszystkich napojono przed kaźnią wywarem Mistrza Ambrożego.

- Cicho - syknął Mistrz. - Nie gadać!

Na podwyższeniu, na którym z belki zwisał sznur, stał Bartosz. Choć dzieliło nas kilkanaście kroków, wyraźnie widziałem w otworach kaptura jego gorejące oczy. Przysiągłbym, że co chwila oblizuje wargi. Pewnie to racja, że Bartosz zbyt lubi zadawać śmierć i cierpienie, by zostać dobrym katem. Poza tym ma zbyt gwałtowną naturę. Niewiasta stała obok niego na solidnym zydłu, skulona, lecz zdawało się, spokojna i pogodzona z losem. Bartosz założył pętlę. Wyciągnęła szyję, jakby chciała mu ułatwić zadanie, jakby zaczęła się nagle śpieszyć do śmierci... Ciekawe, jakie oblicze ma ta kobieta, tak godnie przyjmująca wyrok. Czy Bartosz odsłoni je przed czy po wyrwaniu spod jej nóg zydła? Chyba jednak po, bo zaczął wydobywać fałdy worka na wierzch powroza, żeby nie przeszkadzały pętli zaciskać się. Może takie było jej ostatnie życzenie? Nie chciała spojrzeć oprawcy i gapiom w oczy?

Mistrz Gwido zbliżył się, spojrzał, czy wszystko jest w porządku, skinął dłonią.

Prędko i ciało bezwładnie opadło na sznurze. Kołysało się, nogi kopały powietrze, a skrepowane z tyłu dłonie skręcały się konwulsyjnie usiłując zrzucić więzy. Wtedy Bartosz spojrzał prosto na mnie. Wiedział doskonale, gdzie mnie szukać, bo przedtem słyszał, w jakiej kolejności będziemy dokonywać kaźni. Zerwał z głowy niewiasty worek. Gasnące oczy, zakneblowane usta, twarz pociemniała, prawie granatowa... Twarz... Twarz!

Twarz!!! W tłumie rozległy się krzyki. Okrzyki zadowolenia... Nawet głos przypominający jęk rozkoszy.

Poczułem mdłości, ziemia usunęła się spod nóg, a przed oczami ujrzałem nagle błękit nieba, który zaczął szybko ciemnieć, zamieniając się w czarną otchłań. Straciłem świadomość, zupełnie jak wtedy, kiedy Mistrz Rektor odkrył mnie w tajnym korytarzu. Tyle, że ciemność tym razem niosła ze sobą miękki dotyk śmierci.

- Jestem zdecydowany, Mistrzu!

Rektor kręcił głową.

- Zastanów się jeszcze Jakubie. To decyzja ostateczna. Jeżeli dojdiesz do wniosku, że jednak nie obrałeś właściwej drogi, nie będzie już z niej odwrotu. Od każdego innego Mistrza możesz odejść. Tu nie ma o tym mowy!

- Wiem to doskonale! I jestem pewien swojej decyzji. Nie chcę iść między ludzi. Nienawidzę ludzi! Nienawidzę też was, Mistrzowie! Za to, co mi uczyniliście...

- Bartosz został ukarany za swój występki! Czego chcesz jeszcze?

- Czy to zwróci życie Blance?

Długo mierzył mnie badawczym spojrzeniem.

- Tak ją kochałeś? Kat nie powinien...

- Nie mów mi, Mistrzu, co kat powinien, a czego nie! Wejdz w moją skórę, przeżyj moją rozpacz, wtedy możemy o tym rozmawiać!

Rektor patrzył na mnie z zamyślonym wyrazem twarzy.

- Upłynęło już trochę czasu. Miałem nadzieję, że się z tego otrząsniesz.

- Otrząsnę?

Znowu przed oczami miałem gasnące spojrzenie Blanki, słyszałem triumfujący śmiech Bartosza. Doprowadził ją na szubienicę, żeby nie przypadła w udziale mnie. Zaprowadził na szafot także ludzi z lupanaru i przypadkowego człowieka, o którego również był zazdrosny...

- Ja, Mistrzu, nienawidzę całego świata. Mojego obrzydzenia nie budzą bodaj tylko szczury. Zabraliście jej duszę! Gdyby chociaż tyle okazać litości...

- Wiesz dobrze, że Bartosz doskonale spreparował dowody. Wszystko świadczyło przeciwko tym ludziom!

- I wszyscy dali wiarę jego słowom, nawet przez chwilę nie zastanawiając się nad sensem spisku na życie księcia, organizowanym w tak dziwnym miejscu jak miejski bajzel przez tak zainteresowane śmiercią księcia osoby jak choćby tamtejszy łaźiebny!

- Czego ty ode mnie chcesz, Jakubie? Nie potrafię cofnąć czasu. A gdybym nawet mógł, to uważam, że dla ciebie lepiej się stało. Spróbuj spojrzeć na jej śmierć jak na swoje wyzwolenie. Katu nie wolno kochać! Jeśli nawet człowiek naszego fachu bierze sobie żonę, nie powinien jej darzyć nadmiernym uczuciem. Pamiętaj, że każdego dnia możesz ujrzeć na szafocie kogoś, kogo dobrze znasz...

- Mogliście zostawić w spokoju przynajmniej jej duszę!

- Byłeś nieprzytomny, chłopcze. Skąd miałem wiedzieć? Gdybym tylko...

Zmrużyłem powieki. Przed oczami zatańczyły mi czerwone plamki. Miałem nadzieję, że moja wściekłość i nienawiść są dla niego tak jasne, że wręcz namacalne.

- Gdybym mógł, opuściłbym Akademię bez wahania! Gdybyście nie uczynili ze mną tego... tego, co czynicie sobie! Nikt nie zapytał, czy chcę!

- Chłopcze - powiedział bardzo cicho. - Postradałeś wtedy zmysły. Nie wiedzieliśmy, co jest przyczyną. Gdyby nie ten właśnie obrzęd wtajemniczenia, dziś zapewne byś już nie żył. Musiałem...

- Musiałeś?! Wolałbym skonać! Musiałeś też dać mi właśnie jej duszę? Musiałeś?! Wolałbym... nieważne. Wiesz, że przez cały czas ze mną rozmawia? Wiesz, co szepcze do mnie, kiedy tylko zostanę na chwilę sam? Nim zapomni, kim jest, zanim rozpuści się w szlamie, który we mnie wlałeś, bez przerwy słyszę, jak wyznaje mi miłość!

Najwyraźniej nie wiedział, co powiedzieć.

- Chcę pójść do Mistrza Czarnej Śmierci - powiedziałem stanowczo. - Nie chcę więcej nikogo oglądać. Ani was, ani ludzi na zewnątrz. Tak naprawdę każdy z nich jest katem! Najgorszym, bo uważa się za lepszego niżli ten, któremu zleca zadanie śmierci!

- Czy to twoja ostateczna decyzja, Jakubie?

- Ostateczna, Mistrzu!

- No cóż - rozłożył ręce. - Może taki właśnie los był tobie pisany. Jak chcesz.

Ból był niesamowity. Przeklinałem samego siebie za tę chwilę, kiedy zgodziłem się, by go doznać. To było tak straszne, że w owych chwilach nie słyszałem nawet szeptania Blanki gdzieś w mrocznym zakątku głowy. Krew zamieniła się w płynny ołów i wyciekała

wszystkimi porami ciała. Mięśnie spazmatycznie kurczyły się, przysparzając dodatkowych cierpień.

- Musisz zostać wypalony - mówił Mistrz Czarnej Śmierci. - Kiedy wewnątrz zostanie tylko popiół, wtedy będziesz gotów. Gdy krew przybierze kolor sadzy, to będzie znak, że zapanowałeś nad Czarną Śmiercią.

Delikatny dźwięk fletu wdzierał się powoli do mojej świadomości. Ból odchodził, ustępował bezwładowi niesionemu na falach tęsknej melodii. Łomot w skroniach cichł i znowu zaczynałem słyszeć Blankę.

Otworzyłem oczy.

- Miałeś ten straszny sen? - Mistrz Czarnej Śmierci odjął instrument od ust. - Rzucałeś się i jęczałeś, aż mnie to zbudziło. Nic tak nie uspokaja jak dźwięk fletu, więc zacząłem grać.

Zasłuchane dotąd w muzykę szczury zaczęły piszczeć i biegać po kłatkach.

- Tak, Mistrzu, to ten sen...

- I mnie do dziś nawiedza po nocach wspomnienie, gdy Mistrz Akademii w Bremie czynił me ciało odpornym na chorobę... Nie cierpię tego.

- A dla mnie, Mistrzu, to mimo wszystko ulga. Tylko wtedy nie słyszę jej głosu...

Pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Nie wiedziałem, że to możliwe. Że uwięziona w kacie dusza może mu cokolwiek powiedzieć.

- A czy zdarzyło się kiedy, by katu wszczepiono duszę osoby, którą kochał?

- Może to właśnie jedna z przyczyn, dla której katu nie wolno kochać. Musisz poczekać, aż ona odejdzie. Wtedy dostaniesz nową cząstkę ducha.

- Ona nie odejdzie, Mistrzu. Teraz jestem już tego pewien. Myślę, że kaci tracą przyswojone dusze, bo one chcą się wyrwać, pragną jak najszybciej opuścić swego ciemniźciela. Blanka zaś chce zostać ze mną.

- Przestań, chłopcze - wstrząsnął się. - Bo aż ciarki przechodzą... Weź lepiej flet. Potrafisz tak pięknie grać. Wiem, że przeżyłeś nieszczęście, jednakże dzięki temu zyskałem w tobie ucznia, myślę, że najlepszego o jakim mogłem marzyć.

Uczyn to - szeptała Blanka - zrób to, by się mogło dopełnić przeznaczenie.

Nie teraz, miła. Jeszcze nie. Muszę się jeszcze wiele nauczyć.

Przyłożyłem flet do ust. Kiedyś grywałem na pasterskiej fujarce, bardzo to lubiłem, dotąd jednak nie zdawałem sobie sprawy, jaką rozkoszą jest dostać do rąk instrument wykonany ręką wielkiego artysty, jakie cudowne można wydobyć zeń dźwięki, i jak głęboko zapadają one w serce. Szczury zastygły, przysunęły pyszczki do prętów klatek. Nawet te

ciężko chore, umierające, nieporadnie grzebały łapkami, by znaleźć się jak najbliżej źródła muzyki, choćby to mogło przybliżyć je tylko o włos, a wysiłek miał się okazać śmiertelny.

- To jest właśnie sekret tego miejsca - rzekł Mistrz Czarnej Śmierci, gdy wyraziłem zdumienie, iż każe mi się nauczyć gry na flecie. - Gdyby nadszedł czas i zdarzyła się taka potrzeba, właśnie dźwiękami fletu wywiedziemy chore zwierzęta na ulice. Wtedy zarażone i zdrowe przemierzają się w upojnym tańcu, a gdy dźwięki muzyki ucichną, rozbiegną się roznosząc zarazę we wszystkie zaułki miasta.

Zrób to jak najszybciej, kochany, opuśćmy już zaduch tego miejsca. Wyjrzyjmy na słońce, zobaczmy jak śmierć brata się z życiem... Chcę słyszeć muzykę konania... Chcę zobaczyć...

Nie teraz, Blanko. Gdy tylko przyjdzie czas.

- Pamiętasz, mówiłem ci o wydarzeniach w Antwerpii. To stamtąd, Jakubie - tłumaczył Mistrz - wśród gminu zaczęły się bajędy o zaczarowanym flecie. Ale zwykli ludzie nie łączą jej z Czarną Śmiercią. Pewnie dlatego, że wtedy zaraza rozszerzyła się na wiele krajów, trudno było wszystkim wiedzieć, od czego się zaczęła. Zaczarowany flet - roześmiał się. - Zwykły kawałek drewna...

Grałem, zasłuchany w jedwabiste dźwięki. Szczury wlepiły we mnie gorejące ślepia. Widziałem, jak niektóre przestępują z nogi na nogę, zaczynają się nerwowo kręcić.

- Dość, Jakubie! - zawołał Mistrz.

Graj, ukochany - szepnęła Blanka - *niech tańczą, niech mają tę odrobinę radości.*

- Dość! - powtórzył Mistrz. - Nie można ich codziennie przemęczać! Nie dalej jak wczoraj tańczyły do upadłego!

Graj, Jakubie, graj, wionął prosto w uszy wonny szept. Niechętnie odłożyłem flet.

- Chodźmy już spać, chłopcze.

Spojrzał na rząd pustych klatek na najwyższym poziomie.

- Jutro Mistrz Ludwik dostarczy nowe zwierzęta. Wtedy zagrasz najpiękniej, jak potrafisz.

Kiedy to wreszcie zrobisz, kochany? Kiedy spełnisz moje marzenie? Duszę się w tym ciemnym lochu...

Od czasu, gdy tu zamieszkaliśmy, cierpiała o wiele bardziej niż wtedy, gdy zbudziłem się ze świadomością, że jest gdzieś w środku we mnie. Wtedy była tylko przerażona, teraz dusiła się wśród ciemnych ścian. Nie wiedziałem, że przez całe życie bała się przebywać zamkniętych w pomieszczeniach. Teraz ukłucia jej lęku sprawiały, że po plecach chodziły mi dreszcze. Zaciśnąłem mocno powieki starając się zasnąć mimo jej natarczywego szeptu.

Obiecuję, kochana, że nie będziesz musiała spędzić reszty namiastki życia w ponurym lochu. Wiesz przecież, jak nienawidzę ludzi... wszystkich!

Myślałem, że to tylko formuła przy obrzędach Czarnej Śmierci, tylko słowa. Jednak krew Mistrza była naprawdę czarna jak smoła. Nie buroczerwona nawet, jak się zdarza w żyłach chorych ludzi, ale czarna właśnie. Czy ja też miałem w sobie takiej barwy posokę? Nie zastanawiałem się nad tym, dokąd nie ujrzałem, jak płynna sadza chlusta z piersi Mistrza.

- Dlaczego? - wyszeptał, patrząc na mnie oczami, w których powoli gasło życie.

- Muszę stąd wyjść. Ona tego żąda. - Wskazałem na głowę. Nie wiem, czemu uznałem, że dusza Blanki jest właśnie tam.

Pewnie przez ten szept prosto w ucho.

- Sprowadzisz zarazę na ludzi... Sam jesteś teraz jej źródłem.

Roześmiałem się.

- Ja nie tylko sam wyjdę, Mistrzu. Ja wyprowadzę nasze szczury!

- Jeśli to zrobisz bez powodu, na Akademii spadnie zemsta... przestanie istnieć - Nagle zmętniałe źrenice błysnęły zrozumieniem. - Ty tego chcesz, prawda, Jakubie? Chciałeś tego przychodząc do mnie na naukę... Wiedziałeś, że to zrobisz... Stworzyliśmy potwora...

- Jeśli ja jestem potworem, to czym jesteście wy, Mistrzowie?! Wy i ci wszyscy ludzie, którzy wyręczają się wami w mordowaniu! Zasługujecie wszyscy tylko na jedno! By wypełniło się to, co widział w swoich wizjach Bartosz!

Przez chwilę słuchałem tego, co do mnie mówiła Blanka.

- Nie, kochana - powiedziałem głośno. - Nie osiadzimy w głuszy, z dala od ludzi. Będę chodził od miasta do miasta grając na flecie. Będę zwoływał moich szczurzych przyjaciół, by tańczyli na rynku ku uciesze gawiedzi, a potem wlekli w lśniących futrach śmierć we wszystkie zakamarki ludzkich siedzib!

Z kamieniem w piersi czekałem, aż Mistrz skona. Patrzył błagalnie. Przez moment go żałowałem. Kto wie, może był on najbardziej prawym ze wszystkich Mistrzów? Chyba przypominał mi Eustachiusza. Gasł niechętnie, powoli. Już piętno śmierci odcisnęło się na jego rysach, a płomyk życia jeszcze pełgał w szeroko rozwartych źrenicach. Odwróciłem się, spojrzałem na rzędy klatek.

Dokąd pójdziemy, najmilszy? Gdzie skierujesz swe kroki, gdy opuścimy Biecz?

- Do Krakowa, Blanko. A potem być może ku Pradze... Będziemy wędrować, gdzie oczy poniosą. Byle jak najdalej stąd. Będziemy patrzeć, jak śmierć tańczy z życiem przy dźwiękach fletu. Myślę, że pokochasz, tak jak i ja, jej aksamitny dotyk.

Dlaczego rycerz nie przeląkł się smoka

Choć człkiem niskiego rodu zrodziła mnie macierz, a ojca swego zgoła nie znałem, nie poskąpił mi Bóg łask swoich, bym ku światowemu życiu miał możliwość się wznieść. Nauk w klasztorze braci cystersów nie szczędzono ani mej duszy, ani grzesznemu ciału, więcem po kolejnym wybatożeniu porzucił onych świątobliwych mężów, chcąc do jakiego możnego pana w służbę pójść, życia prawdziwego zaznać.

Takiego właśnie, pełnego wzniosłych myśli i wlokącego się gościńcem naszedł mnie rycerz Strzygniew Strzegonia, pan pleców szerokich i pięści ogromnej, umysłu zaś na tyle żywego, na ile ku rozpoznaniu herbów czy to wrogów, czy przyjaciół, koniecznym było.

Ów pan, gdy zoczył mnie, w sakwie podróźnej księgę wielkiej uczoneści właśnie przewoził. Sam jednakowoż nie był w stanie rzędnie treści jej poznać, jako że umiejętność czytania obcą mu, jako i każdemu uczciwemu rycerzowi, była. Toteż na widok mej szaty pątniczej, bo w łachman prawdziwy zdążył się habit mój przemienić, zakrzyknął radośnie.

- Otoś spadł mi z nieba, klecho zatracony!

Gdym mu wyjawiał, zem nie wyświęcony jeszcze, strapił się niepomału, jednakowoż zadał bystre pytanie czy zdołem jestem znaczki kreślone na pergaminach w słowa poskładać, a po mej odpowiedzi oblicze znowu mu się rozjaśniło.

- To i lepiej, żeś nie kapłanem - rzekł z promiennym uśmiechem - bo od dziś na służbę do siebie cię biorę. Zasię święconego człeka nijak by było w przyplýwie złości przez plecy batogiem przeciągnąć lubo w pysk, jak Bóg przykazał, strzelić.

Na pierwszym zaś postoju księgę z juków dobywszy czytać mi ją, a wyjaśniać nakazał. Jako już rzekłem, wielkiej mądrości był to wolumin. Traktat o naturze smoków przez niejakiego Marcusa Sanctusa Huberathusa napisany. Ów mędrzec w słowach pełnych uczoneści między bajki a gminne opowieści gadki o potędze owych potworów kazał włożyć. Nie jest bowiem smok latający tworem ogromnym jako chcą ciemne umysły, jako taki bowiem w powietrze unieść by się nie mógł. Zaś jeśli wielki by był istotnie, nieruchawością za rozmiar swój zapłacić musi, a o jakim lataniu wówczas mowy być nie może. Ledwie to swemu panu wyluszczyć nadażył, zakrzyknął on wielkim głosem:

- Takoż i miód na me serce lejesz! Gdy poczwara wagi zbrojnego męża przekroczyć nie może, a jeszcze lepiej jeśli nieruchawa jest, pośledniejszy nawet ode mnie rycerz zdolny jest ją
położyć
trupem!

Po czym, w łeb mnie z radości mimochodem palnąwszy, dalej czytać nakazał. Rzekłszy

prawdę, ciężką miał rękę Strzygniew Strzegonia. Gdym do przytomności powrócił, lodowatą wodą w twarz sownie oblały, dalej uczoną księgę studiować począłem.

Marcus Sanctus Huberathus wywodził także o ogniu, przerażającym orężu potwora. I tu, jako wyszło, obawiać się go trzeba nie tak bardzo, jak o tym legendy stanowią. Wystarczy przestrzegać wskazówek mędrca, a to zbroję grzeczną u płatnerza stalować od gorącości chroniącą, a to podchodzić smoka nie pod wiatr, ale z wiatrem, bo jego podmuch nędzny i tak ogień jeszcze pomniejsza, zgoła na powrót w paszczę płomienie bestii wpychając. Ogień ów zresztą krótkotrwały ma być i jeno na kilka jego porcji odpowiednich substancyj posiada w sobie smoczysko. Co do zbroi, mędrzec opisał ją dokładnie, szkicując na dodatek odpowiednie ryciny.

Po tych słowach znów zakrzyknął radośnie rycerz Strzegonia, jednak tym razem z ręcznicą się nadążyłem przed ciosem uchylić, co go rozgniewało niepomału, tak że mi niespodziewanie z drugiej ręki cios plaskaczem zwany zadał, po którym przez tydzień cała gęba puchła mi tak, że mu księgi czytać przez ten czas nie mogłem.

Nie tracił jednak czasu cny Strzygniew. Ledwie dotarliśmy do miasta Krakowa, ruszył ku warsztatom płatnerskim najlepszego rzemieślnika wyszukać. A trza tu dopowiedzieć, iż piękny ów gród smok straszliwy prześladować jął od pewnego czasu. Długa miała być bestia na trzysta łokci, fruująca i straszliwym ogniem dalej niż na trzy własne długości ziejąca. Obsmiał się Strzygniew Strzegonia z ludzkiej łatwowności, a i ja krzywo się uśmiechnąłem, na ile mi boląca gęba pozwalała. Dopiekło pono smoczysko okolicznym mieszkańcom, zaś palatyn książęcy za pokonanie poczwary nagrodę sowitą ofiarował - córę swą wraz z bogatym wianem. Oczy zaświeciły rycerzowi memu na taką gratkę.

- Panna piękna, jak słyhać - rzekł - i prócz rozkoszy cielesnej klejnotów a ziem małżonkowi przysporzy.

Gdym zaś chciał mu przytaknąć, za ramię mnie ścisnął.

- Ty zasię nic teraz nie gadaj, Jakubie, byś jak najprędzej ozdrowiał i księgę do końca mi objaśnił. Zęby naderszone szanuj, bo jeśli, nie daj Bóg, wylecą, szeplenić jeszcze zaczniesz, a chcę wszystko jak należy z uczonego traktatu wyrozumieć, nie zaś głupawy bełkot usłyszeć.

Żelazny miał uścisk mój pan. Obojczyk zachrupał jeno żałośnie jęk z mych ust dobywając. Poszedłem zatem milczący i przygarbiony za czcigodnym Strzygniewem do najprzedniejszego w mieście płatnerza. Tam pan mój wedle iluminacji w księdze huberathowej zbroję zamówił, szczerym złotem obiecując zapłacić, gdy jeno córkę dostojnika za żonę dostanie. Krzywił się rzemieślnik i gwarancyj a zastawów żądał, więc mu rycerz w poczet długu moją osobę powierzył, co poniekąd ukontentowało mistrza, choć rzucił kwaśne słowo, a to o mych plecach wątłych, a to o nogach pałakowatych. Poszliśmy potem na zamek, gdzie palatyn niezwłocznie nas przyjął, swą córę mając u boku. Piękna była, jak o niej powiadano. I opowiedziano nam o latającej bestii. I

podpisał dostojnik cyrografy stosowne. I postawił trzy krzyżyki na każdym Strzygniew Strzegonia. Zaś w przedsiönku, z radosnej swawoli, rycerz mój szewca pewnego poturbował i ze schodów zrzucił, bo z wypchanym cuchnącą substancją baranem ośmielił się przyleźć i przed pańskie oczy pchać się w swej prostackiej czelności.

Miesiąc prawie zbroję płatnerz gotował, całą inną robotę zupełnie na ten czas porzuciwszy, ja zaś do czytania i tłumaczenia księgi powrócić mogłem. Wówczas przeczytałem, iż smoki umiejtność straszliwą posiadały, a to czytanie w myślach człeka i możność myśli owych kształtowania. Tu jednakowoż mój pan wzruszył jeno ramionami.

- A niechże u mnie co wyczytać popróbuję, gdy taki gardzina - rzekł. - Szczycę się ja bowiem tym, że wpieryw zwykłem czynić, potem zasię dopiero w umyśle cokolwiek rozważać. Jeno dlatego z bitew żywy i cały zawsze wychodzę, za nic mając sobie owych, co każdy krok rozważają. Powiadam ci, Jakubie, słaby to oręż na prawego woja owo czytanie w rozumie. Chłopkom-roztropkom jeno lubo zgoła takim ciastochom jako ty bać się tego, nie mnie.

Słowami tymi wlał otuchę w me serce.

- Panie - odważyłem się jeszcze rzec. - Ów Marcus Sanctus Huberathus w uczoności swojej doradza jednak, by mimo wszystko smoka strzałą z kuszy lubo łuku porazić miast się na awanturę konną z nim porywać.

Podniósł groźnie dłoń potężną Strzygniew, jednakowoż pomny, iż jeszcze przydać się mogę, zaledwie trącił mnie lekko w plecy. Gdym powstał jako tako na nogi, rzekł:

- Nie wiesz to, że kusza wyklepą i nierycerską bronią jest? Zaś z łuku szyć umiem doskonale, jednakowoż nie przystoi rycerzowi narzędziem tym się parać, jeśli konno a kopijno stanąć może. Nie wiesz ty, co honor, tak i się nie wtrącaj. Ninie zaś do mistrza po pancierz pójdźmy.

Piękna była zbroja uczyniona zdolnymi rękami płatnerza. Jak zwierciadło świecąca, bez jednej szczeliny, przez którą płomień przedrzeć by się mógł, zaś przyłbica taka, jakiej nigdy nie widziałem, wielka jak sagan, z wąskim pasem na oczy i otworami do oddychania przesłoniętymi skośnymi paskami metalu. Można było owe paski za pomocą dźwigienki płasko ułożyć tak, by całkiem od ognia się odciąć, a owa niespotykana wielkość szłomu należyta ku przetrwaniu ilość powietrza ubezpieczała. I tarczę wykuł mistrz jak lustro, wielką na cztery łokcie, za którą cały mógł się rycerz schronić. Pod blachy zaś zamówił płatnerz u sukienników a kuśnierzy kosztowny kaftan i nogawice. Na miękkie sukno, podbite filcowym płatem naszyto skóry salamander, o których powiadają, iż w ogniu bezkarnie mogą się kapać. Takoż rumak grzeczną oprawę otrzymał, a to kropierz sukienny, grubości zacnej, któren przed walką wodą porządnie zmoczony miał zostać, a to stalową osłonę na łeb, tak że swego pana w owym miejscu do złudzenia przypominał. Przybrał się też zaraz szlachetny Strzygniew Strzegonia, przybrał także swego wiernego wierzchowca, po czym ruszyliśmy na błonia konia ku walce układać.

Nadchodził zasię czas, gdy smoczysko daniny zażądać miało. Owiec dwóch setek, krów cztery mendle i jednej dziewicy ku sprośnej uciesze.

- Pewnikiem - mruknął na wieść o tym pan Strzegonia - z góralami ową zwierzyną potwór handluje. Bo jeśli iście lata, nieduży jest, a gdzie by coś, co niewiele więcej ode mnie waży tyle przez miesiąc zeżarło... Dziewicę zaś, i owszem, rozumiem, dla siebie trzymać może pokąd mu się nie znudzi. Jutro do dnia, nim mu dań złożą, ruszamy.

Grubo przed świtem ściągnął mnie rycerz z łoża. Poszturchiwał i łąjał, kontent wielce dzisiejszej przygody. Przez dziesięć z górą pacierzy wraz z czterema pachołkami przybieraliśmy męznego woja w pancerz. Gdym ostatni pasek dopinał, pan Strzygniew krzycheć rozpaczliwie począł. Oto, jako się okazało, w pośpiechu nałożyli zbroję na koszulę jeno, a przesywanica obok, na ławie leżała. Jąłem zatem rozpinać i rozsupływać rzemienie, a ze dwie setki ich było najmarniej. Okrutnie zagniewany był rycerz gdyśmy go wreszcie ze zbroi wypuścili. W pysk zaraz prasnął najbliższego, co mu się pod rękę nawinał, a potem i drugiego, tak że zamiast w pięciu ubieralim go dalej we trzech. Strach było patrzeć jak zdrożony a upocony stał mój pan, klnąc i wyzywając nas najgorszymi słowy.

Jeszcze w oparze nocnej, zimnej mgły na swego marnego podjezdka siadłem. Jechaliśmy przez ciemne ulice, a rycerz Strzygniew dzwonił przy każdym stąpieniu wierzchowca niczym wielka sygnatura. Leciały z okien na nas przekleństwa, a także odpadki różne, bo cni mieszczanie ze snu zerwali się myśląc, iż straszny pożar wybuchł, a widząc jeno nas dwóch, w gniew wielki wpadli. Mnie jednak się zdało, że oto nie rozczochrane, zaczepecowane i czerwone ze złości mieszczyki, ale piękne bladolice damy żegnają nas i błogosławią przed walką, zaś to, co na głowy i pod nogi nam spada to nie odpadki wieczorne i brudy nocne, ale wonne kwiaty i kolorowe szarfy.

Smok w jaskini pod skarpą zamieszkał, niewielki kawałek opodał grodu. Jeszcze zatem nim słońce dobrze wzbilo się na nieboskłon, byliśmy na miejscu. Rycerz pod pachą ścisnął ciężką, okutą całą żelazem kopię, ja zasię ku pokrzepieniu księgę Marcusa Sanctusa Huberathusa.

- Patrzaj, Jakubie - odezwał się rycerz, a głos jego dudnił wewnątrz wielkiego hełmu - jaką to sobie ogromną pieczarę bestia za siedzibę obrała. Ku postrachowi maluczkich pewnie to uczyniła, by uwierzyli, że iście potężna jest.

- A jeśli w istocie rzeczy tak jest wielki smok? - spytałem drżącym głosem.

- A to odczytaj tam z księgi, co trzeba na taką okoliczność.

I odczytałem, a w miarę zagłębiania się w uczoności traktatu, wracała we mnie wiara i nadzieja. Oto bowiem, jeśli najdzie się smok nadmiernie wielki, słaby w ruchach musi być i

głupawy, a latać zgoła nie może wcale. Tak i bodaj łatwiejszym jeszcze może paść łupem mocarnego rycerza niżli mały i zwrotny potwór.

- Sam zatem widzisz, jako jest - rzekł Strzygniew Strzegonia. - Zaś żaden smok dłuższy, jeśli dobrze mi całą rzecz objaśniłeś, nad sto lub sto pięćdziesiąt łokci być nie może. Gdyby był większy, zgoła by żyć nie potrafił. Czy tak?

- Tak owo słowa mędrca pojmować niechybnie należy.

- Zatem poczynajmy, a godnie. Zatrąb no w róg, mój wierny giermku...

Przyłożyłem do warg koniec instrumentu i zadąłem jak mogłem najgłośniej.

Zaczem począł mój dzielny rycerz wrazą poczwarę na bój wyzywać. Krzyczał i dzwonił wielką tarczą, a ja trąbiłem z całych sił, aż nareszcie w jaskini począł się czynić ruch. Bestia, zbudzona i, wnosząc z niskiego, groźnego pomruku, ogromnie rozdrażniona, zaczęła wypęłzać. Wpierw ukazał się pysk do jaszczurczego podobny, a potem...

Wstrzymałem oddech patrząc na owo zjawisko. Powiadano, iż trzysta łokci miał mierzyć potwór. Leż to była, wierzajcie mi! Smok najmarniej na trzysta, jeno nie łokci, a całych kroków był długi! Nim cały z jaskini wylazł, przed południem nieledwie było. A mój rycerz czekał cierpliwie, modlitwą się pokrzepiając.

- Dobrze jest - rzucił ku mnie. - Im większa gadzina, tym mniej się będzie mogła opędzić przed moim kunsztem rycerskim. I latać nie umie na pewno, spójrz bo jak małe ma skrzydła przy swej postaci.

Smok zasię rozejrzał się po polu patrząc, kto mu w spokojności pobruździł. Wlepił też w nas wielkie, żółte ślepia i uczułem z nagłą, jak w mojej głowie wpierw pustka, a potem dziwne myśli i pytania latać zaczynają. Czy przodkiem moim był niejaki Garbus Samosiej, syn bednarza i żonglera, który owego bednarza uwiódł był pewnej letniej księżycowej nocy? Zali rzeczywiście w niebiesiech anieli w chóry ustawieni? Ilu diabłów może usiąść jednocześnie na stolcu biskupa? I owo najdziwniejsze, czego nie mogłem za nic wyrozumieć, a mianowicie "czy ce równa się emcekwadrat". Smocze to były sztuczki, żeby wrogów swych pogięć i bez nijakiej walki pokonać. Słabość też wielka moje członki od tych myśli ogarniać poczęła, że ni kroku, ni najmniejszego gestu uczynić nie byłem zdolny.

Lecz rycerz mój na całe szczęście zdawał się zdrow i rześki. Prawdę widać rzekł o swej na zbędne myślenie odporności, bo oto krzyknąwszy gromko, ku potworowi popędził. Zdumiał się smok niepomału, szyję wysoko wznosił patrząc na tego, co z wielkim wrzaskiem i zabójczą kopią nań leciał. Iście nieruchawy był i do lotu niezdolny, jak to słusznie opisywał uczony Huberathus, bo zamarł tak śledząc jeno jak bezlitosny grot przybliżył się ku niemu prosto w serce chcąc ugodzić. Jeno zadem przyparł się do skały, przypłaszczył, jakby chciał w nią cały wnijsć, by starcia uniknąć.

Zaś rycerz Strzygniew coraz głośniejszym głosem wołał i coraz to bliżej poczwary się znajdował. W cwale rumak szorował prawie brzuchem po ziemi. Jest o pięćdziesiąt, o czterdzieści kroków... jeszcze dwadzieścia, dziesięć... Jest tuż...

Miał już rycerz kutym, ostrym jak igła grotem pierś smoczą przesyć. Już prawie sztywniał, by miecz z pochew wyszarpnąć i przez pysk obrzydły z rozmachem ciąć. Już nie potwora nie wyratuje z obieży! Lecz wtedy stało się coś, czego nikt spodziewać się nie mógł. Nagle ogromna bestia machnęła swymi marnymi skrzydłami. Mniemałem, iż ze strachu wielkiego jeno to czyni, lecz serce we mnie zamarło, gdy z nagłą wzbija się w górę. Nie mniej ode mnie musiał być zdumiony Strzygniew Strzegonia, bowiem rumaka nawet nie usiłując wodzami ściągnąć, w niepowstrzymanym pędzie w skałę, o którą dotąd wspierał się smok, z całej siły wyrzwał.

Zaś wielka poczwara żwawo i zwinnie zatoczyła w powietrzu koło, kłam rozważaniom mistrza Huberathusa o niezdarności i niemożności rządnego lotu zadając. Tak się ustawiła przy tym, że leżący śmiałek tuż przed jej pyskiem się znalazł. Tyle miał przytomności skołatany upadkiem rycerz, by się jeszcze pod wielką tarczą schować, nogi podkureczywszy i głowę niczym ślimak w skorupę wciągnąwszy. Bowiem w owym momencie z rozdziawionego pyska smoka ogień wytrysnął. Ogarnął płomieniem mego pana oraz jego wierzchowca i trwał, trwał a trwał... Dobrze ponad pół pacierza minęło, nim smok przypiekać nieszczęsnego przestał. Zaraz też, niewiele czekając, następny równie wielki płomień z siebie dobył. A trza jeszcze rzec, iż pod bardzo silny wiatr smok ział, znów pokazując, jak ulotne i niemiernodajne są mądrości zawarte w uczonej księdze.

Potem zgrabnie na ziemi siadłszy, potwór jednym kęsem dobrze już przypieczonemu koniowi pożarł i ku rycerzowi się zwrócił. Ten żywy jeszcze był, bo ręką ruszył dowód dając, iż prawdziwie przedni pancierz płatnerz przygotował. Czując, że moja dusza ku ziemi z przerażenia spływa, patrzyłem jak nieszczęśnika smoczysko w szczęki porwało. Jednakowoż, z jakiejś nieznanej mi przyczyny, zaraz rycerza wypuściło, po czym dokładnie leżącego obwąchało i łeb prędko cofnęło.

Nie wiem, jak by się przygoda nasza skończyła, gdyby nie cni pasterze, co w owej chwili stado owiec a krów na żer potworowi przygnali. Natychmiast smok o moim nieszczęsnym panu zapomniał ku owym smakowitościom spojrzenie i kroki kierując. Zatem zaraz poskoczyłem tam, gdzie wypalona ziemia jeszcze stopy parzyła, pana swego chwyciłem i przy pomocy dobrych ludzi przez siodło przerzucić zdołałem. Gdyśmy zaś zmierzali ku miastu, minąłem szewca owego, co go onegdaj mój rycerz w zamkowym korytarzu spostonował. Zmierzał ku błoniom dzierząc pod pachą jeszcze bodaj gorzej niż uprzednio cuchnącego barana. Obrzucił nas jeno drwiącym

spojrzeniem wciąż jeszcze zapuchniętych i podfioletowionych oczu, po czym w swoją stronę z jasnym i pełnym wiary uśmiechem ruszył.

Trzy dni kował rozkuwał zapieczoną od ognia i pogiętą zbroję rycerza Strzegoni. Trzy dni huczały w kuźni młoty i tyleż czasu krzyczał w udreće mój nieszczęsny pan, rozciągnięty na dębowej ławie jak na kowadle.

Gdy zaś go wreszcie ze skorup potrzaskanych wydobyto, nie mieszkając o konia zawołał i galopem za bramy miasta ruszył.

- Wszystkie koszta mi zwróci, niegodziwiec - wrzeszczał jak wichher pędząc. - Niech go jeno dopadnę! Za wszystko zapłaci!

Ja zaś jako niewolny wyrobnik u mistrza płatnerskiego ostać aż do odpracowania pańskiego
długu
musiałem.

Myliłby się zaś ten, kto by sądził, iż gniew rycerza Strzygniewa przeciw smokowi był skierowany. Nic błędniejszego. Wziął bowiem przed się szlachetny Strzegonia owego mędrca, Marcusa Sanctusa Huberathusa, odnaleźć, by na nim pomstę za wstyd swój i ruinę wyrzecz.

Ja zaś z utęsknieniem czekam aż zdołam dług pana mego uczciwie odrobić i wtedy za nim pojechać zamierzam. Bowiem sam pragnę wielce uczonego autora traktatu odnaleźć i od siebie razów kilka mu dołożyć. Pocieszenie jedno w udreće, iż przynajmniej smok okrutny podejść się sprytowi człeka z gminu nie pozwolił. Nie jeno wypchanego trutką barana, ale i durnego szewca zeżarł, nawet się raz nie zakrztusiwszy.

I tak sobie mniemam, iż słuszną karą dla Marcusa Sanctusa Huberathusa byłoby do grodu go przywlec i bestii do oczu dostawić, by ujrział co warte jego uczoneści nim następną księgę ku zbudowaniu potomnych napisać zechce.

2004 r.

Siódmy Liść

Mury kasztelu odpowiadały chłodnym poblaskiem promieniom zachodzącego zimowego słońca. Wyżej na niebie pojawił się wąski sierp księżyca, zalsniły nieśmiało pierwsze gwiazdy.

Do odzianego w czerń mężczyzny podszedł zbrojny w błękitnym płaszczu. Chwilę patrzył na zamek, po czym rzekł niecierpliwie:

- Panie, ludzie zaczynają się niepokoić. Zapada zmrok, a to miejsce cieszy się ponurą sławą.

- Dlatego przybywamy tu dzisiaj - odparł czarny. - W wigilię Dnia Narodzenia Pańskiego złe moce kryją się w swoich komyszach. Wszyscy przecież słyszeli, co powiedział kanonik Norbert.

Rozejrzał się po surowym krajobrazie.

- Uspokój ludzi, niebawem wyruszamy. Nie będzie czasu na lęki i rozmyślania.

- Jesteście pewni, panie, że w istocie wszystkie złe moce dziś śpią, nawet ten jego, tfu... - zbrojny splunął od uroku.

Czarny zmierzył go zimnym spojrzeniem.

- Reuben, gdybym był czegokolwiek pewien, miałbyś mnie za naiwnego głupca. Dlatego musimy uczynić wszystko, przed czym moja dusza się wzdraga.

- Żołnierzom nie spodoba się mordowanie niewinnych...

Czarny zaśmiał się głucho.

- Nie trzeba nam najemników z zasadami. Kto nie wykona rozkazów, pójdzie na sznur - powiedział twardo. - Dość dyskuji! Wracaj do ludzi i dopilnuj, żeby byli gotowi na mój znak.

Reuben skinął głową, zawinął połę błękitnego płaszczu i oddalił się. Czarny zerknął za nim. Nawet twardym wojakom to dzikie miejsce działa na wyobraźnię. Skoro on sam odczuwa niepokój, czego żądać od przesądnych prostaków, choćby zawodowych zabójców. Zapewne nikt dotąd nie zmuszał ich do wykonywania misji przeciwko czarnoksiężnikowi. Pokręcił głową. Jak można zamieszkać w takim miejscu? Las urywał się jak nożem uciał, a dalej królowały ciemne skały, pokryte teraz łachami śniegu, coraz słabiej widoczne w zapadającym mroku.

Blask ognia z wysokiego kominka grał refleksami na pobrużdżonej twarzy. Mężczyzna siedział przy leżącym w łóżu może dwuletnim dziecku. Chłopczyk trzymał mocno potężną dłoń, uśpiony już, ale jeszcze nie pogrążony w pełnej nieświadomości. W oczach mężczyzny można było wyczytać miłość, niespotykaną na co dzień miękkość spojrzenia. Orlątko w gnieździe... Zapełniło całe jego serce i od czasu, kiedy Sara umarła - całe życie. Gdyby nie syn, nie widziałby celu, pewnie zaprzepaściłby dziedzictwo, może nawet skończył ze sobą... Uścisk małej piąstki osłabł, mężczyzna ostrożnie uwolnił dłoń, patrzył chwilę na jasną główkę, po czym skierował się ku drzwiom.

Za nimi czekała piastunka, czujna i zwinna jak kotka. Przemknęła obok, żeby spocząć w łóżu obok dziecka, strzec jego snu. Ciężkim krokiem podszedł do kominka w gościnnej sali i legł na ławie przykrytej grubą derą. Wyciągnął z westchnieniem ogromne ciało, przymknął oczy i obserwował grę światła pod powiekami. Zza lekko uchylonych drzwi od części gospodarczej dolatywał cichy gwar krzątającej się służby. Odprężył się. Zdawało mu się, że leży zaledwie parę minut, kiedy uwagę jego zwrócił niecodzienny hałas, krzyki i tupot wielu nóg. Zerwał się. Musiał zasnąć na dłużej, bo ogień dogasał. Drzwi prowadzące na pokoje otworzyły się z hukiem, w tym samym momencie otwarto na oścież drzwi kuchenne i do środka wtoczyła się gromada zbrojnych. Trzech z nich ruszyło od razu do pokoju dziecinnego. Rzucił się w tamtą stronę, lecz zamarł, bo drogę zagroził mu zakrwawiony sztych miecza trzymanego przez żołnierza w błękitnym płaszczu.

- Nie radzę, baronie - napastnik był zdyszany, ale broń nie drgnęła. - Mam przyjemność z baronem Gotfrydem de Berge, jak sądzę?

Baron popatrzył tylko na prześladowcę wściekłymi oczyma, żyły nabrzmiały mu na szyi. Bezwiednie napiął mięśnie.

- Nie radzę - powtórzył błękitny spokojnie.

Z zewnątrz dochodziły słabsze odgłosy szamotaniny i krzyki mordowanych. Baron zacisnął szczęki. Żeby tylko nie zrobili krzywdy małemu Wilhelmowi.

Do sali wszedł zbrojny w czarnym pancerzu i płaszczu takiegoż koloru. Pod pachą trzymał garnczkowy hełm, miecz tkwił w pochwie, najwyraźniej dowodził tymi ludźmi. De Berge zwrócił się do niego:

- Co ma znaczyć gwałt zadany królewskiemu poddanemu na jego własnej ziemi, w jego własnej siedzibie?!

Czarny odpowiedział z drwiącym uśmiechem.

- Niepotrzebnie się unosisz, baronie. Przybyliśmy w świąteczną gościnę.

W tej chwili wkroczyło trzech żołnierzy, prowadząc pod bronią piastunkę z dzieckiem w ramionach. Chłopczyk rozglądał się dookoła ogromnymi oczami, przerażony zgiełkiem i obecnością wielu ludzi. Wyczuwał niebezpieczeństwo i napięcie.

- Tatu! - wyciągnął nagle rączki, dostrzegając ojca.

- Stój, de Berge - warknął Reuben i przyłożył sztych do gardła barona.

- Nie wojujemy z dziećmi - oznajmił czarny - jednak mamy sytuację wyjątkową. - Na jego znak jeden z najemników wyjął sztylet i przytknął do zamarłego w przerażeniu ciała. - Jeden fałszywy ruch i pozbędziesz się dziedzica, żydowska niańko! Dotyczy to także twojego przyjaciela.

- Jakiego przyjaciela - baron potrząsnął głową. - W zamku przebywali jedynie...

- Nie suj nam piasku w oczy, magiku - przerwał czarny. - Wiemy dobrze, kim jesteś i czym się parasz. Wiemy też, że masz tu ku pomocy w nieczystych sprawach demona czy ducha jakowegoś na usługach. Pamiętaj, cokolwiek podejrzanego się zdarzy, mój żołnierz zada śmiertelne pchnięcie Wilhelmowi!

- Naprawdę wierzysz, nie wiem, jak cię zwać, w te opowieści ciemnych prostaczków? Ani nie jestem żadnym magiem, ani tym bardziej nie mam na usługach duchów ni demonów...

- Możliwe - zgrzytliwie roześmiał się czarny. Zsunął czepiec kolczy ku tyłowi. Wyspały się spod niego kruczoczarne włosy. Z pięknej twarzy nie schodził drwiący uśmiech. - Możliwe - powtórzył - że jest, jak mówisz. Możliwe też, że w dniu dzisiejszym nie masz żadnej mocy, co by się zgadzało, zważywszy na łatwość, z jaką zajęliśmy twój zamek. Jednak ja jestem człowiekiem ostrożnym i lubię mieć zabezpieczone tyły i boki w czasie walki i w życiu. A zwać mnie możesz Filip d'Aubigny - dodał.

- Sławny siepacz starej Mahaut - powiedział baron.

- Już nie - odparł czarny. - Stara przeniosła się na tamten świat. Pewnie trafiła do piekła, jędrza, choć może i tam by jej nie chcieli - zaśmiał się znowu. - Teraz służby swe pełnię dla innego, o tym za chwilę. Najpierw musimy zawrzeć pewien układ.

- Puść dziecko - zażądał baron. - Klnę się, że nie będę niczego próbował, jeśli to zrobisz.

D'Aubigny pokręcił głową.

- To ja dyktuję warunki. Dokąd ich nie spełnisz, dzieciak zostanie pod sztychem.

- Jesteś łajdakiem!

- Oczywiście. Nie wszyscy na świecie mogą być prawi, uczciwi i miłujący, jak ty, czarowniku.

- Nie jestem...

- To nieistotne - przerwał d'Aubigny. - Wyprowadzić ich! - polecił.

Żołnierze wyszli do pokoju dziecinnego wraz z piastunką i Wilhelmem. Dziecko podniosło żalospny lament, a piastunka krzyczała:

- Co wam zawiniło niewinne dziecko, mordercy, że zabijać chcecie. Łajdaki...

Drzwi zatrzasnęły się. Baron patrzył dziwnie na Filipa.

- Powiedz mi - rzekł powoli. - W zamku było jeszcze jedno dziecko, niemowlę mojej kucharki...

- Na świecie nie ma niewinnych ofiar - odparł lekko d'Aubigny. - Są jedynie ofiary. Uwierz mi, że gdyby to ode mnie zależało...

Umilkł na widok zmienionej grymasem wściekłości twarzy barona. Nawet krzątający się po komnacie żołnierze znieruchomieli. De Berge, nie zważając na ostrze miecza Reubena, postąpił pół kroku do przodu, tak że błękitny musiał się cofnąć, by go nie zabić. Baron wyciągnął w kierunku d'Aubigny'ego palce zakrzywione w szpony:

- Wyzywam cię na śmiertelną walkę, Filipie d'Aubigny. Niezależnie od tego, co się stanie, wyzywam cię i biorę na świadków wszystkich tutaj zgromadzonych. Za wymordowanie niewinnych i spokojnych ludzi, za śmierć czystego dziecka, za przerażenie mojego syna. Wyzywam cię!

W ciszy zabrzmiał niespodziewany dysonans. To Reuben opuściwszy miecz śmiał się na całe gardło.

- Słyszałeś, panie! On cię wyzywa! Będąc w twojej mocy wyzywa cię po rycersku, po trzykroć! Ha, ha, ha, co teraz zrobimy? Wypada dać mu pole, prawda?

- Zamknij się! - warknął Filip. - Nie pora na bzdury.

Błękitny przestał się śmiać.

- Złapał was, panie - powiedział spokojnie. - Nie możecie odmówić bez utraty czci!

- A kto będzie o tym wiedział?

- Mnie wszystko jedno, ale nasi ludzie... Rozniesie się.

D'Aubigny zastanawiał się chwilę.

- Masz rację, Reuben. Jako wyzwany - zwrócił się do barona - proponuję termin dziś po północy, kiedy załatwimy swoje sprawy. Zgoda?

- Mam jakiś wybór?

- Nie!

- Zatem zgoda.

- Dobrze - d'Aubigny z zadowoleniem skinął głową. - A teraz jeszcze jedno. Jak będzie z tym twoim przyjacielem? I nie udawaj, że nie wiesz, o co mi chodzi.

De Berge zmierzył go pogardliwym spojrzeniem.

- Jeżeli tak bardzo obawiasz się czegoś, czego nie ma, to zapewniam cię, że mój przyjaciel nie podejmie żadnych działań.

- Klniesz się na honor?

Baron pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Niech będzie, klnę się na honor.

D'Aubigny podszedł do dziecinnej komnaty i uchylił drzwi.

- Jean - zawołał - możesz odjąć sztych od dzieciaka! Tylko pilnie strzec i być w gotowości, nie spać!

- Kto by tam spał przy takiej niewieście - dobiegł przytłumiony głos.

- Zostawić mi ją w spokoju! - zirytował się Filip. - Nie potrzeba żadnych więcej awantur. Pamiętaj, że ona też może być czarownicą!

Zatrzasnął drzwi z hukiem.

- Zadowolony? - zwrócił się do barona.

- Zadowolony będę, jak ciebie zabiję - odparł ten spokojnie. - Mów, czego chcesz, i kończmy!

D'Aubigny przyglądał mu się nieodgadniętym spojrzeniem.

- Wyjść wszyscy! - polecił. - Zostają tylko Reuben, ty i ty - wskazał palcem. - Zatknijcie parę łuczyw i wynocha!

Zostali w piątkę. Filip uśmiechnął się ze swoim drwiącym wyrazem twarzy.

- Nie potrzeba nam więcej świadków niż to konieczne - wyjaśnił. - Ci dwaj są kompletnie głusi, ustawimy się do nich bokiem, żeby nie mogli czytać z naszych ust. A Reuben? On poniekąd ma dopilnować, żebym wywiązał się z zadania, które zlecił mi hrabia de Chattillon. Reuben cieszy się pełnym zaufaniem hrabiego.

- W odróżnieniu od ciebie, d'Aubigny?

Filip skrzywił się i machnął niecierpliwie ręką.

- Bez komentarzy, proszę. Wiesz, po co przychodzę?

- Być może, ale chcę to usłyszeć od ciebie, najemniku.

- Jak sobie życzysz, aczkowiek przedłuża to tylko sprawę. Otóż jest w twoim posiadaniu niewielki wykonany ze złotej blaszki przedmiot, którego poszukuje mój pan.

- A dokładniej?

- Diabli! Wiesz lepiej ode mnie, co to jest, ale powiem ci, skoro jesteś taki uparty. To liść jemioli.

Baron uniósł w zdziwieniu brwi.

- Tak? A skąd o nim wiesz?

- Nie bądź durniem, de Berge! Wysyłając mnie tutaj, hrabia musiał mi naturalnie powiedzieć, czego mam szukać!

- Hm, mów dalej, wytłumacz mi, jakie znaczenie może mieć zwyczajny kawałek złota?

- Wiesz przecież!

- Przypuśćmy, że istotnie wiem, ale na pewno Reuben też jest tego ciekaw, prawda? Chyba że on też wie?

D'Aubigny westchnął.

- Skoro zmuszasz mnie, żebym wyjawiał tajemnicę człowiekowi postronnemu... Hrabia opowiedział mi pewną legendę, w którą wierzy, mnie jest ona obojętna, skoro otrzymuję zapłatę za zadośćuczynienie mrzonkom starca. W dawnych czasach, zanim jeszcze narodził się Nasz Pan, na wyspach za Kanałem sporządzona została Złota Jemiola, a raczej gałązka o siedmiu liściach. Wykonał ją nieznany rzemieślnik na zlecenie Druidzkiego Kręgu. Jemiola ta symbolizująca władzę nad światem, dawała nieograniczoną moc czynienia dobra lub zła jej właścicielowi. W trakcie magicznego obrzędu, który sprawowali najpotężniejsi kapłani, jemiola została pozbawiona liści. Każdy uzyskał niezwykłą moc. Liście oddano w opiekę Strażnikom, którzy zaprzysiężeni do milczenia, mieli przekazać je właściwemu człowiekowi, kiedy zjawi się u nich. Każdy z liści osobno nie może ujawnić swych niezwykłych przymiotów. Wszystkie umieszczone z powrotem na gałązce dadzą nieograniczoną moc. Hrabia zgromadził sześć z nich wraz z gałęzią po kasacji Zakonu templariuszy, w ich bowiem była posiadaniu. Siódmego liścia szukał latami na próżno, zanim trafił na twój ślad, de Berge. Bo ty jesteś Strażnikiem, podobnie jak twoi przodkowie.

Baron patrzył na niego bez słowa.

- No co, zaniemówiłeś?

De Berge wzruszył ramionami.

- Usiądźmy - powiedział. - Zanoszę się na dłuższą rozmowę.

- Jak chcesz - odparł d'Aubigny. - My mamy czas, a liść i tak oddasz.

- Oddam, oczywiście, ale obowiązek nakazuje zachować pewne formy.

Usiadł na ławie, a zaciekawiony Filip d'Aubigny przycupnął na zydłu naprzeciw. Reuben zajął pozycję za plecami barona czujny i gotów do działania.

De Berge patrzył na ogień. W ciszy słychać było trzask trawionego płomieniem drewna i poszum skwierczenia pozatykanych w kunach łuczyw. Z żalem pomyślał o swych ludziach, którzy oddali życie zupełnie niepotrzebnie, przerażeni i bezradni. Zaciśnął szczęki - nie czas opłakiwać zmarłych. Potarł kantem dłoni nasadę nosa, żeby zapobiec gromadzącym się łzom, przeczesał palcami włosy.

- Czekam - ponaglił d'Aubigny.

Baron Gotfryd De Berge drgnął, jak przebudzony z drzemki i spojrzał na przeciwnika.

- Posłuchaj uważnie, d'Aubigny - powiedział powoli. - Jak wnioskuje z twoich słów, hrabia nie zdążył lub nie chciał opowiedzieć ci wszystkiego. Możliwe też, że zwyczajnie nie miał szans...

D'Aubigny poderwał się.

- Co chciałeś przez to powiedzieć?

- Nic. Siadaj i uspokój się - odczekał chwilę. - Najwyraźniej nie dowiedziałeś się, że przedmiot, którego poszukujesz, na nic się nie przyda. Ani hrabiemu, ani tobie...

- Jak to się nie przyda? Hrabia był już starym człowiekiem, ale miał po kolei w głowie i nie podejmował pochopnych działań!

Baron przyglądał się spod przymrużonych powiek jego wyraźnemu poruszeniu.

- Widzę d'Aubigny, że uwierzyłeś w legendę.

Filip wzruszył ramionami.

- Może.

- Posłuchaj więc i staraj się nie przerywać. Istotnie, zgodnie z podaniem, Złota Jemioła daje swojemu właścicielowi ogromną moc, pełną władzę nad światem. Właścicielowi, d'Aubigny, a nie posiadaczowi. Pojmujesz subtelną różnicę? To dobrze. Aby stać się właścicielem, trzeba spełnić pewne warunki, żeby korzystać z mocy, trzeba zdobyć pewną wiedzę. Właściciel Złotej Jemioły uzyskuje stan władzy, a nie fakt władzy. Zresztą nawet fakt władzy, ale bez możliwości...

- Mydlisz mi oczy! - zirytował się Filip. - Władza jest władzą, a jej stan czy fakt, czy jak to nazwiesz, daje możliwość korzystania z niej!

- Pozornie. Tu chodzi o coś innego. Nie mówię o władzy jako ujarzmianiu ludzi, kiedy jeden człowiek rozkazuje innym, co mają robić, przełamuje ich opór, rządzi przeciwko woli innych i przeciwko światu. Mówię o władzy pełnej, o władaniu, a nie rządzeniu. W tych warunkach decyzje nie powodują sprzeciwu ludzi czy natury, ale są z nimi zrośnięte. Tok wydarzeń i przemian płynie zgodnie z wolą władcy, bez uświadomienia sobie źródła tej woli

i, co za tym idzie, bez sprzeciwu. Możesz czynić dobro lub zło, wprowadzać bądź burzyć harmonię świata... Nie przeraża cię to?

- Nie!

Baron patrzył na Filipa, a w jego oczach pojawił się dziwny błysk.

- Jakże mi ciebie żal, Filipie - powiedział niespodziewanie miękko. - Jesteś zaślepiony, a podążasz stromą i niebezpieczną ścieżką...

- Nie kręć, de Berge - przerwał d'Aubigny. - Moja cierpliwość ma swoje granice!

- Pozwól zatem, że opowiem ci pewną historię, która pomoże ci zrozumieć moje słowa. Nie jesteś pierwszym człowiekiem, który przybywa po siódmy liść Złotej Jemioły. Sam powiedziałaś, że roślina wraz z sześcioma listkami została odnaleziona po kasacji Zakonu Templariuszy. Jak wiesz, im też marzyła się władza nad światem, a łatwo się domyślić, że przy swojej doskonałej organizacji i siatkach postrzegaczy nie mogli nie wpaść na mój ślad.

Sam de Molay odwiedził mnie pewnego razu, kiedy czuł już na szyi stalowe palce Króla z Żelaza. Przybył tu z niewielkim pocztem, bez zamiaru zadawania gwałtu, gdyż był mądry i wiedział, że siłą nic uzyskać nie zdoła. Przybył i poprosił o możliwość uzyskania siódmego liścia. Bo widzisz, najemniku, wystarczy przyjść i poprosić, nie trzeba urządzać rzezi...

Odszedł z niczym, sam z własnej nieprzymuszonej woli, żeby poddać się losowi. Nie przeszedł próby i zrozumiał, że przejść jej nie zdoła. Zdobył wiedzę, ale jego dumna natura sprzeciwiała się bezkrytycznemu jej przyjęciu. Zdał sobie sprawę, że gdyby nawet pomyślnie przeszedł próbę, poddałby się swojemu losowi. Tyle że wtedy zapewne nie rzucałby klątwy na Filipa Pięknego i jego pokolenie w godzinie śmierci...

- De Berge! - warknął Filip. - O jakiej próbie ty mówisz? I dlaczego miałbym ci wierzyć?

- Bo mówię prawdę! - oświadczył baron z mocą.

D'Aubigny nie zaprotestował, bo czuł, że tak jest.

- Co to za próba?

- Proste pytanie. Jedno bardzo proste pytanie, na które należy udzielić pełnej odpowiedzi.

- Pytaj zatem! - rzekł Filip bez wahania.

Baron pokręcił głową.

- Są pewne warunki, których musisz dotrzymać. Jeśli odpowiesz dobrze, otrzymasz nagrodę, jeśli odpowiesz źle, musisz odejść. W tym wypadku przed odejściem musisz stoczyć ze mną walkę. Zgadzasz się na to?

- Oczywiście - d'Aubigny machnął niecierpliwie ręką. - Pytaj!

Reuben przysłuchiwał się rozmowie z zainteresowaniem, choć niewiele rozumiał z wywodów barona. Jednak niepokojem napawało go postępowanie d'Aubigny'ego. Zaczęło w nim narastać straszne podejrzenie.

- Zanim zadam ci właściwe pytanie, odpowiedz proszę na inne, pośrednio związane ze sprawą - baron poprawił się na ławie.

- Słucham! - rzucił Filip niecierpliwie.

- Niedobrze jest mówić o żywych tak, jakby już nie żyli, chyba że w istocie rzeczy są martwi...

D'Aubigny zmarszczył brwi, wietrząc podstęp, a Reuben spiął się w sobie.

Baron spokojnie dokończył:

- Łatwo się można zdradzić. Powiedz mi więc, d'Aubigny, dlaczego zamordowałeś hrabiego Gauchera de Chattillon?

Filip d'Aubigny siedział wpatrzony ponuro w swoje skrępowane dłonie. Złożył je na kolanach, przygarbił się, z jego postaci biło napięcie. Klął się w duchu za bezmyślność i brak czujności. Dał się wciągnąć w rozmowę, którą de Berge sprytnie wykorzystał, żeby obnażyć jego zbrodnię. I na dokładkę okazało się, że stary grzyb de Chattillon nie miał doń krzty zaufania. Potajemnie najemnicy zostali zaprzysiężeni Reubenowi i kiedy Filip wezwał ich na pomoc, zamiast ratować pomogli w jego obezwładnieniu. Co prawda, udało mu się wziąć błękitnego na sztych, tak że leżał teraz krwawiąc na rozłożonych skórach, ale dowództwo prawem starszeństwa przejął natychmiast Hans, adiutant Reubena i równie wierny pies Gauchera. Reuben, choć przebity brzuch bolał go nieznośnie, nie pozwolił się wynieść w spokojniejsze miejsce. Chciał dopilnować spraw, zapewne liczył i na to, że będzie świadkiem porażki zabójcy ukochanego pana.

Filip jedyną, choć słabą nadzieję pokładał w tym, że pomyślnie zdoła przejść próbę. Szczęście dotąd mu sprzyjało może więc i tym razem... Dlatego upierał się, by baron spełnił swój obowiązek i zadał pytanie.

De Berge oddał syna piastunce i polecił jej oddalić się do sypialni. Potem spokojny o ich los zwrócił się do d'Aubigny'ego:

- Jakże mi ciebie żal, mały człowieku - oznajmił ze smutkiem i autentycznym współczuciem, które zrazu zaskoczyło d'Aubigny'ego. - Myślisz, że to takie proste: wystarczy dać odpowiedź. Muszę cię rozczarować. Konieczne jest udzielenie odpowiedzi pełnej, zawierającej jej wyjaśnienie i coś więcej, co jest w tobie, albo czego nie ma...

- Przestań zamiatać kitą, stary lisie! - wykrzyknął Filip. - Przestań czarować udawanym współczuciem i zadaj w końcu to swoje pytanie!

- Dobrze zatem. Skoro nie chcesz słuchać, choć mógłbyś na tym skorzystać.

Filip skoncentrował się, pochylił do przodu.

- Pytanie jest bardzo proste, ale odpowiedź nie, ostrzegam - baron umilkł, chwilę szukał w myślach. - Przypominasz sobie biblijną przypowieść o dobrym Samarytaninie? Wyobraź sobie więc siebie w podobnej sytuacji. Jedziesz drogą, obok leży chory człowiek. Wiesz, że bez pomocy czeka go śmierć, nie wiesz, czy znajdzie się ktoś, kto się nim zaopiekuje. Ty masz moc, którą dało ci posiadanie Złotej Jemioły, możesz uczynić wszystko. Co byś zrobił? Pamiętaj, że liczy się to, co powiesz zgodnie ze swoim przekonaniem. Fałsz zostanie odkryty.

D'Aubigny zmrużył oczy, ważąc decyzję. Pytanie jest w istocie bardzo proste, szczególnie dla chrześcijanina. Pewnie w tym tkwi pułapka. Każdy odpowiedziałby, że oczywiście uzdrowi chorego, jeżeli dysponuje tak ogromną mocą, ale... Jemiołę wykonano za czasów pogańskich, choć z drugiej strony nie do uwierzenia jest, by i w tamtych czasach nie było cnotą pomóc potrzebującemu... O co tu chodzi? Czy de Berge istotnie umie oddzielić prawdę od fałszu? Wątpliwe, ale przecież niewykluczone. Trzeba zdać się na instynkt. Postanowił udzielić odpowiedzi zgodnie z przekonaniem.

- Przeszedłbym obojętnie - wyrzucił szybko.

Baron przyglądał mu się przez chwilę.

- Dobrze, d'Aubigny. Teraz wyjaśnij, dlaczego tak byś postąpił.

Reuben wlepił w barona zdumione spojrzenie, a Filip poczuł, jak unosi go radość. Udało się za pierwszym razem, czemu miałoby nie udać się za drugim. Uśmiechnął się krzywo.

- Gdybym miał tak wielką moc, o jakiej mówimy, człowiek ten byłby mi obojętny. Cóż bowiem znaczy jedno nędzne życie wobec całego świata? Nie mógłbym zajmować się każdym osobno, miałbym na głowie dużo ważniejszych spraw.

Umilkł i czekał z niecierpliwością.

- Filipie d'Aubigny - zaczął de Berge uroczyście. - Zanim usłyszysz mój werdykt, posłuchaj najpierw jego uzasadnienia. Odpowiadasz, że nie uczyniłbyś nic. Dotykamy tu

kwestii wiedzy. Nie chciałeś wysłuchać przedtem tego, co powiem teraz, a co ułatwiłoby ci zadanie. Jak już mówiłem, żeby zdobyć liść, trzeba posiadać odpowiednią wiedzę. Dotyczy ona między innymi tego, że mając władzę równą boskiej, nie mamy w tym przypadku Jego wiedzy, nie możemy dokładnie i z całą pewnością przewidzieć skutków naszych poczynań. Gdybyśmy natomiast posiadli boską władzę wraz z boską wiedzą, nie stalibyśmy się nikim innym jak istotą boską, a wtedy cały problem przestałby nas dotyczyć, jak łatwo to sobie przedstawić.

Czy uzdrawiając chorego przeważasz szalę świata na stronę dobra czy zła, a może pozostanie ona nieporuszona? Tego nie wiesz. Jak zatem trzeźwo myślący człowiek może zdecydować się na działanie? Zachwianie równowagi wymaga jej przywrócenia, gdyż inaczej sytuacja może wymknąć się spod kontroli, coś ważnego może ujść uwadze i porządek świata zostanie zakłócony, a nawet zburzony. Czy człowiek może wziąć na siebie tak wielką odpowiedzialność? Sam sobie odpowiedz. Dlatego nie mogę twojej odpowiedzi uznać za właściwą...

D'Aubigny zerwał się na równe nogi.

- To szalbierstwo! - wrzasnął. - Na twoją zagadkę nikt przy zdrowych zmysłach nie ma prawa odpowiedzieć dobrze! Chyba jakiś nawiedzony...

- Nikt dotąd nie udzielił poprawnej odpowiedzi - odparł spokojnie baron. - Bo ten, kto jest w stanie jej udzielić, nie potrzebuje uzyskiwać i pragnąć tak wielkiej władzy, jest on bowiem prawdziwym mędrcem, a mędrcy nie pragną rządzić, gdyż wiedzą, jaka to odpowiedzialność. Bo każdy, kto jest człowiekiem, a nie ma chorej duszy, widząc potrzebującego i nie mogąc mu, w imię dobra świata, pomóc, będzie musiał znosić cierpienie większe niż ten, którego musi porzucić w chorobie...

- Po co władza, której nie można naprawdę mieć? - Filip był wściekły i zdezorientowany. - Ty mnie oszukujesz, de Berge! To wszystko, co mówisz, nie ma sensu!

- Otrzymałeś wyjaśnienie według moich najlepszych wiadomości, przekazywanych z pokolenia na pokolenie przez strażników liścia. Ja też tego wszystkiego nie jestem zdolny pojąć w pełni.

- Nie wierzę ci! - wysyczał d'Aubigny i poderwał się z miejsca.

Natychmiast pochwyciły go dłonie żołnierzy i posadziły z powrotem.

- To nie ma znaczenia - powiedział baron obojętnie. - Nie przeszedłeś próby, musisz zatem wywiązać się z umowy. - Zwrócił się do Hansa: - Pójdźmy do zbrojowni przysposobić pancerze dla mnie i tego - pogardliwie wskazał Filipa. - Nie będzie przecież stawał w samej kolczudze.

Stanęli naprzeciwko, pośrodku sali, w pełnych zbrojach. Kilkunastu żołnierzy zatrzymało się pod wschodnią ścianą, żeby przyglądać się zmaganiom przeciwników.

Oddali salut. W świetle łuczów pancerze połyskiwały matowo. Obaj byli bez hełmów, ze względu na słabe światło. Zaczęli krążyć wokół wspólnego środka, jakby byli przywiązani do jednego punktu w podłodze. D'Aubigny pierwszy zdecydował się zadać cios. Było to lekkie cięcie na próbę. Zadźwięczał metal. Nie przerwali krążenia. Baron wypadem wykonał zwód na lewą nogę i z rozmachem ciął z prawej. D'Aubigny nie dał się, oczywiście, zaskoczyć, zasłonił się i, wykorzystując siłę uderzenia broni przeciwnika, błyskawicznie zadał cięcie na bark. De Berge zrobił ćwierć obrotu, broń świsnęła tuż przy jego napierśniku. D'Aubigny musiał pójść mały krok do przodu, by nie stracić równowagi i w ostatniej chwili zdołał odbić ukośne cięcie z dołu, poparte wy krokiem. Odskoczył, po czym natychmiast ruszył do ataku. Przez chwilę miecze mijały się, by zakończyć starcie serią górnych ciosów. Filip zamknął wymianę uderzeniem z ćwierćobrotu na lewe biodro barona. Ze skrzyżowanych głów ni posypały się iskry. Odskoczyli od siebie, aby znów przejść do krążenia. Patrzyli sobie w oczy, starając się odgadnąć następny ruch przeciwnika.

Niespodziewany atak zaskoczył barona. Zdażył dać krok do tyłu, a koniec ostrza zjechał mu tuż przed twarzą i zawadził o napierśnik, po czym zszedł po folgach na brzuch ku dołowi. De Berge odruchowo uniósł broń ku górze, a jego przeciwnik, idąc za ciosem, złożył się do szybkiego sztychu. Wydawało się, że klinga przejdzie przez rzadką kolczugę pod pachą, kiedy nagle baron zrobił obrót, niesamowicie szybki jak na możliwości człowieka zakutego w pancerz. Miecz zadzwonił o blachy, a już na głowę Filipa walił się potworny cios od prawej. To baron w czasie obrotu przerzucił miecz do lewej ręki. D'Aubigny pochylił się, by przepuścić cięcie nad sobą, a sam uderzył wykroczną nogą przeciwnika. Cios spowodował wgięcie płyty na lewym udzie. Baron skrzywił się, ale zdołał utrzymać pozycję pionową i w rewanżu ciął rękę Filipa. Teraz on skrzywił twarz z bólu i odskoczył klnąc strasznie. Rękawica wytrzymała, ale lewa ręka była w tej chwili odrętwiała. Lekko kulejąc baron ruszył na wroga oburącz dzierżąc miecz. Filip cofał się, żeby zyskać na czasie, aż poczuł za plecami ścianę. Szybko oparł czubek broni o ziemię i prawą ręką zacisnął palce lewej tuż przy głowicy. Ból był potworny, ale dłoń utrzymała chwyt. W samą porę uniósł miecz, by sparować krótkie, oszczędne cięcie na głowę i silniejsze na prawy bok. Przyjął zwanie. Zraniona dłoń zaczęła nieznośnie mrowić. Zaciął zęby, ból dodał mu sił. Miecze, skrzyżowane przy jelcach, zgrzytały lekko. Mając swój na wierzchu, spoczął na nim całym ciężarem, żeby przygiąć ku dołowi barona. Ten jednak był niezwykle silny - uniósł ku górze

przeciwnika, aż ten stracił kontakt z podłożem. Blachy pancerza szorowały po ścianie. De Berge nie zdołał się wyprostować, gdyż noga odmówiła mu posłuszeństwa, przeszyta bólem. Jęknął. D'Aubigny strzelił czołem w twarz barona. Ten zdołał odchylić głowę i uderzenie, zamiast zmiażdżyć mu nos, przeszło po wargach i szczęce. Potoczył się chwiejnie do tyłu, potrząsnął głową. Na ustach pojawiła mu się krew.

D'Aubigny rzucił się za nim, ciął w bark. Cios jednak nie miał należytego impetu i siły przełamującej, ześliznął się po naramienniku. De Berge rąbnął wroga opancerzoną pięścią w brzuch, odskoczył. Noga dokuczała coraz mocniej, kulał.

Stali naprzeciw siebie ciężko dysząc. D'Aubigny zaciskał i rozwierał lewą pięść. Przypuszczał, że ma złamany środkowy palec. Patrzący na walkę żołnierze cicho wymieniali uwagi, jakby nie chcąc naruszać malującego się skupienia na twarzach walczących.

Nagle baron ruszył do przodu, zaczął zadawać serie ciosów - głowa, lewy bark, prawy bark, lewy bok, prawy bok. Po kilku takich atakach przy cięciu na prawy bark nagle zawinął miecz, który wykonał błyskawiczne „S” i zaatakował lewe biodro. D'Aubigny nie dał się uspić. Zastawił się umiejętnie, a klinga barona zeszła po ostrzu i uderzyła w podłogę. De Berge wykonał obrót, by uniknąć riposty, po czym wyprowadził cięcie na nogi. Kontratak na głowę minął go o włos. Korzystając z tego, że podczas wymiany zbliżyli się do siebie, nagłym rzutem ciała znalazł się przy przeciwniku, uderzył go barkiem i pchnął. D'Aubigny poleciał do tyłu, ale zamiast przewrócić się, oparł się o ścianę.

Po chwili znowu stali na środku komnaty, ciężko dyszeli i mierzyli się przekrwionymi oczami.

Tym razem zaatakował d'Aubigny. Zdrową ręką zawinął mieczem nad głową i zadał potworny cios na głowę, wkładając weń całą energię. Napotkał pewną obronę. Stał zajęczala przeraźliwie, a obaj wydali z siebie głuche stęknienie. Ciął powtórnie. Tym razem baron wychwycił klingę przeciwnika na swoją, podszedł pod nią i z bezpośredniej odległości ciął w brzuch przy jednoczesnym obejściu z półobrotom w lewo. Zaklął głośno, gdyż zraniona noga zaboląła. Cios nie naruszył pancerza, ale od uderzenia d'Aubigny na chwilę stracił oddech, przygiął się. Korzystając, że przeciwnik znalazł się ustawiony bokiem, baron wyprostował go ciosem w krzyże. I tu zbroja wytrzymała, a d'Aubigny, rycząc wściekle, obrócił się i zadał jedyny cios, na jaki go było stać w tej chwili - oburącz na krocze. De Berge cofnął się tylko o pół kroku, żeby przepuścić ostrze. Tu Filip popełnił błąd, zmęczony walką i zamroczony otrzymanymi uderzeniami. Zamiast przejść od razu do obrony zatrzymał broń przed twarzą barona. De Berge błyskawicznie podbił klingę jego miecza tak, że nie chcąc sam siebie ranić w czoło, musiał skrzyżować ręce w nadgarstkach z prawej strony twarzy. Mocne

uderzenie z góry sprawiło, że poczuł ból w przedramionach i lewej dłoni, ból, który zmusił go do wypuszczenia broni. Zanim pojął, co się wydarzyło, miał na gardle sztych miecza.

- Daj szansę - wychrypiał.

Baron bez słowa pchnął.

Na zewnątrz wstał już dzień, Dzień Narodzenia Pańskiego. Żołnierze pogrzebali ofiary i czekali z odejściem na zakończenie ostatniej walki swego dowódcy. Przy jego łożu siedział baron, byli sami. De Berge otarł pot z czoła rannego, ten otworzył oczy. Czaiła się w nich zwycięska śmierć.

- Panie - wyszeptał - mówią o was, że jesteście wielkim czarownikiem, choć nie okazaliście tego ni wczoraj, ni dziś. Czy nie możecie mi pomóc?

- Reuben - odparł baron ze smutkiem. - Nikt nie uniknie swojego losu. Ja nie potrafię czynić cudów, a ty miałeś to nieszczęście, że medyk mój, który może zdołałby coś zaradzić, został przez twoich ludzi zabity wraz z innymi.

Reuben przymknął powieki.

- Nikt nie uniknie swego losu - powtórzył szeptem. - Mnie zabił ten, któremu miałem pomóc, a także moi żołnierze, pozbawiając życia człowieka, który mógł mnie uleczyć, a ty zabiłeś tego, kto sprawił, że wycieliśmy twoich ludzi... Kto ukarze żołnierzy?... - zamilkł, wyczerpany.

- Człowiek sam jest dla siebie najstraszniejszym katem - odpowiedział baron. - Choćby w godzinie śmierci, sam wymierzy sobie sprawiedliwość... Sumienie...

- Tak - weschnął Reuben i skrzywił się z bólu. - Sumienie.

Chwilę milczeli obaj. Reuben poruszył się niespokojnie.

- Ja umieram, panie. Powiedzcie mi, przecie już nikomu nie powtórzę, jest prawdą to, co mówiliście d'Aubigny'emu?

- Widzisz, Reuben - odrzekł baron po chwili. - Przekazano mi wielką mądrość. Kiedy byłem młody, nauczyłem się jej na pamięć i nie przywiązywałem wagi do słów. Było dla mnie wspaniałą przygodą i zaszczytem, że dostałem godności strażnika liścia Złotej Jemioły. Potem, gdy spadła na mnie pełna odpowiedzialność, bo mój poprzednik umarł, zacząłem myśleć. Myślę od lat i nie wiem... Skąd miałbym wiedzieć?

- Jak to, nie wiecie? - Reuben podniósł głowę znad poduszki, jednak zaraz opadł z jękiem. - Musicie.

Baron smutno pokiwał głową.

- Nie wiem. Kiedy mój nauczyciel i strażnik liścia umierał, powierzył mi tajemnicę istoty Złotej Jemioły i wszak musiał wskazać miejsce ukrycia listka. Wtedy pojąłem sens istnienia tej rośliny i odgadłem zamiar twórcy Złotej Jemioły.

Reuben tracił siły z minuty na minutę. Nic już nie mówił, wbijał jedynie palące spojrzenie w twarz barona.

De Berge odetchnął głębiej, jakby chciał zrzucić z siebie ogromny ciężar, rad, że choć raz w życiu może powierzyć tajemnicę postronnej osobie.

- Ten siódmy liść to pułapka. Ma wabić szaleńców, którzy zapragnęli władzy nad światem. Ja mam pozbawić ich złudzeń - zadać pytanie i odprawić, gdyż w istocie żaden człowiek na tyle szalony, żeby pragnąć bezmiaru władzy, nie jest w stanie w swej bucie dać poprawnej odpowiedzi - zawiesił głos. - A ten liść, siódmy liść, nie istnieje! - wyrzucił z siebie. - W każdym razie ja go nie mam.

Nie odczuł spodziewanej ulgi. Od dłuższej chwili mówił do trupa.

Wilczy dołek, czyli jak zostać smokiem

Z ciemnego wnętrza pieczary wydobywał się gryzący dym. Tłusty, pełznący nisko przy ziemi, niosący zapach siarki i smoły. Całe otoczenie jaskini, w tym także droga, pokryte było czarną, twardą substancją.

Sir Edward złożył dłonie przy ustach.

- Bywaj!

Natychmiast musiał ująć wodze, gdyż zaniepokojony rumak zatańczył pod nim.

- Bywaj! - zawołał jeszcze raz.

W ciemnym wnętrzu dał się dostrzec niewyraźny blask. Po chwili ukazał się niepozorny człowiek dzierżący w lewej ręce łuczywo, a w prawej ogromny miecz, którego koniec wlokł się po ziemi.

Sir Edward pomyślał, że nie ma sensu posługiwać się bronią, której nie da się unieść swobodnie. On sam musiałby się zdrowo wysilić, żeby machnąć takim mieczem, a co dopiero ten chudy szczur.

Chudzielec, jakby odgadując jego myśli rzekł:

- Posturę mam może podłą, ale nie zważajcie, panie, na pozory. Tu niespodziewanie lekko uniósł ramię z bronią i zawinął z furkotem ciężką głownią, jakby miał w rękę ćwiczebny kij, a nie bojową klingę. Sir Edward splunął od uroku, co widząc mieszkaniec jaskini roześmiał się chrapliwie. Zaraz jednak spoważniał i powiedział z naciskiem:

- Skoroście już wleźli w moją dziedzinę, panie, powstrzymajcie się, proszę, od plucia bo okropnie tego nie lubię. Jak każdego zresztą chamstwa.

Sir Edward chciał potraktować bezczelnego pustelnika ostro, ale w czas przypomniał sobie kto tu do kogo przybył i kto od kogo czego, w jakim j celu... Zaraz, kto od czego, dla kogo... Nie po co i dla kogo...

- Czyżbyście się, panie zaplątali w konstrukcji gramatycznej? - zainteresował się gospodarz.

Sir Edward poczerwieniał.

- Skoro już jestem twoim gościem - warknął - postaraj się powstrzymać od czytania w moich myślach, bo okropnie tego nie lubię. Jak każdego zresztą chamstwa!

- Celna riposta, panie - pustelnik skinął z uznaniem głową - w dodatku będąca parafrazą mojej wcześniejszej wypowiedzi...

- I nie używaj słów, których znaczenia nie rozumiem - zirytował się znowu rycerz. - Tego też nie lubię!

- Jaki wymagający panek - mruknął pustelnik.

- Co tam mruyczysz?

- Modlitwy, panie - odparł bezlitośnie pustelnik. - Pozwólcie za mną do mego mieszkania.

Zaczął padać rzęsisty deszcz, więc rycerz chętnie skorzystał z zaproszenia.

Wnętrze jaskini urządzone było skromnie. Ot, ława z tarcic służąca za stół i łóżko, kilka bitych zydli, na ścianach masa suszonych ziół, naczynia zawierające jakieś substancje. W kotle nad sporym paleniskiem bulgotało smrodliwie.

- Co tam warzysz?

Pustelnik rzucił miecz pod ścianę, zatknął w kunie łuczywo.

- Asfalt, panie

-Co?

- To takie coś, żeby można wylewać tym trakty, na razie przynajmniej główne. To znakomicie ułatwi podróżowanie i postawi na nogi handel. Właśnie tym jest wylany dojazd do mojej pieczary.

- Znowu jakieś diabelstwo! Łykom życie ułatwi, a porządne rycerstwo na psy zejdzie przez takie wynalazki!

Pustelnik wzruszył ramionami.

- Z czym przybywacie, panie?

Rycerz rozejrzał się.

- Nie dasz mi nic do picia?

- Nie.

- Zdechła u ciebie gościnność!

Pustelnik pokręcił głową.

- To nie tak, panie. Wodę pijacie?

- Tfu - skrzywił się sir Edward.

- No właśnie, a ja nic innego nie mam.

- Dobrze. Słuchaj zatem, chociaż, na honor, nie cierpię gadać o suchym pysku! Zdarzyło mi się otóż złożyć córce wielkiego pana, a damie mego serca, pewne ślubowanie...

- To bardzo nierozważne - wtrącił gospodarz.

- Może. Ale zdarzyło się. Czy możesz mi nie przerywać? Nie lub tego. Jak zresztą...

- ... każdego chamstwa - dokończył pustelnik - Skądś to znam.

- Właśnie. Słuchaj więc. Ślubowałem tak długo wstrzymać się od kiebiecego ciała, aż wytropię i pokonam stworzenie naprawdę i do imentu złe, taką esencje zła...

- Co za idiotyczny pomysł! - nie wytrzymał pustelnik.

- Tak?! - zaperzył się rycerz. - To spróbuj wymyślić w naszych czasach coś oryginalnego! Co lepsze i łatwiejsze ślubowania wytarte już jak gacie knechta. Graala może miałem poszukać?

Pustelnik obrzucił go przenikliwym spojrzeniem.

- Byłoby łatwiej...

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Później, panie, później... Mówcie dalej.

- Jako takową esencję astrolog królewski wskazał smoki, złe i przwrotne, a przy tym przystępne ludzkiej mocy. Tak więc stanęło, iż smoka łeb lubo żywą poczwarę wybrance ofiaruję. Com się zjeździł, ilem zniósł nim powiedziano mi jak smoka odszukać, jakie warunki wypełnić i zanim pokierowano mnie do ciebie opiekunie smoczy...

- Glejt książęcy na polowania macie? - przerwał mu pustelnik - Boś na kłusowanie nie zezwolę.

- Oto jest - rycerz podał pergamin opatrzony wielką pieczęcią. Pustelnik przebiegł go szybko oczami.

- Oplata wniesiona?

Sir Edward wydobył bez słowa drugi dokument. Pustelnik otworze szeroko oczy.

- Zwolnienie z płatności? Ho, ho, musicie mieć, panie, możnych protektorów.

Sir Edward uśmiechnął się skromnie.

- To nieistotne. Ważne, bym poczwarę ubił, jako że okrutnie zaczyni mi doskwierać moje ślubowanie.

- Oj, obawiam się, że przyjdzie wam zostać zakonnikiem.

- Co?! Co powiedziałaś?!

- Że przyjdzie wam zostać...

- Słyszałem! Chcę wiedzieć, dlaczego?

- Oszukano was. Smoki bez wątpliwości żadnej wrednymi nad wyraz stworzeniami są, ale jako uczynione przez Boga, nijak esencją zła być nie mogą.

- Jakże to?!

- Na ostatnim soborze w Lateranie biskupi orzekli, iż nawet diabeł czy inne demony, w tym i smoki, stworzeni zostali podług natury dobrymi i stali się źli sami przez się. Tak i diabła samego nie lza nazwać sencją zła, jak widzicie.

- Inaczej mi gadał astrolog! - rzekł groźnie rycerz. - Jemu wierzę, nie tobie. Smoka chcę!

- Smok wam nie pomoże, padliście ofiarą...

- Pomoże! Smoka chcę!
- Wierzajcie mi...
- Smoka!!! - ryknął sir Edward
- Aleście uparci, panie. Jak widzę nic was nie odwiedzie od zamiaru?
- Nie! Baby... Tfu! Smoka mi trza! A porządnego!

- Jak chcecie, nie będę się więcej sprzeciwiał. Musicie się widać przekonać sami. Wyboru wielkiego nie ma, jako że smoków coraz to mniej, ile coś tam dla was znajdę. Jest tu, i owszem, w okolicy smok jeden nazwiskiem Horynycz...

Rycerz zmarszczył brwi.

- Horynycz? - zapytał nieufnie. - Czy to brytyjskie nazwisko?

- Nie, to imigrant. U nas już od dawna słaba koniunktura na rodzimym rynku, choćby dlatego, że zmniejszono dotacje z uwagi na wyprawy krzyżowe pustoszące skarbiec, a i ludzie zaczęli bardziej garnąć się do handlu czy bankowości, przestają lubić ryzyko. Zresztą nasze smoki zaraz chcą zamek na pomieszkanie dostać, parę wsi, dziewic, regularnych podwyżek, dodatku szkodliwego. A z zagranicy zdarzają się znakomici fachowcy, tani, przy tym nie grymaśni. Choć i tych przymało...

- Nie ważne - machnął ręką sir Edward - a ten, jak mu tam...

- Horynycz. Pochodzi z dalekiego kraju, nieznanego i dzikiej Rusi.

- Właśnie. Zły on chociaż?

- To bestia! - wykrzyknął pustelnik. - Potwór straszliwy, dyplomowany. Odebrał najlepsze wykształcenie, wie wszystko co wredny smok wiedzieć powinien, a nawet więcej. Oczywiście, jeśli ten was nie zadawała, mogę polecić innego, ale trzeba do niego przeprowadzić się przez góry. To też gasterbaiter, tyle że z Bliskiego Wschodu, niejaki Mustafa ibn Dżinn, naprawdę paskudna postać. Przykulał się swego czasu za królem Ryszardem z Ziemi Świętej.

Sir Edward westchnął.

- Niech już będzie ten Rusek, skoro do niego najbliżej.

- Słuszny wybór, panie, jednak pozwólcie sobie zwrócić uwagę, że naprawdę na niewiele wam się to zda, bowiem, jak już mówiłem...

- Zamilcz - warknął rycerz. - Wiem ja co jest na rzeczy nie chce ci się szukać nowego smoka, gdy tego ubiję! Leń z ciebie. Jakoweś podejrzone eksperymenty robić wolisz, niż to, za co ci płacą!

Pustelnik wzruszył ramionami. "Czekaj ciołku" mruknął cichutko pod nosem i zanim rycerz zdążył się oburzyć, powiedział głośno:

- Wiecie, że glejt opiewa na jedno polowanie?
- Przecież, że wiem! Wyraźnie to tam napisano.

- Umiecie czytać - zdziwił się opiekun smoków. Sir Edward obraził się.
- Skąd ci przychodzą do głowy takie głupoty, prostaku? Jestem porządnym i uczciwym wojem. Nie przystoi mi znać tego, co jeno klechom i łykom dozwolone. Przy nie ów glejt sporządzono i odczytano.

- Wybaczcie, panie, moje niewczesne podejrzenia, ale świat się zmienia.
- Jeszcze, aż tak nie zwariował!
- Wybaczcie zatem. Wracając do sedna sprawy, wiecie, że drugiego zezwolenia nie otrzymacie. Edykt królewski z...
- Wiem, wiem. Jeden rycerz może otrzymać tylko jedno pozwolenie w życiu. Jeśli mi się nie uda, z pewnością nie będzie to już ważne. Nie dla trupa.
- Jednak moim obowiązkiem jest zaznajomić was ze wszystkimi aspektami...
- Gdzie ten smok, pustelniku?! Wskaż mi drogę i diabli z tobą i twoimi przestrogi! Nie ma zamiaru tego wysłuchiwać.
- Jak sobie chcecie...

* * *

Na kamieniu, przed pieczarą bardzo podobną do tej, którą zamieszkiwał pustelnik wygrzewał się niepozorny, łysawy człowieczek w podniszczonej mocno opończy.

Kiedy sir Edward podjechał bliżej, człowieczek otworzy oczy.
- Witajcie, wielmożny panie. Szukacie kogoś, jeśli wolno spytać?
Sir Edward odchrząknął.
- Smoka Horynycza.
- Słucham.
- Smoka Horynycza! - powtórzył głośniejszym głosem, myśląc, że rozmówca nie dosłyszał.
- Słucham zatem.
- Jak to słucham?! - sir Edward odniósł wrażenie, że ktoś tutaj czegoś nie rozumie.
Niekoniecznie łysy.
- Posłuchajcie, panie, chcecie gadać z Horynyczem?
- Nie inaczej.
- Więc słucham!
- Chcesz mi wmówić, że to ty, łgarzu?! - wściekł się rycerz
- Nie jestem żadnym łgarzem, wielmożny! Nazywam się Siepan Iwanowicz Horynycz, smok dyplomowany.

- Ale ja chcę się spotkać ze smokiem, nie z człowiekiem!
- Jestem smokiem.

- Nie!

- Mam pokazać bakalaureat?

Sir Edward wstydził się przyznać, że nie wie, co to jest ten bakalaureat. Pewnie znowu jakiś iabelski wymysł!

- Ale smok powinien być wielkim jaszczurem z pazurami lwa, ogonem węża i skrzydłami orła!

- I właśnie tak wygląda. Tyle, że wolę obecną postać. Jest o wiele wygodniejsza.

- Smoki nie potrafią zmieniać postaci!

- Potrafią - Horynycz był bardzo spokojny.

- Nie potrafią!

- Potrafią.

- Nie!

- Zapewniam, że potrafią!

- To pokaż!

- Nie chce mi się - samozwańczy smok ziewnął.

Sir Edward nie zdzierzył. W normalnych okolicznościach zachowałby się niewątpliwie z o wiele większą wstrzeźliwością, jednak okoliczności niezmiernie trudno można by było uznać za normalne. Wściekłość spowodowana przekonaniem, że próbuje się go oszukać i zbyć byle czym połączone ze stanem ciągłego rozdrażnienia wywołanym ścisłym dotrzymywaniem warunków ślubowania, pozbawiły go rozsądku. Zeskoczył z kulbaki, podbiegł do Horynycza i chwycił go za gardło.

- Gadaj, gdzie jest smok, albo cię uduszę. Człowieczek wił się w uścisku, charczał, twarz mu siniała, a sir Edward zaciskał palce.

- Gadaj! - nie zważał, że Horynycz, któremu oczy wylazły na wierzch, nic nie może powiezieć, choćby nawet chciał.

Nagle błysnęło, zagrzało, a rycerz poczuł jak jego żelazny chwyt rozgina niesamowita siła, jakby kark ofiary błyskawicznie zmieniał się w gruby pień drzewa. Coś pchnęło go w pierś z taką mocą, że upadł na plecy z chrzęstem kolczugi.

Spojrzał w górę i zbladł. Nad nim stała olbrzymia poczwara o kadłubie i pysku jaszczurzym, łapach zakończonych ostrymi pazurami, upierzonych skrzydłach i węzowym ogonie zamiatającym wściekle po skałach. Smok pochylił łeb, buchnął dymem z nozdrzy.

Sir Edward zemdlął.

Otworzył oczy. Zamiast potwornego pyska ujrzał pochylającą się nad nim twarz opiekuna smoków.

- Dobrze się czujecie, panie?

- Gdzie smok?! - zerwał się na równe nogi.

- Tam gdzie jego miejsce. Przyniósł was i wrócił na posterunek.

Sir Edward odetchnął z ulgą.

- Co to za potwór!

- Chciałem was ostrzec, ale nie słuchaliście...

- A do tego udaje zwykłego człowieka!

- Tkacie, wielmożny panie, złudzenia zasłaniające świat i was samego. Uważajcie, żeby ta zasłona nie stała się kokonem, który w końcu spowije was.

Rycerz słuchał z otwartymi ustami.

- Choryś - stwierdził. - Wapory od tego śmierdziucha w kotle pomieszały ci rozum!

- Nie myślałem nawet, że zrozumiecie - pustelnik machnął ręką - ale liczyłem na to, że chociaż spróbujecie.

- Próbujesz mnie obrazić?! - sir Edward najwyraźniej wracał do formy.

- Gdzieżbym śmiał - odparł pokornie gospodarz. - Tak dzielnego rycerza?

- Jesteś bezczelny - zauważył bez złości sir Edward. - Nad wyraz bezczelny.

Pustelnik uśmiechnął się lekko.

- Lepiej zastanówcie się, panie, co zrobić z dalszym życiem.

Sir Edward dopiero teraz zdał sobie sprawę z mizerności swojego położenia. Smok zrobił mu największe świństwo na jakie było go stać pozostawił go przy życiu bez możliwości wypełnienia ślubowania. Mnichem mu zostać, oskopić się przyjdzie, nie do ludzi wracać! Poczł jak do oczu napływają mu łzy upokorzenia i żalu.

- O ja nieszczęsny! - wykrzyknął. - Do zakonu li eremu mi iść, wodę źródlaną złopać miast ukochanego burtońskiego Pale Ale! Dziewki mi już hożej nie zaznać ni kurwy tknąć najostatniejszej bez utraty czci! O! Prawicą co najwyżej własną się kontentować - ponuro przypatrzył się swojej potężnej dłoni - o ja nieszczęsny!

Pustelnik z niesmakiem obserwował ten wybuch rozpacz.

- Lamentujecie jak baba! - rzucił ostro. - To nie przystoi wojownikowi. Zawsze można znaleźć jakieś wyjście, tylko się opanujecie.

Sir Edward usłuchał. Zimny ton głosu opiekuna smoków nieco go stropił i zmiętył. Spojrzał na pustelnika z nieśmiałą nadzieją. Ten skinął z aprobatą.

- Tak lepiej. Posłuchajcie uważnie, wielmożny. Bez wypełnienia ślubu wracać do dom czy między ludzi nijak, a ślubu nie jesteście w stanie wypełnić, tak?

Sir Edward kiwnął głową

- Jak łatwo domyślić się za waszych słów mnichem czy eremita zostać zbytejnie nie macie chęci?

Rycerz potwierdził energicznie.

- Jako woj jesteście skończeni.

Sir Edward bez słowa chwycił się za głowę.

- Mam zatem dla was propozycję. Smok jeden będący pod moją kuratelą, Willibald z Yorku, przechodzi niebawem na wyraj z racji wieku. Okazja jest wyborna, gdyż zamieszkuje on ładny całkiem zamek w zdrowej okolicy, lud tam spokojny, do bestii zwyczajny, ziemie żyzne...

Rycerz zaniepokoił się.

- Do czego zmierzasz?

- Zostańcie smokiem w miejsce Willibalda.

Sir Edward wytrzeszczył oczy.

- CO?! Czym mam zostać?

- Smokiem. Kiedy przestaniecie być człowiekiem, zwolni to was z wypełnienia zobowiązań podjętych jako osoba ludzka, zgodnie z ustawą królewską. Będziecie mogli żyć w miarę spokojnie, jeśli przyjdzie wam chęć, znajdzie się i okazja do bitki. Jestem nawet gotów pójść wam na rękę i ustalić dla was kontyngent dziewic.

- Wolę mężatki - poprawił odruchowo rycerz. - Bardziej doświadczone.

- Na mężatki Kościół nie wyrazi zgody - zmarszczył się pustelnik. Po chwili jednak rozpozgodził twarz - Ale istnieje wszak jedno wyjście - wdowy. Bardzo z zasady doświadczone, a i chętne zazwyczaj więcej jak inne niewiasty.

- Byle nie za stare...- sir Edward zamilkł gwałtownie, zdając sobie nagle sprawę, że zaczyna brać propozycję pustelnika zupełnie poważnie.

Opiekun smoków zachęcał dalej:

- Co się tyczy spyży, dostaniecie jej od chłopów tyle, ile wam będzie potrzeba. A i piwo wam dostarczą wedle życzenia. Może nie burtońskie Ale, ale zapewniam, że przedniej jakości.

Rycerz łamał się w sobie, przeżuwał decyzję.

- Musicie zdać sobie sprawę, że wyboru nie macie wielkiego - klasztor czy erem - by ludzie o was zapomnieli, życie w niesławie z dala od kochanek i przyjaciół lub całkiem wygodna egzystencja
smoka.

To przeważało. Sir Edward podjął decyzję.

- A jak mam zostać tym smokiem? - zaniepokoił się jeszcze troszkę.

- Wystarczy wyrazić zgodę.

- Tak po prostu i nic więcej?

- Tak po prostu. A na przyuczenie pójdziecie od razu do Willibalda, to znakomity pedagog. Z uprawnieniami nauczyciela akademickiego, więc zaliczycie studia zaocznie. Macie szczęście, panie...

opowiadanie ukazało się w Fenixie nr 9 (88) 1999 r.

ŻMIJA NA ŚPIĄCO

Jakże żałośnie wyglądał leżąc na środku drogi, wstrząsany ni to dreszczami, ni paroksyzmami urywanego oddechu, jaki wydają płuca pośród beznadziejnego szlochu. Prezentował się wręcz niesmacznie.

Książę w pierwszej chwili chciał go ominąć szerokim łukiem, jednakże zaraz odezwało się sumienie, przypominając przypowieść o dobrym Samarytaninie.

- Stać!

Orszak zatrzymał się posłusznie, a zaniepokojony ochmistrz przyklusował natychmiast. Był równie tłusty jak chabeta, której dosiadał. Obrzucił wzrokiem skulonego na ziemi nieszczęśnika.

- Panie - rzekł zgorszony - nie chcesz chyba znowu zajmować się kimś takim jak ten tutaj. Ów zewłok nie jest godzien jednego zmarszczenia twych brwi, a cóż dopiero głębszego zainteresowania!

- Zamilknij, człeku małej wiary, albowiem oto postanowiłem spełnić dobry uczynek i niech mnie diabli porwą, jeżeli tego poniecham.

Ochmistrz wzruszył ramionami i się wycofał.

- Książę będzie spełniał dobry uczynek! - oznajmił. - Szykuje się dłuższy popas.

Kucharz zaczął niezwłocznie rozkładać swoje sprzęty mruczając niechętnie pod nosem.

- Wszystko wytworne jedzenie zmarnuje się na tych wędrownych żebraków. Co i raz któryś na drogę wyłazi, kiedy tylko wieść się rozejdzie, że jego wysokość Kalikst Bury z zamku wyruszył...

Tymczasem książę zlął z konia i podszedł do skulonej na drodze postaci.

- Wstań już, człecze nieszczęśny - rzekł. - Dziś twój pusty brzuch napelni się jadłem, o jakim zapewne nigdy nawet nie śniłeś.

Leżący podniósł głowę. Błysnęły załzawione małe oczka osadzone nieoczekiwanie blisko siebie w szczupłej, by nie rzec chudej, twarzy.

- O, wielki majestacie! - zawołał rzucając się do kolan Kaliksta. - Nie jestem ja zwykłym żebrakiem, za jakiego mnie bierzesz, ani też mi w głowie frykasy twojego kuch ty! Mam zmartwienie o wiele większe, niżli mogłaby naprawić twoją lub czyjakolwiek inną niezmierną łaskawość dla nieszczęsnego, znękanego życiem i złym losem robaka! Przy nim ontologiczna pustka naaseńskich rozważań zdaje się źródłem bogatym i ożywym niczym oaza pośród pustynnych skał.

Książę chrząknął niepewnie. Wypowiedź nędzarza zdała mu się zawila, a pod koniec wręcz niezrozumiała, uznał jednak, że nie wypada się z tym odkrywać.

- A cóż to, jakaś tragedia cię spotkała?

- Nie mnie, wasza wysokość, nie mnie! O, bodaj to na mnie właśnie spadły wszystkie plagi egipskie wraz z nie szczęściami hiobowymi! Bodaj to mnie Pan nasz naznaczył piętnem szaleństwa, a oszczędził to cudowne dziecię, sikorkę umiłowaną, źrenicę w oku wiernych poddanych!

Ciekawość księcia rosła, w miarę jak obdartus mówił.

- Wstań, mój dobry człowieku, i opowiedz dokładnie, co to za nieszczęście dotknęło istotę, o której mówisz. Ślubowałem ja bowiem, że pierwszą napotkaną uciśnioną dziewicę z okowów wyzwolę.

- Dziewicę, powiadacie panie? - mizerak poskrobał się niepewnie po głowie. - A tak - zakrzyknął - jest ci ona dziewicą... Piękną jako marzenie, czystą jak źródłana woda bijąca ze skały, a dobroci wszelakiej pełną...

- Dobrze już, dobrze, skończ te pienia. Wystarczy. Po wiedz lepiej, kto ona, gdzie ona i któż ją niewoli? Powiodę zaraz mój hufiec przyboczny i pokonam gnębiela! Hej, do mnie tu zaraz, panie Delipacy, szykuj w klin szeregi, a kopie mi tam wpół końskiego ucha!

- Zaraz, książę, nie tak prędko - obszarpaniec położył dłoń na ramieniu Kaliksta. - Zbrojni raczej na nic się nie przydadzą. Tu z magią sprawa!

Rozległy się trąbki, a imć Delipacy stanął w strzemiach wypatrując wroga. Spojrzał pytająco na księcia. Ten machnął ręką.

- Zluzuj waść szyki, fałszywy to alarm! Tobie jak na imię? - zwrócił się do nędzarza. - Nijak mi tak rozmawiać na drodze z nieznanym człekiem.

- Jestem Werner Kusibab - zapytany dumnie podniósł głowę - czarodziej trzeciej kategorii z cenzusem!

- O! - zdumiał się książę. - Czyż twoim krewnym nie jest przypadkiem...

- Jest - przerwał Werner z ponurą miną. - Fortunat Kusibab, dyplomowany mistrz magii. To mój brat. Znają go bodaj wszyscy w tej części świata, a i w innych niezgorzej.

- Lecz twoja szata i twój oplakany stan! Jakże to?

Czyż przystoi magowi łaźić w takich szmatach?

- Niestety - westchnął czarodziej - miałem, owszem, piękne szaty i ciepłą posadkę u króla Konsencjusza Bohuśława, pana pięknego kraju Wygwizdu. Dobrze mi się wiodło - rozmarzył się - oj dobrze... Aż do chwili, gdy na królestwo spadło wielkie nieszczęście. Ukochana córka królewska, cudna Raniona, zakłuła się wrzecionem w pa lec i usnęła...

- Umarła chciałeś rzec - poprawił go Kalikst. - Pewnie nabawiła się tężca, biedactwo. Że też osoby wysokiego urodzenia miewają pociąg do takich plebejskich rozrywek jak przedzenie!

- Usnęła - powtórzył Kusibab z naciskiem - usnęła, nie umarła... Zły czar to sprawił, rzucony zresztą nie przez kogo innego jak kochanicę mego brata, wiedźmę, niejaką Eleonoritę Trzęsimiech! Obraziła się, zgrega, że jej na chrzestną matkę onegdaj nie poprosili. A kto by, wasza łaskawość, taką wredną babę na kumę chciał! Toż nawet brat mój koniec końców od niej uciekł, choć sam niedelikatnego jest gustu i sumienia.

- Cuda opowiadasz, cudenka - szepnął książe. - Mów dalej, mów.

- A co tu mówić? Koniec. Usnęła biedactwo, a wraz z nią wszyscy na zamku i w całej stolicy! Wszyscy!

- A ty? - spytał nieufnie Kalikst. - Ty jakoś nie uległeś czarowi, jak widzę?

- Boli mnie twoja podejrzliwość, książe - zawołał Werner. - Czyżż jednak nie mówiłem, że jestem czarodziejem? Co prawda tylko trzeciej kategorii, ale za to z cenzusem! Kiedy tylko czar zaczął działać i ujrzałem ziewających niepowstrzymanie dworzan, domyśliłem się, że z nieczystą siłą sprawa, pobiegłem zaraz do swej komnaty i zażyłem dekoka. Bóg mi świadkiem, chciałem go zadać i innym, ale było za późno... - A nie mogłeś ich jakoś odczarować?

- O, panie! Com się ja napróbowiał, ilem potu przy retortach przelał... Na nic. Wszystkie bodaj kury w okolicy zjadłem, a w znoju łapać te gadziny musiałem, bowiem one jedne nie pospały się jako stworzenia zbyt głupie, by na nie magia podziałała, wiele więc mi na to czasu schodziło. I nic. Tyleżem przeczytał w pewnej księdze, iż czar zdjąć może jedynie osoba krwi królewskiej lub przynajmniej książęcej, gdy pocałunek na wargach zaklętej nieszczęśnicy złoży.

- Bardzo to zajmujące - na twarzy Kaliksta pojawiły się wypieki. - A jakie też wiano ma owa królowa?

- O, widzę, że bystry z ciebie młodzian, książe. Bystry i zapobiegliwy. Dziedzina królowy, gdy ją kto już wyzwoli, obejmuje całych sto pięćdziesiąt jakosiów... Tak zarządził król, zanim zasnął ostatecznie.

- Jakosiów? - zdumiał się książe. - A cóż to za prze dziwna miara? Co to jest jakoś?

- Nie jakoś, wasza książęca wysokość, ale jakosię.

- Jakosię czy jakoś inaczej, wytłumacz mi, o co chodzi.

Werner Kusibab odchrząknął.

- Otóż kraina Wygwizd daleko stąd leży, prawie na końcu świata, i całkiem inne panują w niej zwyczaje. Takoz i miary inne miewają. A owo jakosię jest to skrót od

„jak okiem sięgnąć” i oznacza, że gdy wdrapiecie się na wieżę wysokości pięćdziesięciu łokci i w dzień pogodny rozejrzycie, wszystko w zasięgu wzroku to jedno jakosię...

Zaś sto pięćdziesiąt jakosiów to będzie... To ogromny szmat ziemi!

- Wszystko, co w zasięgu wzroku, mówisz?

- Nie inaczej.

- To źle - Kalikst podrapał się po głowie.

- Źle? - zdumiał się czarodziej.

- Ano źle. Jestem ja bowiem krótkowidzem i muszę ci powiedzieć, że dla mnie już tamte drzewa - książę wskazał pobliskie zarośla - mocno są rozmazane... Niewielkie więc to będzie wiano... Ze trzy, może cztery włoki...

Zaprawdę niewiele. Może to dobre dla chłopca, ale nie dla dziedzica wysokiej krwi.

- Ależ, książę - zawołał Werner - umówmy się, że to księżniczka patrzyć będzie, a ma ona, zapewniam was, wzrok iście sokoli! Poza tym jej dziedzina dawno została odmierzona i wyznaczona! A po śmierci króla do męża Ramony będzie należał cały Wygwizd!

- Chyba że tak! - ucieszył się Kalikst. - To oczywiście zmienia postać rzeczy.

* * *

- Niepokoi mnie ta cisza - odezwał się Kalikst rozglądając się na boki.

- Wszyscy śpią, to i cicho jest - odparł Kusibab.

- Nie wspominałeś, że to zagórska kraina... Strasznie mnie podróż wymęczyła!

- Mówiłem przecież, że Wygwizd na końcu świata się znajduje. Wicie chyba sami, książę, że krainy takie są zawsze położone w górach albo i zgoła za nimi. Cieszyć się wypada, że nie za siedmioma...

Przy drodze Kalikst dostrzegł duży szkielet dziwnego, kształtu. Wstrząsnął się.

- Czy to szczątki smoka? Nic o smokach nie mówiłeś!

- Ależ, książę! - Werner zerknął spod oka. - Toż to zwykła krowa! Sam ją zjadłem, kiedy kur zabrakło.

Kroiłem ją codziennie po kawałku i nawet się nie prze budziła. Taka jest moc zaklęcia Eleonority Trzęsimiech!

- Strasznie tu - szepnął Kalikst. - Dlaczego w przy pływie szaleństwa zgodził się wyruszyć bez ochrony kawalergardów imię Delipacego?

- Oto i zamek! - przerwał mu ponure rozmyślenia czarodziej. - To w nim znajdziemy królową.

Pomieszczenie, do którego Kusibab zaprowadził księcia było ogromną salą przypominającą kryptę, w której na katafalkach rzędem stały pokryte kurzem trumny. Przedtem przemierzali zamkowe korytarze i komnaty wypełnione tłumem śpiących ludzi. Robiło to niesamowite wrażenie. Z jednej strony Kalikst był coraz bardziej przerażony, ale z drugiej pocieszał się, że przynajmniej czarodziej nie okazał się zwykłym oszustem.

- Jednakże teraz zatrzęsł się z oburzenia.

- Gdzieś ty mnie przyprowadził, marny magiku?! Co to, trupa chcesz mi za żonę naraić? Oj, bo gniew mój po znasz! - chwycił rękojeść rapiera.

Przerażony Kusibab padł na kolana.

- Ależ, panie, racz mnie wysłuchać zanim popełnisz niewybaczalny błąd.

- Mów - warknął Kalikst przykładając mu do gardła sztych broni. Im bardziej był zalekziony, tym większa stawała się chęć zabicia człowieka, który go do tego przerażającego miejsca przyprowadził. Hamowała księcia je dynie myśl, że po śmierci czarodzieja zostałyby zupełnie sam w towarzystwie nieboszczyków. - Mów szybko!

- Sam królewską rodzinę tu ułożyłem, wasza wysokość! Czy zdajesz sobie sprawę, jak miękko wysćielane są trumny koronowanych głów? Czy chcielibyście pojąć za żonę księżniczkę całą posiniaczoną i powygniataną od leżenia latami na zwykłym łożu? To było zresztą jedno z ostatnich życzeń króla przed zaśnięciem.

- Hm - chrząknął niepewnie Kalikst - może masz rację, robaku. Choć cały czas mam wrażenie, że coś kręcisz.

- Ja kręcę?! - wykrzyknął z oburzeniem Kusibab. - Ja kręcę?! Królową chcę mu dać za żonę, a on jeszcze mnie śmie obrażać! - unosił się coraz bardziej. Odtrącił ostrze rapiera i powstał z kolan. - Dobrze, jak sobie chcecie. Ja idę!

- Ależ nie obrażaj się! - Kalikst chwycił czarodzieja za rękę. - Gdzie ta cudowna istota?

- Tam... - Kusibab niedbałym gestem wskazał pierwszą z brzegu trumnę.

- Na co czekasz? Otwieramy!

Urażony Werner wzruszył lekko ramionami, ale podążył za księciem.

Sapiąc i stękając unieśli ciężkie wieko. Księżę wpatrzył się w nieruchomą postać.

- No i jak? - spytał z zadowoleniem czarodziej.

- Jak? - Kalikst zgrzytnął zębami. - Jak?! Ty pytasz jak?! To stare pomarszczone babsko ma być piękną dziewczicą?!

- Jakie stare babsko? Jakie stare babsko?! - Kusibab poczerwieniał ze złości. Naraz wydał się większy i groźniejszy, co zaskoczyło i zdetonowało na chwilę księcia. - Pewnie królowna trochę buzię pogmiotła od poduszki, ot co! A wy zaraz, że stara i pomarszczona!

- Pogmiotła?! Co ty pieprzysz, człowieku?! - wrzasnął Kalikst zapominając o wymogu wytwornego wyrażania się w obliczu koronowanych głów. - Toż to zwyczajnie stara przechodzona raszpla!

- Oj, księżę - rzekł surowo czarodziej - nie wolno tak mówić o jej wysokości! Nadobna to dziewczica, choć nie przeczę, może być i nieco naruszona zębem czasu! Minęło w końcu ładnych parę lat.

- Ona nie jest naruszona zębem czasu! - pienił się Kalikst. - To ona sama może czas zębami gryźć, jeżeli jej w ogóle jeszcze jakieś pozostały! I nie mów mi, że to pudło jest nadobną dziewczicą. Jeżeli nawet jest dziewczicą, to tylko dlatego, że nikt jej nie chciał, nawet pałacowy ko niuch! Może byś tak rzucił na nią okiem, zamiast się ze mną wyklócać!

- Co? - Kusibab zajrzał w końcu do trumny. - Rzeczywiście, stara cholera... Czy to możliwe, żeby upłynęło aż tyle lat...? Zaraz! - palnął się w głowę. - Przecież to nie ta trumna! To jest królowa matka, znaczy twoja przyszła teściowa. Niepiękna, zgadzam się, ale córka do niej w ni czym niepodobna. W babkę się wdała, a ta to była cud urody, że ho, ho! Z najdalszych stron przybywali chętni do jej ręki. Zaraz, zaraz - zamruczał - jak to było? Pierwsza od lewej czy pierwsza od prawej? A może to była druga od lewej...? Albo od prawej?...

- Zdecyduj się wreszcie, człowieku - szturchnął go księżę.

- Wiem, już wiem, to będzie ta! - czarodziej podbiegł do katafalku pośrodku.

- Pierwsza z lewej, pierwsza z prawej - przedrzeźniał go księżę - a w końcu żadna z nich! Swoją drogą, co ich tutaj tak dużo? Mówiłeś, że królowna Ramona jest jedynaczką.

- Bo jest. Tutaj leżą jej ojciec, matka i paru szwa...

Paru bliższych krewnych. Takie było życzenie króla, zanim zasnął.

- Całkiem sporo tych życzeń zdążył mieć przed zaśnięciem - mruknął Kalikst.

- Konsencjusz Bohuśław to bardzo zdecydowany człowiek, wasza miłość - odparł Kusibab. - Jak na króla przystało.

- Dobrze już, otwieraj tę trumnę!

Zgrzytnęło wieko. Werner czujnie, a księżę ze sceptycznym wyrazem twarzy zapatrzyli się w leżącą postać.

- No i co? - sapnął z zadowoleniem Kusibab. - Teraz chyba jesteście w końcu zadowoleni?

- Buzia owszem, nawet ładna - rzucił niedbale Kalikst. - Ale czy wszystko ma na miejscu, zobaczymy, dopiero gdy wstanie.

- No to do dzieła, książę, do dzieła! - zaczął zagrzewać Werner. - Na co jeszcze zwlekać? Całujcie królową, byle gorąco, potem przed ołtarz i do łóżnicy!

- Czekaj, czekaj, mój drogi. To ile, powiadasz, królowa ma tych włości w posagu? Sto pięćdziesiąt jakosiów?

- Nie inaczej!

- A w klejnotach i złocie równowartość pięciu tysięcy grzywien?

- Tak jest, przecież mówiłem! I po śmierci króla Konsencjusza całe państwo Wygwizd będzie twoje!

- No dobrze. - Kalikst pochylił się nad królową i za raz wyprostował. - Zaraz, zaraz, gdzieś tu musi być jakaś zagwozdka.

- Jaka znowu zagwozdka? - jęknął Werner. - Co znowu wymyśliliście? Takiego marudnego księcia w życiu nie spotkałem!

- Trochę to wszystko za łatwe i za proste... Żadnych szczególnych warunków, niebezpieczeństw w sumie nie ma...

- Za łatwo?! - czarodziej złapał się za głowę. - Za łatwo wam?! Może mam tutaj jakiego smoka sprowadzić, żeby było trudniej? Albo stado wściekłych rozbójników?

To da się zrobić, tylko poczekać parę dni!

- A ta czarownica, jak jej tam... Eleo... Eleio...

- Eleonorita Trzęsimiech.

- Właśnie. Czy ona nie będzie się mściła za to, że czar zdejmę?

- Książę - zawołał zrozpaczony Kusibab. - Eleonorita od dawna ma to wszystko w dupie, naprawdę! Zapewniam! Daję słowo! Przysięgam wreszcie! Zajęta jest teraz ciemieniem ludu pewnego państwa na środkowym wschodzie! Została ministrem zdrowia, a to dużo lepsza rozrywka niż jakieś tam czary. Bez użycia magii daje radę rozpieprzyć w drobny mak wszystko, czego się dotknie!

Teraz zdecyduj się wreszcie: albo całujesz, albo idę szukać innego księcia!

- No dobrze już, dobrze.

Kalikst znowu pochylił się nad trumną, lekkim dmuchnięciem rozwiał złote loki królowy, lecz zaraz odskoczył.

- Ona mrygnęła! - zawołał przestraszony.

- Niemożliwe!

- Wyraźnie widziałem!

- Wykluczone!

- O, jeszcze mryga, patrz sam, jak jej oczy pod powie kami tańczą!

- E, książę - rzekł Werner z wyrzutem. - Tak się bać byle drobiazgu... Toż po prostu królowna znalazła się w fazie szybkich ruchów gałek ocznych. No, w fazie snu REM, jak powiadają znający! Czyś nigdy o tym nie słyszał?

- Nie!

- To teraz słyszysz! - zniecierpliwił się Kusibab. - Albo całujesz, albo zamykamy trumnę, bo się jeszcze biedaczka przezięb! Nie czujesz, jaki tu przeciąg? To faza REM. REM! - powtórzył z naciskiem. - Co książę robił w szkole? Spał?

- Dobra - mruknął Kalikst. - Powiedzmy, że jest tak, jak mówisz.

Z wyrazem determinacji na twarzy pochylił się nad trumną i złożył na wargach królowny pocałunek.

- Poznajcie się - rzekł po chwili Kusibab - królowna Ramona Bohusławówna, książę Kalikst Bury, bogacz nad bogacze.

„W tym miejscu zwykle kończą się bajki” - pomyślał książę - „a bohaterowie żyją długo i szczęśliwie. Ciekawe zaś, co mi przyniesie życie?”

Życie zaś odezwało się aksamitnym głosem króla Konsencjusza:

- To ten? Mizerny jakiś. No cóż - westchnienie - w moim położeniu, niestety, zięcia się nie wybiera. Spiszemy intercyzę i do ołtarza.

- Wiesz, mój drogi... - Kalikst z braku lepszego towarzystwa zwierzał się Wernerowi.

- Mam wrażenie, że królowna mnie nie kocha...

- A czy ty ją kochasz, książę?

- Może nieszczególnie, ale w końcu to ja ją uratowałem, nie? Jakieś uczucie powinna mi chyba okazywać.

- E, tam - Kusibab machnął ręką - też jest się czym przejmować. Uczucia nie ma, to będzie, a nawet jeżeli nie, musisz przyznać, że podniosłeś niepomniernie swój status społeczny zostając faktycznym następcą tronu.

- Nie wiem - zamruczał Kalikst - czy to wielki prestiż być delfinem na takim zadupiu.

- Wiecznie niezadowolony! Wiecznie chciałby czegoś więcej! Ma państwo, ma królownę, piękną na dodatek, i narzeka!

- Kiedy ona mnie nie kocha!

- Posłuchajcie, książę! Opowiadał mi onegdaj znajomek, ochmistrz zatrudniony na dworze pewnego możnego pana imieniem Zygfyrd baron Dreck von Dorf. Wielkiej romantyczności był to pan, jak to u tamtejszej szlachty bywa. Pewnego dnia przybył do niego

posłaniec z wieściami o tragicznych losach księżnej wdowy, niejakiej Marii Aleksandrowny. Niech cię nie zmyli określenie księżna wdowa. Młódka to była, którą ojciec wbrew woli wydał za niejakiego Wiję, paskudnego wróża z dalekiej Syberii.

Ten, w noc poślubną impotentem się okazawszy, z wściekłości zaklęcie na żonę rzucił, tak że od wschodu do zachodu słońca była dawną piękną dziewczyną, a od zachodu do wschodu koszmarną wiedźmą. To, trzeba ci wiedzieć, dość często stosowane przez złych czarodziejów zaklęcie.

Tak czy siak, Wij uwięził żonę w wysokiej wieży, a sam wyruszył w daleką podróż. Dość powiedzieć, że ubili go jacyś Tatarzy czy insza dzika nacja, gdy wśród nich swoich sztuczek zaczął próbować. Maria Aleksandrowna zaś pod silną strażą zastępu ożywionych trupów utkwiała w rzeczonyj niedostępnej wieży. Baron Zygryd usłyszawszy to wszystko, nie mieszkając wyruszył, sprawy swej dziedziny młodszemu bratu pozostawiając. Naczytał się nieszczęśnik opowieści o królu Arturze i postanowił wpierym uwolnić uciemioną, by potem odczarować ją mocą miłości. Wrócił po niedługim dość czasie zły jak wszyscy diabli wraz z narzeczoną, także okrutnie wściekłą. Paskudna była, powiadam ci książę, jak kupa nosorożca! I podobnie pachniała.

- Nie udało się jej odczarować? Pocałował ją i nic?

Może to nie był prawdziwy arystokrata?

Kusibab spojrział ironicznie.

- Ależ był to rasowy arystokrata! Był tak rasowy, że cierpiał na skrofuły mimo młodego wieku! Po prostu nie przewidział, że ruskie czary działać mogą nieco inaczej!

Oni tam niczego nie potrafią zrobić jak należy. Owszem, Marię Aleksandrownę pocałował, tyle że w dzień, kiedy była piękną kobietą. Zresztą nie tylko ją pocałował.

W trakcie tego „nie tylko” huknęło, błysnęło i księżna zmieniła się w to, czym bywała po nocach.

- To straszne!

- O! Było o wiele gorzej, niż przypuszczasz. Bo fazy się zamieniły! To znaczy księżna stawała się teraz piękna po zachodzie słońca, co nie byłoby takie złe względem po życia, ale czar, jak zaraza jakaś, udzielił się baronowi, który z kolei nocą stawał się podobny do mumii swojego dziada, a widok ten, zapewniam, może przyprawić o mdłości! Najgorsze zaś było to, że naprawdę się w sobie zakochali! Tyle że on nie mógł na nią patrzeć w dzień, a ona na niego w nocy. Ich pożycie ograniczało się do krótkiej chwili tuż przed wschodem lub zachodem słońca, kiedy przez kilka sekund oboje wyglądali mniej więcej normalnie. Wyobrażasz sobie, jaki szybki królik musiał im zastąpić czułe uściski i długie upojne noce? A

na dodatek brat barona, korzystając z zamieszania, wydziedziczył Zygfyryda, co było oczywiście do przewidzenia.

- No dobrze - zreflektował się Kalikst. - Ale po co mi to opowiadasz?

- Żebyś, drogi książę, zobaczył, iż są większe nie szczęścia niż obojętność ze strony przyszłej żony. Zresztą czeka was noc poślubna. Jeśli się spiszesz lepiej niż nie sławnej pamięci Wij, masz duże szanse. Takie już są te córki wysokich rodów. Niby wychowane skromnie, ale w istocie rzeczy wyuzdane i skłonne do perwersji. Nie inna jest i Ramona. Zresztą czym się przejmujesz? Widziałeś fraucymer? Zauważyłeś, jakie tam chodzą sztuki? A wszystkie chętne do spełniania zachcianek przyszłego monarchy...

- No wiesz! - zwołał oburzony książę. - Tak się nie godzi.

- Wiem, wiem - mruknął Kusibab. - Tak się nie godzi, ale wszyscy tak robią. A teraz wybacz, mój panie, ale muszę się zbierać w drogę, by zatwierdzić u głowy kościoła waszą intercyzę.

W panującym podczas uczyty weselnej zamieszaniu nikt nie dostrzegł niepozornego człowieka aż do chwili, kiedy pociągnął za rękaw króla Konsencjusza.

- Przepraszam, że przeszkadzam, wasza wysokość?

Czy jest może tak, że być może możemy porozmawiać naszej sprawie? Czy już, czy też może jeszcze nie już?

Miał akcent, który obudził w głowie Kaliksta pewne skojarzenia. Identycznie mówił bankier, od którego świętej pamięci ojciec pożyczał pieniądze. Zresztą ten był bardzo podobny do tamtego i z twarzy, i z postaci, i z ubioru, i z długich, mocno skrzyconych pejsów wymykających się spod kapelusza.

Król zmarszczył brwi, lekko poczerwieniał. Zdawało się, że za chwilę wezwie strażę, żeby wtrąciły do lochu natręta, ale się opanował.

- Nie widzisz, człowieku - odpowiedział głosem nabrzmiałym złością - że mamy tu dzisiaj wielką uroczystość?

- Ajajaj - zawołał przybysz - a czyż mnie matka moja ukochana za ślepego na świat wydała, żebym tego nie dostrzegł? Widzę wszak, że zabawa jak się patrzy. Ale starego Izaaka nikt na nią nie zaprosił, więc przyszedł sam, przy nadziei będąc, że łaskawość królewska winna być tym większa, gdy jego radość jako kwiat zakwita, a i pamięć ożywia się jak...

- Później - mruknął Konsencjusz. - Moja pamięć ożywi się, ale później. Wiesz chyba...

- Jednakowoż...

- Dość tego! - zirytował się monarcha. - Wyrzucić go za bramę i nie wpuszczać na zamek! Przynajmniej do jutra rana - dodał łagodniej.

Strażnicy wywlekli opierającego się człowieka.

- Nie chcę się wtrącać - powiedział Kalikst - ale w moim kraju za podobną bezczelność ten człowiek zawisłby niechybnie na rynkowym szafocie.

- A u nas nie - odparł chłodno Konsencjusz Bohusław.

- Inne zgoła mamy obyczaje, jak widać.

- O właśnie, a propos obyczajów - książę rozejrzał się po sali - dlaczego nie widzę tutaj żadnego z owych krewnych, którzy wraz z tobą, moja żono, i rodzicami twymi spoczywali byli w krypcie? Podobno to bliska rodzina, godziłoby się więc...

- Strasznie dociekliwy - mruknęła niechętnie Ramo na, lecz zaraz uśmiechnęła się z przymusem. - Strasznie masz żywą ciekawość - rzekła uprzejmie. - Są panowie owi, i owszem, naszymi dość bliskimi krewnymi, ale taki mi, których trzeba trzymać zarazem przy sobie i z dala od siebie.

- Ach, rozumiem - rozjaśnił się Kalikst - pretendenci do tronu? To dlatego mieli takie ponure miny, kiedy się budzili? A może mieli też coś wspólnego z rzuceniem uroku?

- Tego im się nie da udowodnić, niestety.

- A ten, który krzyczał do mnie, żebym się strzegł?

- Czego - westchnęła ciężko Ramona - czego można spodziewać się po ludziach takiego pokroju?

- Rzeczywiście.

Kalikst zamyślił się. Dziwne zaiste mieli miny ci nieszczęśnicy wyłazący ze swoich leży i zaraz pod ścisłą strażą wyprowadzani z komnaty. Nie wyglądali na knujących skrycie uzurpatorów. Ale jak w ogóle wyglądają skrycie knujący uzurpatorzy? Może właśnie tak jak tamci - są smutni, ponurzy i bezradni?

* * *

Ogrody królewskie były wspaniałe. Nieznane Kalikstowi rośliny upajały pomieszaną wonią, która odurzała ciało i zarazem pobudzała zmysły. Po wspaniałej nocy poślubnej czuł się rozkosznie zmęczony, choć nie dawała mu spokoju pewna sprawa.

- Miła moja - odezwał się do Ramony, która złożyła kształtną główkę na jego ramieniu - czy ty aby na pewno byłaś... no wiesz...

- Dziewicą? - spytała leniwie. - Ależ oczywiście, jak możesz o to pytać?

- Bo tak jakoś dziwnie... Ani krew, ani nic...

Poderwała się, z jej modrych oczu trysnęły iskry oburzenia.

- A ileż to dziewic miałeś przede mną, że taki z ciebie znawca, co?

- Ano... - książę z wysiłkiem zmarszczył czoło.

No tak, racja.

Starej piastunki jakoś nie mógł zaliczyć w poczet nietykalnych niewiast, a więcej podbojów miłosnych nie pamiętał.

- Po prawdzie to żadnej - przyznał niechętnie.

- Widzisz! Dlaczego więc upokarzasz mnie podejrzeniami? - ukryła twarz w dłoniach i się rozplakała.

Zaczął ją przeproszać. Z początku boczyła się, odwracała do niego plecami, ale rychło sprzeczka przerodziła się w o wiele bardziej interesujący i przyjemny rodzaj kontaktów, jakie występują między dwiema osobami przeciwnych płci. Kalikst poczuł w sobie na nowo ową moc, która pozwoliła mu dokonać tej nocy wielu wyczynów godnych dojrzałego męża. Królowa również nie wyglądała na zmartwioną rozwojem spraw. Zrobiło się szalenie przyjemnie, a zacieniona altana wydała się bezpieczną twierdzą.

Lecz właśnie w chwili, kiedy zaczęło być naprawdę ciekawie, rozległo się chrząknięcie. Kalikst jak oparzony odskoczył od królowy, a ona zapłonęła rumieńcem zakrywając dłońmi obnażoną pierś.

- Ja bardzo przepraszam, że przeszkadzam - rozległ się przymilny głos - ale ja szukam i szukam, i odnaleźć nie mogę. Zupełnie jak niejaki Lopek Lipszyc, którego włazł był w pijanym widzie na muzułmański cmentarz i szukał grobu szwagra swego, tyż z Lipszyców, tyle że...

- Czego chcesz? - warknął groźnie Kalikst i jął się do boku, zapominając, iż rapier zostawił w sypialni. - Wynoś się, bo psami wyszczuć każę.

- Czego chcesz? - zapytała równocześnie Ramona.

- O, sama królewska córka - ucieszył się Izaak nie zwracając uwagi na pogróżki księcia. - Szukałem co prawda najmiłościwiej nam panującego króla, ale spytać mogę i ciebie, śliczna pani. Czy może to już...?

- Widzisz chyba, że nie! - odparła poirytowana Ramona. - Jak będzie już, ojciec pośle po ciebie!

- A czy uczony Werner wyruszył w drogę?

- Co ci do tego, parchu?! - krzyknął książę.

- Ja tylko dbam o swoje interesa - odparł Izaak. - A zapytać nic wszak nie kosztuje.

- Wyruszył - odpowiedziała królowa. - I pewnie niebawem wróci i przywiezie ze sobą co trzeba.

- W takim razie przepraszam i żegnam się z szacunkiem.

- O co chodzi? - Kalikst był bardziej zdumiony niż rozdrażniony. - Czego chce ten Żyd i dlaczego tak uprzejmie z nim rozmawiasz?

Królowna wzruszyła ramionami.

- Tatko ma z nim swoje sprawy. On jest dla niego miły, więc i ja nie widzę powodu, żeby traktować go inaczej.

„Cóż za dziwny kraj ten Wygwizd, pomyślał książe, zaprawdę dziwny...”

* * *

Tradycja korzystania ze wspólnych łaźni przypadła księciu do gustu. Nie bardzo, co prawda, rozumiał sens pławienia się w wodzie częściej niż raz w miesiącu - w jego ojczystych stronach uznane by to zostało za ciężki grzech i wielką rozrzutność - ale za to mógł przynajmniej do woli napatrzeć się wdzięków dam dworu. Nie zawsze zresztą musiało kończyć się tylko na patrzeniu. Tego dnia jednak królowna wyraziła chęć udania się wraz z nim do przybytku czystości.

- Będzie miło - rzekła tajemniczo. - Zostaniemy tylko we dwoje. Możemy tam swobodnie porozmawiać i...

A teraz siedziała naprzeciwko niego wabiąc wspaniałym ciałem o gładkiej brzoskwiniowej skórze, zarumienionej czy to od gorącości zewnętrznej, czyli też tej płynącej z głębi łądzwi. Kalikst z dumą obserwował swą podnoszącą się męskość. Powoli, jak lis skradający się do kurnika, zaczął iść w stronę ukochanej. Znienacka skoczył i chwycił ją w objęcia. Ramona krzyknęła przestraszona, machnęła nogą strącając pełen wody sagan na kamienie paleniska. Wszystko pograżyło się w mlecznym oparze. Przez jakiś czas dochodziły z niego jedynie rozkoszne pomruki.

- Kiedy wyruszymy wreszcie do mojego kraju? - zapytał Kalikst po wszystkim. - Powinienem pokazać swoim poddanym ich nową panią.

- Kiedy tylko nasza intercyza zostanie potwierdzona przez najwyższego biskupa.

- Ach, prawda! Z tą sprawą wyruszył jeszcze przed zaślubinami Werner Kusibab!

- Właśnie. A do tego czasu nie musimy się nudzić - królowna kusząco poruszyła biodrami.

Kalikst znowu poczuł ogarniającą go żądzę. Nieco zdziwiony własną jurnością spojrzął pytająco w dół. Najwyraźniej znowu był gotów.

- Do dzieła, mój rumaku! - zawołał, a Ramona gościnnie-rozwarła uda.

- Ja bardzo przepraszam, że przeszkadzam - rozległ się tuż przy uchu księcia koszmarnie znajomy głos. - Ja przyszedłem się zapytać, czy to już, czy jeszcze nie już...

Kalixst rzucił do tyłu niedowierzające spojrzenie. Pochylała się nad nimi znajoma brodata twarz. Poderwał się jak oparzony.

- Nie! - krzyknął wyręczając królową. - Jeszcze nie już, cokolwiek miałyby to znaczyć! Jak będzie już, król Konsencjusz Bohuślaw cię niechybnie powiadomi. Królowa Cecylia na pewno cię powiadomi! Królowa Ramona cię powiadomi! Nawet kocur kuchenny cię powiadomi! Ja cię, do kurwy nędzy, powiadomię, choć Bóg mi świadkiem, że nie wiem o czym. Tylko się od nas już odczep!

Przestań wciąż nachodzić! Dnia nie ma, żeby nie słyszał twojego „Przepraszam, że przeszkadzam, ale czy już?” Ja przysięgam, że od tego oszaleję - rzekł groźnie. - A kiedy oszaleję, to rozerwę cię na sztuki gołymi rękami!

Chwycił przybysza za chałat. A raczej chciał chwycić, - bo okazało się, że Izaak jest ubrany jedynie w jarmułkę. Z braku lepszego punktu zaczepienia książkę złapał go za brodę.

- Wynoś się natychmiast! Won mi, parchu, i żeby cię więcej nie widział - targał głową Żyda na wszystkie strony. - Nie dalej niż wczoraj przylazłeś na obiad cuchnąc czosnkiem i kolendrą, a trzeba ci wiedzieć, że obu tych woni nie znoszę! Kilka dni wcześniej wlałeś, gdyśmy z księżniczką spacerowali ważne sprawy omawiając! - puścił brodę Izaaka, wytarł rękę w pośladek. - Naszedłem cię nawet we własnym wychodzie! Niedługo znajdziemy cię w małżeńskiej łóżnicy, gdy udamy się na spoczynek!

Ja, niegodziwcu jeden, zaczynam się już obawiać, że kiedy podniosę pokrywą tacy ze śniadaniem, ujrzę na niej twój łeb, który zapyta mnie „Przepraszam, że przeszkadzam, ale przyszedłem się spytać, czy już?” A w ogóle co to ma być to Już”? O co w tym chodzi?

- Jaśnie pan oczywiście jeszcze nie wie? - spytał Żyd spokojnie.

- Nie wiem, do licha!

- To oznacza, że to rzeczywiście jeszcze nie już. W ta kim razie przepraszam i nie przeszkadzam.

Ramona chlusnęła nową porcją wody na kamienie. Podniosły się kłęby pary, a Izaak rozpląnął się w nich niczym duch, jakby go nigdy w tym miejscu nie było.

- O co on się tak dopytuje? Dowiem się w końcu?

Przywarła do niego całym ciałem.

- Dowiesz się w swoim czasie, kochany - szepnęła. - To jeszcze tajemnica...

- Czy w tę tajemnicę zamieszany jest także ten Żyd?

- Oj tak, zdziwiłbyś się nawet jak bardzo...

- To jakaś niespodzianka dla mnie?

- Tak, tak, można to nazwać niespodzianką.

Nieco uspokojony książę pograżył się w zapomnieniu płynącym gorącą namiętnością z ramion kochanki.

- Pan Werner Kusibab powrócił!

Jesienny poranek leniwie sączył się przez uchylone okno sypialni. Okrzyk z podwórca otrzeźwił nieco zmysły księcia. Ciało budzącej się również Ramony nagle stężało w jego objęciach.

- Co się stało, kochana? - spytał zdziwiony.

- Nic takiego - westchnęła z niezrozumiałym żalem w głosie. - Słyszałeś chyba. Werner Kusibab powrócił.

- To chyba dobrze, prawda?

- Dla kogo dobrze, dla tego dobrze, mój drogi - znowu westchnęła. - A już zdążyłam cię polubić... Trochę mi szkoda.

- Ależ, kochana moja? Skąd ten podły nastrój, po wiedz? Kusibab przywiózł zatwierdzenie intercyzy i tyle, czyż nie?

- Tak, mój mężu - odparła smutno - tyle że dla ciebie to niekoniecznie jest dobra wiadomość. Przyznam, że początkowo irytowałeś mnie swoją naiwnością, tym dziecinnym podejściem do życia, ale tak naprawdę...

- Nie rozumiem. Czy dzisiejszego ranka postanowiłaś wytrącić mnie z równowagi? Co znaczą twoje słowa? Nic z tego nie rozumiem.

- Zrozumiesz już niebawem, Kalikście... Niebawem, zapewniam cię.

W tej chwili drzwi komnaty otworzyły się z wielkim hukiem. Do środka wtargnęło kilkunastu zbrojnych.

- Dokumenty! - warknął dowódca gwardii zbliżając się do łoża.

- Jakie dokumenty? - spytał zdumiony Kalikst.

- Doszły nas słuchy, że podszywasz się pod księcia, niejakiego Kaliksta Burego, oszuście! Dokumenty!

- Przecież nie mam! Jestem księciem, nie potrzebuję...

- W takim razie pan pozwoli z nami!

- Ja stanowczo żądam widzenia się z królem! To jest jakieś koszarne nieporozumienie!

- Tak, tak - odparł niedbale gwardzista. - Koszarne nieporozumienie. To właśnie słyszę za każdym razem.

- O, popatrzcie, nowy szwagier!

To było pierwsze, co nieszczęsny Kalikst usłyszał, kiedy strażnicy wepchnęli go za drzwi. Pomieszczenie było imponującej wielkości, wysoko sklepienie, o dużych oknach, które wpuszczały sporo światła. Niestety, okna te przecinał charakterystyczny wzór. Boże, tak grubych krat Kalikst nie widział w całym swoim życiu! A nie! Właśnie że widział podczas spaceru wokół zamku. Zapytał wtedy króla, dlaczego okna są tak zabezpieczone.

- Widzisz, chłopcze - odparł Konsencjusz - są to po mieszczenia naszego skarbcu. Niektórych wartościowych rzeczy nie możemy trzymać w ciemnych lochach. Trzeba było przystosować część pomieszczeń mieszkalnych...

- Co ja robię w skarbcu? - zdziwił się teraz. - Co wy, panowie, w nim robicie?

Rozejrzał się po twarzach otaczających go mężczyzn. Było ich pięciu... Nie, zaraz - sześciu. Jeden siedział rozparty w fotelu pod oknem. Miał zamknięte oczy i wyglądał, jakby był pogrążony we śnie. Tak, poznał ich! Przecież to oni byli tymi niewygodnymi krewnymi z krypty...

- W skarbcu! - zarechotał ten, który nazwał go szwagrem. - On myśli, że jest w skarbcu! A my co, pewnie jesteśmy brylantowymi koliaми? Przyjacielu, najwyższy czas dowiedzieć się, że to zasrane królestwo nie ma żadnego skarbcu! I to od bardzo dawna! Właśnie dlatego się tu znalazłeś!

Kalikst był oszołomiony.

- Nic nie rozumiem... To wszystko stało się tak nagle.

- Nagle! Co za idiota!

- Daj spokój, Hubercie - odezwał się łagodny głos. To mówił mężczyzna spod okna. Jednak nie spał i nic nie uszło uwagi. - Lepiej wyjaśnijcie naszemu nowemu towarzyszowi niedoli, o co chodzi. Czyż już nie pamiętasz, jak sam byłeś przerażony i bezradny, gdy cię tu zamknęli?

Jak wyleś przez pół nocy, dokąd ci Herman nie dał porządnie po łbie? Nieszczęśniku - zwrócił się do Kaliksta - jesteś od dnia dzisiejszego więźniem stanu.

- Więźniem? - zdumiał się książę. - Więźniem?! Wy, to rozumiem, jako królewscy krewni knujący zdradę możecie być więźniami. Lecz ja, Kalikst Bury, książę na Pod polu, jestem prawowitym mężem królowy Ramony i następcą króla Konsencjusza!

Odpowiedział mu zgodny rehot.

- Wszyscy jesteśmy prawowitymi mężami Ramony i następcami króla! - zawołał trzymając się za brzuch Hu bert. - Wszyscy też jesteśmy książętami krwi! A Julian - wskazał na mężczyznę pod oknem - jest, a raczej był, legalnym następcą tronu wielkiego mocarstwa!

- Lecz na mnie czeka przy granicy tego królestwa wojsko! Pan Delipacy, gdy zbyt długo ode mnie nie dostanie znaku, Wygwizd najedzie i stolicę z dymem puści! Mu sielibyście widzieć moich kawalerzystów w szarży! Nic ich nie zdoła zatrzymać.

- Wykazujesz niczym nieuzasadniony optymizm, mój drogi - odezwał się Julian. - Masz nas za idiotów? Każdy z tu obecnych miał gdzieś nieopodał swojego pana Delipacego z wojskiem. Tak na wszelki wypadek. Jak widzisz, niewiele nam to pomogło. Bo każdy taki imć Delipacy ma swoją cenę. Rozumiesz? Możesz być pewien, że pociągnął już do tego twojego Podpoła z ponurą wieścią o przed wczesnej śmierci nieszczęsnego księcia.

Kalikst zaniemówił, a tamten ciągnął:

- Widzisz, sprawy mają się tak. Król Konsencjusz Bohuśław swego czasu prowadził wojnę ze swoim najbliższym sąsiadem, Lutogniewem Srogim, władcą Poświstu.

Swoją drogą co za nazwy mają tutejsze krainy! Wojny nie wygrał, jakżeby inaczej, ale za to zadłużył się u niejakiego Izaaka Rozenkranca, udziałowca czy właściciela wielkiego banku. Pono bank ten ma faktorie przy dworach większości krajów świata. Otóż Konsencjusz zadłużył się tak niepomiarowo, że w zastaw poszły wszystkie ziemie Wygwizdu, stojące na nich nieruchomości, a nawet i ruchomości. Najmarniejsza szprycha od koła, ba, dziura w ostatnim chłopskim sraczu, w świetle prawa nie należy do króla, dokąd długu nie spłaci. Taki ci mądry kontrakt podpisał z Izaakiem, gdy Lutogniew stał pod murami zamku, i trzeba było dodatkowo najemników opłacić, bo chcieli poddać twierdzę.

Kalikst czuł pustkę w głowie. Słuchał, co do niego mówi towarzysz niedoli, jednakże straszne znaczenie słów jeszcze nie uitorowało sobie drogi w książęcym, niećwiczonym w logice umyśle.

- Potem wyszło na jaw, że to był spisek uknuty przez kapitana najemników wraz z bankierem. Ale umowa jest umową. Wtedy dopiero król zmadrał. Wykoncypował, że skoro on jest takim ciężkim idiotą, to pewnikiem cały świat pełen jest podobnych mu kretynów. Bogatych kretynów, bo o biednych przecież nie chodziło. Skądś wygrzebał starą baśń o śpiącej królewnie i uznał ją za szalenie odkrywczą. Człowieku! Ten Wygwizd to takie zadupie, że nie znają nawet bajek opowiadanych gdzie indziej dzieciom do snu. Wysłał swego szambelana, Wenera, którego zaszczyc miałeś poznać...

- To on nie jest czarodziejem? - Kalikst otworzył oczy ze zdumienia.

- Nie bardziej niż ja albo ty. W ogóle znasz osobiście jakiegoś czarodzieja? Nie. Ja też nie. Nikt nie zna. Ich po prostu nie ma! Najgorsze jest zaś, że ten durny pomysł powinien spalić na panewce, a popatrz na nas i siebie: jesteśmy wielkim dowodem na to, że głupich nie sieją.

- Ale po co? Po co to wszystko?
- Naprawdę się nie domyślasz? Intercyzę podpisałeś?
- Podpisałem.
- Pamiętasz, co w niej było?
- Ot, piąte przez dziesiąte... - Kalikst zaniepokoił się nagle. - Coś jest nie tak?
- Nie tak? - mężczyzna podniósł się z fotela. - Jasne, że jest nie tak. Cholernie nie tak!

Tam było napisane, o ile sobie przypominam, że zgadzasz się na połączenie prawne ziem twoich z włościami królowny Ramony i wzajemną regulację wszelkich zobowiązań. Znacząco zgodziłeś się na wspólność majątkową.

- To chyba normalne, prawda? Uznałem to za bardzo korzystne i uczciwe.

- W takim razie dowiedz się, że twój majątek, to znacząco ziemie i w ogóle wszystko co posiadasz, zostanie korzystnie i uczciwie przeznaczone na spłatę zobowiązań tatusia Ramony, króla Konsencjusza Bohuśława, który nie ma nic i przez najbliższe sto lat nic mieć nie będzie! Trzeba się było zapoznać z raportem stanu majątkowego! Intercyza została już zatwierdzona przez biskupa. Czy wiesz, że od tego nie ma odwołania? To znacząco jest, ale możesz być pewny, że żadne twoje skargi nie wyjdą poza ten pokój! A twój pan Delipacy osobiście i do ostatniego grosza dostarczy tutaj przewidziane kontraktem sumy.

Dostanie od tego przyzwoity procent.

Kalikst chwycił się za głowę.

- Uwaga, panowie - zawołał Hubert. - On zaraz będzie wyl!

Stało się, jak zapowiedział. Książę Kalikst Bury, dziedzic tronu Podpoła, zaczął wyc.

I wyl długo w noc, dokąd mocarny Herman litościwie nie dał mu po głowie.

Rafał Dębski

Cena spokoju

- Wznoszę toast za zdrowie moich miłych gości!

Kielich powędrował w górę, wysoko nad głowę earla Gilberta. Gwałtowność ruchu spowodowała, że kilka kropli z przepełnionego naczynia spłynęło po ściankach i skapnęło na czoło gospodarza. Wyglądało to niepokojąco, jakby zaperliła się na nim krew. Niecierpliwym gestem otarł twarz i rozejrzał się czujnie po twarzach biesiadników. Przesądni Saksończycy gotowi uznać tak błahe zdarzenie za złą wróżbę.

- Za zdrowie wszystkich miłych gości! - powtórzył.

Prawie niedostrzegalnie zmarszczył ciemne, wyraziste brwi. Nie wszystkich, niestety, mógł tak nazwać z czystym sumieniem. Ot, choćby ten klocowaty, zwalisty Wilibald, pan na Cormick, jeden z filarów opozycji - człowiek sprytny i bezwzględny, zajadły wróg „najeźdźców z Francji”, jak uparcie nazywał normandzkich rycerzy, mimo iż od bitwy pod Hastings niebawem minie półtora wieku. Lecz bodaj gorszy jeszcze był Cedric z Coolsey, który nigdy nie krył, że wszystkich Normandów najchętniej ujrzałby wiszących w charakterze ozdób wzdłuż ważniejszych traktów. W zacierzewieniu przypominał swego głównego przeciwnika, diuka Ewarysta de Chardin, ulubieńca księcia Jana, siedzącego tuż obok gospodarza. Ten z kolei podobnie uczyniłby z całą saską szlachtą.

Mimo to spotkali się dzisiaj przy wspólnym stole.

Earl natychmiast postarał się wygładzić twarz uprzejmym uśmiechem. Odrobina dziegciu może zepsuć smak miodu, ale to jeszcze nie powód, żeby kulturalny człowiek nie przełknął go w towarzystwie nie dając po sobie poznać wstrętu. Upił łyk z kielicha.

- Wypijmy za zgodę! Po to wszak, by do niej doprowadzić, zgromadziliśmy się w tutejszym zamku! Dzięki wam składam za przybycie, tym z was szczególnie, którzy w mej osobie położyli zaufanie i przyjechali wraz z rodzinami, aby dać świadectwo pokojowych zamiarów.

Spojrzał wymownie na Wilibalda. Sas nawet na czas uczty nie chciał odpasać broni, wyperswadowali mu to dopiero własni ziomkowie, a powód nieobecności małżonki wyjaśnił tak, że earl wolał o nic więcej nie pytać. Pan na Cormick uśmiechnął się uprzejmie i skinął łaskawie głową. Zupełnie jakbym to ja był gościem na jego ziemi, a nie odwrotnie, pomyślał ze złością Gilbert. Podał roztruchan Ewarystowi, ten upił łyk i puścił naczynie dalej.

Edgar z Killarmy szturchnął w bok Wilibalda.

- Twoja żonka gdzie? Trzeba było ją zabrać, niechby niewiasta zobaczyła kawałek świata poza tym twoim kurnikiem.

Cormick skrzywił się niechętnie.

- Odpowiem ci tak, jak to uczyniłem gdy mnie Gilbert o to zapytał. Otóż obawiam się, że tutejszy klimat, mimo zapewnień Normandów, może się okazać zabójczy. I nie chodzi o wilgoć. Powiedz lepiej, czemu ty jesteś bez małżonki? Czyżbyś bał się tego samego?

Tym razem Edgar wykrzywił oblicze.

- Gdzież tam! Gdybym przypuszczał, że jej co tutaj grozi, przymusiłbym do wyjazdu, choćby siłą. Wiesz wszak, jak ze sobą żyjemy. To zresztą wiedzą wszyscy. Jędra została w domu, żeby zrobić mi na złość, bo to niby przyłapała mnie z podkuchenną w komorze! Leż to jest i babska imaginacja! Żebyś słyszał jaką mi urządziła awanturę! Ledwie cały łeb wyniósł gdy zaczęła we mnie praskać sprzętami w kuchni! Diabli, nigdy nie przypuszczałem, jakie to niebezpieczne i pełne zabójczych przedmiotów miejsce!

Wilibald patrzył na rozmówcę z pobłażliwą ironią. Wszyscy wiedzieli, że Edgar i Hermina kochają się do szaleństwa, a jeżeli żona robi mu awantury o amory ze służbą, to nie jest temu z pewnością winna tylko jej wyobraźnia. Albo więc Edgar został rzeczywiście przyłapany na obmacywaniu jakiejś dziewczki, albo skorzystał z takiego pretekstu, żeby nie narażać ukochanej Herminy na najmniejsze nawet niebezpieczeństwo.

- Ciekawe, czy kiedyś w końcu podadzą wieszczę - mruknął, gładząc się po brzuchu.
- Pięknymi słówkami Gilberta raczej trudno się nasycić.

W tej samej chwili earl klasnął w dłonie. Na stoły zaczęły wjeżdżać potrawy. Atmosfera natychmiast uległa rozluźnieniu, rozpoczęły się pierwsze głośniejsze rozmowy, prowadzone nieco na siłę, gdyż przemieszani ze sobą przy stołach Saksończycy i Normandowie mieli trudności ze znalezieniem wspólnych, w miarę bezpiecznych tematów. Jednak wino szybko zaczęło robić swoje. Języki się rozwiązały, zapanował gwar.

- Nie wiem, czy to był dobry pomysł - Gilbert pochylił się do diuka Ewarysta - żeby ich tak rozsadzić. Niektórzy Sasi słabo rozumieją po francusku, albo raczej udają, że tak jest, zaś z kolei nasi rycerze najczęściej ani w ząb nie znają ich mowy.

- Może to i dobrze - de Chardin skrzywił się. - Przynajmniej od razu się nie pobiją. Wyobrażasz sobie, earlu, że są w stanie rozmawiać tak, żeby się nawzajem nie podrażnić? Zbyt nas te psy... - ugryzł się w język. Nie wolno przy ugodowym Gilbertcie używać takich słów. Słowa potrafią zdradzić boleśniej niż rozwiązała małżonka. - Zbyt nas miejscowi nienawidzą, żeby czegoś nie naszczeakać między sobą...

Gilbert spojrział bystro na rozmówcę. Czego spodziewać się po prostej szlachcie, jeżeli ten, który powinien świecić przykładem wciąż traktuje miejscową ludność jak stado niewolników. Z westchnieniem rozejrzał się po sali.

Za Wilibaldem stanął starszy wiekiem, przygarbiony pacholek, szczelnie okryty płaszczem. Długie siwe włosy wymykały się spod nasuniętego głęboko kaptura. Earl spojrział z ciekawością. Do pilnowania poziomu wina w kielichach zatrudniano raczej młodych chłopców. Czyżby fortuna Wilibalda podupadła tak bardzo, że musi się posiłkować wysłużonymi ludźmi? Wzruszył w duchu ramionami - w końcu co za różnica... W tym momencie podchwycił spojrzenie starego. Te oczy... paląca nienawiść i groźba, duma i niezwykle skupienie. To nie były oczy sługi. Kogo Cormick przywłókł ze sobą? Z pewnością coś knuje, jak zawsze. Pytanie tylko - co?

Kobiety, zgromadzone w północnym skrzydle zamku, zajęte dzieleniem się plotkami ze świata, posłyszały śpiewy i krzyki biesiadników. Uczta najwyraźniej nabierała rumieńców. Po chwili dołączyła do niewiast Henrietta, żona earla Gilberta, jako jedyna białogłowa obecna na zgromadzeniu.

- Znowu popijają się jak świnie - mruknęła z niechęcią. - Już mają nieźle w czubach.

- Co chcesz, kochana - zaszcebiotała Margot, towarzyszka diuka Ewarysta. - Po to się mężowie wpierv wadzą, żeby przy kielichach dochodzić do zgody. Dobrze choć, że jakowychś tancerek earl nie sprowadził.

- Dałabym ja mu! - warknęła Henrietta. - A raczej nie dałabym właśnie, i to z pół roku najmarniej!

Rozległy się śmiechy.

- A jakąś rozrywkę poza upijaniem się będą w ogóle mieli? - zaciekawiała się Gwynnet, żona Patryka z Coolsey, będąca w zaawansowanej ciąży. Kaleczyła nieco normandzką mowę, ale wyrażała się poprawnie. - Mojemu staremu to po prawdzie niepotrzebne, bo do szczęścia wystarczy mu w zupełności kawał dziczyzny i dzban z hipokrasem, ale inni...

- Gilbert sprowadził Bernarda de Ventadour na specjalne życzenie diuka Ewarysta - błyszczące oczy Henrietty zmatowiały i nabrały rozmarzonego wyrazu.

Rozległy się westchnienia.

- Nam raczej by go przysłał - odezwała się Katarzyna de Novarre. - Po co tym pijakom taki sławny śpiewak... Bo to są w stanie go docenić? - westchnęła. - Widziałam go raz. Piękny mężczyzna...

Earl nie miał chwili spokoju. Co trochę ktoś przepijał do niego albo podchodził zamienić kilka słów. Gospodarz po pierwszym kielichu wina zadowalał się jedynie źródlaną wodą. Chciał zachować jasny umysł. Patrzył z pewną niechęcią na szybko upijających się rycerzy. Cóż, może to potrzebne do porozumienia, wiadomo wszak, że przy kielichu łatwiej przychodzi zgoda. Oprócz niego tylko dwóch ludzi zdawało się zachowywać trzeźwość - Wilibald słynący z niezwykle mocnej głowy i Ewaryst de Chardin, który nie pił prawie wcale, siedział jedynie z kwaśną i ponurą miną. Gilbert zauważył, że dwaj wrogowie rzucają na siebie czujne spojrzenia, zupełnie jakby na coś czekali. Earla przeszedł dreszcz. Co to może znaczyć? A może zbyt się wszystkim przejmuje? Może to po prostu zwyczajna i zupełnie uzasadniona niechęć zwaśnionych stron?

Siedzący naprzeciwko Wilibalda Edward, hrabia de Gaye, jego najbliższy sąsiad i zaciekły wróg, spoglądał zaczepnie. Kilka razy próbował wciągnąć Cormicka do dyskusji, sprowokować do jakiegokolwiek odpowiedzi, ale trafiał na mur obojętności.

- Jakaś świnia - wystrzelił kolejny pocisk - ośmiela się włączyć na polowanie w moje grunta. Jak kiedy złapię, każę za końskim ogonem...

Nie dokończył. Zabelkotał nagle i schylił głowę pod stół. Wilibald podkurczył nogi, kiedy de Gaye zrzucił nadmiar jadła.

- Niektórzy - powiedział do siedzącego obok Ademara de Cruiset - nic a nic nie pilnują swoich włości. Zgadza się ze mną?

Normand przez chwilę zastanawiał się, do czego może zmierzać ten wielki Sas. Doszedł do wniosku, że nie zaszkodzi potaknąć.

- Są takie przypadki.

- Gdyby mnie ktoś włożył w dziedzinę i ośmielił się wyrzynać jelenie... - machnął ręką.
- Szkoda gadać. A gwoli polowania...

Przerwał, gdyż przez gwar przebijać zaczęły się delikatne dźwięki lutni. Do sali wszedł mężczyzna o godnej postawie. Szczupłe palce przebierały szybko po strunach instrumentu. Skłonił się earlowi i diukowi, po czym zasiadł u podnóżka Gilberta.

- Spójrzcie panie - Wilibald wskazał Ademarowi artystę. - Sam de Ventadour nas zaszczycił. Powiadają, że pan Bernard, aby zyskać tak wielką biegłość i sławę, musiał za młodu porwać jajo druidów.

- Jajo druidów? - Ademar zmarszczył brwi. - A cóż to za zjawisko? Nigdy o nim nie słyszał.

Wilibald roześmiał się.

- I nie dziwota. Opowieść ta pochodzi bowiem z czasów, gdy rządili tu niepodzielnie pogańscy Brytowie. Wy, którzy zajęliście ten kraj całkiem niedawno, ani znacie, ani nawet chcecie znać podania wrosłe w naszą ziemię. Opowiedzieć wam?

Ademar skinął głową, uprzejmym uśmiechem okrasivszy przytyk Sasa. Gdyby nie wyraźny rozkaz earla, odpowiedziałby grubianinowi w sposób, na jaki ten zasłużył. Wilibald z rozbawieniem obserwował wysiłek, z jakim de Cruiset zachował spokój.

- Bajęda ta, jak już rzekłem - podjął - pochodzi z dawnych czasów, ale jak twierdzą niektórzy, pogańska wiara jeszcze całkiem nie umarła, więc może nadal jest w tym nieco prawdy. Otóż jajo druidów zwane bywa także węzowym, znosi je bowiem pospólnie gromada węży. Nie jest to jednak zwykły pomiot, zagrzebany gdzieś w ziemi. O nie - przeciwnie - jajo owo wisi w powietrzu nad gadzią gromadą, podtrzymywane nieustannym sykiem. Kto chce bez nijakiego wysiłku zwyciężać we wszelkich zmaganiach turniejowych bitewnych, czy zyskać niezwykłą biegłość w sztukach, kto pragnie zyskać nieśmiertelną sławę i stać się ulubieńcem władców, winien takie węzowe gniazdo odnaleźć, podkraść się niepostrzeżenie i jajo porwać. Umykać potem trzeba ile sił, a rączy mieć nogi, by wściekle bestie, rozżarte stratą, śmiałka na miejscu nie zagryzły. Omijając potem ów człowiek musi okolice, gdzie węże jajo zdobył, gady bowiem do końca swoich dni pamiętać go będą i czekać na sposobność, by dokonać zemsty. Sława i powodzenie Bernarda de Ventadour prosi się o opatrzenie jakąś legendą, a ta wydaje się do niego bardzo pasować. Jemu, jak słyszałem, wcale ona nie przypadła do gustu, ale tym bardziej wydaje się godna tak wielkiej postaci. Kto wie, może rzeczywiście zdobył swój dar gdzieś w leśnej głuszy...

- Zajmująca i piękna to bajka - Ademar z uznaniem pokiwał głową - a przy tym zabawna. Muszę ją opowiedzieć małżonce. Może utka jaki gobelin z przedstawieniem pana de Ventadour kradnącego nieszczęsnym gadom ich skarb. Muszę wam rzec, że moja ukochana posiada ogromny talent w dłoniach... Już sobie wyobrażam, jaki byłby Bernard wściekły, gdybym mu przesłał w darze podobny obraz...

Wilibald położył palec na ustach.

- Lepiej przestańmy już gadać, a posłuchajmy śpiewu trubadura, bo zaczyna on zerkać w naszym kierunku, a w spojrzeniu jego łatwo wyczytać wyrzut i niechęć. Gotów się jeszcze obrazić, a wtedy z pieśni nici.

- Istotnie - odparł szeptem Ademar. - Drażliwy jest i czuły ogromnie na swym punkcie.

Bernard de Ventadour chrząknął znacząco. Wszyscy wlepili w niego oczy. Powszechnie wiadomo, że śpiewak nie znoślił, żeby ktokolwiek okazywał najmniejszy brak zainteresowania występem. Powiadano też, że nie ma na świecie równych mu kunsztem artystów, wyjąwszy może jedynie Bertranda de Born, którego Bernard nienawidził i którym pogardzał, z pełną zresztą wzajemnością. Był bardzo zawiedziony, że w ucztach nie biorą udziału kobiety. W końcu to ich spojrzenia i jawnie okazywane uwielbienie stanowi, poza korzyściami materialnymi, treść życia trubadura.

Rozejrzał się, westchnął z rezygnacją i uderzył palcami w struny. Słodki baryton wprawnie, acz z mniejszym niż zwykle zaangażowaniem, poprowadził opowieść o Tristanie, ułożoną swego czasu przez sławnego poetę Thomasa dla Alienor Akwitańskiej. Z rozrzewnieniem słuchali biesiadnicy tragicznej historii kochanków, zżymali się na niegodziwość olbrzyma Morholta, wzruszali szlachetnością króla Marka.

Diuk de Chardin, nadal ponury i skwaszony, przypatrywał się ludziom na sali. Jakże to bolesne, że kwiat normandzkiej szlachty pospolituje się z miejscowymi kundlami! Przekłete saksońskie świny zupełnie nie umiejące się zachować przy pańskim stole, dębą w zębach nożami, czkają, bekają i pierdzą bez żenady! Z pewnością nie są w stanie docenić artyzmu wykonania utworu ani gestu Gilberta, który majątek wydał, żeby skłonić sławnego śpiewaka do występu przed saską tłuszcą! Uśmiechnął się krzywo. Ciekawe, co powiedzą, kiedy usłyszą następny utwór.

Trubadur zbliżał się do finału. Miękkły zatwardziały serca, poruszone opowieścią o mocy miłości sięgającej poza grób. Śpiewak zakończył pieśń cichym akordem, po czym ujął dzban. Zerwała się burza oklasków, żądano nowej pieśni. Bernard delectował się wyśmienitym burgundem, z rozkoszą słuchając wyrazów uznania. Pijał tylko wino. Piwem, napojem miejscowych, gardził. Nie dlatego bynajmniej, aby był mu wstrętny jego smak. Po prostu słyszał, że Bertrand de Born je lubi.

Edgar z Killarmy przechylił się do ucha Wilibalda.

- Mówiąc prawdę - mruknął - to wolałbym, żeby sprowadzili tu wschodnie tancerki, a przynajmniej kilku błaznów zamiast tego smętnego durnia. Nic a nic nie jest ucieszny, a ja w dodatku po francusku rozumiem tylko piąte przez dziesiąte.

Wilibald w odpowiedzi uśmiechnął się krzywo i rozłożył ręce w bezradnym geście. Nadstawił kielich, a kiedy stary sługa dołał trunku, pan z Cormick powstał.

- Zdrowie i pomyślność dla earla Gilberta, naszego nieocenionego gospodarza - zawołał gromkim głosem - zdrowie szlachetnego diuka Ewarysta i wszystkich obecnych, a osobliwie poety i pieśniarza wszechczasów, pana de Ventadour! Za przyjaźń i pokój. I za następną pieśń znamienitego artysty.

Skierował się ku podwyższeniu. Strażnicy za plecami earla poruszyli się niespokojnie, jednak zastygli, uciszeni niecierpliwym machnięciem dłoni Gilberta.

- Drogi earlu, szlachetny diuku! - Wilibald rozłożył ręce szerokim gestem. - Uściśnijmy sobie dłonie i ucałujmy po bratersku! Wypij, Gilbercie, ten kielich do dna, by pokazać, że nie są ci wstrętne proste saskie obyczaje!

Gilbert, zaskoczony niespodziewaną serdecznością człowieka, o którym sądził, że przyjechał raczej wszcząć walkę niż być orędownikiem pokoju, z ochotą przyjął uścisk i pocałunek, po czym opróżnił podane naczynie. Nie mniej zdumiony był diuk de Chardin. I on padł w objęcia Wilibalda, szybko się jednak uwolnił. Kiedy Sas wrócił na miejsce, Ewaryst skinął na trubadura i rozkazująco uniósł brwi. Bernard przybladł wyraźnie, ale kiedy zaczął śpiewać, głos miał jak zwykle pewny i dźwięczny. Po pierwszych kilku wersach Gilbert drgnął i ze zdumieniem spojrzał na pieśniarza. To, co słyszał, z pewnością nie było zamówionym poematem o pierwszej wyprawie krzyżowej!

Killarmy znowu trącił Wilibalda.

- Co prawda niewiele rozumiem w ich psim języku, ale czy ten podły grajek nie śpiewa o plugawcu Wilhelmie Bękarcie? I bitwie pod Hastings?

- Nie mylisz się, Edgarze - Cormick zmrużył oczy, jego wzrok nabrał wyrazu lisiej przebiegłości. - Ten dureń właśnie o tym śpiewa...

Wśród saskiej szlachty zaczęło się poruszenie. Znający francuską mowę tłumaczyli mniej jej świadomym sens słów. Sławiła ona szlachetność i dzielność wojsk Wilhelma Zdobywcy, Sasów zaś ukazywała w świetle zgoła plugawym. W miarę trwania pieśni wzrastał się gwar, a kiedy znieważony został król Harald, że niby to zginął przydybany z opuszczonymi portkami w krzakach, gdzie tkwił sparty od strachu żołądkową niemocą, w stronę trubadura poleciał wielki gąsior z winem. Bernard w ostatniej chwili zdołał zasłonić głowę lutnią. Gliniane naczynie rozprysło się bryzgając na wszystkie strony zawartością, a z instrumentu poszły drzazgi.

Cedric z Coolsey wyrzwał pięścią w stół z taką siłą, że pękła solidna dębowa deska.

- Zdrada! - wrzasnął na całe gardło. - Zdrada i potwarz! Hańba!

- Hańba! - zawtórowały mu liczne okrzyki.

Earl Gilbert ze zdumienia był jak sparaliżowany, chwilowo niezdolny do działania. Wzrokiem poszukał ratunku u Ewarysta de Chardin, ale napotkał jedynie drwiące spojrzenie.

Tymczasem Cedric wskoczył na stół.

- Saksończycy! - ryknął - Szlachetni Sasi! Zaproszono nas do gniazda żmij, żeby niby to dochodzić do porozumienia! Tak nam powiedziano! A co spotyka nas w zamian za dobrą wolę? Normandzkie wieprze znieważają pamięć naszych ojców!

Gilbert przemógł wreszcie słabość. Zerwał się z miejsca, z całej siły kopnął zmarłego w przerażeniu Bernarda de Ventadour. Ten drgnął niczym przebudzony z głębokiego snu i na czworakach zaczął umykać ku drzwiom.

- Zachowajcie spokój! - Głos earla przedarł się przez narastający zgielk. Strażnicy zajęli miejsca po obu bokach pana. - Wierzajcie mi, nic o tym wszystkim nie wiedziałem! Uspokójcie się, proszę!

Jego głos utonął we wrzawie. Jeszcze przed chwilą przemieszani, biesiadnicy znaleźli się w jednej chwili po przeciwnych stronach sali, przedzieleni rzędami ław i stołów. Dobrze, że zabroniłem przynosić na ucztę broni, pomyślał Gilbert. W tej samej chwili po obu stronach błysnęły ukryte w fałdach szat sztylety, miecze, kordy, a nawet krótkie topory. Cedric z Coolsey nadal stał na stole wrzeszcząc co sił w płucach.

Wilibald, stojący pośrodku grupy Sasów, przywołał swojego pachołka i coś do niego powiedział. Ten odrzucił do tyłu kaptur.

- Cisza! - rozległ się niesamowicie głośny okrzyk. - Spokój! Zamknij się wreszcie, Cedric i złaź na dół!

Zapadła kompletna cisza. Cedric wprawdzie nie zszedł ze stołu, ale umilkł z otwartymi ustami. Stary pachołek zrzucił płaszcz z ramion. Ukazała się biała lniana szata.

- Druid?! - szepnął ktoś głosem nabrzmiałym przestrawem. - Prawdziwy druid?

Starzec nie spiesząc się wstąpił na ławę, z niej na stół, bezceremonialnie zepchnął na ziemię osłupiałego Cedrica. Wszyscy obecni wlepili w kapłana osłupiały wzrok. Jedynie dwóch ludzi, zamiast wpatrywać się w starca, patrzyło sobie w oczy. Wilibald oraz diuk de Chardin.

Earl Gilbert zrozumiał, że stracił jakikolwiek wpływ na wydarzenia. W rozpacz postanowił poddać się ich biegowi. Żywił nadzieję, że może staremu druidowi uda się jakoś uspokoić zwaśnione strony. Jednak już pierwsze słowa rozwiały złudzenia.

- Saksońscy panowie! - zawołał kapłan wielkim głosem. - Pełni najlepszych chęci, wiedzeni miłością do swego kraju, zgodziliście się przybyć na spotkanie w jaskini smoka,

gotowi zapomnieć o upokorzeniach i urazach! Wielu z was, ufnych w rycerskie słowo earla, przywiódło rodziny, aby dać świadectwo dobrej woli. Lecz co spotkało was w zamian? Oto zdradzieccy najeźdźcy, którzy od półtora lat gwałcą wasze prawa, występują przeciwko wolności, odmawiają wam prawa do życia, odwiedzają się dziś za położone w nich zaufanie obelgą tak wielką, że gdyby zmieniła się w kamień, zgniotłaby w pył ten zamek i wszystkie siedziby Normandów!

Gilbert otworzył usta, żeby zaprotestować, jednak opanowało go dziwne osłabienie. Zamiast słów z gardła wydobył ledwie słaby skrzek. Tymczasem druid wbił w niego spojrzenie i wołał dalej.

- Kto według was ponosi winę za doznaną zniewagę? Nikt inny jak on! - wyciągnął rękę w stronę podwyższenia, na którym poblady nagle earl oddychał z trudem szeroko otwartymi ustami. - Hańba mu!

- Hańba! - rozległ się zgodny krzyk Sasów.

Stało się jasne, że zajście nie zakończy się pokojowo. Normandowie skupili się ciasniej, gotowi do walki.

- Śmierć przeniewiercy! - druid zacisnął wyciągniętą dłoń w pięść.

Gilbert poczuł duszący ucisk w piersi i płomień ogarniający ciało od dołu brzucha. Czas wokół jakby się zatrzymał. Przed sobą widział jedynie wyciągniętą rękę pogańskiego kapłana i jego gorejące nienawiścią oczy. Miał wrażenie, że unosi się w powietrzu, zaczyna sunąć do tyłu, a wszystko oddala się od niego nieskończenie powoli. Wykrzywione wściekłością i nienawiścią twarze zaczęły blednąć, by za chwilę zasnąć się ciemnym oparem. Zaskoczył go nagły ból w plecach i tyle głowy. Runął bezwładnie na ziemię, przelewając się niby na wpół wypełniony wodą bukłak.

Pierwszy rzucił się do walki Edward de Gaye. Spojrzał na trzymany w dłoni długi sztylet, zatknął go za pas, wyrwał stojącemu obok rycerzowi miecz, zawinał nim, po czym z wrzaskiem runął w stronę druida. Stał błysnęła mętnie i wyciągnięte ramię starca odskoczyło od tułowia, by z głuchym stukotem spaść na deski. Trysnęła struga krwi. Kapłan zwinął się, upadł i natychmiast skonał przyszpilony do stołu morderczym sztychem. Kiedy de Gaye szarpał się z ostrzem uwieczonym między ściśniętymi śmiertelnym skurczem żebrami, doskoczył doń z wyszczerzonymi zębami Patryk z Coolsey, przyrodni brat Cedrica. W mgnieniu oka Edward upadł bryzgając posoką z rozerzniętego gardła.

Salę wypełnił bojowy wrzask. Rozżarci widokiem krwi wojownicy rwali się do siebie. Na środku pomieszczenia utworzyło się kłębowisko ciał. W powstałym ścisisku trudno było

używać mieczy inaczej niż do zadawania krótkich sztychów, a topory okazały się właściwie bezużyteczne. W ruch poszły głównie sztylety i noże używane do krojenia mięsiva.

Wilibald pozostał nieco na uboczu. Dopadł rycerza w barwach Templariuszy szykującego się zadać z boku cios któremuś z Sasów, przycisnął zakonnika ławą do ściany i kopał unieruchomionego w podbrzusze, aż nieszczęśnikowi oczy wyłaziły na wierzch. Kiedy skończył, Templariusz zwinął się wymiotując, by upaść prosto pod stopy walczących. Wilibald ogarnął szybkim spojrzeniem bitwę oraz podwyższenie, na którym bez ruchu stał diuk de Chardin obserwujący walczących z dziwnym drapieżnym uśmiechem. Saksończyk porwał upuszczony przez Templariusza sztylet i cisnął nim w kierunku Ewarysta. Chybił o włos. Diuk drgnął jak obudzony z głębokiego snu i błyskawicznie dopadł drzwi. Zniknął za nimi dokładnie w chwili, kiedy następny sztylet podążał ciśnięty tym razem pewną ręką Edgara z Killarmy. Cormick rzucił się za diukiem, jednak miał przed sobą kłęb walczących. Już jakaś ręka sięgała ku jego gardłu. Już z drugiej strony błyskała iskra noża. Nie miał innego wyjścia, jak porzucić pościg i wdać się w bijatykę.

Nad ranem doszedł z ran Kieran Mudroch zwany Gwałtownym. Zostało ich w lochu sześciu żywych. Sześciu spośród trzydziestu ośmiu Sasów obecnych na ucztach. Żaden nie był cały. Kilku podczas odprowadzania przez straż do celi zostało zakłutych przez rozżartych bitewną gorączką Normandów, zanim Ademar de Cruiset przybiegł na odsiecz z czeladzią i odciągnął morderców.

W najlepszej chyba kondycji był Wilibald. Poza paroma niegroźnymi cięciami miał jedynie zapuchnięte oko i wybitych parę zębów. Teraz, krzywiąc się niemiłosiernie, badał palcami dziąsła.

- Jak mogło do tego dojść? - mruknął niewyraźnie. Nie bardzo było wiadomo czy mówi o tragicznych wydarzeniach, czy o stanie swojego uzębienia.

Patryk z Coolsey pojął kwestię jednoznacznie. Uniósł się na łokciu, stękając z bólu. Podciągnął lewą nogę, która poniżej kolana stanowiła krwawy ochłap najeżony odłamkami kości. Wyglądała jak tusza wołowa oprawiona przez pijanego rzeźnickiego czeladnika.

- Jak? - syknął. - Pytasz jak? Powiem ci! - dyszał przez chwilę. Oczy błyszczały mu gorączką. - Te śmierdzące normandzkie świny zwabiły nas tutaj, żeby urządzić rzeź!

- Wątpię - odezwał się z kąta Edgar z Killarmy. - Na pewno nie earl Gilbert. To był człowiek honoru. Gdyby nie ten twój przeklęty druid - zwrócił się z goryczą w głosie do

Wilibalda - wszystko mogło się jakoś ułożyć. Po co on zamordował earla, co? A jeśli już, to nie mógł zabić także tego padalca de Chardina?

Wilibald wzruszył ramionami, wyciągnął palce z ust.

- Jakże mogę brać na siebie odpowiedzialność za poczynania druidów? Miał zapewnić nam ochronę, ostrzec w razie niebezpieczeństwa, ale wyszło zupełnie inaczej...

- Wyszło?! - wściekł się Patryk. - Wyszło?! Druidom, niech mnie diabli, samo nic nie wychodzi! Musiał mieć jakiś swój cel. Nawet w tym, że dał się zaszlachtować jak wieprzek! Od początku byłem przeciwny sprowadzaniu tego cudaka na rozmowy! Pogańska świnia! Zrobił to, żeby nasz pogrzyźć! Pewnie nienawidził Sasów tak samo jak Normandów! Mówiłem, że nie wolno ufać wyznawcom starej wiary! Nieraz już pokazali, że dla nich Normand i Saksończyk to jedno. Pamiętasz buntownika Locksleya? Ledwo sprzymierzył się z bandami z lasu, ledwie nauczył się czcić te ich duchy, zaraz zaczął rżnąć i rabować po równi i nas, i zwolenników Jana bez Ziemi.

- Gdyby go w czas nie powiesili Francuzi, niechybnie my sami musielibyśmy na niego zapolować! - dorzucił Edgar. - On też, jak powiadają, włóczył ze sobą w bandzie jakiegoś druida. Widać ich towarzystwo nie wychodzi na zdrowie chrześcijanom.

Cormick nie podjął dyskusji. Umościł się najwygodniej jak mógł na garstce przegniłej słomy, odwrócił plecami i zasnął, albo udawał, że śpi. Edgar obrzucił go nieprzychylnym spojrzeniem. Zawsze raczej lubił Wilibalda, ale teraz poczuł do niego niechęć. Spojrzał na lewą rękę, owiniętą w brudną szmatę. Skrzywił się boleśnie. Zostało mu tylko pół dłoni, a i tę resztkę cyrulik będzie pewnie musiał uciąć. Jaki cyrulik, zachnął się nagle, toż prędzej doczeka się tutaj szubienicy niż lekarza! Pod ścianą jęczał nieprzytomny Jan Mudroch, brat zmarłego Kierana. Rudolf z Hoak nie brał udziału w rozmowie. Przez strzepy podartego odzienia badał głębokie rany w okolicach żeber i rozplątane na pół udo.

- Chyba długo nie pociągnę - mruknął.

Leżący obok niego Wilfrid Adlensburg otworzył szeroko oczy.

- Jak tu ciemno - szepnął. Na jego białych niczym opłatek ustach pojawiła się różowa piana. - Jak ciemno... i zimno...

Za malutkim okienkiem mizerny deszczowy dzień dźwigał się ku południu.

- No i jak z nami będzie, mój drogi Cormick? - głos diuka splotywał jadowitą drwiną. Siedział rozparty za stołem, z nogami swobodnie wyciągniętymi przed siebie. Bawił się długim srebrnym łańcuchem misternej roboty, przelewając go z jednej dłoni w drugą.

Wilibald poruszył ramionami. Sznur na skrępowanych z tyłu nadgarstkach wpijał się niemilosiernie w ciało.

- A cóż to za pytanie, drogi de Chardin? - uniósł brwi. - Czyżbyś w głębi duszy planował zerwanie naszego układu?

Ewaryst zmrużył oczy, na jego wargach pojawił się drwiący uśmiech.

- Tak, do diabła! Planuję podobne posunięcie i muszę ci powiedzieć, że wcale tego nie czynię w głębi duszy!

- Jakie są po temu powody? Oczywiście jeśli wolno spytać.

- Wolno! Powodów jest kilka, a jeden ważniejszy od drugiego. Po pierwsze, jakoś nie mogę zapomnieć, że cisnąłeś we mnie nożem. Gdyby udało ci się trafić...

- Gdybym chciał trafić - przerwał mu Wilibald - nie rozmawialibyśmy teraz. Chciałem ci tam, na sali, tylko przypomnieć, że masz w końcu wezwać sieciarzy...

- Po drugie - ciągnął de Chardin, jakby nie słyszał słów więźnia - stwierdziłem u ciebie przerażający brak zaufania. Według twoich zapewnień pani Cormick miała przebywać w waszej rodowej siedzibie. A gdzie jest naprawdę? Bo nie tam przecież.

- Nie omieszkałeś tego sprawdzić, co? - Wilibald skrzywił się ironicznie. - A o ile znam twoje sposoby, zapewne przy tym sprawdzaniu mój kasztel poszedł z dymem?

Diuk potrząsnął głową, skierował na rozmówcę wzrok pełen smutku i współczucia.

- Rzeczywiście, przy przeszukaniu ktoś nieopatrznie zaproszył ogień w stajniach, a sam wiesz, że w twoim zamku było z nich bardzo blisko do części mieszkalnej... Ale zapewniono mnie, że to tylko wypadek. Trzecim i najważniejszym powodem zerwania przez mnie umowy jest to, że jakoś nie wyobrażam sobie, bym mógł puścić cię wolno i pozwolić, żebyś nadal mógł knować przeciwko księciu Janowi. I mnie przy okazji.

Przerwało mu pukanie do drzwi. Wszedł dowódca straży.

- Wasza miłość - oznajmił - żona Patryka z Coolsey powiła przed pacierzem dziecko. Chłopca. Czy w związku z tym wydacie jakieś rozkazy?

Ewaryst zmarszczył brwi.

- Rozkazy zostały już wydane - warknął. - Co zrobiliście z synami saskich wieprzy?

- Powieszeni na dziedzińcu, według rozkazu!

- Skąd więc to głupie pytanie?

- Bo nijak powiesić noworodka na powrozie.

- Czyżbym słyszał w twym głosie wyrzuty sumienia? - de Chardin uniósł brwi.

- Nie, diuku, ależ nie - zbrojny cofnął się ze strachu o krok - jednak powróż jest zbyt gruby, żeby...

- Diabli - warknął Ewaryst - mam cię uczyć twojej roboty? Zadzierzgnij pomiot na rzemyku, a potem na dowiaż powróż i na szafot! Wszystko wam trzeba tłumaczyć?! Wykonać!

Dowódca straży kiwnął głową i delikatnie zamknął drzwi.

Wilibald patrzył na diuka spod zmrużonych powiek, napiął mięśnie, jakby chciał zerwać więzy. Ewaryst ze znudzoną miną bawił się łańcuchem. Po dłuższej chwili w północnym skrzydle zamku rozległ się straszliwy, pełen bólu krzyk kobiety.

Wilibald rozluźnił skrępowane ramiona.

- Zapłacisz za to! - oznajmił spokojnie. - Za to i wymordowanie wszystkich tych niewinnych dzieci!

- Zapłacę? Ciekaw jestem, komu?

- Mnie!

- Tobie? A to paradne! - diuk zaniósł się niepohamowanym śmiechem. - Zając w potrzasku szczyrzy zęby do myśliwego! Zaiste twoja bezczelność jest niesamowita! - spoważniał nagle i rzekł groźnie - Nie strasz mnie, robaku, bo cię rozgniotę! Czymże jesteś bez swojego druidzkiego przyjaciela, no czym? Muchą miotającą się bezsilnie w pajęczej sieci! Głupcze! Swoją drogą myślałem, że sławetni druidzi mają twardsze życie. Słyszałem, iż niezmiernie trudno ich zabić. Ten zaś padł jak zarżnięta gęś, ledwo de Gaye go dotknął. Nawet nie próbował się bronić. Słabiutko się spisał, oj słabiutko, nie uważasz?

Wilibald patrzył na diuka z krzywym uśmiechem. De Chardin pod wpływem tego spojrzenia poczuł niepokój.

- Taka była rola tego człowieka, Ewaryście - głos Cormicka brzmiał niespodziewanie łagodnie, jakby przemawiał do dziecka, a nie do groźnego przeciwnika. - On miał umrzeć. Co więcej, to nie był żaden druid, ale jedynie sługa prawdziwych kapłanów, wybrany i przyuczony do tego zadania.

- Zwykły sługa? - Ewaryst pokręcił z niedowierzaniem głową. - Zwykły sługa, a zdolny był zabić człowieka nawet go nie dotykając? Nie kłam, Sasie! To musiał być pogański żyrzec!

- Sługa - powtórzył Wilibald. - A Gilberta zabił nie on, lecz trucizna w winie, które mu podałem przy braterskim uścisku! Druidzi, drogi Ewaryście, nie zabijają ot tak sobie. Im właściwie w ogóle zabijać nie wolno, o czym możesz nie wiedzieć... Chociaż pod waszymi

rządami musieli nauczyć się czynić wbrew własnym naukom. Gdyby chodziło o zwyczajne zerwanie obrad, wiedz, że to ty padłbyś ofiarą zamachu. Ta sprawa ma swoje drugie dno...

- Jakie drugie dno? Nie uratujesz życia zagadkami! Dziś jeszcze zawiśniesz wraz z resztą saskiej tłuszczy!

- Powywieszasz nas? Wbrew temu, do czego się zobowiązałeś?

- Słowo dane saskim świniom warte jest dokładnie tyle, ile powietrze zepsute przy jego wypowiedaniu - Ewaryst cisnął srebrny łańcuch na stół. I nie wierzę w żadne drugie dno w tej sprawie. Nie ma go!

- Jest. Przekonasz się o tym niebawem.

- Jeżeli nawet, psie, ty tego na pewno nie zdążysz zobaczyć!

Do celi wtargnęło kilkunastu żołnierzy. Dowodzący nimi sierżant stanął w rozkroku.

- No, saksońskie pomiotło - zagrzmiał - zaraz was będziem oprawiać!

Wśród więźniów zapanowało poruszenie. Ci, którzy byli w stanie, podpełzli do towarzyszy, skupili się w ciasną gromadkę pod ścianą celi.

- Co z naszymi rodzinami? - rozległ się okrzyk.

Na twarzy sierżanta zagościł obleśny uśmiech.

- Synków swoich obaczycie w drodze na egzekucję, to mogę wam obiecać. A co do waszych żonek? Cóż, szlachetnie urodzeni postarają się, by niebawem wydały na świat zdrowe, normandzkie potomstwo! Z tego, co mi wiadomo, niektórzy zaczęli się o to starać już dzisiejszej nocy! Kto wie, może mnie i moim chłopcom też coś skapnie?

- Świnie, zdradzieckie kurwie syny! - zawył Patryk z Coolsey. - Zaraza na was i przekleństwo!

Dowódca żołnierzy wzruszył obojętnie ramionami, skinął na podwładnych, którzy natychmiast otoczyli grupkę Sasów.

- Ruszać się, gadzie! - jeden ze strażników kopnął leżącego bez ruchu Wilfrida z Adlensburga. - Wstawaj, czas na ciebie!

- On nie żyje, głupcze - powiedział spokojnie Edgar. Pod pozornym opanowaniem, w jego głosie można było wyczuć napięcie graniczące z szaleństwem. - Nie potrafisz uszanować nawet majestatu śmierci?

Sierżant podszedł do pana z Killarmy, spojrzał mu głęboko w oczy.

- Nie ma majestatu śmierci - zdarty od wydawania komend głos wydawał się w tej chwili niesłychanie aksamitny i ciepły. - Przekonasz się o tym niebawem. Majestat śmierci wyniósł się z tego zamku z chwilą, kiedy zaczął tu dowodzić diuk de Chardin. Razem z nim znikła litość, współczucie, wszelka godność, a nawet zwykła przyzwoitość. Trzeba było nie zabijać mojego earla!

Diuk Ewaryst z okien komnaty obserwował pochód ponurego konduktu. Wśród jęków i złorzeczeń strażnicy wlekli poranionych Sasów, spośród których jedynie Edgar z Killarmy w miarę pewnie trzymał się na nogach, przyciskając do piersi rękę owiniętą w przesiąkniętą krwią szmatę. Trzech pozostałych wisiało bezwładnie na prowadzących ich żołnierzach.

Grupa więźniów wolno przesuwała się ku szafotowi, ustawionemu za załomem muru, we wschodniej części dziedzińca. Stał już na nim Wilibald z pętlą założoną na szyję. De Chardin bardzo był ciekaw reakcji Sasów, kiedy zobaczą, co kryje się za wysuniętym węglem. Zawiódł się. Nie podniósł się ani jeden głos protestu, ani jeden okrzyk. Pustymi, suchymi oczami patrzyli na trupy swoich dzieci. Zatrzymali się tylko, nie bacząc na poszturchiwania eskorty i patrzyli. Obiecano im, że zobaczą swoich synów i słowa dotrzymano. W tej właśnie chwili człowiek w katowskim płaszczu podciągał następny sznur. Na jego końcu zwiślało posiniąle ciało niemowlęcia.

Z okna w północnym skrzydle wysunęła się blada niewieścia twarz.

- Patryku, to nasz synek! - słaby głos przez wrzaski żołnierzy dotarł do uszu Coolsey'a.

- Jezu Chryste - wyszeptał pobladły Patryk. - Jezu Chryste!

- Patryku, pomścij go - głos kobiety załamał się w rozpaczliwym szlochu.

- Śmierć! - okrzyk Edgara z Killarmy przetoczył się po dziedzińcu. - Śmierć!!!

Z niedowierzaniem diuk de Chardin patrzył, jak pozbawieni przed chwilą wszelkich sił więźniowie podrywają się do walki. Patryk z Coolsey, nie zważając na ból, nie czując go nawet w tej chwili, chwycił taszczących go strażników za szyje, zaparł się na zdrowej nodze i wyrznął ich głowami o siebie. Rozległ się ohydny trzask pękających kości. Edgar z Killarmy wyrwał włócznię stojącemu obok żołnierzowi. Zanim tamten zdołał cokolwiek zrobić, rozplatał mu końcem żeleźca gardło, po czym wbił broń w plecy zbrojnemu przed sobą. Jan Mudroch, choć osłabiony wielkim upływem krwi, wykrzesał z siebie tyle siły, żeby rzutem ciała paść na podtrzymującego go zbrojnego i wgryźć mu się w gardło. Żołnierz runął na

ziemię z okropnym wyciem, miotając na wszystkie strony rękami i nogami, jednak Mudroch nie puszczał - przeciwnie, jak młody wilk, który poczuł pierwszą w życiu krew, chwycił głębiej, mocniej zacisnął szczęki. Rudolf z Hoak zawisł całym ciężarem, ściągnął na siebie strażnika, przetoczył się po nim, wyłuskał mu z dłoni miecz i, nie mogąc się unieść ani w niewygodnej pozycji zadać śmiertelnego ciosu, głowicą broni grzmocił wrzeszczącego w niebogłosy mężczyznę.

Wszystko rozegrało się w mgnieniu oka. Zaskoczenie eskorty, złożonej z zaprawionych w boju najemników, nie trwało długo. Już po chwili Patryk zwisł bezwładnie porażony uderzeniem końcem włóczni w potylicę, Jan Mudroch bluznął krwią z rozerzniętego boku i osłabił chwyt zębów na gardle ofiary, a Rudolf wił się przyszpilony sztychem do kamieni dziedzińca. Jedynie Edgar, mający sprawne nogi, skorzystał z zamieszania, żeby wyrwać się na otwartą przestrzeń. W zdrowej prawicy dzierżył wyrwany któremuś strażnikowi miecz. Rozpoczęła się krwawa gonitwa. Żołnierze zupełnie nie potrafili dać sobie z nim rady. Zamiast bowiem starać się znaleźć jakąś osłonę dla pleców, by dać odpór ścigającym, sam biegał za nimi po całym dziedzińcu, a kto odważył się do niego zbliżyć, padał jak rażony piorunem.

- Wyjdź, de Chardin! - wrzeszczał. - Wyjdź, ty rzeźniku, morderco!

- Jakby diabeł w niego wstąpił - szepnął do siebie przerażony sierżant. Jak urzeczony rozszerzonymi oczami patrzył z podziwem na to, czego dokonywał doprowadzony na skraj szaleństwa Saksończyk.

Wilibald balansem ciała spróbował uwolnić szyję od stryczka, żeby, nawet ze skrępowanymi rękami, pobiec na pomoc walczącemu panu z Killarmy. Zaraz jednak ucisk na gardle wzmógł się, zatamował dopływ powietrza.

- Spokojnie, gołąbku - owionął go cuchnący oddech kata. - Dokąd chcesz polecieć?

Tymczasem Edgar szalał. Mimo ciężkich ran, zalany krwią swoją i prześladowców, poruszał się z niesłychaną zwinnością. Wyglądał niczym demon zemsty, tym bardziej, że z ust zaczął toczyć pianę, zupełnie jak w opowieściach o wikińskich berserkerach. W żołnierzach upadł duch. Już nie próbowali zabić rozżartego Sasa, ale starali się raczej unikać bezpośredniego z nim spotkania.

- Łucznicy! - rozdarł się sierżant, otrząsnąwszy się z zapatrzenia. - Łucznicy z murów, natychmiast do mnie!

Ciężkie buty załomotały po deskach pomostu i schodów na bramnej wieży.

Diuk de Chardin odwrócił się od okna. Klasnął w ręce.

- Wszystkich na stryczki, trupy też - powiedział do pacholka. - Niech powiszą przez noc. A jutro do południa zdjąć ścierwo i cisnąć do rzeki.

Tej nocy Ewaryst spał bardzo źle. Zapadał w krótkotrwałe drzemki, przewracał się z boku na bok, wciąż znajdował się na męczącej granicy między snem a jawą, kiedy to przychodzą dziwne wizje i niechciane myśli. Zbyt wiele się w ostatnim czasie zdarzyło, aby nie odcisnąć piętna na duszy diuka. Nawet na tak zatwardziałej duszy jak jego. Zawsze z dumą podkreślał, że nie spędzają mu snu z powiek najkrwawsze bitwy i widok najgorszych okrucieństw, tymczasem dziś jakoś nie mógł zasnąć.

Westchnął, przekreślił się na drugi bok. Jak to dobrze, że zdołał udaremnić zamierzenia Gilberta. Zjednoczenie Normandów i Sasów w jeden naród? Cóż za nonsens! To nigdy się nie uda! To po prostu nie może się udać - toż jakby chcieć wymieszać wodę i oliwę w jeden płyn!

Zdawało mu się, że przysnął na chwilę, kiedy zbudził go jakiś dźwięk, skrzypnięcie czy lekkie stuknięcie, tego nie był pewien. Zdarzają się takie rzeczy w pierwszym, płytkim jeszcze śnie. Znowu zamknął oczy, jednak w tym samym momencie poderwał go cichy głos.

- No i jak z nami będzie?

Ewaryst usiadł na łożu, a ręka sama powędrowała ku wezłowiowi, gdzie spoczywać powinien długi sztylet.

- Nie masz tam czego szukać - głos wydawał się znajomy. Przerazająco znajomy. - Zresztą czego chciałbyś dokonać marnym rożnem?

Sztylet, rzucony przez intruza, z brzękiem upadł pod nogi diuka. Odruchowo schylił się, żeby go podnieść, ale natychmiast zrezygnował z zamiaru. Czuł, że tym razem żaden oręż nie zapewni mu bezpieczeństwa.

- Ktoś ty?

Wiedział doskonale, jak brzmi odpowiedź. Zadał pytanie tylko po to, żeby przekonać się, iż potrafi dobrać słów z piersi.

Od zrębu kominka oderwała się rozmyta w mroku postać, dorzuciła kilka drew do żaru na palenisku. Po chwili w pełgającym świetle ukazała się okrągła twarz Wilibalda.

- Zgiń, maro, przepadnij! - de Chardin uczynił znak krzyża.

- Nie odegnasz mnie tym gestem, Ewaryście.

- Przecież... przecież - diukowi na chwilę zabrakło tchu. - Przecież powinieneś być... powinieneś być tam! - wyrzucił gwałtownie wskazując w stronę okna wychodzącego na dziedziniec.

- Oczywiście, masz rację. Powinienem być teraz tam i wraz z innymi dyndać sobie wesoło na wietrze oraz życzyć krukowi smacznego. Jednak, jak łatwo zauważyć, jestem tu!

- W jaki sposób?... Czy to sen?

- Sam powiedziałeś przy naszym ostatnim spotkaniu, że trudno jest zabić druida. Cóż znaczy zwykły stryżek w porównaniu z próbą trumny, kiedy całą noc trzeba przeleżeć w sarkofagu wypełnionym wodą, w dodatku z kupą kamieni zsypaną na piersi. Albo próbą skały... Ech - machnął ręką - nieważne. A czy to wszystko, co teraz się dzieje jest snem? Co za różnica? Co w końcu jest snem, a co jawą? Najważniejsze, że rozmawiamy ze sobą.

- Mam rozumieć - de Chardin zachrypiał, odchrząknął - że jesteś druidem?

- Nie inaczej.

Diuk przez dłuższą chwilę trawił tę wiadomość. Sen czy nie sen, warto dowiedzieć się jak najwięcej. Wilibald chyba nie zamierza pozbawić go życia, skoro rozpoczął rozmowę. Poczł się nieco pewniej.

- Skoro tak, dlaczego nie użyłeś mocy, aby uratować towarzyszy, swoich ludzi tam, na uczcie?

Wilibald założył ręce na piersi.

- A jak sobie wyobrażasz, że miałbym to zrobić? Jestem kapłanem, nie bogiem. Cudów czynić nie umiem. Skoro walka raz się zaczęła, nikt nie mógł jej przerwać. Mogłem jedynie zapobiec tragedii oszczędzając earla Gilberta. Lecz to, jak sam wiesz, nie leżało ani w moich, ani tym bardziej w twoich zamiarach. Widzisz, Ewaryście, problem w rozwiązaniu tej zagadki leży w tym, że do wczorajszego dnia wcale nie uważałem, żeby owych sasów za swoich ludzi... Wręcz przeciwnie - byli dla mnie takimi samymi najeźdźcami jak wy, przybysze z kontynentu, jak przedtem Duńczycy, a jeszcze dawniej Rzymianie.

- Nie pojmuję tego, co mówisz - szepnął zdumiony de Chardin. - Przecież wasze stare wierzenia...

- Mówiłem przecież, że cała sprawa ma swoje drugie dno, ale nie chciałeś mnie wysłuchać. Daj spokój! - rzucił ostro, a diuk, który szykował się podjąć leżący wciąż pod jego nogami sztylet, zastygł w pół ruchu i wyprostował się powoli. - Lepiej pobaw się swoim łańcuszkiem. Wiem, że pomaga ci w rozmyślaniach. Tak - roześmiał się. - Dużo o tobie wiem!

Ewaryst sięgnął na zydę przy łożu, gdzie zwykł kłaść ulubiony łańcuch. Bezwiednym ruchem owinął go dookoła dłoni.

- Czego chcesz? Czego ode mnie chcesz, zjawo, czymkolwiek jesteś?

- „Czego chcesz ode mnie?” zapytała żaba bociana - zadrwił Wilibald. - Zaraz wszystkiego się dowiesz. A jeżeli nie będziesz mi przerywał głupimi pytaniami, nie będzie to trwało zbyt długo.

Pogładził dłonią siną pręgę na szyi, zanim przemówił.

- Od czasu najazdu plemion saksońskich istnieje tajne stowarzyszenie. Dokładnie rzecz ujmując powstało ono po tym, jak Vortigern Chudy zdradził swój lud i sprzymierzył się z saskimi plemionami, aby zyskać władzę na wyspie. Urządzono wtedy rzeź celtyckim książętom i królom Brytanii. Zaproszono na rozmowy do pewnego zamku ich oraz znajdujących się przy książętach doradców - druidów, a potem... Sam przecież wiesz najlepiej, jak załatwia się takie sprawy. Wtedy właśnie powołano do życia Krąg, skupiający pozostałych przy życiu kapłanów. Celem jego działań jest przywrócenie dawnego porządku. Jesteśmy cierpliwi, od pokoleń czekamy na nadarzącą się okazję. Przetrwaliśmy saskie i duńskie porządki, przetrwaliśmy normandzki najazd, a teraz przyszedł czas działania. Dzisiaj, kiedy cała Europa patrzy na Wschód, gdzie w bezsensownej wojnie o kawałek świętego piachu wykrwawiają się jej najlepsi synowie. Teraz, gdy w Albionie słaba władza doprowadziła do zaognienia konfliktu między starymi, a nowymi najeźdźcami... Teraz! Właśnie teraz! Im bardziej wy się między sobą żrecie, tym Krąg jest silniejszy i większe ma wpływy wśród pospólstwa, a także i pośród szlachty. Na pewno słyszałeś, że lud znowu czci dawnych bogów, że w leśnych komyszach gromadzą się ich wyznawcy i doznają tam licznych błogosławieństw. To nie są plotki i czece babskie gadanie. Byłbyś przerażony, gdybyś wiedział, jak wielkie wpływy zyskuje siła, o której istnieniu właściwie nie masz pojęcia ani ty, ani twoi mocodawcy.

Milczał przez chwilę, a de Chardin starał się rozważyć, co właściwie oznaczają dla niego słowa Wilibalda. Ten spojrział bystro.

- Zastanawiasz się zapewne, dlaczego ci to wszystko mówię?

Pokonując sztywność szczęk, diuk odparł:

- Przyszedłeś się zemścić, psie! - Ściśnięty w dłoni srebrny łańcuch brzęknął lekko, jakby chciał zaprotestować przeciwko takiemu potraktowaniu. Chcesz, żebym umierał świadom klęski! Jednak jeśli uczynisz jakikolwiek ruch w moją stronę, zawołam strażę! Może zdążysz mnie zabić, ale niedługo będziesz się tym radował!

Wilibald roześmiał się swobodnie.

- Człowieku, przecież ja nie żyję! Sam mnie kazałeś powiesić i patrzyłeś na egzekucję, dlaczego więc teraz straszysz śmiercią? Uspokój się. Nie zamierzam cię zgładzić, o nie. Mój plan jest o wiele bardziej perfidny niż ci się zdaje. Zapłacisz za swoje zbrodnie, jednak nie tak, jak byś tego oczekiwał. Kiedy skończę, sam pewnie odgadniesz, o czym mówię.

Znowu zamilkł, dorzucił drew do ognia i zamyślił się. Diuk wpatrywał się w oblicze niechcianego gościa, nie wiedząc czy jego zapewnienia nie są tylko kolejnym wybiegiem. Zbyt wiele w tym wszystkim było podwójnych albo i potrójnych znaczeń, zbyt wiele jeszcze kart pozostawało zakrytych.

- Człowiek - podjął druid - doświadczany podczas drogi życia różnymi kolejami losu jest jak skała, w której cierpliwa woda rzeźbi przeróżne kształty.

Mówił cicho, właściwie mruczał, jakby próbował wyjaśnić coś sobie samemu, a nie Ewarystowi.

- Choćby najtwardszy, kamień zawsze ulega przemianie pod wpływem wiatru i wody, nawet gdyby z początku było to zupełnie niezauważalne. Tak też jest z człowiekiem. Nagle, po latach, zdaje sobie sprawę, że życie wyryło w jego duszy zupełnie nową rzeźbę, uczyniło kimś innym niż był na początku. Całe życie wypełniałem ściśle postanowienia Kręgu. Żyłem wśród Sasów, stałem się jednym z ich przywódców, spłodziłem potomstwo z ich krwi, zawsze jednak pamiętając o głównym celu. Nie miałem wątpliwości, że nadejdzie wreszcie dzień, kiedy dokonam aktu zdrady wobec tych, pośród których przeżyłem lata i nie miałem również wątpliwości, że nie zawaham się tego uczynić. Żyłem w poczuciu, iż słuszość jest po mojej stronie. I tak było aż do wczoraj. Jednak kiedy zobaczyłem krwawe żniwo bitwy, a przede wszystkim, gdy ujrzałem jak poturbowani, wyzuci z sił i godności, prowadzeni na rzeź ludzie, starali się umrzeć walcząc do końca, zrozumiałem, że bardziej stałem się Sasem niż mogłem sądzić. Ból, jaki sprawił mi widok pomordowanych towarzyszy, duma, z jaką patrzyłem na szalejącego po dziedzińcu Edgara... Ujrzałem świat w nowym świetle. Ale nie tylko to. Przecież widziałem także jak dzień wcześniej jedni normandzcy rycerze powstrzymują drugich przed zaszlachtowaniem więźniów w drodze do lochu. Słyszałem jak Ademar krzyknął „Przestańcie, przecież to też są ludzie!”. W tym momencie zrozumiałem, że każda podłość ma swoje granice. Nawet twoja, Ewaryście, jak mniemam... nawet twoja... Choć doprawdy ciężko w to uwierzyć.

- Jak śmiesz - szarpnął się de Chardin. - Ty brudny psie!

- Milcz lepiej i słuchaj! - Wilibald podniósł głos. - Może dotrze do twojego zakutego łba, że powinieneś stać się lepszym człowiekiem. I to wcale nie dla własnego zbawienia, ale żeby zapobiec tragedii, która może dotknąć twych ziomeków.

- Sram na to! - warknął diuk.

- A jednak wysłuchasz, co mam do powiedzenia. To szansa dla ciebie i nie tylko dla ciebie. To szansa zarówno dla Normandów, jak i Sasów, a także całej ludności tych ziem. Zawarliśmy tajny układ o zerwaniu rozmów, obaj uczyniliśmy więcej niż trzeba, aby tego dokonać. Wszystko poszło zgodnie z moimi przewidywaniami. Ale teraz chcę, drogi Ewaryście, byś naprawdę stał się orędownikiem pokoju i porozumienia.

- Ja?! - de Chardin wybałuszył oczy. Wierny łańcuch wysunął się z dłoni i spadł na podłogę. - Ja? Co ty gadasz!

- Nie inaczej. Bo widzisz, po wczorajszym dniu zrozumiałem, że objęcie władzy przez prawowitych mieszkańców tej ziemi jest czczym pojęciem. Cóż to znaczy - prawowici mieszkańcy? Kto tu jest w prawie? Nie wiem. Tak naprawdę nikt nie wie. Zbyt wiele było najazdów, zbyt wiele uczyniono sobie nawzajem krzywd... Jedne ludy wypierały inne, zmieniały się i zmieniały także kształt tej ziemi... Już nieważnie, kto był tu wcześniej. Ważne, kto zostanie... Wojna między Normandami a Sasami będzie o wiele gorsza niż krwawy spór między Matyldą i Stefanem sprzed pół wieku. Nie chcę przyłożyć ręki do podobnej tragedii...

Diuk słuchał Wilibalda czując jakby zapadał się w jakąś otchłań. Boże, pomyślał, mam nadzieję, że to jednak tylko sen. To nie może być prawda!

- Niebawem odejdę - mówił Wilibald. - Zniknę z ludzkich oczu. Widzisz, przez to, co czynię, dla wszystkich stanę się przeklętym zdrajcą, a członkowie Kręgu postarają się, żebym nie żył zbyt długo. Najlepszym wyjściem dla mnie będzie po prostu pozostać martwym. Jednak zostawiam cię, Ewaryście. Ty ze swoimi wpływami i niezmiernym bogactwem możesz działać cuda. Uwierz mi, wolałbym, aby na twoim miejscu siedział teraz Gilbert... Na to jest jednak za późno... Gdybym wiedział... Gdybym to poczuł wcześniej... Nigdy nie pozwoliłbym go zamordować. Lecz ty, diuku, użyj teraz swych bogactw dla utrzymania pokoju przynajmniej, jeżeli nie dla zawarcia jakiejś sensownej ugody.

- Po tym, co się stało na zamku? - de Chardin uniósł brwi. - Przecież to niemożliwe, nawet, gdybym tego pragnął.

- Mylisz się - odparł Wilibald. - Masz przecież złoto. A ludzie są łąsi i bardzo łatwo zapominają w jego blasku o doznanych krzywdach. Wypuść żony i matki pomordowanych, zasyp je oraz ich rodziny klejnotami. Wybaczą... Będą się bocyć, sarkać, ale wybaczą. W naszych smutnych czasach można puścić w niepamięć morderstwa, gwałty, wszelkie niegodziwości, byle tylko zapłata była dość wysoka.

- Dlaczego miałbym to właściwie zrobić? Przecież nawet nie wiem, czy mówisz prawdę. Ba, nie wiem nawet, czy w tej chwili nie śnię!

- Pamiętaj, kto skorzysta na wojnie. Od tej chwili wybór drogi należy do ciebie. To właśnie jest zemsta za to, czego się dopuściłeś. Jeżeli nie zrobisz nic, jeśli będziesz nadal jątrzył po swojemu, ujrzysz potęgę władzy normandzkiej chylącą się ku upadkowi. Jeśli zaś podejmiesz działania prowadzące do zażegnania konfliktu, czeka cię wielki trud i upokorzenie. Twoi przyjaciele będą cię mieli wręcz za niespełna rozumu, gdy nagle staniesz się rzecznikiem pokoju. Odwrócą się od ciebie. Sam dla siebie będziesz strasznym dziwakiem... Zrobisz jak zechcesz. A teraz żegnaj już. Zostawię ci ślad mojej obecności, żebyś nie miał wątpliwości, że rozmawialiśmy ze sobą. To będzie znak świętego Patryka, znieawidzonego przez wszystkich druidów. Umieszczę go tak, żebyś mógł go zobaczyć nie wychodząc z komnaty.

Głos Wilibalda oddalał się, nikał w otchłani ciemności. Drewno na kominku dopaliło się, prążki popiołu zaczęły pokrywać ciemnoczerwony żar.

Usiadł gwałtownie na łożu, spocony jak mysz. Za oknem wstawał kolejny szary, nabrzmiały deszczem poranek. Wstrząsnął się od przenikliwego chłodu, ciągnącego z wygasłego kominka, narzucił na ramiona ciężką niedźwiedzią skórę. Po chwili uczyniło mu się cieplej. Wychylił się, chwycił ze stołu garniec z piwem. Pił długo, łapczywie, czując jak z każdym łykiem rozjaśnia się umysł.

Boże mój, jakież dziwne wizje potrafisz zesłać wiernym. Zamyślił się, pokręcił głową. Gdyby ten koszmarny sen był prawdą... też coś! On zmuszony czynić kroki wiodące do pojednania z saskimi wieprzami? On, dumny książę? Toż to byłoby najgorsze z możliwych upokorzenie. Ze złością uderzył pięścią w kolano. Sięgnął na zydeł, po łańcuch. Pusto! Gdzież go, u diabła, zapodział? Spojrzał pod nogi. Może jakoś się zsunął? Nie. Pewnie gdzieś jest. Trudno, później go znajdzie. Szkoda porzucać rozgrzane już okrycie.

Nagle poczuł niepokój. Znak - ten pies we śnie mówił o znaku świętego Patryka... Co to mogłoby być? Przez chwilę szukał w pamięci. Ach - pewnie koniczyna! Używał jej ponoć święty gdy tłumaczył poganom ideę Trójcy.

Wścikły na siebie, że poddaje się wątpliwościom, zlustrował wzrokiem komnatę. Odetchnął z ulgą - żadnych zmian, żadnych znaków. Dobrze, jeszcze tylko jedno.

- Ingmar!

Wszedł gwardzista, wyprężył się czekając na rozkazy.

- Zadam ci pytanie, Ingmar. Ale jeżeli dowiem się, że komuś o tym powiedziałeś, zawieszysz przy bramie. Zrozumiałeś?

- Tak, wasza dostojność!

- Nie musisz wrzeszczeć - skrzywił się diuk. - Czy w nocy wydarzyło się coś podejrzanego? Czy wisielcy... - nagle zdał sobie sprawę, że jeżeli dokończy pytanie, skompromituje się w oczach służbistego Duńczyka. - Dobrze już. Odejdź, Ingmar. Sprawdź posterunki. Gdyby coś było nie tak, melduj natychmiast.

Gwardzista wyszedł, nie okazując zdziwienia najmniejszym nawet grymasem.

Oj, nie byłbyś zadowolony, świętej pamięci ojczulku, pomyślał diuk, gdybyś widział jak twój syn poddaje się wątpliwościom. Ty, który każdą, najdrobniejszą przewinę lub objaw słabości karałeś bezwzględnym rzemieniem i wyzwiskami, twardy i bezlitosny niczym żelazna pięść, ty nie uwierzyłybyś żadnej wizji, nawet gdyby podeszła i uderzyła cię w twarz.

Na zamku rozpoczęła się poranna krzątanina, dolatywały odgłosy codziennego życia. Diuk uśmiechnął się do swoich myśli. Nigdy już nie będzie mowy o jakichś porozumieniach z saksońskimi wieprzami! A dziś w nocy trzeba ukoić ból nieszczęsnych wdów. Ależ będą pomstować i lamentować! Jutro natomiast...

Rozmyślenia przerwał mu okrzyk przerażenia dobiegający z dziedzińca i wołanie:

- Sprowadź diuka! Natychmiast!

- Śpi jeszcze pewnie, będzie się gniewał.

- Śpi czy nie śpi, masz go zaraz zawołać!

Pełen najgorszych przeczuć, czując miękkość w kolanach, zbliżył się do okna. Wyrzwał, zerknął na szafot i skamieniał. Po raz pierwszy w życiu ogarnęło go prawdziwe przerażenie. Cofnął się, ujrzał jakiś błysk, znowu wyrzwał. Teraz patrzył jednak nie w kierunku szubienic, lecz dużo bliżej, na przedmiot w wykuszu okna. Nagle chwycił się za głowę i skulił, jakby otrzymał mocny cios prosto w żołądek.

Książę Jan spoglądał na rozległą łąkę z ponurym wyrazem twarzy. Bitew nie lubił i starał się ich unikać, jeśli tylko było to możliwe, a szczególnie jeżeli nie miały nieść ze sobą wymiernych korzyści. A ta, która się właśnie szykowała nie mogła dać nic poza rozlewem krwi. Żadnych bogactw, żadnych ziem, żadnych politycznych wpływów. Co gorsza, nie dysponował miażdżącą przewagą, nie było więc nawet pewności zwycięstwa.

Od szeregów rozstawionej naprzeciwko armii saksońskiej, wzmocnionej ochotnikami i najemnikami ze Szkocji i Irlandii, oderwało się kilka postaci. Parlamentariusze. Pewnie chcą ustalić termin rozpoczęcia bitwy.

- Szkoci zawsze gotowi są nas kąsać - mruknął Jan. - Ale jak udało im się ściągnąć także Irlandczyków?

Walter Fitzurse rzucił księciu kose spojrzenie.

- Nie byłoby tego, gdyby swego czasu wasza książęca mość nie raczył wytargać za brody ich wysłanników.

Jan miał na końcu języka ciętą odpowiedź, jednak zrezygnował. Zbyt wpływowym człowiekiem był Fitzurse, żeby zrażać go sobie na godzinę przed bitwą. Zresztą Walter miał rację. Przez głupi żart i niewczesną płochosć zniechęcił wtedy Irlandczyków do zawarcia porozumienia. Zniechęcił ich do jakichkolwiek rozmów.

- Wasza książęca wysokość - odezwał się stojący obok Ewaryst de Chardin - pozwól, że wyjadę im naprzeciw. Może jednak da się uniknąć starcia.

Jan uważnym spojrzeniem obrzucił siwą głowę diuka. Jak to się mogło stać, że ten najbardziej zawzięty wróg miejscowej szlachty stał się nagle orędownikiem pokoju? Jeszcze niedawno na samą myśl o układach pieniłby się jak brudna morska fala. Czy na jego ugodowość rzeczywiście wpływ miały tajemnicze wydarzenia po sławetnej rzezi w zamku earla Gilberta? To wtedy kruczoczarne włosy diuka stały się zupełnie siwe. Co naprawdę się wydarzyło nie wie nikt poza zaprzysiężonymi do milczenia rycerzami. Znikli i strażnicy, i służba obecna wówczas w fortecy. Oczywiście Jan mógł użyć swoich sposobów, żeby poznać prawdę, jednak coś mu mówiło, że nie należy tego robić. Jeżeli wydarzenia złamały tak twardego i okrutnego człowieka jak de Chardin, lepiej może wiedzieć mniej niż zbyt dużo.

- Jedź - skinął łaskawie ręką. - Możesz obiecać im wszystko, co nie będzie godziło w nasze najważniejsze interesy i majestat. Niepotrzebna mi ta cała wojna. Dość mam kłopotów z moimi buntowniczymi wasalami i walecznym braciszkiem. Kup ich, de Chardin, jeśli zdołasz. Kup ich, tylko nie zapłać zbyt wysokiej ceny.

Nie ma zbyt wysokiej ceny, pomyślał diuk. Gdybyś tylko wiedział, Janie... Żgnął konia ostrogą. Ogier zatańczył w miejscu, od razu puszczając się w galop. Jan z przyjemnością patrzył na pędzącego Ewarysta. Nie znał nikogo, kto by tak wspaniale prezentował się w siodle jak de Chardin. Jeżeli nie zdoła nic uładzić, trzeba będzie popatrzeć, czy równie pięknie radzi sobie w bitwie.

Tymczasem przed oczami pędzącego diuka znowu pojawił się obraz prześladowający go w ostatnim czasie każdego dnia i każdej nocy. Na szafocie, obok najeżonego strzałami

krwawego strzępu będącego niegdyś Edgarem z Killarmy, zwieszała się pusta lina. Trup Wilibalda, miał wisieć w morderczej pętli, spoczywał na deskach, szeroko otwartymi szklanymi oczyma wpatrzony w okno, z którego wyglądał Ewaryst de Chardin. Nie to jednak było najstraszniejsze. Kiedy diuk chciał cofnąć się do środka, dostrzegł błysk metalu.

Na kamiennym parapecie ujrzał swój ulubiony srebrny łańcuch.

Spoczywał ułożony starannie w regularny kształt koniczyny.

Fliegritterzy

Skoro czytasz te słowa, mój daleki potomku, wiedz, iż spisane zostały wieki przed Twym narodzeniem, bo w Roku Pańskim tysiąc czterysta czterdziestym. Skąd mam pewność, żeś przyszedł na świat długo po opisanych mym nieporadnym piórem wydarzeniach? Stąd mianowicie, iż zgodnie z wolą Jego Wysokości cesarza ukryto je w archiwach na lat sześćset i sześćdziesiąt sześć, albowiem miłościwie nam panujący uznał w swej mądrości, że takie wieści, diabła samego mogące o ból głowy przyprawić, szatańską liczbą winny być opatrzone, ku przestrodze przyszłych pokoleń.

Będąc tedy skromnym sługą cesarskim, a zarazem jednym z pierwszych mieczów pośród walecznego rycerstwa austriackiego, zostałem wysłany z doniosłą misją w piękne góry Kasperskie. Nie w ostatku na wybór mej skromnej osoby miały wpływ moje zainteresowania naukami wraz z alchemią i astrologią. Przydano mi do towarzystwa ponurego mnicha od dominikanów, ojca Eustachego, któren parał się egzorcyzmami. Tenże milczał całą drogę, spoglądając na mnie jeno z ukosa, a niechętnie. Zaufania widać nie miał do człeka, co zgłębiać pragnie naturę rzeczy, miast zdać się na wiarę i brać za pewnik każde słowo świętych ksiąg.

Pora bodaj najwyższa, byś zapoznał się, cny potomku, z celem wyprawy. Oto pan na zamku Krostenmädel, graf Gotfryd von und zu Schoenendreck, od dłuższego czasu słał raporty o tajemniczych zjawiskach, jakie pojawiają się nad jego dziedziną. Początkowo na dworze jego cesarskiej mości uznano, jakoby pan Gotfryd wyszedł z rozumu, co w jego rodzie było przypadkiem wcale częstym. Jednakowoż kiedy podobne skargi jęli słać pomniejsi pankowie, a do stolicy dotarła deputacja chłopstwa, cesarz musiał podjąć działania. To znaczy wysłał mnie i zakonnika dla rozpoznania sprawy. Pisma grafa Schoenendreck mówiły o pojawiających się znad gór przynajmniej raz na tydzień „Niepojętych Obiektach Latających”, zwanych przez pospólstwo „Uprzykrzonymi Fruwającymi Oprycznicami”, jako że ptactwo domowe niepomiernie się płoszyło, a najspokojniejsze nawet krowiny zaczynały wierzgać niczym bojowe, nieujeżdżone rumaki. Ponoć straszidła miały kształt koła, podobnego wielkiemu talerzowi, w przelocie wydawały dźwięk niski i przeraźliwy, ciągnąc za sobą smród okropny i duszący.

- Takie to czasy nadchodzą - zakrzyknął dominikanin, gdy mu rzecz wyjawiono. - Do tych pór czarownice zadowolają się zwykły miotłami pospolitymi, ninie zaś ważą się czynić podobne eksperymenta!

Jedynie to były zresztą słowa, jakiem od egzorcysty usłyszał. W drodze burczał jeno, a głową dawał znaki, czego mu trzeba.

Zamek Krostenmädel posadowiono na wysokim wzgórzu, a raczej górze strzelistej, bronionej ze wszech stron przepaściami. Na szczyt prowadzi jedynie wąska droga, łatwa do obrony, znajdująca się cała pod ostrzałem z murów. Z podziwem patrzyłem na dzieło budowniczych. W dawniejszych czasach ci z grafów Schoenendreck, co nie popadli w odmęty szaleństwa, parali się rzemiosłem raubritterskim, łupiąc na drogach kogo się dało. Stąd zwykli zamykać się przed karnymi ekspedycjami w niedostępnej twierdzy. Od dwóch pokoleń jednak ustatkowali się, zajęli gospodarzeniem na podobieństwo drugich panów. Z pewnością ogromnie zaważyło tu pewne wydarzenie. Zniecierpliwiony bezkarnością grafów poprzednik obecnego cesarza, wysłał wojsko uzbrojone w kilka co potężniejszych armat. Ogromny trud, z jakim je przyciągnięto, opłacił się stokrotnie. Zostały umieszczone na okolicznych wzgórzach. Kiedy pod morderczym ogniem zaważyła się jedna i druga zamkowa wieżyczka, oblężeni wywiesili białą szmatę, zaprzysięgli przed samym arcybiskupem porzucenie łupiestwa, a do skarbu monarchy odprowadzone zostało sowite odszkodowanie. Ponoć od tamtych pór nie masz w całej krainie bezpieczniejszego miejsca niż dziedzina Schonendrecków.

Wspięliśmy się zdyszani a upoceni na górę, pieszo, prowadząc konie, bo jechać urwistą ścieżką było niepodobieństwem. Załomotałem w bramę. Otworło się okienko, łypnęło czujne spojrzenie.

- A wy czego?

Zaprawdę, powiadam Ci, mój czytelniku, mógłby ów cerber doskonale porozumieć się z mym towarzyszem podróży, albowiem warknięcie jego kubek w kubek przypominało odgłosy, które wydawał dominikanin. Jednakowoż nie miałem czasu czekać aż ci dwaj wyburkają sobie wzajem, co jest na rzeczy. Krzyknąłem zatem na opieszalca, by pana powiadomił o przybyciu delegacji samego cesarza. Jeśli zaś się nie pospieszy, ruszamy w powrotną drogę, a wonczas jego pan do sądnego dnia będzie czekał na rozpatrzenie sprawy.

Nie powiem, pognał niemilec w dyrdy, aż stukały podkute buciska na kamieniach dziedzińca. Nie musieliśmy też długo czekać, by nam wrota uchyłono. Idąc ku pomieszczeniom mieszkalnym widziałem takie mrowie zbrojnych, jakby się pan Schoenendreck do wojny szykował.

Graf Gotfryd był mężczyzną w sile wieku, o ujmującym wyglądzie i obyciu, twarzy gładkiej, dokładnie wygolonej, grzywce ułożonej wedle najnowszych mód, lecz potężne, sękaty dłonie znamionowały upodobanie do wojennych ćwiczeń. Zmęczone spojrzenie wbił w blat stołu, cichym, jęczącym chwilami głosem opowiadając o niedolach.

- Wystawcie sobie, czcigodni, żyć się już nie da przez te przekłete fruujące patery. Dawniej, jeszcze nawet kilka miesięcy temu, pojawiały się z rzadka, najczęściej koło soboty. Jednak od jakiegoś czasu nie ma dnia, bym ich nie oglądał! Coraz też są bezczelniejsze. Nad zamek nadlatują, przerażenie budząc.

Ukrył twarz w dłoniach, mówiąc jeszcze ciszej.

- Ostatnio pojawiły się także większe. Zwyczajnie bywają rozmiaru dużego młyńskiego koła. Ale z miesiąc temu przyfrunął prawdziwy olbrzym. Huczał i buczał jak sto diabłów, śmierdział też nieporównanie mocniej. Zawadził o dach nad stajniami, zawałając pół wieżby.

- A czymże cuchnie ów szatański pomiot? - usłyszałem głos zakonnika. A już myślałem, że mu w drodze gardło wilcy skradli. - Siarką, smołą li palonym ścierwem?

Spojrzał nań pan Gotfryd, pokręcił powoli głową.

- Żadną z owych substancyj, któreś, ojciec, raczył wymienić. Smród ten straszliwy najbardziej ze wszystkiego przywodzi na myśl dobrze sfermentowaną gnojowicę, choć, gdyby rzecz prawdę, znacznie jest okrutniejszy.

Zaciął wargi ojciec Eustachy. Pewnie był nie mniej ode mnie zdumiony tą wieścią.

- A skąd - teraz ja zabrałem głos - te straszliwe obiekta zwykły przylatywać?

Graf zaprowadził nas na wysoką wieżę, z której rozciągał się wspaniały widok. Górski, rzeński wiatr szarpał włosy, wlewał się ożywym strumieniem w piersi.

- Tam. - Wskazał Gotfryd linię poszarpanych odległych przełęczy. - Stamtąd przylatują obrzydlistwa. Wszystkich chłopów mam już przestraszonych, kury jaj nie niosą, krowom mleko się zatrzymuje. Przyjdzie mi na łazęgę pójść, gdy dochodów nijakich, a zaciężni wojacy żrą jeno, piją i żołdu chcą. Zwolnić ich zaś niesporo, skoro nie wiada, czy kiedy nie nadciągnie tych fruwaczy cała hałastra, by obrócić mą siedzibę w perzynę. Utrzymuję więc póki co darmozjadów, choć nie wiem, zali nie uciekną w potrzebie, boż to jeno ciemni pacholki, co bronią robić potrafią, ale przesadni są niby stare baby.

- A nie próbował się tam kto kiedy wyprawić?

Popatrzył na mnie jakbym był niespełna rozumu.

- Nie masz takich szaleńców w całej okolicy. Myślisz waszmość, że nagród nie wyznaczał? Żem nie kusił różnych desperatów? Jeno i desperacja, choćby największa, ma swoje granice.

Pokręciłem w duchu głową. Jak to wraz z raubritterstwem opuścił bojowy duch panów Schoenendreck! Gotfryd widać zbabiał ze szczętem. Zaprawa wojskowa to nie wszystko i na nic zda się bez odwagi, a tej mu najwyraźniej brak. Nie dziwota, że miast wziąć sprawy w swoje ręce, czeka na wybawienie od cesarskich ludzi.

Droga ku wskazanym przez grafa przełęczom zajęła dzień cały. Musieliśmy przenocować u skalistych stóp wypiętrzenia, przy miłym źródełku. Po drugiej stronie mieliśmy znaleźć ruiny starego zamczystego klasztoru cystersów i... i diabeł jeden wie, co jeszcze.

Nad ranem zerwał nas straszliwy furkot. Znad krawędzi skał wyskoczył okrągły kształt, gnając z wielką prędkością na wschód, nad spokojne wioski i sielskie doliny. Po jakimś czasie poczuliśmy osławiony smród. Uwierz mi, potomku, nazwać go sfermentowaną gnojownicą to jakby rzec, iż zbrodzień dzieciobójca jest zaledwie drobnym złodziejaszkiem. Moje powonienie zostało porażone tak bardzo, iż przez dłuższą chwilę żyłem w przekonaniu, jakoby mi nos odpadł. Dominikaninowi oczy łzawiły. Chwytał się to za serce, to za gardło, rżąc przeciągle i ślepią wybałuszając. Widać nie dla wiekowego człeka podobne awantury. Nie mogąc samemu wydobyć słowa, gestem nakazałem mu powrót. Po cóż mi taki pomocnik, którym trza się jeszcze opiekować?

Poszedł, ociągając się. Zostawił mi jednak wodę święconą, różaniec przywieziony ze Stolicy Piotrowej i puszkę z krzyżmem, bym się natarł świętym olejem nim przestąpię granicę szatańskiej dziedziny.

Z jakim zdumieniem patrzyłem na odnowione ściany klasztoru! Nie był już na pewno ruiną, o której opowiadał graf. Stał na niewielkim wzniesieniu pośród cienistej doliny, zdając się ciepłym i przyjaznym. Z trudem pokonywałem ostatnie skałki, albowiem wysmarowane od krzyżma ręce ślizgały się niepomierne na granitowych załomach. Zresztą miałem wrażenie, iż całe ciało się ślizga, bo podczas wysiłku zgrzałem się i olej spływał strugami, podążając wzdłuż pleców w miejsce, w które święta substancja na pewno dostać się nie powinna. I tym trudniej było pokonywać trudności, że czyniłem to ze ściśniętymi mocno a bogobojnie pośladkami.

Wreszcie wylazłem na przełęcz, porażony widokiem bogatych klasztornych elewacyj. W tej chwili zadudniło, zagrzmiało i nad zabudowania wznosił się latający krąg. Po raz pierwszy miałem okazję ujrzeć go nie od spodu, ale z góry. Aż dech mi zaparło. Bowiem na owym wielkim talerzu ujrzałem rozpiętego człowieka! Niewątpliwie była to postać ludzka, mimo iż nienaturalnie ułożona, a dookoła niej lśniły mosiężne rury i blachy. Wirując coraz szybciej, z furkotem wzniosła się ku górze, by odlecieć na południe. Widok ten dodał mi otuchy i animuszu. Skoro z ludźmi sprawa, nie jest tak źle. Prawy rycerz nie złęknie się zwykłego człeka! Niezwykłego także, chociaż zawsze to bywa nieswojo i miękko w kolanach.

Tak ma być, czy inaczej, ruszyłem w dół zbocza.

Do środka wpuszczono mnie dopiero, gdym ukazał monarsze glejty. Nie wiem zresztą, na ile one otworzyły bramę, a na ile groźba interwencji wojsk cesarskich. Tym bardziej mnie to podniosło na duchu, że nie z pozaziemską mocą sprawa, ale z takimi, co lękają się ludzkiej siły. Ponury, zakapturzony człek, mownością a obyciem jako żywo przypominający ojca Eustachego, poprowadził mnie krętymi korytarzami ku kwaterze przełożonego. Widać zwyczajem jest w tej okolicy stawiać na bramie największych mruków. Zacząłem zyskiwać pewność, że trafiłem na jakiś zapoznany zakon, zamknięty w dolinie, pograżony w tajemnych, ponurych praktykach.

Mylłem się jednak. W sieniach, podsieniach i mijanych salach widziałem wielu ludzi, ale nie zmniszających, lecz zgoła o rycerskiej postawie. W wielkiej auli zaś przywitał mnie człek przy mieczu i z kielichem wina.

- Gość w dom, Bóg w dom - zawołał z otwartymi ramionami.

Zdumienie moje rosło z każdą chwilą. Skąd na pustkowiu, w odbudowanym klasztorze tylu ludzi, i to wcale nie zakonnych?

- Po wytrzeszczonych twych oczach - zauważył gospodarz - wnioskuje, żeś zdziwiony niepomrotnie. I nie dziwota, cny przybyszu! Trafiłeś bowiem na zgromadzenie, jakiego nie ma nigdzie indziej na świecie!

Czyli jednak mnisi? Czulem, że za chwilę dostanę pomieszania zmysłów. Ale już zostałem doprowadzony do stołu, poczęstowany przednim winem.

- Wiedziałem - rzekł mój interlokutor - że pewnego dnia zawita do nas ktoś taki jak ty, panie, wysłannik królów, albo i cesarzy. Mam dla ciebie radosną nowinę. Staraniem wspólnym, wielkim wysiłkiem, dokonaliśmy rzeczy wielkich i doniosłych.

Zaraz spytałem, oczywista, kogo ma na myśli wyrażając się tak pluralistycznie. Wówczas dowiedziałem się wszystkiego, albo prawie wszystkiego. Oto miałem sposobność zetknąć się z pokłosem i późnym plonem bytności chrześcijaństwa w Ziemi Świętej. Choć Królestwo Jerozolimskie upadło sto pięćdziesiąt lat temu, jego istnienie nie zanikło do końca.

- Dnia pewnego - mówił Werner von Fliege, mój gospodarz - napotkałem wynędzniałego człeka. Ten ciałem mizerny był, ale w oczach jego płonął wielki ogień. Wiesz, co potrafią takie oczy? Człek, nim zgadnie co się z nim wyprawia, wpada w nie, a duszę zaczyna ogarniać tajemniczy żar. Nie, nie, mój drogi, nie myślę tu o zdrożnościach, ale uczuciach eterycznych, wzniosłych, zbliżających do Boga. Człowiek ten, niejaki Georgio Gagarini, Italczyk upadłego rycerskiego rodu, zapoznał mnie z tajemnymi księgami. Ponoć przywiózł je do kraju jego przodek, a wszedł w posiadanie manuskryptów w wielce podejrzanych okolicznościach. Jak wiadomo, Saraceni zwykli studiować księgi mędrców i przechowywali je skrzętnie. To zaś była ni mniej, ni więcej, rozprawa alchemiczna użycia pewnego rodzaju tynktury.

- Białej czy czerwonej? - zapytałem czujnie, ciesząc się w duchu, iż ojciec Eustachy zawrócił z drogi. Ten by miał używanie, gdyby usłyszał o naukach tajemnych! Do głosu zapewne by pana Wenera nie dopuścił. - Istnienie białej bowiem jest udowodnione, ale czerwonej...

- Ani jednej, ani drugiej, panie rycerzu - padła zdumiewająca odpowiedź. - Rozchodzi się o tynkturę różową. Nie jest to bynajmniej mieszanina substancyj przez ciebie wymienionych, ale całkiem inna rzecz, na którą uzyskanie przepisu wcale nie wiąże się z diabelskimi paktami. Ale, ale - nasłuchiwał przez chwilę - zaraz kolejny śmiałek wzniesie się w powietrze. Czy miałbyś ochotę uczestniczyć w tym widowisku?

Spory dziedziniec otoczony został zasłonami zbitymi z bali, upstrzonymi fantazyjnymi wzorami. Za każdą stało kilku ciekawskich. Po drodze pan von Fliege objaśnił mnie, jak to zafascynowany księgami stworzył zgromadzenie podobnych mu zapaleńców. Własnym sumptem, w ukryciu, odbudowali klasztor ukryty w tym trudno dostępnym miejscu, by z dala od czujnych oczu inkwizycji i zawistników prowadzić badania. A ich efekt miałem niebawem podziwiać.

Pośrodku placu spoczywał spory drewniany krąg, a na nim rozpląszczył się odziany w obcisłe szaty człowiek. Oczy wychodziły mu z orbit, jakby z wielkim wysiłkiem powstrzymywał się od krzyku. Ręce i nogi przypięte zostały skórzanymi pasami, dłonie zaciskały się na lśniących gałkach. Otaczały go błyszczące mosiężne rury, biegnące dookoła

konstrukcji, a zbiegały się wszystkie na żelaznym, szerokim pasie, który dociskał nieszczęśnika, jakby go miał na pół przeciąć. Czekaliśmy, choć jeszcze nie wiedziałem, na co. Wreszcie śmiałek jęknął, stęknął i krzyknął „Już!”. Obecni jakby się przykurczyli przy zasłonach. Pan Werner pociągnął i mnie za solidne bale. A człowiek na drewnianym kręgu wydał przeciągły odgłos, przywodzący na myśl nadciągającą burzę... Urządzenie drgnęło, w mosiężnych rurach zagrało, zagrzmiało, a potem wszystko zaczęło się obracać, zrazu powoli, następnie coraz szybciej. Wytrzeszczone oczy rycerza na kole, pozycja, w jakiej się znajdował, przypominały jako żywo rozplaszczoną, przerażoną kocię, co pierwszy raz wypęzło na wysoki gzyms, a może nawet bardziej psa, którego mając być rzucony do wody ku uprzykrzonym ablucjom, zaparł się łapami i łypie na prześladowców.

Tak czy siak, koło wirowało w tempie niesamowitym. I wtedy dostrzegłem kolorową wstęgę, biegnącą od niego na wsze strony. Pan von Fliege chwycił mnie za ramiona, zmusił do ukucnięcia.

- Nie każdy znosi dobrze ruch talerza - krzyknął mi prosto w ucho. - Ale i temu staramy się zaradzić!

Przez szparę w deskach widziałem wznoszący się krąg i dotarło do mnie, po co te zasłony i skąd na nich fantazyjne bryzgi.

W tej chwili wyobraziłem sobie ojca Eustachego. Toż gdyby jemu przypadło w udziale podziwiać podobny widok, bez wątpienia ległby na ziemi, zanosząc modły, a wyrażając złemu.

Wieczorem siedziałem nad uczonymi księgami, studiując zawilosci lotu tajemniczych konstrukcyj. Arabskie to było dzieło, przetłumaczone skrzętnie na łacinę, z dopiskami na marginesach po niemiecku. Czytałem i zaczynałem rozumieć, skąd w saraceńskich historiach bierze się tyle latających dywanów, dzinnów a innych duchów powietrznych. Toż to nic innego, jak ślady eksperymentów czynionych na pustyniach ku przerażeniu mimowolnych świadków! Tak rodzą się wiejskie gadki i piękne baśnie.

Prawdę rzekłszy, z przepisu na różową tynkturę nie rozumiałem wiele, a właściwie zgoła nic, bo zapisano ją dziwnymi znakami - widać dla niewtajemniczonych sztuka jej sporządzenia musi pozostać niedostępna. Za to instrukcja sporządzenia maszyny latającej i jej napędzania okazała się o wiele zrozumialsza. Pominę szczegóły konstrukcji, bo zajęłoby to zbyt wiele miejsca w moich skromnych zapiskach. Dość, iż znalazłem dokładnie rozrysowane schemata spiżowych rur, opatrzonych w liczne zawory tudzież złączki czy rozłączki. Podam za to słowo w słowo, jak się rzecz ma z uruchomieniem całości. A oto, com znalazł w uczonej

księdze, autorstwa zapomnianego uczonego i mędrca imieniem Abdul ibn Dżinni, demiurga wielkiej biegłości.

„Nim tynktury różowej zażyjesz, wpierw ściśle pościć winienesz dni trzy. Po takim czasie każ kucharzowi zgotować suty posiłek złożony z fasoli, grochu, prosa a wędzonego boczku. Najedz się do syta rano, w południe i wieczór. Niechaj twój żywot napełnia się do granic. W przerwach, na wtóre śniadanie, podkurek czy podwieczerek, kapustę białą spożywaj w rozmaitej postaci. Żadnego z owych posiłków nie zaniechaj, a i kminku zakazuj do potraw sypać, by działania ich nie osłabiać. Czyń tak przez dni dwa, powstrzymując się od lekkomyślnego marnotrawienia gromadzących się w twym wnętrzu potężnych sił. Trzeciej zsię doby do wieczery dodaj pół uncji różowej tynktury, jena zarazem boleści czasowo wstrzyma, jako i działania posiłków wzmoże do następnego południa.

Gdy zaś o poranku poczujesz wiercenie a dosłyszysz rozgłośnie bulgotanie, do maszyny każ się przypiąć, a mocno! Pomnij jeno, by maytów stalowych wdziać nie zaniechać, z których czop razem z przemysłnym kranikiem ma być ku wężystym rurom odprowadzon. Tak oporzędzony gotów bądź gdy ostateczna boleść, niemożliwa już do pokonania, nadejdzie. Jeśli zaś w czasie postu, a potem obżarstwa będziesz czuł słabość i pokusę, by dzieła poniechać, pomnij, iż wszystko, co wielkie w bólach się rodzi”.

Wielce ciekawy jest opis lotu i kierowania wirującym talerzem za pomocą przemysłnych zaworków a przepustnic rozmaitych, sterowanych ruchami dłoni i palców.

Ledwie lektury dokończył, pogałem ku komnatom pana von Fliege. Ten przyjął mnie z uśmiechem. Ale w pewnej chwili zamyślił się i głowę opuścił. Zaraz spytałem, czym go uraził albo zasmucił. Pokręcił przecząco.

- Jak każda rzecz - odparł - także ta posiada swoje gorsze strony. Mamy i my zgrzyny rycerzu. A rzecz nawet nie w womitach, które są udziałem wielu. Na to znajdzie się sposób. Odnalazłem bowiem ustępy w księdze, w których uczonego ibn Dżinni napomyka o znakomitej prezerwatywie nudności zwalczającej. Zwie tę miksturę awiomarynarzem, jako że i na morzu, i w powietrzu po jej zażyciu wnętrzości się w człeku przestają przewracać. Lada dzień, pracując zgodnie z sygestyjami Abdulowej księgi, zdołamy i my awiomarynarza sporządzić.

- Cóż cię zatem smuci, mój panie? - zwołałem zdumiony.

Milczał przez chwilę, nim odpowiedział.

- Niewątpliwie zwróciłeś uwagę na fragment dotyczący stalowych maytów i owego czopa, który w nich się znajduje.

- Nie inaczej. Toż to rzecz niezwyklej doniosłości.

- Domyślasz zatem, iż czop tęgi być musi, zaś gdzie go śmiałek wrazić powinien też już wiesz. Otóż, o zgrozo, niektórzy z naszych towarzyszy wskutek czopowania poczynają dziwnie postępować, czerpiąc z owej, przykrej wszak dla prawego męża czynności, przeciwne naturze ukontentowanie. I nie o ich nagłe upodobania nawet tu idzie, ale co powie Kościół na podobną rzecz? To jedna z przyczyn, dla których wciąż pozostajemy w ukryciu. I pragniemy pozostać, dokąd i tego jakoś nie naprostujemy.

Aże mnie zatknęło. O tym nawet bym nie pomyślał! Tak jednak w istocie rzeczy być mogło, osobiwie gdy w tym miejscu zupełnie brak kobiet, a zdrowi, jurni rycerze żyją niczym mnisi.

- Powiedz mi jednak, panie von Fliege - rzekłem, by zmienić temat - skąd opowieści o wielkich dyskach, które słyszałem? Bo te, którem dotąd widział do ogromnych raczej nie należały.

- A, to! - rozjaśnił twarz. - To najnowszy pomysł naszego luminarza i konstruktora, pana von Braun. Doszedł on do konkluzji, że gdyby połączyć wysiłki kilku rycerzy, można stworzyć niepomiernie większy krąg, który uniesie nie tylko samego fliegera, ale i dodatkowy ładunek. Skonstruował więc trzy razy większy dysk, na którym umieścił sześciu ludzi, pośrodku dodając przemyślnie urządzenie, które zwie kolektorem. Tam gromadzi się cała energia i stamtąd płynie ku rurom. Na razie wykonaliśmy jeno kilka prób, ale wypadły bardzo obiecująco.

Słuchałem pana Wenera, w myślach czyniąc notatki, które po rozmowie zaraz rzuciłem na papier. Gościłem u Fliegritterów, bo tak się każą zwać, tydzień prawie, nim ruszyłem w powrotną drogę.

Skoro tylko jego cesarska mość raczył przeczytać raport, wezwał mnie przed oświecone oblicze. Zamyślony był, widać pod wielkim wrażeniem rewelacji.

- Zagwozdkę prawdziwą mam z tymi twoimi doniesieniami - rzekł, marszcząc brwi. - O wielkich rzeczach piszesz, niepojętych i groźnych. Doprawdy, przez całą noc rozmyślałem, co powinienem uczynić. Rozwiązanie jest tylko jedno. Skasować zgromadzenie latających rycerzy, a uczone księgi zawrzeć w najgłębszych czeluściach archiwów.

- Ależ wasza cesarska mość! - zawołałem zdumiony. - Czy nie dostrzegłeś możliwości, jakie dają nam odkrycia zgromadzenia Fliegritterów? Toż gdyby na polu walki pojawił się huf takowych śmiałków, każdy wróg ucieknie, a jeśli i dostoi pola, porażony zostanie straszliwym odorem! Nie masz armii, która szarżę podobną wytrzyma!

- Słusznie prawisz, mój przyjacielu. - Władca wstał z ozdobnego krzesła, podszedł do okna, zapatrzył się w zieleń ogrodów. - Jeno rozmawiałem i z ojcem Eustachiuszem. Ten pienił się okrutnie i karą Bożą wygrażał. A to jeno przedsmak tego, co usłyszymy od wyższych duchownych. Ale i nie w tym rzecz. Jeszcze się nie zdarzyło, by zdanie Kościoła przeszkodziło w wojennym rzemiośle. Ot, choćby kusza. Wyklął pociski papież, a mimo to wszyscy jej używają.

- O co zatem idzie, panie mój? Czy lękaś się, by rycerstwo się nie pobuntowało, gdy mu nakazesz narażać się na podobne eksperymenta? Nasi wojownicy poczują się upokorzeni? I ja rozważałem tę kwestię...

Machnął niecierpliwie ręką, dając znak, bym zamilkł.

- Rycerstwo nasze do użycia latających dysków przystosowane jest jak żadne inne - odparł. - Starczy na jedną czy drugą ucztę pójść, by odgadnąć, że najgorsze nawet bęczenie a womity mu niestraszne! Dla moich dzielnych kopijników nazreć się do rozpuknięcia żadną jest sztuką, a i obłęd wirowania im nieobcy, skoro trunków co dzień nadużywają.

- O co więc sprawa? - Zdumienie moje rosło z każdą chwilą.

- Widzisz, wierny rycerzu. Jako monarcha myśleć muszę o rzeczach, które innym nie przychodzą do głowy i rozważać sprawy, zdałoby się, nie do rozważenia. Wystaw sobie, że na polu bitwy pojawiają się nasze latające kręgi. Przerażenie wrogów, zwycięstwo. Wygramy w ten sposób parę bitew, może nawet jakąś wojnę. Ale potem i przeciwnik zacznie szukać, przekupywać, a pracować i wreszcie dopnie swego, uczyni oręż podobny naszemu. Ale, co gorsza, na pewno prędzej niżli później ktoś wpadnie na myśl, by posadzić na owe talerze nie rycerstwo wcale, ale ludzi z gminu. Osobliwie szybko może się to przydarzyć w państwach takich jak Francja czy Italia, gdzie urodzeni słabsze miewają żołądki i z pewnością nie zgodzą się na podobne awantury, głośno wołając, jakoby czci ich uwłaczały.

To, prawdę rzekłszy, przez myśl mi nawet nie przeszło.

- Właśnie. - Cesarz dostrzegł błysk zrozumienia w mych źrenicach. - Wystaw teraz sobie, jaką moc można uwolnić, gdyby przy procederze Fliegitterów zatrudnić chamskie brzuchy, zawsze niepomierne wytrzymalsze od rycerskich, zwyczajne przypisanym przez Saracena potrawom! Jaką potęgą stałyby się takie oddziały i jak byłyby skuteczne! Dość już mamy kłopotów z gminną piechotą, najemnikami, pikinierami, lancknechtami i podobnym tałatajstwem. Tylko im płąć, płąć i płąć, a jak nie zapłacisz, bunt podniosą. Potrzebni nam tacy jeszcze i nad głową? Ale nawet nie o to, iż bitwy by mogli rozstrzygać. Pomyśl dobrze, mój drogi. Hazard to wielki pozwolić pospółstwu nad urodzonymi latać. Różne głupie myśli mogą wtedy przychodzić do prostych głów. Na przykład, iż wcale nie stoją niżej szlachty, a

mogą się znajdować nawet wyżej. Stąd zaś tylko krok do niezadowolenia, upominania o swoje, rozruchów a nawet srogich rewolucyj.

Zawrót głowy poczułem, kiedy dotarł do mnie cały sens słów cesarza. Poraziła mnie także jego mądrość, jako zdolność przewidywania a rozważna ostrożność, która przystoi pomazańcowi.

- Dlatego - ciągnął - nie tylko wieści o owych odkryciach ukryjem pod korcem, ale sam poprowadzisz silną ekspedycję ku zniszczeniu flieggritterskiego zgromadzenia i uwięzienia jego członków. Papiery i księgi wszelakie zabezpieczysz, by do stolicy je przywieźć. Te zaś zapieczętujemy i, jako rzekłem, w archiwach zamkniemy na wieki. Niech tak tkwią zawarte do czasu, aż ludzkość zmadrzeje. Nie miej takiej ponurej miny, rycerzu. Jeśli pomyślisz, sam dojdiesz do przekonania, iż ludzie nie dorosli, by latać drugim nad głowami niby niebiescy ptacy. Niechaj takowe pomysła czekają, aż staniemy się mądrzejsi a rozważniejsi. Na pewno przyjdzie czas, gdy ten, kto wzniesie się w powietrze, uczyni to w o wiele mniej obrzydliwy sposób, ale przede wszystkim nie uczyni zaraz z latania wojennego rzemiosła.

KOSMICZNE OPĘTANIE

Uwielbiam ten moment. Może jestem dziwny, ale naprawdę go lubię. Lubilem to przeżycie już podczas treningów i sprawia mi przyjemność zawsze, kiedy nadchodzi. Odrętwienie powoli mija i ustępuje miejsca powracającemu gdzieś z zaświatów poczuciu istnienia własnego ciała. Przeciągnąłbym się z rozkoszą, gdyby nie świadomość, że nadgarstki i kostki stóp są jeszcze skrępowane pasami. Raz kiedyś zdarzyło mi się o tym zapomnieć. Stawy łupały później przez tydzień. Po takim doświadczeniu, jak sen w komorze hibernacyjnej, wszystkie ruchome części w organizmie nabierają dziwnej sztywności.

Uff, skoro już pobudka, to znaczy, że do Układu pozostało jeszcze z dziewięć tygodni lotu, krótki sen na przejście przez Strefę Opętania, dalej dwanaście dni i wreszcie Ziemia! Stara, dobra Ziemia ze swoimi dziwactwami i niesamowitymi miejscami, gdzie wygłodzony i żądny wrażeń kosmiczny weteran może sobie poszaleć. Błękitne morze, u boku piękna dziewczyna, wspaniałe wzwody... tfu!... wspaniałe wschody i zachody słońca. Diabli, to był stanowczo zbyt długi lot. Od razu takie skojarzenia! Czynności pomyłkowe - staruszek Freud cieszyłby się jak dziecko.

Poczułem drapanie w gardle. Oho, czyżbym się przeziębził w kriogenicie? To chyba raczej niemożliwe...

Spróbowałem odchrząknąć.

- Budzisz się wreszcie, dowódco! - rozległ się znajomy głos.

Szlag jasny, a czy jakiś głos może być nieznajomy na tej cholernej krypie? Ośmiu facetów na krzyż, razem przez kilkanaście lat... No, może w ostatecznym rozrachunku nie kilkanaście, bo w końcu sen zabiera lwią część czasu, ale reszta i tak wystarczy. Tym bardziej, że trwające po kilka miesięcy dyżury parami sprawiają, że tym drugim gościem zaczyna się rzygać, choćby nie wiem jaki był sympatyczny. A ci, z którymi odbywałem ten lot, daleko odbiegali od standardów, jakimi zwykło się określać ludzi sympatycznych.

- No już, wstawaj, koniec wylegiwania!

- Poczekaj - zachrypiałem. - Jeszcze pasy, procedura. Zanim automat...

- Wstawaj, nie chrzań. To wszystko pierdoły wymyślone przez jajogłowych doktorków. Dawno sam cię podłączałem. Pasy też zdjąłem. Gdybym czekał, aż to całe cholerstwo skończy się grzebać, zdechłbym z nudów.

Otworzyłem oczy. Nade mną stał Julian, nasz pokładowy konował. Ostrożnie poruszyłem rękami.

Rzeczywiście zostały już uwolnione. Nie byłoby to może tak niepokojące, gdybym miał choć odrobinę zaufania do naszego medyka. Ale cóż zrobić, stało się.

Teraz ewentualnie mogłem dać mu po mordzie, a to nie miało większego sensu.

- Wiesz, że naruszyłeś około piętnastu punktów regulaminu? - spytałem surowo.

- Tylko się tutaj nie zesraj od praworzędnych gadek, dowódco. Mamy problem.

Westchnąłem ciężko. Niech to szlag!

- A ja miałem nadzieję, że to budzenie przed lądowaniem.

- Do Ziemi została jeszcze ponad połowa drogi.

- Co się stało?

Przez chwilę milczał, śmiesznie marszcząc nos.

- Twojemu zastępcy kompletnie odbiło. Zwariował.

Dostał korby.

To nie była zbyt fachowo sformułowana medyczna informacja, ale za to dość treściwa, żebym usiadł, nie zważając na sztywność mięśni i ból w plecach.

- Krugerowi?! To najbardziej zrównoważony i najspokojniejszy sukinsyn, jakiego znam!

- Możliwe. Ale, że mu odpieprzyło, to pewne! Sam zresztą zobaczysz.

Kruger siedział w kucki pod ścianą ładowni numer pięć. Kiwał się w przód i w tył, mruczając coś pod nosem.

- Dlaczego zamknąłeś go właśnie tutaj? - spojrzałem na Juniora.

- Melduję, że bałem się, żeby czegoś nie zmalował! -

Drugi pilot wyprężył się jak struna.

- Przestań mi tu szczekać jak kapral przed sierżantem, chłopcze. Spocznij! Nie pamiętasz już jak piliśmy brudzia na ochlaju przed powrotem?

- Przepraszam, to z przyzwyczajenia.

- Zatem zwalcz przyzwyczajenie. No dobra, bałeś się. Ale nie było bardziej przytulnego miejsca niż ta ładownia? - Rozejrzałem się po pokrytych wilgocią i pleśnią ścianach. Kiedy wreszcie zaczną montować porządne recyklarki, takie jak na statkach rejsowych?

W kabinach niby w porządku, ale tam, gdzie oko ludzkie rzadziej sięga, po staremu brud i smród.

Junior wzruszył ramionami.

- Tutaj jest spokojny. Siedzi tylko i buja się w te i we w te. Jak go zamknąć gdzieś, gdzie są sprzęty, od razu zaczyna się wygłupiać.

- No dobra. Opowiadaj, jak to było. Kiedy się zaczęło?

- Dokładnie nie potrafię powiedzieć. Komputer obudził nas na dyżur, bo mieliśmy przelatywać obok kwadrantu Zelty i istniało zagrożenie...

- Wyobraź sobie, że jako szyper tej łajby wiem, którędy lecimy, przynajmniej w przybliżeniu. Przestań się popisywać i mów po ludzku.

- Tak jest. Na początku szło normalnie. Znaczą nudziliśmy się jak wszyscy diabli. Znasz to uczucie...

Ale dwa dni temu Kruger zaczął się dziwnie zachowywać. Pętał się po sterowni, oglądał wszystko, jakby to widział pierwszy raz w życiu. Potem zaczął kombinować przy konsoli łączności dalekiego zasięgu.

Najpierw nie zwracałem na niego uwagi, bo pomyślałem, że chce to ścierwo naprawić. Z nudów człowiek robi różne głupoty. Ale kiedy zaczął się dobierać do klawiatury głównego komputera, krzyknąłem na niego. A on spojrzał na mnie jakoś tak błędnie i dalej swoje. Wnerwiłem się trochę i dałem mu po łapach. Już wiedziałem, że będą kłopoty. Odskokzył jak oparzony i zsiakał się w gacie. Pewnie ze strachu. Ja też się o mało nie zlałem. Też ze strachu. Pomyślałem, że jeśli mu odwalilo i będzie agresywny, sam nie dam mu rady. To kawał chłopa. Ale na szczęście okazało się, że daje się prowadzić jak dziecko. No to zamknąłem go w jego kajucie i polecałem budzić doktora. Coś mnie tknęło, więc nie czekałem, aż skończą się procedury i pobiegłem z powrotem. Dobrze zrobiłem. Kruger siedział na podłodze, wkoło walały się różne przedmioty, a on właśnie próbował zjeść mydło. Kiedy mu je zabrałem, znowu się zmoczył.

Dlatego postanowiliśmy z doktorem umieścić go tutaj.

Słuchałem tej przydługiej relacji i myślałem, jak to się dziwnie układa. Gdybym miał stawiać swoje pobory za ten lot, który z nas może ewentualnie oszaleć, postawiłbym chyba na tego gbura Hermana. Był gwałtowny i chamski. Zresztą gdyby to był on, nawet bym nie zapytał, dlaczego zamknęli go w obrzydliwej ładowni. Wiedziałbym.

Tymczasem Kruger dźwignął się na nogi, podszedł do nas ostrożnie, przygarbiony. Wyciągnął palec w kierunku mojej twarzy. Odruchowo klepnąłem jego dłoń. Kruger odskoczył i skulił się. Spojrzały na mnie pozbawione wyrazu oczy. Nie, one nie tyle były pozbawione wyrazu, ile miałem wrażenie, że należą do kogoś obcego.

- O, widzisz - powiedział Junior. - Znowu się zsiakał.

- Pilnuj go, Junior. Ja idę do doktora.

Lekarz rozłożył bezradnie ręce. Zdążyłem przywyknąć do takich reakcji z jego strony. To był zwykły nieuk. Dyplom dostał tylko dlatego, że akademia chciała się go wreszcie pozbyć. Gdyby był przyzwoitym fachowcem, siedziałby na międzyplanetarnym statku pasażerskim i zarabiał ciężkie pieniądze na leczeniu rozkapryszonych panius zamiast włóczyć się w cuchnącym wraku po zakamarkach galaktyki, co nie dawało ani wielkiej forsy, ani zawodowego prestiżu.

- A co ja mam zrobić? - spytał smętnie. - Z medycznego punktu widzenia jest zupełnie zdrowy.

Przebadalem go na wszystkie strony. Wszyściutko..

Siedział w medmacie ponad dwie godziny.

- Mózg też?

- Przecież mówię! Gdyby to nie był nonsens, stwierdziłbym, że mamy do czynienia z opętaniem.

Wtedy podobno aparatura też nic nie wykazuje. Ale w tej części galaktyki mowy o tym być nie może. Duchy nie zapuszczają się tak daleko. W każdym razie nigdy o czymś takim nie słyszałem.

- To musi być jakaś normalna psychoza. Pomyśl,

Julianie. Chyba was tego uczyli, co? Miałeś przecież zajęcia z psychiatrii?

Jego spłoszone spojrzenie rzuciło mi pewne światło na tę kwestię. Z pewnością miał zajęcia z psychiatrii.

Na pewno miał też wiele innych zajęć, na które również nie uczęszczał, a egzaminy zdawał dzięki wyteżonej zespołowej pracy takich samych orłów jak on.

- Mówię ci, chłopie - powiedziałem powoli, tłumiąc pasję - że kiedyś skończysz na zawszonej łajbie wożącej uran i z utęsknieniem będziesz wspominał czasy, gdy się rozbijałeś tą zasraną jednostką badawczą.

- A może - powiedział, puszczając moją uwagę mimo uszu - wsadzimy go do hibernatora i na Ziemi...

- ...i na Ziemi - przerwałem mu - urwą nam jaja za przywleczenie nie wiadomo skąd, nie wiadomo czego.

Że też szlag trafił komunikator dalekiego zasięgu!

Gdyby była łączność z bazą, zwalilibyśmy to na nich...

- Daj spokój - teraz on mi przerwał. - Nie wierzę w ten cały komunikator. Podejrzewam, że montowali ten złom na statkach tylko dla picu, żeby wyglądało, że o nas

dbają. Pamiętasz? Najpierw były wielkie krzyki, że wypuszcza się załogi na zatracenie, że nie wiadomo, co się z połową lotów stało, i zaraz potem ktoś wyskoczył z komunikacją ponadprzestrzenną. A tak naprawdę, to jest takie samo zawracanie dupy jak procedury przy wybudzaniu z hibernacji. Mówię ci, że z tym dalekim zasięgiem to wielka bujda. W ogóle nie ma czegoś takiego. Pewnie gdybyś rozkręcił tę zapieczętowaną i ściśle tajną konstrukcję, okazałoby się, że w środku jest może zwykłe radio i druty prowadzące do lampek. Pip i tyle!

- A ty co? - warknąłem. - Też dostajesz korby?

Ale pomyślałem jednocześnie, że może doktorek nie jest taki cholernie głupi jak wszyscy przypuszczają.

Nie, zreflektowałem się natychmiast, jest jednak durny jak kłęb drutu, ale może mieć intuicję akurat w tym względzie.

Kruger obracał w dłoniach tubę z pastą odżywczą.

Tych past używaliśmy w czasie patrolowych lotów w naszej ciasnej rakietce, gdzie poza pilotem można było zmieścić jeszcze co najwyżej niewielką damską torebkę.

- Zupełnie jakby coś takiego widział pierwszy raz mruknął Junior. - I tak jest ze wszystkim.

- Przymknij się, nie przeszkadzaj - ofuknął go Julian. Kruger próbował ugryźć tubkę, zbliżał ją i oddalał od oczu, dotykał zatrasku na zakrętce, ale nie czynił żadnych wysiłków, żeby go odchylić.

- Będziemy tu tak stać do usranej śmierci? Przecież widzicie, że on nie ma pojęcia, co to jest i jak się do tego zabrać.

Doktor jęknął, a zrezygnowany Junior oparł się o ścianę. Miał szczęście, że kazałem automatom usunąć z ładowni cały syf, bo musiałby zaraz zmienić kombinezon. Sami, geniusze, a na pomysł posprzątania nie wpadli. Ale to mnie nie dziwiło.

- No i co z nim zrobimy? To wygląda na zupełną amnezję. I ten jego bełkot. Jakby kipiał garnek z wrzątkiem.

Poszedłem w ślady Juniora, także odchyliłem się do tyłu, szukając oparcia. Potylicą dotknąłem czegoś twardego i wystającego. Zgasło światło. No tak, wyłącznik. Natychmiast namacałem go i uderzyłem dłonią.

- Rany boskie - usłyszałem zduszony głos doktora.

- Co się stało?

- Zgaś jeszcze raz światło i sam zobacz! Patrz na Krugera. W jego głosie dało się wyczuć ledwie powstrzymaną panikę. Posłusznie dotknąłem płytki kontaktu, spojrzałem w

stronę naszego chorego. I włos zjeżył mi się na głowie. Natychmiast z powrotem włączyłem światło.

- Widziałeś? - wykrztusił Julian.

Junior stał z wytrzeszczonymi oczami, oddychając ciężko.

- Widziałem - dopiero po chwili mogłem wydobyć z siebie głos. - Jak dwa ogniki.

Dwa upiorne, żółtozielone ogniki!

- Jak hiena w świetle reflektorów. Widziałem to kiedyś na filmie. Tylko, że to nie było nawet odbicie, bo tu nie ma żadnego dodatkowego oświetlenia! Jemu się te ślepia żarzą w zupełnych ciemnościach!

Miałem wrażenie, że włosy na mojej głowie sterczą jak igły przestraszonego jeża.

- Budzimy księdza - zdecydowałem. - Wszystkich budzimy!

Na pewno nie jest łatwo sobie wyobrazić, jak przerażony może być człowiek zamknięty z czymś nieznanym i budzącym grozę w ciasnej przestrzeni kosmicznego statku. Ja tego doświadczyłem i Bóg mi świadkiem, że jest to doznanie, którego nikt by nie chciał ze mną podzielić. Miałem wrażenie, że obserwują mnie zewsząd nieprzyjazne oczy, że za chwilę zza zakrętu korytarza wyskoczy jakiś upiór.

Wiem, to irracjonalne, ale czy to, co nas spotkało, miało cokolwiek wspólnego z logiką? Czy otwarty kosmos w ogóle bywa logiczny?

- Nigdy o czymś podobnym nie słyszałem - mruknął ksiądz.

Siedzieliśmy w mesie dookoła stołu. Tylko Junior z boku obserwował monitor przekazujący obraz z piątej ładowni.

- Słyszałeś czy nie - odezwał się Herman, pierwszy pilot - twoim zasranym obowiązkiem jest działać, kapelanie! Ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

- Zamknij się, Herman - rzuciłem. - Jak nie masz nic do powiedzenia, siedź cicho. Czy to może być opętanie, księżo?

Kapelan uniósł brwi.

- Gdyby to było w Strefie Opętania, albo przynajmniej w jej pobliżu, powiedziałbym, że tak. Ale duchy w tym rejonie...?

- Pieprzenie - przerwał mu Herman. - Nie ma żadnych duchów. Nie ma żadnej strefy. Po prostu ktoś od czasu do czasu zwariuje na statku i tyle! A że wariuje zaraz po starcie albo tuż przed lądowaniem, to już przez stres.

- Jest i taka koncepcja - zgodził się ksiądz. - Nikt jednak nigdy nie udowodnił z całą pewnością, że to, co nazywamy opętaniem, ma cokolwiek wspólnego z objawami klasycznej

choroby psychicznej. Powiedz mi w takim razie, mój drogi naukowcu, dlaczego każda załoga bierze ze sobą duchownego i dlaczego egzorcyzmy są w tych przypadkach skuteczne? W końcu Strefę Opętania wymyśliłem nie ja, tylko szacowne grono Rady Naukowej. Przecież to oficjalna nazwa.

- Gówno - odparł Herman. - Ja tam nie chcę mieć z tym nic wspólnego! - powtórzył z uporem.

W tym był dobry. W cholernym, upartym powtarzaniu, że wszystko ma głęboko z tyłu.

- Posłuchaj, facet! - pociągnął go za rękaw siedzący obok Tajfun, informatyk-lingwista. - Ja też nie chcę mieć z tobą nic wspólnego, ale jesteśmy na jednym statku, więc muszę znosić twoją obecność, chociaż najchętniej - wypieprzyłbym cię na zewnątrz przy pierwszej lepszej okazji! Powstrzymuje mnie tylko jedno. Boję się, że mogliby cię znaleźć przedstawiciele jakiejś obcej cywilizacji i mogliby pomyśleć, nie daj Boże, że jesteś typowym reprezentantem ludzkiej rasy.

To byłoby niewybaczalne...

Tak, załoga, którą przyszło mi dowodzić była niesamowicie zgrana i skłonna do rozwiązywania konfliktów drogą ustępstw i kompromisów. Kiedy tylko sobie to uświadomiłem po raz kolejny, pożałowałem, że kazałem ich wszystkich obudzić. Przepisy przepisami, ale teraz zacznie się prawdziwe pandemonium.

- Odwal się, Tajfun! Skoro klecha uważa, że to duchy, niech sam sobie radzi. Jak dla mnie, to gościowi po prostu odbiło i koniec.

- A oczy mu się świecą bo ma sraczkę, co?

- Może się w tym wariackim widzie nażarł fosforu!

- Jesteś idiotą, Hermanie - oznajmił uroczyście Tajfun. - Jesteś zupełnym i kompletnym idiotą. Twój mózg pewnie jest gładziutki jak półdupki Miss Uniwersum.

W zasadzie trudno było nie zgodzić się z tym poglądem. Herman jednak najwyraźniej był innego zdania, bo poderwał się z zaciśniętymi pięściami.

Bardzo chętnie popatrzyłbym, jak po raz kolejny dostaje wycisk od informatyka, jednak stanowisko dowódcy nakładało na mnie pewne obowiązki.

- Spokój! - mój okrzyk zatrzymał obu w miejscu. -

Kto pierwszy uderzy, pełni wszystkie dyżury do końca lotu. Nie muszę chyba mówić, że trochę się w tym czasie wynudzi.

I postarzeje o parę lat. Teraz mamy co innego na głowie niż wyjaśnianie sobie kwestii personalnych.

Spojrzałem na egzobiologa. Milczał ze wzrokiem wbitym w blat stołu. Zastanowiło mnie to. Normalnie miał strasznie dużo do powiedzenia na każdy temat, czy miał o tym pojęcie, czy nie. Kolejny oryginał. Zdaje się, że o wiele lepiej niż na biologii znał się na budowie międzygwiazdnych silników. Nie mogłem się pozbyć przekonania, że do Agencji Kosmicznej przyszedł tylko dlatego, żeby do woli zajmować się tym, co stanowiło jego prawdziwą pasję. W przedziale maszynowym spędzał każdą wolną chwilę. Maniak. Po prostu maniak.

Ale przynajmniej w jakimś stopniu orientował się w egzobiologii. Nie był aż tak beznadziejny jak doktor.

Tyle, że miał koszmarne przyzwyczajenie mówić co drugie słowo „ten tego”. To sprawiało wrażenie, że z jego myśleniem nie wszystko jest w porządku.

A może to nie było tylko wrażenie?

- Nic nie powiesz? - spytałem. Pokręcił głową.

- Zastanawiam się, ten tego... - powiedział powoli i nagle wybuchnął. - Zastanawiam się, dlaczego siedzimy tu i pieprzymy głupoty, zamiast działać!

- To właśnie nazywa się narada - odparłem zimno. -

Coś w rodzaju burzy mózgów.

- Tak - spojrzał ironicznie po naszych twarzach. -

Ten tego, coś w tym rodzaju. Obawiam się tylko, ten tego, że w tym towarzystwie nie ma się co spodziewać wielkiej nawałnicy.

Gestem uciąłem ripostę Tajfuna. Powoli zaczęli mnie wnerwiać.

- W zasadzie on ma rację - odezwał się ksiądz. -

Siedzimy tu i tracimy czas.

- Masz jakieś cenne propozycje? - Twarz Hermana wykrzywił złośliwy uśmiech. - Spowiedź powszechną, wspólną modlitwę czy coś podobnego?

- Egzorcyzmy, drogi pilocie. Odprawię egzorcyzmy.

Po to tu jestem. Przynajmniej dowiemy się czy to jest opętanie, czy nie, skoro, jak twierdzi Julian, nauka jest bezradna - spojrzał wyzywająco na doktora.

Na końcu języka miałem uwagę, że odnoszenie w jakimkolwiek stopniu nauki do osoby naszego lekarza jest, delikatnie rzecz ujmując, pewnym nieporozumieniem, ale dałem sobie spokój. Atmosfera bez tego była dość napięta.

- Dobrze, kapelanie - powiedziałem - rób swoje.

Teraz przydział zadań dla pozostałych. Julian i Borys przeanalizują jeszcze raz odczyty medyczne. Dokładnie każdy zapis! I bez dyskusji! To rozkaz. Junior i Herman

przejrzeć wszystkie układy nawigacyjne i przetestować moduł napędowy. Nie, Borys, nie możesz, ten tego, się do nich przyłączyć! Masz, ten tego, swoją robotę.

Dalej, Tajfun sprawdzi zapisy komputera głównego za ostatnie dziewięć miesięcy. Przestań jęczeć! Wszystko musimy wziąć pod uwagę. Może zdarzyło się coś, o czym komputer nie melduje, a mogłoby być wskazówką! W czasie między dyżurami to on jest tutaj pierwszy po Bogu, a to tylko maszyna, zwykłe urządzenie, o wiele bardziej ograniczone niż człowiek.

Spojrzałem po nich wszystkich. I nabrałem wątpliwości czy stwierdzenie „bardziej ograniczone niż człowiek” ma jakiegokolwiek pokrycie w otaczającej mnie rzeczywistości. Przysięgam, że ostatni raz dałem sobie wcisnąć załogę bez dokładnego sprawdzenia wszystkich jej członków. „Morowe chłopaki” powiedział o nich admirał. Określenie „morowe” pasowało jak ulał. Morowe jak epidemia dżumy.

- A ty, dowódco? - spytał napastliwym tonem Herman. - Co sobie wyznaczysz?.

- A ja w zasadzie nie muszę się tłumaczyć. Ale odpowiem, żeby później nie było. Ja, moja kochana załogo, zajmę się myśleniem. Ktoś na tej zakichanej łajbie musi w końcu zacząć to robić. Na was, jak widać, nie mogę za bardzo liczyć.

- I jak? Wygnałeś złego ducha?

Książd opadł ciężko na fotel, wyciągnął przed siebie nogi. Tylko moja kajuta była na tyle obszerna, żeby można sobie było pozwolić na luksus posiadania dwóch siedzisk i jeszcze było miejsce na takie fanaberie jak wyprostowanie nóg.

- W zasadzie od początku byłem przekonany, że to opętanie. Nie chciałem tego mówić przy wszystkich, bo wiesz jak to jest. O razu byłoby gadanie.

- Wiem. Wyobraź sobie, że zdążyłem ich na tyle poznać. - I w zasadzie nadal jestem pewien, że to, co spotkało Krugera, można nazwać opętanem. Tyle, że...

- Mów - popędziłem go. Będzie mi tu dramatycznie zawieszał głos!

- Widzisz, w ładowni ustawiłem stół, wyjąłem swoje, że się tak wyrażę, sprzęty i zacząłem je rozkładać. Normalnie każdy opętany zaszywa się wtedy w najciemniejszym kącie. To, co w nim siedzi, wie, że za chwilę będzie się działo coś bardzo nieprzyjemnego.

A Kruger od razu do mnie podszedł tym swoim dziwnym skradającym się kroczkiem. Pierwsze, co zrobił, to dotknął krucyfiks. A kiedy nalałem święconej wody na spodek, zanurzył w niej palec!

Rozumiesz? W święconej wodzie! Nawet krzyżma chciał spróbować! Wiedziałem już, że nic z tego, ale zacząłem egzorcyzmy. Szczerze mówiąc, bez wielkiej nadziei na sukces, bo

widząc jego zachowanie, zwątpiłem w sens tego, co miałem zrobić. A ten nagle bęc na podłogę. Chwilę leżał spokojnie, a potem zaczęło nim trzepać. Nic wielkiego, wyglądało jak łagodny atak epilepsji. Skończyło się równie nagle jak zaczęło. Wstał jak gdyby nigdy nic, zaczął gulgotać po swojemu. Wyglądał, jakby czekał na jakiś dalszy ciąg.

- No i co?

- No i gównu, dowódcu! - odparł w sposób dość niekonwencjonalny jak na duchownego. - Najgorsze jest to, że wydaje mi się... wydaje mi się...

- Mów wreszcie! Co ci się wydaje?

- Nie wiem, ale mam nieodparte wrażenie, że owszem, wygnałem, tylko nie tego ducha, co trzeba.

- Co masz na myśli? - Oczywiście musiałem mieć jak spodki. - Nie rozumiesz, dowódcu? Myślę, że z ciała wyszedł jego prawowity właściciel!

Przez chwilę docierało do mnie znaczenie tych słów.

Nagle dotarło.

- Cholera jasna! Jesteś takim samym konowalem jak nasz kochany lekarz!

Milczał ze wzrokiem wbitym we własne dłonie.

Przynajmniej nie stawiał się i nie próbował mi wmówić, że nie zrobił nic złego.

Trzy oddechy głębokie, trzy szybkie... I znowu trzy głębokie, trzy szybkie... Zacząłem się powoli uspokajać.

- Myślisz, że on może stać się niebezpieczny? spytałem.

- A skąd, u Boga Ojca, mam to wiedzieć?

Człowieku, nigdy nie słyszałem o podobnym przypadku!

Westchnąłem ciężko. Świetnie. A miałem przez te kilkadziesiąt minut nadzieję, że wszystko się ułoży.

Teraz trzeba będzie znowu kombinować. Odczuwałem straszną niechęć na myśl o opuszczeniu przytulnej kajuty i zmierzeniu się z problemem twarzą w twarz.

- Rzadko się widzimy - powiedziałem, żeby oddalić ten moment. - W ogóle rzadko mam okazję przebywać sam na sam z kapelanami, których mi przydzielają. Nawet takimi... powiedzmy, mało profesjonalnymi. Kiedy przelecimy Strefę Opętania, komputer budzi cię, ty odprawiasz te swoje gusła... wybaczone określenie, ale jakoś mi pasuje i idziesz znowu spać. Jak to właściwie jest z tymi opętaniami?

Dlaczego duchy trzymają się akurat tamtego rejonu przestrzeni? Jakoś do tej pory nie bardzo mnie to obchodziło. Dopiero ta sprawa...

- Możesz zrobić mi drinka? Dzięki. No cóż.

Chciałbyś wiedzieć o sprawach, które w zasadzie zakryte są mgłą tajemnicy dla największych myślicieli i naukowców Kościoła. Co tam Kościoła, one są wielką zagadką dla duchownych wszystkich wyznań. Możemy tylko wysuwać pewne teorie. I, jak to zwykle bywa, jedna hipoteza wyklucza drugą. Ja, oczywiście, też wyznaję pewien pogląd, ale co do jego słuszności też nie jestem w pełni przekonany.

- Nie szkodzi - podałem mu szklaneczkę. - Chętnie posłucham.

- Krótko mówiąc, wyznaję hipotezę, że we wszechświecie, w naszym wszechświecie, roi się od duchów, dusz, czy jak je nazwiemy. Ale one nie pętają się swobodnie po przestrzeni. W tej chwili jesteśmy sami. Zupełnie sami w pustce kosmosu.

Pociągnął solidny łyk ze szklanki.

- W głębokiej przestrzeni powinniśmy być bezpieczni, ale za to w Strefie Opętania... O, to co innego!

Wyraźnie zaczął się zapalać. Pewnie przez wiele lat nie miał się komu wygadać w tej kwestii. Powiedzmy sobie szczerze - astronautów gównem interesowały jakieś duchy. Chodziło o wywiązanie się z kontraktu, zarobienie na premię i tyle. A to, że kogoś czasem opętało, to już było ryzyko wpisane w zawód i po to wlekliśmy ze sobą duchownych, ponosząc dodatkowe koszty, żeby było ono jak najmniejsze.

- Moja religia zakłada, a jest to teoria oficjalnie uznana nie tylko przez Watykan, ale nawet hierarchię islamską i judejską, że Strefa Opętania może być po prostu tym, co się zwykło określać mianem nieba i piekła... a może też czyśćca. To już diabli wiedzą, i to dosłownie. Uważa się, że dusze są skazane na przebywanie na tym kawałku wszechświata aż do dnia Sądu. Kiedy przelatuje statek kosmiczny, zdarza się, że taka dusza zakradnie się na jego pokład. Nie wiem, może ciągnie ją do żywych, a może dzieje się coś jeszcze innego... Wszystkich nas kładą spać, bo podobno nikt nie przekroczył jeszcze tego odcinka trasy pozostając przytomnym i przy zdrowych zmysłach.

Podobno na pokładzie panuje wtedy istne pandemonium. Ale, prawdę mówiąc, to tylko plotki.

- A ty jak uważasz? Tak naprawdę.

Ty razem sam sięgnął po butelkę, nalał sobie prawie pełną szklanekę ginu, potem połowę od razu wypił, jakby się bał, że jego strudzona dłoń nie utrzyma takiego ciężaru.

- Nie wiem - powiedział cicho.

Nie miał w tej chwili nic z tego jowialnego, otwartego klechy, jakim był jeszcze kilka minut temu.

- A powiedz mi, czy spotkałeś się kiedykolwiek z opętaniem po przejściu przez strefę?

- Nie wiem - powtórzył. - Bardzo trudno jest odróżnić chorobę psychiczną od opętania... Nigdy nie można być pewnym na sto procent. Po prostu nigdy nie będziesz wiedział, czy to prawdziwy duch opuścił nieszczęśnika, czy po prostu w ten sposób chory zareagował na egzorcyzmy, które mogą być po prostu rodzajem psychoterapii. Coś takiego, jak na naszym statku, zobaczyłem po raz pierwszy.

Cholera ciężka, całe to gadanie o duszach i duchach wydało mi się nagle czymś tak nierealnym, jakbym przed chwilą oberwał w łeb i obudził się w innym świecie. Ksiądz znowu pociągnął tęgi łyk.

- Co w takim razie... - zacząłem, ale przerwał mi brzęczyk interkomu.

- Tu Borys - odezwał się głośnik. - Muszę się z tobą spotkać. Natychmiast!

- Dobrze, już idę do ciebie.

Spojrzałem na księdza. Nalewał sobie kolejną porcję. Za godzinę będzie nie do użytku. Pomyślałem, że może lepiej by było jakby się skuł zanim poszedł odprawiać egzorcyzmy. Żeby wygnać nie tego ducha!

Ciekawe, jak się wytłumaczy swoim przełożonym. A może oni nie muszą się z niczego tłumaczyć?

Tylko raz widziałem równie wkurzonego egzobiologa. To było wtedy, kiedy Herman wyrzucił do dezintegratora jakieś unikalne znalezisko, sądząc, że to tylko ochłap starego mięsa. Borys mało mu wtedy oczu nie wydrapał. Teraz miał podobny wyraz twarzy.

Walnął w stół plikiem papierów.

- Nasz doktorek to gówno, nie lekarz! - wrzasnął. -

To cholerne gówno w białym kitlu! O niczym nie ma pojęcia!

Dopiero teraz to zauważył? To ja przez całą drogę modłę się, żeby nikt nie zachorował, nawet na katar, bo mógłbym mieć na pokładzie niespodziewany zgon, a ten nagle przychodzi z taką rewelacją!

- Uspokój się i mów.

- Nie będę spokojny! Nie mam ochoty być spokojny! Nie potrafię w tej chwili spokojnie mówić!

Skonstatowałem z pewnym zdziwieniem, że w stanie wzburzenia przestał powtarzać swoje kretyńskie „ten tego”.

- Dobra - powiedziałem. - W takim razie mów niespokojnie. Byle z sensem.

Dyszał jeszcze przez chwilę, ale najwyraźniej wzburzenie zaczęło mijać.

- Ten tego - zaczął, a ja zacząłem się zastanawiać, jak go wkurzyć, żeby on tego „ten tego” może jednak nie tego... - Pamiętasz, jak badaliśmy te dziwne formy na Arelianie? Wtedy, kiedy, ten tego, zepsuła się moja sonda do badań nowych gatunków.

- Pamiętam, a jakże. I nie mów teraz, że się zepsuła, dobrze? Gdybyś przy niej nie grzebał, na pewno nic by się...

- Daj spokój - skrzywił się niechętnie. - Zresztą nieważne. Korzystaliśmy wtedy, ten tego, z pokładowego biomatu. Sam dałeś, ten tego, zezwolenie.

- Nie powinienem, ale co miałem niby zrobić?

Jednym z priorytetów wyprawy było zbadanie właśnie tych obleśnych glutów, jakby to gówno było komuś w ogóle potrzebne. Daliby mi popalić na Ziemi, gdybym przyleciał i powiedział „Przykro mi, chłopaki, ale nici z badań, bo fachowiec od egzobiologii nie ma pojęcia jak obchodzić się ze sprzętem i rozpieprzył go w drobny mak”.

- Wiesz za co ludzie cię nie lubią? - wycedził przez zaciśnięte zęby - Właśnie za to! Za to, że jesteś najmądrzejszy i zawsze wiesz, co powiedzieć. Za to, że jesteś złośliwy i upierdliwy! I zawsze dajesz odczuć, kto tutaj rządzi! To już moja czwarta wyprawa, ale z takim wrednym szyprem jeszcze nie latałem.

- Zapomniałeś o czymś.

- O czym?

- Zapomniałeś dodać przynajmniej raz w każdym zdaniu „ten tego”.

Jakby w niego piorun strzelił.

- Dobra, powiedzieliśmy już sobie jak się kochamy uprzedziłem jego ripostę. - Teraz mamy ważniejsze sprawy na głowie.

Patrzył na mnie oczami tak rozjarzonymi złością, że w ciemności pewnie świeciłyby nie gorzej niż oczy Krugera. Jednak opanował się, kiwnął głową..

- O czym mówiłem? A, ten te... - zaciął zęby i nie dokończył. - O medmacie. Nasz doktorek, owszem, ustawił wtedy na planecie opcję „nohuman-open”. Te, jak je nazwałeś, glutu, nie były dotąd oficjalnie opisane, a wtedy zawsze, ten t... - znów się zatrzymał, a potem zaczął cedzić starannie - A nowe organizmy zawsze bada się w tym trybie. Wiesz...

- Wiem, wiem. Do badania bierzemy minimum trzydzieści egzemplarzy jednego gatunku i na tej podstawie wyznaczamy średnie, normy, i tak dalej.

Znam procedury. Masz mnie za kretyna?

Jego spojrzenie mogło mi wiele powiedzieć. Tak...

Przypuszczam, że w tej załodze wszyscy nawzajem mieliśmy się za debili. Zresztą może i słusznie.

- Cieszę się, że nie muszę tego tłumaczyć - rzucił zjadliwie. - W każdym razie medmat pracuje identycznie jak sonda egzobiologiczna. No i w trybie otwartym każdy badany organizm określany jest wyjściowo jako zdrowy... Zaczynasz pojmować?

Poczułem chłód przerażenia na plecach. Zabiję tego pieprzonego konowala!

- Doktor nie przestawił trybu? Badał Krugera jak jakiegoś kosmicznego wyplawka?!

- On się nie nadaje nawet do czyszczenia, ten te... klozetów! Jak nie wierzysz, zobacz odczyty. Wszędzie w prawym dolnym rogu jak byk jest napis „nohumanopen”.

- Zostaw mi te papiery. Zawiadom resztę, że narada będzie o piątej. Do tego czasu sam zbadaj Krugera. I jeszcze jedno, Borysie. Mów już to swoje „ten tego”.

Patrzeć na ciebie jak się męczysz to gorzej niż tego słuchać... No, idź już. Muszę się nad wszystkim zastanowić.

- Wiesz, co, dowódco? - rzucił mi jeszcze w drzwiach. - Ty nie umrzesz własną śmiercią. Wreszcie uda ci się kogoś tak rozdrażnić, że...

Machnął ręką i zniknął w półmroku korytarza.

- No co ty - wykrztusił Tajfun. - Co ty opowiadasz?

To brednie! Oblęd!

- A oblęd, ten tego, oblęd, żebyś wiedział! - Borys wskazał palcem wydruki. - A największy oblęd polega na tym, że ten tutaj - palec powędrował w kierunku doktora - jest, ten tego, pełnym durniem i ignorantem!

Podniósł się gwar. Egzobiolog cały czas wskazywał na Juliana, zaciekle tentegując, Tajfun usiłował wyrwać od niego jakieś dokładniejsze informacje, lekarz nieudolnie próbował się bronić, ksiądz, będący na ewidentnym kacu, usiłował coś wtrącić, Herman po swojemu kłął na czym świat stoi. Tylko Junior siedział z boku, znowu wpatrzony w ekran transmitujący obraz z piątej ładowni.

Zaczynałem mieć tego wszystkiego dość.

- Cisza! - wrzasnąłem. Musiałem się nieźle wysilić, żeby ich przekrzyczeć. - Zamknijcie się wreszcie!

Powoli cichło. W skupieniu przyglądałem się ich wykrzywionym złością twarzom. Oni też patrzyli na mnie uważnie.

- Cieszę się, droga załogo - zacząłem - że udało wam się skupić uwagę na mojej skromnej osobie. To cenne doświadczenie i spore osiągnięcie. A teraz może przejdźmy do rzeczy zamiast żywiłowo okazywać sobie nawzajem sympatię. Wiemy już, że Kruger, czy raczej to, co Krugerem nazywamy, wykazuje cechy charakterystyczne dla obcego gatunku.

Jest to gatunek hominidów, zamieszkujących czwartą planetę w układzie Hipostratusa. Z tego, co zdążyłem się dowiedzieć, nie była ona kolonizowana właśnie ze względu na tych... jak ich tam nazywają - rzuciłem okiem na wydruk - Hagian. Są na etapie cywilizacji przedindustrialnej, gdzieś tak w okresie piramid.

- Piramid? - zdziwił się Herman. - Piramidy to budowali na ziemi. Co ty nam tu za bzdury opowiadasz, dowódcu?

- Prędzej czy później stawia je każda cywilizacja wyręczył mnie Borys. - To, ten tego, konsekwencja powszechności praw fizyki... W architekturze, zanim cywilizacja zacznie używać lekkich i wytrzymałych materiałów, kształt piramidy jest jedyną możliwością, żeby wspiąć się wysoko w górę. Po prostu musi być szeroka podstawa, która wytrzyma...

- Dzięki - przerwałem mu. - To teraz zupełnie nieistotne. A szanowny pierwszy pilot powinien mieć pojęcie o podstawach inżynierii. W każdym razie wygląda to tak, jakby nasz Kruger zamieniał się właśnie w Hagianina.

- Chcesz nam powiedzieć, że mamy na pokładzie pieprzonego obcego popaprańca? - znowu wyrwał się Herman.

- Mniej więcej, Tyle, że ująłbym to w bardziej eleganckiej formie.

- Ja pier... - pierwszy pilot zacisnął dłoń w pięść. -

Czy ktoś to, kurwa, rozumie?

- Nie - odparł za wszystkich Borys. - Nikt tego, ten tego, kurwa, nie rozumie! Chyba, że osoba duchowna.

Mamy tu w końcu do czynienia chyba z jakimś, ten tego, cudem. A tym powinien zająć się ksiądz.

Spojrzał z prowokującym uśmiechem na kapelana.

Ten tylko machnął ręką.

- Musielibyśmy przyjąć - mruknął - że dusza obcego stłamsiła i zupełnie wyparła duszę Krugera.

- Chyba właśnie coś podobnego zaszło - zauważył spokojnie Tajfun. - Nie mów, ksiądz, że coś jest niemożliwe, patrząc jednocześnie właśnie na to! Tym bardziej, że sam, zdaje się, nieźle pomogłeś w tym wyparciu duszy Krugera. Zrobiłeś z niego regularnego obcego.

- Zgadza się - poparłem go. - Też mi się tak wydaje.

I te świecące oczy... One są charakterystyczne właśnie dla Hagian. Tajfun - zerknąłem na informatyka znalazłeś coś w odczytach kompa?

- W zasadzie niewiele. Nic wyjątkowego. Jedynie może to, że pół roku temu kurs był zmodyfikowany.

Mieliśmy na drodze rój jakiegoś złomu, zresztą niezbyt rozległy rój. Komputer zmienił kurs, ale i tak było dość ciasno, bo musieliśmy z kolei przejść przez rejon kometarny jakiegoś układu.

W mojej głowie zrodziło się straszliwe podejrzenie.

Pas komet? W naszym układzie zaraz za pasem komet jest przecież Strefa!

- Jakiego układu?! Sprawdź natychmiast! Musiałem mieć w oczach coś takiego, że zamiast zacząć jałową dyskusję, jak to było przyjęte na tej jednostce, poleciał do klawiatury.

- Układ Hipposstratus - dobiegło po chwili. - Osiem planet, w tym trzy gazowe olbrzymy... - mówił coraz wolniej. Najwyraźniej nawet do jego zakutego łba zaczęło coś docierać.

Spojrzałem na księdza. Był blady jak ściana. Jednak tym razem to nie był skutek uszczuplenia moich zapasów alkoholu.

- I tak nie odprawiałbym prewencyjnych egzorcyzmów - powiedział. - Nie przyszłoby mi to do głowy. Zresztą komputer nie ma programowanego budzenia mnie po każdym otarciu się o obcy układ gwiazdny...

- Czy to możliwe? - spytał Borys. - Czy tu też mają Sferę Duchów?

- Skoro jest u nas, dlaczego nie miałyby występować wszędzie, gdzie jest życie? A może to one są prawdziwymi władcami wszechświata? A może cała galaktyka pełna jest jeszcze dziwniejszych zjawisk?

Kto wie, może sam Bóg gdzieś tam w przestrzeni...

- Kapelanie - przywołałem go do porządku. - Nie pora na teologiczne bzdury - spojrzałem w ekran nad ramieniem Juniora. - Widzę, że Kruger nieco się ożywił. Zaczyna badać otoczenie. Na razie tylko maca ściany ładowni, ale przypuszczam, że istota, która go opanowała, zaczyna się przyzwyczajać do nowej sytuacji.

- A dlaczego przyjmujemy za pewnik, że Kruger zamienił się już w obcego? - rzucił doktor. - Tylko na podstawie jakichś wydruków z medmatu? Może ta cholerna maszynka też się myli?

- Ty jednak jesteś strasznym, ten tego, osłem, wiesz?

Znowu gwar podnieconych głosów. Spierali się o to, czy Kruger jest Krugerem, czy zupełnie inną istotą.

Grono wielkich znawców tematu!

- Przepraszam - doleciał z boku głos Juniora. Po chwili powtórzył głośniej. -
Przepraszam, koledzy!

To, że się odezwał było na tyle zaskakujące, że wszyscy zamilkli.

- Przepraszam - powiedział jeszcze raz Junior. -

Ale czy nikt nie zwrócił uwagi, że Michał zrobił się strasznie owłosiony? Przedtem taki nie był.

Michał? A, rzeczywiście, Kruger miał tak na imię!

Tyle, że nikt o nim nie mówił inaczej niż właśnie Kruger. Nawet ja, chociaż odbywaliśmy trzeci wspólny lot.

- A skąd mam wiedzieć, jaki był przedtem? - zdziwił się Herman. - W życiu go nie widziałem rozebranego.

A wy? - zwrócił się do pozostałych. - Widzisz, nikt nie wie. Ciekawe, skąd w takim razie wiesz ty. I dlaczego mówisz o nim Michał.

Junior zaczerwienił się po cebulki włosów. W tej chwili do mnie dotarło, dlaczego tak bardzo chcieli mieć dyżury razem. Zrezygnowanym gestem oparłem głowę na rękach, spojrzałem spod oka na spłoszonego chłopaka. Boziu kochana, co za menażeria!

- Czyżbyśmy mieli na pokładzie ognisty romans? rzucił zjadliwym tonem Tajfun.

- Zamknij się - warknąłem. - Teraz, z której strony by na to nie spojrzeć, musimy podjąć decyzję, co mamy zrobić z Krugerem.

- Może zawieziemy go na Ziemię? - zaproponował Herman.

- W zasadzie - odparłem - prawo zabrania zabierania inteligentnych istot obcych ras. Chyba, że wyrażą na to zgodę nasze władze. A jak mamy zasięgnąć opinii z Ziemi bez łączności? Poza tym trzeba mieć jeszcze zgodę istoty, którą zabieramy, a to oznacza, że powinna być na tyle świadoma, co się dzieje, żeby zdawać sobie sprawę chociaż z tego, iż istnieje coś takiego, jak znany nam wszechświat.

- A może - wtrącił Junior - zapytajmy go? Skąd wiadomo, że nie będzie świadomy? Powinniśmy się z nim dogadać. Hagianie to przecież sklasyfikowana rasa.

Ich język musi być ujęty w translatorze.

W tym momencie zacząłem się zastanawiać czy i ja nie postradałem zmysłów, przynajmniej w jakimś stopniu. Właściwie powinniśmy użyć translatora na samym początku, a nie zakładać, że gulgotanie Krugera to tylko objaw opętania albo choroby psychicznej. Te wszystkie rewelacje, odczyty badań, a teraz w dodatku jeszcze porastanie włosiem...

Niebawem Kruger zacznie wyglądać jak modelowy przykład mieszkańca czwartej Hippostratusa. Trochę to wszystko mogło oszołomić.

- Tajfun! Natychmiast do roboty. Ustaw tłumacza! I żebym nie musiał znowu wszystkiego sam doglądać!

Już przedtem sytuacja wydawał się koszmarna alternatywa czy mamy na pokładzie Krugera opętanego, czy tylko zwariowanego. A co miałem powiedzieć teraz? Teraz, kiedy wyszło, że Kruger najprawdopodobniej zamienił się w przedstawiciela obcej rasy?

Patrzyłem ciężkim wzrokiem na jego zgarbioną i pokrywającą się ciemną sierścią postać. Lekarz, ksiądz i Herman stali wokół translatora, przy którym majstrował Tajfun, wprowadzając jeszcze jakieś poprawki.

- On nas uważa za istoty wyższe - szeptał mi na ucho Bo - rys, który towarzyszył informatykowi przy kalibracji urządzenia. - Jak tylko usłyszał pierwsze dźwięki, to, ten tego, padł przed nami plackiem i zaczął memlać coś dziwnego, jakby, ten tego, modlitwy.

- Gotowe - powiedział Tajfun. - Możemy kontynuować. Teraz powinno mniej zgrzytać.

- Kim jesteś? - ksiądz odwrócił się do Krugera. Ten natychmiast padł na twarz.

- Prochem marnym w obliczu bogów o gładkich twarzach!

- To o nas - wyjaśnił Tajfun. - On tak się wyraża o nas. Bogowie o gładkich twarzach.

- Dlaczego nazywasz nas bogami? - spytał znowu ksiądz.

- O, najpotężniejsi! - Kruger podniósł twarz. - Czy przybędą na Ziemię bogowie o gładkich twarzach! Czy szakal nocnym wyciem oznajmi koniec starego porządku! Czy ludzie poznają smak przerażenia?

W tym momencie miałem nieodparte wrażenie, że leżący Kruger robi sobie jaja.

- Ziemię? Szakal? Ludzie? - zdziwiłem się. - Tajfun, co to jest? Obcy nie ma prawa znać takich słów!

- Bo nie zna - spokojnie odparł informatyk. - Po prostu tak skalibrowałem translator, żeby tłumaczył najbliższe domyślne odpowiedniki. To ułatwia porozumienie. Bo to, co przedtem podawał, to był kompletny mętlik. Dla tego tutaj Hagia jest tym, czym dla nas Ziemia. Poza tym każda rozumna rasa określa się mianem, które można przetłumaczyć jako „człowiek”. A że szakal... boja wiem? Jak chcesz mogę przestawić na poprzedni tryb.

- O nie - zaprotestował Borys. - Nic z tego, ten tego, nie można było zrozumieć. Pieprzył o jakiejś głowie w chmurach, wielkim różowym czymś i takie różne, ten tego,

idiotyzy. A jak opisał tego, co nazywa szakalem, to miałem się ochotę wyrzygać. Niech lepiej zostanie jak jest.

- Niech zostanie - zgodziłem się. - Spytajcie go o imię.

- Imię moje proch marny, o wielki! - zbulgotał, po czym popatrzył prosto na mnie. - Czy tyś tu najwyższym?

Można tak powiedzieć. Jam tu najwyższy skrzywiłem się. Ten jego uroczysty styl był cholernie zaraźliwy.

- Bądź pozdrowiony! - tłumacz nie oddawał intonacji, ale wzmożony odgłos kipienia świadczył chyba o wielkim wzburzeniu Krugera, czy kim tam stała się leżąca postać po fachowej ingerencji naszego kapelana.

- Wstań już, dobrze?

- Bądź pozdrowiony wszelkimi słowy! - znowu to niesamowite bulgotanie.

- Dobrze, będę pozdrowiony jakimi słowy chcesz, tylko wstań!

Nie chciał wstać. Życzył sobie rozmawiać z nami w pozycji leżącej. No cóż, nie mogłem mu tego zabronić, choć muszę powiedzieć, że w roli boga czułem się głupio.

- Tak - mruknąłem niechętnie. - Jeśli ktoś powie, że ten tutaj jest dostatecznie uświadomiony, żeby wyrazić zgodę na podróż do obcej cywilizacji, dostanie ode mnie osobiście w zęby.

- Podsumujmy - powiedziałem kilka godzin później.

- Nasz gość, zdaje się, po pierwszym okresie oszołomienia odzyskał pełnię władz umysłowych, o ile można w tym przypadku mówić o jakichkolwiek umysłowych władzach! Z tego, co nam powiedział, na drugi świat został dość gwałtownie wyprawiony przez swoich ziomków, którzy zakatrupili go za jakieś tam przestępstwo.

- Nie za jakieś tam - wpadł mi w słowo ksiądz tylko za bluźnierstwo przeciw bogom. Jest wyznawcą prześladowanej religii.

- Nieważne. Nie pamięta zupełnie, co się z nim działo później, tylko tyle, że ocknął się na naszym statku, który uważa chyba za coś w rodzaju nieba.

- Dziwisz się? - to znowu ksiądz. - Wyobraź sobie, że jesteś mieszkańcem starożytnego Egiptu. Umierasz i budzisz się w niezwykłym otoczeniu, co krok to jakieś cuda, świecące ściany i tak dalej. Co byś pomyślał?

- Pewnie masz rację. Ale musimy z nim coś zrobić!

- A co mówią przepisy?

- Księżę - zirytowałem się. - Na taką okoliczność nie ma przepisów! Przynajmniej ja o takich nic nie wiem!

- Tak, ten tego - wtrącił egzobiolog. - Wyraźnych przepisów nie ma. Ale na pewno znajdziemy coś, co można nagiąć do naszej sytuacji.

- A ja bym go wziął na Ziemię i po krzyku! zawołał Herman. - Niech się martwią jacyś jajogłowi. A my na urlop - rozmarzył się.

- A co, dupy ci się śnią? - Tajfun spojrzał na niego z ukosa.

- Jakby mi się chciało dupy - wstał, przeszedł do ekranu przekazującego obraz z ładowni i przystanął za plecami Juniora - to bym się zgłosił do naszego chłoptasia, skoro już świadczył usługi naszemu nieodżałowanemu...

Nie dokończył. Zanim zdążył mrugnąć okiem, siedział na ziemi, uważnie obmacując szczękę. W życiu bym nie pomyślał, że niepozorny Junior ma takie pociągnięcie. I że jest taki szybki.

- Widzisz, drogi Hermanie - powiedziałem - sam się przekonałeś, że kiepskie żarty działają na uzębienie równie niekorzystnie co nadmiar słodczy. A teraz podnieś się i zmuś swoje zamarłe przed laty szare komórki do podjęcia jakichś, choćby najprostszych nawet, procesów. Zresztą to się tyczy wszystkich obecnych. Chociaż przez chwilę okażcie sobie odrobinę wyrozumiałości. O sympatii nawet nie wspominał, bo nie zamierzam żądać od was cudów.

- Dobra, dowódco - przerwał mi Tajfun. - Czego znowu od nas chcesz?

Przyznam, że to „znowu” nieco mnie wkurzyło, ale zmilczałem. Gdybym reagował za każdym razem, kiedy moja załoga wyprowadza mnie z równowagi, nie miałbym czasu na nic innego poza wściekaniem się.

- Chcę od was rady. Co mamy z nim zrobić.

- Ty jesteś szefem - powiedział Herman. - Ty decyduj.

- Właśnie - poparł do Tajfun. Ci dwaj, jak się zdaje, byli jednowyślni po raz pierwszy od chwili startu. - Nie zwalaj odpowiedzialności na nas.

- Zgadza się, ten tego - mruknął Borys. Doktor tylko wzruszył ramionami.

- Naprawdę nie wiem - odezwał się ksiądz, kiedy spojrzałem na niego. - Ale może rzeczywiście są jakieś uregulowania, które można tu zastosować. Trzeba pogrzebać w przepisach.

- Dzięki za pomoc - powiedziałem z przekąsem. -

Wiem tyle samo, co na początku.

W ich spojrzeniach darmo szukałbym choćby odrobiny współczucia.

Cóż... właściwie czego mogłem od nich oczekiwać?

Przecież wiedziałem doskonale, że mają wszystko w dupie i chcą tylko jak najprędzej wrócić do domu.

- Punkt pięćdziesiąt trzy albo cztery - usłyszałem nagle zza pleców głos Juniora. - Dokładnie nie pamiętam. Chodzi o Regulamin Postępowania w Kontakcie. Tam jest taki zapis, co robić przypadku dostania się na pokład obcej istoty inteligentnej. Należy ją odstawić jak najszybciej do naturalnego otoczenia i spowodować, w miarę możliwości, zanik pamięci...

Odwróciłem się do niego. Faktycznie, było coś takiego. Ameryki nie odkrył.

Ale przyznaję, że sam nie mogłem sobie przypomnieć nic sensowniejszego.

- Ale to dotyczy sytuacji, kiedy na pokładzie znajduje się obcy. Obcy, Junior! Bywały przypadki, że jeden z drugim zablindowali się gdzieś po zakamarkach statku. Wtedy wszystko jest jasne i proste. Ale przypominam, że Kruger nie dostał się na pokład jako obcy. On tu się dopiero taki zrobił. Gdybyśmy lądowali na Hagii i tam go dopadło, zawsze moglibyśmy się go pozbyć i wytłumaczyć, że go porwali, zabili, albo nawet zeżarli. Jednak nasza sytuacja jest o wiele bardziej skomplikowana.

- Ja nie wiem, komandorze - rozłożył ręce. - Po prostu ten przepis wydaje się najbliższy. Kruger... raczej to, co z niego zostało... przecież on anatomicznie i mentalnie nie jest już człowiekiem. Genetycznie też nie, jeśli wierzyć naszemu lekarzowi. Może był jeszcze w jakimś stopniu istotą ludzką dwa dni temu, ale tylko do czasu, kiedy kapelan nie wygnał go ostatecznie z ciała! Ale i tego nie możemy być pewni po tym, jak pan doktor spieprzył robotę.

Spojrzał z nienawiścią na najpierw księdza, potem na Juliana.

- Właśnie - podchwycił natychmiast Herman. - On już nie jest człowiekiem. I nie będzie!

- Skąd wiesz? - rzucił się Tajfun. - Może gdzieś tutaj krąży i czeka na okazję, żeby zająć z powrotem swoje ciało!

- Nie pieprz, człowieku - Borys skrzywił się z niesmakiem.

- On był bardzo wierzący - powiedział cicho Junior.

- To był dobry człowiek. Mam nadzieję, że jest teraz w lepszym świecie.

- Nie chrzań! - warknął Herman. - Dobry człowiek!

Wierzący! - przedrzeźniał chłopaka. - A jak już nagrzeszył i wy - łomotał cię zdrowo, to co? Krzyżem sobie leżał?

Junior zaciął zęby, zaczął wstawać z fotela.

- Żadnych bójek! - rzuciłem ostro. - A ty, Herman, jeśli się jeszcze raz odezwiesz, dostaniesz stały dyżur!

Do samej Ziemi! Nie żartuję. Nie życzę sobie więcej twoich chamskich uwag, zrozumiano?!

Zmełł w ustach przekleństwo.

- A teraz posiłek i rozchodzimy się do kabin. Macie myśleć, a nie spać ani zabawiać się alkoholem, oglądaniem filmów albo niesfornymi częściami anatomii. Spotykamy się za trzy godziny, żeby podjąć ostateczną decyzję!

Siedziałem w fotelu, ale zamiast spodziewanego odprężenia, czułem ogromny niepokój. Cholera jasna, gdyby ten przekaźnik dalekiego zasięgu był na chodzie, o ile wszystko byłoby prostsze! Założę, się, że innych jednostkach ten wynalazek działał jak złoto. A jeżeli nawet nie jak złoto, to w ogóle działał. Chyba, że to doktorek ma rację.

Wstałem. Za bardzo mnie nosiło, żeby dłużej usiedzieć. Chodziłem po kajucie w tę i z powrotem.

Diabli mnie brali na myśl, że niebawem znowu ujrzę ukochane zgromadzenie moich podwładnych, będę mógł spojrzeć w ich wierne, współczujące i mądre oczy. Wyciągnąłem rękę w stronę barku. Nie! Nie mogę sobie pozwolić nawet na małego drinka. Jeżeli któryś z nich wyczuje alkohol, od razu posypią się komentarze. A może przesadzam? Może to paranoja?

Znowu wyciągnąłem rękę, ale zamiast w zatrzask barku klepnąłem włącznik interkomu.

- Uwaga, wszyscy członkowie załogi! Zarządzam na pokładzie stan wyjątkowy drugiego stopnia i bezwzględną prohibicję.

Nie będę się mordował sam! A ostry zakaz picia zostanie odnotowany przez komputer w protokole lotu.

I biada temu, kto go złamie! Księdza alkoholika nie wyłączając. Egzorcysta od siedmiu boleści!

Prawie słyszałem ten jęk zawodu, który wyrwał się z sześciu piersi. Sześciu? Nie, raczej pięciu. Junior, z tego co wiem, to abstynent. Załadowałem do czytnika dysk z programami rozrywkowymi. Ekran rozjarzył się tętniącym życiem teledysku. Nie dałem jednak rady długo wytrzymać bębniących dźwięków i widoku panienki, która usiłowała dać z siebie wszystko. Ktoś kiedyś nieszczęsnej powiedział, że jest piękna i ma talent. Uwierzyła, a potem skutki jej nieuzasadnionego optymizmu muszą podziwiać bliźni. To tak, jak z moimi podwładnymi. Ktoś kiedyś rzekł „Chłopie, nadajesz się do tej roboty”, a oni uwierzyli. Tylko

dlatego akurat ja dostałem w podarunku wszystkie pomyłki wszelakich komisji rekrutacyjnych w naszej części wszechświata?

Ze złością wyłączyłem czytnik. Przymknąłem oczy.

Może uda mi się zasnąć chociaż na pięć minut.

Patrzyli na mnie z niechęcią. Z największą oczywiście ksiądz.

- Nie musiałeś tego robić - burknął Julian. -

Niewiele mamy radości na pokładzie. Pełną prohibicję zarządza się tylko w sytuacjach zupełnie wyjątkowych, z tego, co wiem.

- Nie jesteście na wczasach, tylko w pracy! odparowałem. -1 radość macie, czerpać właśnie z tej pracy. A ty, doktorze, skoro tak dobrze znasz przepisy, czemu przedtem nie potrafiłeś nic doradzić? Poza tym jeżeli ta sytuacja nie jest wyjątkowa, to co zasługuje na takie określenie?

- Dobra - mlasnął językiem Tajfun. - Rozkaz to rozkaz i trzeba słuchać dowódcy.

Podchwycił moje ironiczne spojrzenie i skrzywił się niechętnie. Dobrze sobie! Trzeba słuchać dowódcy!

Zasadniczo gdzieś mieli moje rozkazy. Teraz bali się, bo wiedzieli, że w razie wpadki konsekwencje dyscyplinarne są nie do uniknięcia. Od chwili ogłoszenia stanu wyjątkowego wszystko, co dzieje się na pokładzie było rejestrowane, a ja nie miałem możliwości manipulowania zapisami, jak w normalnym trybie.

- Mamy do wyboru dwie drogi - powiedziałem. -

Możemy zabrać Krugera, czy jak go tam teraz trzeba nazywać, na Ziemię albo odstawić na rodzinną planetę.

Musimy rozważyć za i przeciw obu opcji.

- Zabierajmy go do domu i z grzywki! - to oczywiście był Herman. - Na jego planecie nikt przecież go szukał nie będzie, bo sami gościa załatwili odmownie!

- Tak - teraz zabrał głos doktor. - A wiesz ile potrwa kwarantanna, jeśli go przywlecemy? Bo ja nie chcę nawet o tym myśleć. Dopóki nie zrobią dokładnych badań, co niewątpliwie potrwa, będziemy siedzieć na orbicie i to odcięci od świata, we własnym upojnym towarzystwie. A nie ukrywam, że mam was wszystkich dość!

- Nawzajem - padło od razu kilka odpowiedzi.

- Ale bez niego też będzie kwarantanna - zauważył Tajfun.

- Przecież nie ukryjemy tego całego cyrku. Będą nas badać...

- Ale, ten tego - przerwał mu egzobiolog - nie tak długo. A poza tym przed dokowaniem sami się, ten tego, zbadamy gruntownie biomatem... Nieporównanie dłużej nas przetrzymają z nim...

- Mam rozumieć, że jesteś za odstawieniem go na Hagię?

- Ja tam nie wiem. To ty, ten tego, podejmiesz decyzję... Na szczęście. Stan wyjątkowy drugiego stopnia daje ci nieograniczoną władzę. I nieograniczoną odpowiedzialność.

Oczywiście miał rację. Ocena mojej decyzji wprowadzenia obostrzonego rygoru i wszelkich działań potem podejmowanych należała do komisji na Ziemi.

Moi podwładni na pewno dokładnie zapoznali się z odpowiednimi punktami regulaminu. Nie przewidzieli tylko jednego.

- O nie, moi kochani - uśmiechnąłem się jak mogłem najczulej. - Na mocy moich obecnych nieograniczonych uprawnień, zarządzam w tej sprawie podjęcie decyzji większością głosów załogi. Nie będę sam się babrał w tym gównie!

- Cholerny spryciarz!

Nie miałem pewności, kto to powiedział, ale stawiałbym na Borysa.

- Najpierw musimy ustalić, czy Kruger jest przedstawicielem obcej rasy. Jeżeli nie, lecimy prosto na Ziemię. Jeżeli tak, musimy podjąć decyzję, co dalej.

Głosujemy - powiedziałem.

- Po kolei każdy wypowiada...

- Chcemy się jeszcze naradzić - wpadł mi w słowo Borys. - Nie rozpędzaj się, ten tego, tak bardzo.

Żądamy trzech godzin czasu. Oczywiście bez twojej obecności, dowódco!

To było sprytne. Skoro w danej sprawie zarządziłem głosowanie, mieli prawo do zebrania się w odosobnieniu.

- Szkoda, że nie potraficie tak kombinować wtedy, kiedy trzeba - burknąłem. - Macie godzinę. I nikt nie wyjdzie z tego pomieszczenia w tym czasie.

- Poza, ten tego, tobą - dorzucił Borys.

- Poza, ten tego, mną - wycodziłem.

- Czy pozostali bogowie nad czymś się naradzają? wyszczeakał translator. - Czy może nad moim losem?

Rzuciłem zdziwione spojrzenie na Krugera. Skąd mu to przyszło do głowy? Może ta rasa ma zdolności telepatyczne?

- Nie jesteśmy bogami, zrozum to wreszcie. Co do twojego pytania - tak, pozostali się naradzają. Skąd wiesz?

- Tak pomyślałem. Nigdy nie byłeś tu sam, o wielki.

Nigdy nie raczyłeś ze mną rozmawiać inaczej niż przy kimś z pozostałych.

To było logiczne. Zbyt logiczne jak na... No właśnie, jak na kogo? Założyliśmy wszyscy, że to tylko jakiś nieszczęsny kretyn, przedstawiciel prymitywnej cywilizacji. Czy odmawiamy umiejętności logicznego rozumowania naszym starożytnym przodkom?

Dlaczego więc inaczej traktujemy obcych?

- Jak ty właściwie masz na imię?

- Pomyślność Zesłana Przez Wielkiego Boga.

Translator przetłumaczył tak jakąś krótką w ustach obcego nazwę. To pewnie tak, jakby tłumaczył imię Rafael metodą dosłowną... machnąłem ręką.

- Będę cię nazywał Kruger.

- Jak tego, który odszedł? On był dobry.

- Skąd wiesz?

- Poznałem go, gdy razem przebywaliśmy w tym ciele. Zanim wielki bóg w czarnej szacie wygnał go swą mocą.

- Mówisz o księdzu, tak?

- Tak, o tym, którego tak nazywacie.

Że też mi dotąd do głowy nie przyszło spróbować zasięgnąć informacji u źródła!

- A wiesz, gdzie on teraz jest?

- Odszedł. Był bardzo szczęśliwy, kiedy odchodził.

To było uczucie spełnienia, gdyśmy się zjednoczyli na krótki czas, a potem rozdzieleni podążyliśmy każdy w swoją stronę, by zajaśnieć...

Znowu się zniechęciłem. To był bełkot nic nie rozumiejącej prymitywnej istoty. Nic z niego nie wynikało.

- Chciałbyś wrócić do swoich? - przerwałem potok jego wymowy.

Milczał bardzo długo.

- Chciałbyś wrócić do swojego świata? powtórzyłem.

- Nie wiem, o wielki - powiedział w końcu. - Niech moi bogowie zadecydują, co będzie dla mnie dobre.

- Czas minął, panowie.

Siedzieli wokół stołu tak jak ich pozostawiłem.

Jedyna różnica polegała na tym, że lewe oko Hermana nabierało wesołej sino-czerwonej barwy. Pewnie znowu palnął coś głupiego. Ten to się do śmierci niczego nie nauczył.

- Gotowi?

- Powiedzmy - mruknął Julian. - Powiedzmy, że jesteśmy gotowi.

- Jeśli chcesz znać naszą decyzję - zaczął Tajfun, ale przerwałem mu ruchem dłoni.

- Nie. Musi się odbyć formalne głosowanie. To nie zabawa. To naprawdę ważna decyzja i proszę o poważne jej potraktowanie. Pierwszy Borys.

- Uważam, że to obcy i, ten tego, powinno się go odstawić na Hagię.

- Julian?

- Zasadniczo zgadzam się z Borysem...

- Nieważne, z kim się zgadzasz zasadniczo. Masz jasno i wyraźnie się wypowiedzieć.

- Jestem za odtransportowaniem Krugera na Hagię.

Także uważam, że stał się obcym.

- Tajfun?

- Tak samo.

- Herman?

- A co mam, kurwa, powiedzieć? Ja też!

- Herman, chociaż raz mógłbyś nie rzucać miechem!

Kapelanie?

- Wstrzymuję się od głosu. Ta istota sama powinna zdecydować...

- Ta istota sama nie wie! Przed chwilą z nią rozmawiałem.

- Niemniej wstrzymuję się od głosu.

- Junior?

- Uważam, że powinniśmy go zabrać na Ziemię, chociaż stał się obcym...

- Głupi gówniarz - syknął Herman.

- Czyli zdecydowaliśmy - westchnąłem.

- Zaraz, zaraz. A ty, komandorze?

- Ja już nie muszę głosować. Cztery za lotem w rejon Hagii, jeden przeciw, jeden się wstrzymał. A mojego zdania jakoś nigdy do tej pory nie byliście specjalnie ciekawi.

- Dlaczego akurat ksiądz?

Miałem wrażenie, że Tajfun zadał to pytanie tylko dla sportu. Ot, tak sobie, żeby coś powiedzieć, albo spróbować wsadzić kij w mrowisko, jak to było na tym statku w zwyczajny.

Ale skoro pytanie już padło, musiałem dać odpowiedź. W warunkach stanu wyjątkowego miałem obowiązek ustosunkowywać się do wszystkiego, co działo się na pokładzie statku.

Sam siebie przeklinałem za ten pomysł. Zamiast utemperować swoich podwładnych, sam musiałem uważać, co mówię, żeby nikt potem nie mógł zrobić z tego użytku. W pamięci komputera trwale zapisywały się wszystkie rozmowy, a nie tylko te, które sam kazałem po przejrzeniu nagrań zachować.

Natomiast moi kochani towarzysze podróży, otrząsnąwszy się z pierwszego szoku, i tak ewidentnie mieli wszystko gdzieś.

- Dlatego ksiądz - odpowiedziałem - że jako osoba duchowna i poniekąd pokładowy terapeuta jest chyba najlepiej przygotowany do roli niańki. Gdybyśmy mogli zamrozić naszego gościa, nie byłoby problemu, ale nasz doktor nie jest pewny...

- Nasz doktor niczego nie jest pewny - wtrącił Herman. - A ja bym skurczybyka wsadził w hibernator.

Najwyżej zdechnie i będzie po kłopotcie.

Już dawno miałem pewność, że na Arelianie ktoś celowo zepsuł czujnik promieniowania w skafandrze pierwszego pilota. I naprawdę potrafiłem to zrozumieć.

Co więcej, nie zamierzałem dochodzić, kto tego dokonał. Tak jak inni mogłem tylko żałować, że nie wyszło. Tym razem zignorowałem odżywkę.

- Wyhamowanie i powrót z normalną nadświatłą potrwa dokładnie dwieście dwadzieścia standardowych dni. Nie ma sensu, aby wszyscy członkowie załogi przez ten czas byli na nogach. Wystarczy dwóch do opieki nad Krugerem i pełnienia dyżurów. Junior zgłosił się na ochotnika. A księdza ochotnikiem wybrałem z wymienionych przedtem względów.

Oczywiście głądziłem tak kwiecicie tylko na użytek zapisu, któremu kontrolerzy niewątpliwie poświęcą wiele czasu. Normalnie powiedziałbym im, żeby pilnowali własnego nosa.

- A ja myślę - wypalił Tajfun - że to zemsta. Za to, że kapelan wywalił właściwego Krugera diabli wiedzą gdzie.

- Stul pysk - rzucił Julian. - Szyper chyba wie co robi. Wielkie nieba, ktoś stanął po mojej stronie! No pewnie doktorek cieszył się, że nie wyznaczyłem jego.

Zasłużył sobie chyba nawet bardziej niż ksiądz.

- Wystarczy, ten tego, gadania. Kto ma spać, niech śpi, a kto ma robotę, niech się do niej, ten tego, zabiera.

- Dzięki za wyręczenie mnie, Borysie powiedziałem. - Trafniej bym tego nie ujął.

Czułem zarazem rezygnację, wściekłość i rozpacz, patrząc na wesoło migające światełka komunikatora dalekiego zasięgu. Cholerny, nic nie wart wynalazek!

Tajfun grzebał przy nim przez miesiąc na początku lotu i wielkie zero. Gdyby tylko działał... Pytanie do dowództwa, szybka decyzja i poczucie braku odpowiedzialności. Ale nie, ja zawsze musiałem mieć pod górkę!

- Szlag by cię trafił - nie wytrzymałem. To było głupie wściekać się na martwy przedmiot, ale było mi już wszystko jedno. Do układu Hipostratusa zostały dwa tygodnie. Odkąd Junior mnie obudził, nie mogłem myśleć o niczym innym tylko o tym, czy podjąłem właściwą decyzję. - Cholera by cię wzięła, pierdolona kupo szmelcu!

Z całej siły kopnąłem w rząd wielkich diod dolnej płyty urządzenia. Trzasnęło, rozszedł się swąd ozonu.

Logo agencji kosmicznej na ekranie nadal wesoło kręciło się w kółko. Miałem wrażenie, że Symbol Ziemi zamienił się w drwiące oblicze wstrętnego gнома.

Jeszcze raz wyciąłem z całej siły, tym razem w klawiaturę kompa.

- Mam to wszystko w dupie - rzuciłem głośno. -

Czym ja się przejmuję? Najwyżej wyleją mnie z roboty.

Odwrociłem się do wyjścia.

- SPR pięćdziesiąt dwa - dobiegł mnie nagle dźwięczny głos. - Powtórz komunikat.

- Słucham? Co to za kawały?

- SPR pięćdziesiąt dwa. Przestrzegaj procedury.

Dlaczego się dotąd nie meldowałeś? Dlaczego nie zdjąłeś do tej pory blokady urządzenia?

Z głową wykręconą pod dziwnym kątem patrzyłem na komunikator dalekiego zasięgu.

- Dlaczego nie ma wizji? Pięćdziesiąt dwa, odezwij się!

- Tu SPR pięćdziesiąt dwa - wyjąkałem. - Mówi komandor Norbert Renko. Nie mogliśmy uruchomić komunikatora. Byłem przekonany, że jest uszkodzony...

- Wystarczyło zdjąć blokadę. Przecież macie przeszkolonego członka załogi! A poza tym każda jednostka otrzymała w pakiecie instrukcję.

- W jakim pakiecie? - spytałem odruchowo, zanim zdążyłem pomyśleć.

- Komandorze, co wy za bajzel macie na pokładzie?

Instrukcja została dołączona w pakiecie z planami silników nadświatlnych! Każdy informatyk jednostki powinien to mieć!

- Postaram się to ustalić. Ale mamy tu większy problem.

- Melduj, SPR pięćdziesiąt dwa.

Pierwszy raz widziałem tak przerażonego Tajfun.

Nie powiem, żeby nie sprawiło mi to przyjemności.

- No, gdzie jest ta instrukcja? - pytałem bardzo spokojnie. Wybuch miałem już za sobą. Zanim się obudził, zdążyłem ochłonać. - Że zamiast chodzić na szkolenie łąziłeś po knajpach i burdelach, to już ustaliliśmy. Ale gdzie, baranie, posiałeś instrukcję?! I co to była za książka, w którą zaglądałeś podczas rzekomej naprawy komunikatora? Kamasutra? Dobra, nie jękać się. To teraz nieważne. Gdzie jest instrukcja?

Gdzie są plany modułów napędu?

Tajfunowi z przerażenia latała szczeka.

- Jak ci się udało obejść blokadę? - spytał.

- Ja tutaj zadaję pytania! Ale odpowiem ci.

Musiałem się napocić i zniszczyłem przy okazji układy optyczne! Nie mamy łączności wizualnej, tylko radiową. Ale dobre i to!

Co miałem mu powiedzieć? Że usiłowałem rozwalić to urządzenie? Gdyby nie jego indolencja, nie doszłoby do tego.

- Poczekaj, Tajfun. Reszta załogi będzie ci niewątpliwie wdzięczna za zwłokę.

- Reszta załogi wie... - wymruczał niewyraźnie.

- Co?! - tego było za wiele. - Tylko ja nie zostałem o niczym poinformowany?! Jak zwykle zresztą. Dobra, gadaj, co się stało!

Dobrze, że nie kazałem budzić wszystkich od razu.

Miałem czas trochę się uspokoić, inaczej pewnie bym ich pozabijał. A Borysa z całą pewnością. - Słuchaj, egzobiologu od siedmiu boleści - towarzyszyłem mu od kiedy tylko odtworzył oczy. - Czy nie dostałeś zakazu zbliżania się do silników? Czy to u ciebie nałóg? Jak popijanie u księdza?

Był równie spanikowany, jak przedtem Tajfun.

- Ja... ja tylko, ten tego, oglądałem... Niczego nie dotykałem, naprawdę!

- Ale to nie przeszkodziło ci wpięprzyć planów do wnętrza modułu, co? Jak ty tego dokonałeś? A, oglądałeś tylko układy? Porównywałeś ze schematami?

Ale jak... Zsunęło się? Samo się zsunęło?! Mamuniu, to się żłobiło siamo, Bolysek nic nie popsiał, a gu! To cud, że nic nie uszkodziłeś, kretynie! I ta cholerna książka tam cały czas jest?! Wiesz, co by się mogło stać przy jakimś gwałtownym manewrze? Nagłym przyspieszeniu albo hamowaniu? Rozniosłoby statek na przestrzeni ponad pół parseka! A w

najlepszym razie szlag trafiłby moduł! Wiesz, ile lecielibyśmy na Ziemię z podświetlną? Wiesz, ile czasu upłynęłoby na naszej pięknej planecie? Durniu, moglibyśmy zastać cywilizację szczurów albo karaluchów. Albo istot, które kiedyś były ludźmi, ale potem... Cholera wie, co moglibyśmy tam znaleźć! To by było za parę milionów lat!

- Nie tragizuj - zaczynał odzyskiwać rezon. - Gdyby co, przecież ktoś by powiedział.
Ręce mi opadły.

- Mam nadzieję, że pociągną cię do odpowiedzialności, kiedy wrócimy do domu. A teraz budź pozostałych. Mamy nareszcie wyraźne instrukcje, co zrobić z Krugerem.

- Nie ma żadnych Stref Opętania. Nie ma żadnych realnych dowodów opętań w tym okrzyczanym rejonie!

Wasz kapelan powinien to wiedzieć! Kościół już pięć lat przed waszym odlotem zweryfikował tę tezę, ale podał to do publicznej wiadomości już po rozpoczęciu tego cyklu rejsów. Gdybyście mieli włączony komunikator, bylibyście należycie poinformowani.

Generał był niewątpliwie te dwadzieścia parę lat starszy niż przy naszym spotkaniu podczas ostatniej odprawy, ale po głosie nie szło tego poznać.

- Ale my mamy na pokładzie właśnie przypadek opętania. Rzekłbym kompletnego i doskonałego...

Dziwnie brzmiał własny głos dobiegający z głośników odtwarzacza. Po raz pierwszy moja załoga siedziała zgodnie w skupieniu. Tylko istota, jeszcze mniej niż przedtem przypominająca Krugera, pętała się swobodnie po mesie. Przez czas dyżuru z księdzem poduczył się naszego języka. W każdym razie dość dobrze go rozumiał, bo z wymową było o wiele gorzej.

Odzywały się różnice w budowie krtani.

- Przecież mówię, że nie ma żadnych opętań! prawie wrzeszczał generał.

- No to z czym mamy do czynienia?

- Może coś zeżarło waszego nawigatora? I podszywało się przez jakiś czas pod niego, zanim się ujawniło.

Temu staremu dziadymde chyba to samo „coś” wyżarło mózg! Zachowywał się zupełnie jak ten członek Akademii Naukowej, który ujrawszy żyrafę, powiedział stanowczo, że takie stworzenie nie ma prawa istnieć.

- Nic go nie zeżarło - nie wiem, skąd w moim głosie było tyle spokoju.

- Jeśli wasz kapelan rzeczywiście egzorcyzmami wygnał właściwego ducha... Cholera - przerwał nagle co ja bredzę! To, co się stało, nie jest, delikatnie rzecz ujmując, typowe. Jak

możliście w ogóle wpaść na pomysł, żeby go odstawić na tę zakichaną Hagię! Jak mogliście przyjąć za pewnik, że ta istota przestała być zupełnie człowiekiem?! A gdyby nawet, to jakim prawem chcieliście pozbawić naukę szans zbadania tego fenomenu? Macie przywieźć go na Ziemię!

W tym momencie usłyszałem zgodny jęk zawodu.

Nie powiem - sprawiło mi to perwersyjną przyjemność.

- A wy - ciągnął bezlitośnie - zostaniecie poddani dodatkowym kompleksowym badaniom. Cholera jasna, czy coś wykastrowało wam umysły? Może to jakieś czynniki na planecie, którą badaliście? A może to ten obcy, w którego zamienił się Kruger, ma zdolności oddziaływania na waszą psychikę? Bo zachowujecie się jak stado baranów.

Miałem na końcu języka uwagę, że podobne objawy występowały u tej załogi już o wiele wcześniej, ale powstrzymałem się. Na dyskusje i cenne spostrzeżenia przyjdzie czas, kiedy dolecimy na miejsce. Wyłączyłem nagranie.

- Słyszeliście sami - powiedziałem do zniesmaczonych członków załogi. - Wracamy. I nie czeka nas, Boże broń, powitanie z kwiatami czy orkiestrą. Dostaniecie po dupie za wszystkie sprawki, a ja przy okazji także.

- Mój wielki ojciec nauczył mnie, jak powinienem żyć. Dostałem drugą szansę, więc chciałem pójść do swojego ludu, aby pod nowym imieniem nieść mu prawdziwą wiarę.

- Jak brzmi to nowe imię?

- Niosący Pomoc Bożym Imieniem.

Muszę przyznać że ksiądz doskonale zmotywował obcego do powrotu na Hagię. Cholera, nawet zbyt dobrze! Przez te miesiące normalnie nawrócił go na chrześcijaństwo i to w bodaj najbardziej jego ortodoksyjnej formie! Pewnie nie było to takie trudne, zważywszy, że dla tego nieszczęsnego neofity był w końcu kimś w rodzaju boga. Spojrzałem na niego pytająco.

- No co? - zachnął się. - Uczyniłem to, co do mnie należało. Jednym z obowiązków kapłana jest nawracanie na prawdziwą wiarę.

- Jasne. Tylko to jego nowe imię jest trochę dziwne.

Podejrzewam, że ta zmiana ma związek z twoimi naukami. „Niosący Pomoc Bożym Imieniem”...

Przetłumacz je na zrozumiały język.

Skrzywił się niechętnie. Ewidentnie przyczepiłem się do czegoś, co pragnął zachować w tajemnicy.

- Znaczy to, co znaczy. Sam słyszałeś, dowódco.

- Nie kręć! Wietrzę w tym jakieś szalbierstwo. Zaraz zaprogramuję translator i sam do tego dojdę.

Wystarczy, że zadam poszukiwania we wszystkich możliwych językach. Oszczędź mi po prostu czasu.

Słucham!

- Je... - wymamrotał.

- Nie dosłyszałem. Możesz powtórzyć?

- Jezus! - wrzasnął nagle. - „Niosący Pomoc Bożym Imieniem” albo „Bóg Pomocą” - Jezus! Tak to można rozumieć.

- Tak to należy rozumieć, jak sędzę. Zapomniałeś, że nie wolno ingerować w rozwój obcych cywilizacji? W żaden sposób. Ani technologicznie, ani kulturowo, ani tym bardziej religijnie. Co ty, chciałeś im posłać Mesjasza?

- Obowiązkiem chrześcijanina jest szerzyć prawdziwą wiarę!

Nie poznawałem go. Z całkiem sympatycznego, wesołego alkoholika zmienił się w jakiegoś pieprzonego, kosmicznego Torquemadę.

Czyżby taki wpływ wywarła na niego przymusowa abstynencja? To fakt, że przez ostatnie pół roku nie mógł się niczego napić, bo zapobiegliwie zdeponowałem cały zapas alkoholu w bezpiecznym miejscu. To znaczy wywaliłem za burtę. Nawet jeśli kapelan miał coś zadołowane, nie mogło wystarczyć na długo. Z tego, co jeszcze pamiętałem z wykładów psychologii w akademii, alkoholicy w abstynencji miewają przerost ambicji i wielki pęd do sukcesu i władzy. Może miałem do czynienia właśnie z czymś podobnym, z jakąś cholerną sublimacją i odreagowaniem stresu?

- Odbiło ci, księżu?

- Po prostu zrozumiałem, że przez całe swoje życie błądziłem.

W jego oczach płonął fanatyczny apostołski ogień.

Nie było o czym dyskutować.

- Szczęście, że dostaliśmy rozkaz powrotu westchnąłem z ulgą.

- Nie mów mi o szczęściu - warknął ksiądz. - Tyle trudu pójdzie na marne!

Kruger-Jezus przyglądał się nam uważnie.

- Chcę nieść Słowo Boże moim błędzącym braciom!

- oświadczył. - Chcę, by wielki ojciec posłał mnie między swoich...

- No i co ty narobiłeś?

Ksiądz w odpowiedzi wruszył tylko ramionami.

Odwrócił szybko wzrok. Gdybym chociaż przez chwilę przypuszczał, co się łęgnie w jego misjonarsko rozgorączkowanej głowie, kazałbym go wsadzić razem z Krugerem do ładowni na całą resztę lotu.

- Hamowanie zakończone.

Herman oderwał wzrok od monitora, przetarł oczy.

Junior wziął podręczny kalkulator nawigacyjny.

- Uruchomić procedurę powrotu - rozkazałem.

- Może mała przerwa na kawę? - poprosił pierwszy pilot. - Jestem skonany..

- Nie poznaję cię, Hermanie. - Uważnie przyjrzałem się jego dziwnie łagodnemu uśmiechowi. - Zresztą nie tylko ciebie. Wszyscy nagle staliście się jacyś bardziej zdyscyplinowani i mniej skłonni do awantur. Knujecie coś?

- Ależ skąd! - Jego oburzenie było chyba autentyczne. - Po prostu... - zamilkł.

- Po prostu co?

- Nie, nic. Po prostu postanowiłem być miły dla wszystkich. Odgrywanie twardziela zmęczyło mnie.

Mówiąc to, zerknął za moje plecy. Podążyłem za jego wzrokiem. No tak.

- Rozumiem - pokiwałem głową. - Komunikator.

Nie da się być już takim swobodnym, kiedy wiadomo, że w każdej chwili kontroluje cię nie tylko jakiś tam szyper, ale także szycha z Ziemi?

Jego zmarszczone brwi powiedziały mi, że trafiłem w dziesiątkę.

- I tak wam ani mnie nic nie pomoże. Nie musicie się wysilać.

- Mam zacząć procedurę powrotu? - wycedził. -

Trzeba dać sygnał załodze. Mogli się powypinać.

Dlaczego właściwie nie pozwoliłeś im siedzieć tutaj? W fotelach?

- Idź na tę kawę. Układy może sprawdzić Junior.

Koordynaty też da radę sam wprowadzić.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Dobrze, odpowiem, skoro bardzo chcesz. Mam was wszystkich już dosyć! I nie mam ochoty słuchać idiotycznych rozmów ani debilnych uwag. Jak tylko zbiorę was gdzieś razem, zaczyna się tango. Dlatego wydałem rozkaz rozejścia się do kajut. A teraz idź już.

Patrzyłem na jego plecy, kiedy wychodził ze sterowni.

- Uwaga, załoga - rzuciłem w interkom - Godzina przerwy przed rozpoczęciem następnych manewrów!

Odchyliłem się na oparcie, podłożyłem ręce pod głowę. Ciche komendy wydawane przez Juniora działały usypiająco. Niech się już dzieje, co chce. Niech trzymają nas na kwarantannie i dwa lata! Niech mnie wywalą dyscyplinarnie! Najważniejsze, że spadła ze mnie wyłączna odpowiedzialność za ten cały burdel!

- Jak myślisz, Junior - powiedziałem - jak to się stało? To z Krugerem?

- Nie wiem. Po to mamy go zawieźć na Ziemię, żeby można było go zbadać...

- Ale myślisz, że to naprawdę jakiś duch? Słyszałeś przecież. Nie ma żadnych Stref Opętania. To obowiązująca wykładnia.

- No właśnie. Sam powiedziałeś, dowódco.

Obowiązująca wykładnia.

Otworzyłem oczy, spojrzałem na niego. W skupieniu śledził pojawiające się na wyświetlaczu wykresy.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Rzucił mi krzywe spojrzenie.

- Tylko to, co powiedziałem. Kiedy odlatywaliśmy, obowiązywała teza, że przelot przez Strefę Opętania jest niebezpieczny. A teraz wręcz przeciwnie. W co właściwie mamy wierzyć? A może to tylko kolejna sztuczka, żeby nie zrażać ludzi do dalekich lotów?

Bystry chłopak.

- Wiesz, jakoś o tym nie pomyślałem. Jednak ze mnie jest zwykły trep. Zakuty wojskowy łeb. Nie dość, że wredny, to jeszcze niezbyt lotny.

- To nie tak, Norbercie - po raz pierwszy zwrócił się do mnie bezpośrednio po imieniu.

- Ty jesteś w sumie porządny gość. Tyle, że masz wszystko gdzieś. Chcesz zrobić swoje najmniejszym kosztem i wściekasz się, jeżeli ktoś chce od ciebie czegoś więcej. To dlatego bywasz wredny.

Zastanowiłem się przez chwilę.

- Wiesz, chłopcze, chyba masz rację. To, co powiedziałeś, jest przykre, ale masz rację. Ja mam wszystko gdzieś, zresztą tak samo jak cała reszta.

- O nie - roześmiał się niespodziewanie. - Nie tak samo! Oni mają to wszystko o wiele głębiej!

Chciałem mu coś odpowiedzieć, ale nawet nie pamiętam, co. Nagle statkiem szarpnęło, rozległ się odległy syk, przez podłogę przebiegła wibracja.

- Co to było? - spojrzałem na Juniora.

- Nie wiem. - Wlepił oczy w odczyty. - Zaraz... To chyba... W tej chwili wpadł Herman.

- Co to, kurwa, ma znaczyć? Junior, ty ciulu, co zrobiłeś? Skończyła się uprzejmość, przemknęło mi przez głowę.

Mamy na powrót starego dobrego Hermana.

- Nic nie zrobiłem, idioto! - poderwał się Junior. -

Ktoś odpalił kapsułę ratunkową?

Zaczęli nadciągać pozostali.

Wietrzyli kolejną sensację. Borysowi mało oczy nie wyskoczyły z orbit, tak się rozglądał.

- Co jest? Co to było?

- Ktoś odpalił kapsułę ratunkową!

- Kto?

- Cholera wie!

W głowie zaświtało mi straszne podejrzenie.

- Gdzie jest ksiądz?

Nikt nie zwrócił uwagi na moje pytanie. Stali na środku sterowni i wymachiwali rękami. Niech mnie szlag trafi, jeżeli to była profesjonalna i godna zaufania załoga!

- Niech ktoś sprawdzi, co się stało!

- Gdzie jest ksiądz?! - powtórzyłem.

- Może w coś walnęliśmy? A ten syk to powietrze, zanim zamknęły się grodzie?

- Co ty, wtedy mielibyśmy czerwony alarm.

- Gdzie jest ksiądz, do cholery?!!!

Mój głos dopiero teraz przebił się przez ich chaotyczną paplaninę.

Powoli umilkli.

- Czy ktoś widział naszego kapelana? Chcę wiedzieć, gdzie on jest!

- Obawiam się, że tam.

Junior stał przed głównym ekranem wskazując palcem czerwoną linię wyznaczającą odchodzącą od statku trajektorię. Jej drugi koniec celował w okolice jednej z planet układu Hagii.

- Komputer! Dlaczego kapsuła została odpalona?

W martwej ciszy przyjemny baryton maszyny zabrzmiał nieoczekiwanie głośno.

- Rozkaz człowieka. Priorytetowy rozkaz według procedury cztery alfa. Załoga kapsuły ratunkowej to jeden człowiek plus jeden obcy...

- Kurwa mać! - nie wytrzymałem - Dobrał się do tajnych kodów!

- Kto się dobrał, dowódco?

- Jak to kto! Ksiądz! Musiał się nudzić i grzebał w mojej kajucie... Albo szukał wody i wtedy je znalazł.

Wszyscy na miejsca! Herman, Junior, natychmiast pełna moc! Musimy ich złapać.

Kątem oka zobaczyłem, jak załoga zajmuje miejsca w fotelach.

Tylko Herman nadal stał na środku pomieszczenia.

Wyglądało na to, że nie zamierza nic zrobić.

- Rusz się, człowieku! Trzeba ich dogonić! Pokręcił głową.

- Nic z tego.

- A co, jesteś w znowie z kapłanem?! Ruszaj, to rozkaz!

- Nie da rady - znowu pokręcił głową. -

Zapomniałeś, co mamy w module? Nie mam zamiaru się rozpieprzyć tylko dlatego, żeby sprowadzić na pokład dwóch wariatów!

No tak, jak mogłem zapomnieć. Podręczniki w napędzie!

- No, Borysku, masz przechłapanie! - rzuciłem wściekłe spojrzenie w kierunku egzobiologa. - To przez ciebie nie możemy działać!

- Zawróć kapsułę. W końcu, ten tego, jesteś dowódcą!

- Ty kretynie! - wrzasnąłem, nie panując już nad sobą. - Nie da się zawrócić kapsuły ratunkowej! Dlatego nazywa się ratunkowa, że jest zupełnie samodzielną jednostką! Nie wiedziałeś? Dlaczego jakoś mnie to nie dziwi? Wy wszyscy, kurwa mać, nic nie wiecie!

- Nie wydzieraj się - odezwał się Tajfun - tylko nawiąż łączność i spróbuj przekonać kapłana, żeby zawrócił.

- Mamy misję od Boga!

Twarz księdza była natchniona. Można rzec, promieniowała mocą. W tle było widać Krugera-Jezusa w skupieniu studiującego jakąś książkę. Pewnie Biblię.

Nie przypuszczałem, że nauczył się nie tylko mówić, ale nawet czytać.

- A ty i profani z Ziemi chcieliście ją przerwać!

- Nie masz żadnej misji! Nie masz prawa wprowadzać swojej wiary w obcym świecie! Co by to było, gdyby tak postąpiła jakaś obca cywilizacja na Ziemi? Gdyby się okazało, że Chrystus to ktoś taki jak nasz Kruger?

- A skąd wiesz, że właśnie tak nie było?

Opadły mi ręce. Jak miałem skłonić do powrotu tego szaleńca? Postanowił szerzyć chrześcijaństwo na obcym globie i nic nie mogło tego zmienić! Cholera, ilu takich rąbniętych

księży mogło teraz przebywać w kosmosie? No właśnie! A na takiego musiałem trafić właśnie ja! Niech nikt później nie mówi, że nie mam pecha!

- Milczysz! - zawołał triumfująco. - Nakaz krzewienia wiary dotyczy całego kosmosu! Nawet taki bezbożnik jak ty nie jest w stanie temu zaprzeczyć! Nie jest ważne, skąd przybywa objawienie. Ważne tylko, że nadchodzi!

- On ma trochę racji - mruknął ktoś za moimi plecami. - Wiadomo to skąd przychodzą takie dziwne rzeczy? Może do nas też dotarli kiedyś jacyś kosmici?

- Słyszysz? - Do kapelana dotarło to, co mówił ten idiota. - Nie trwaj w swych błędach, ale weź swoją arkę i podążaj w poszukiwaniu światów, na których będziesz głosił słowo!

- Dzięki - odwróciłem się do pozostałych. - Ktoś ma jeszcze jakieś cenne uwagi służące umocnieniu księdza w jego przekonaniach? A może faktycznie skierujemy nasz statek w głąbiny kosmosu, żeby szerzyć prawdziwą wiarę wśród ciemnych cywilizacji? A może teraz ktoś z was spróbuje z nim porozmawiać? Na ochotnika.

Oczywiście odpowiedziało mi milczenie. Na tej łajbie z reguły trudno było o ochotników.

- W takim razie trzymajcie gęby na kłódkę. Nie potraficie pomóc, to przynajmniej spróbujcie nie przeszkadzać.

- A jeżeli was zgładzą, zanim zaczniecie w ogóle skutecznie działać? - zwróciłem się znowu w stronę ekranu.

- Jesteśmy na to przygotowani. - odrzekł bez wahania. - Wtedy wejdziemy w szeregi męczenników za świętą wiarę. Nie przestraszą nas żadne groźby.

Staniemy twarzą w twarz z szatanem!

Uniosłem ręce. Mało brakowało, a złapałbym się za głowę w geście bezsilności. Zamiast tego przyglądałem włosy. No i co takiemu powiedzieć? Jakich argumentów użyć? Nie mogłem zrezygnować z prób wyperswadowania mu tej wyprawy. Musiałem mówić, chociażby na użytek kontrolerów, którzy sprawdzą każdą zarejestrowaną sekundę lotu.

- A skąd wiesz, że jego rasa sama nie doszłaby do podobnych zasad wiary sama, w procesie własnego rozwoju? Skąd wiesz, że swoimi działaniami tego nie zaburzysz? Że nie spełnisz roli tego, z kim chcesz walczyć? Skąd wiesz...

- Ha! - przerwał mi - Wiem, co chcesz powiedzieć!

Chcesz „rzec mi, nieszczęsny człeku, że sam nie świadomym sługą diabła! - wycelował w ekran palec -

To jednak wiedz, iż to właśnie ciebie mam za szatana!

Przejrzałem cię! To twoje to słowa są kuszeniem najgorszym! Lecz nie muszę słuchać twych plugawych wywodów! Odejdź! Agape!

Obraz zamazał się i zniknął.

- Przerwał połączenie - powiedział spokojnie Julian.

- Słyszeliście go? Kompletnie mu odbiło!

- Jak on dziwnie mówił - wtrącił Borys. - Ten tego, jakbym czytał jakiś stary foliał.

- To nie był stary foliał - warknąłem. - To był foliał nowy jak cholera, niestety! Jego własna, autorska księga objawienia!

- Co robimy? - spytał Tajfun. - Musimy coś zrobić! -

Co?

- Lećmy za nimi. Może zdołamy ich jakoś odszukać? Przecież będziemy tam zaraz po ich wylądowaniu!

- Najpierw musimy zasięgnąć opinii admiralicji zauważył trzeźwo Junior.

- Dzięki, chłopcze, za wyręczenie mnie - rzuciłem lekko. Na duszy wcale nie było mi tak lekko. Na samą myśl o rozmowie ze starym pierdzielem dostawałem gęsiej skórki.

- No, to teraz mamy całkowicie prze... - Herman streścił naszą sytuację po swojemu.

Chyba dobrze się stało, że nie mieliśmy wizji. Na pewno nie chciałbym zobaczyć twarzy admirała, kiedy opowiedziałem o ostatnich wydarzeniach.

- Ani mi się waźcie lądować na planecie! Macie się nawet do niej nie zbliżać! A ty, synu, spróbuj jeszcze raz przekonać kapelana do powrotu!

- Kiedy on nie chce się z nami komunikować. Nie dopowiada na żaden sygnał.

- Trudno, próbuj! A o lądowaniu, powtarzam, mowy nie ma! Gdyby się tutaj ktokolwiek dowiedział...

Wyobrażasz to sobie? Zaraz by był krzyk, że łamiemy porozumienia w sprawie eksploracji kosmosu! I to teraz, kiedy... nieważne. Uważam, że jednak tamtych załatwią na Hagii zanim zdążą się dobrze rozejrzeć.

Prorocy mają raczej ciężkie życie. I zazwyczaj krótkie.

- Co mamy w takim razie robić?

- Wracać. Zaraz otrzymasz dokładne instrukcje w tej sprawie. Coś jeszcze?

- Nie - zawahałem się. - A właściwie tak. A jeżeli im się jednak uda? Trzeba się liczyć z tym, że jednak może im się udać zaszcześcić nową wiarę.

- No cóż - w głosie starego zabrzmiała dziwna nuta.

- Konsultowałem się z moimi zwierzchnikami - cholera, jego zwierzchnikiem był tylko rząd! - Nie ma tego złego, co by... i tak dalej.

- Nie rozumiem.

- Jeśli kiedykolwiek zdecydujemy się jednak na kolonizację zamieszkałych planet, sytuacja, w której tubylcy będą wyznawać taką samą albo pokrewną religię, może być dość, jakby to powiedzieć... korzystna.

- Czy dobrze rozumiem, że w sprawie kolonizacji następuje jakaś zmiana stanowiska?

- Na razie delikatnie badamy teren. Ale może w niedalekiej przyszłości...

Odkąd pamiętam, mniej lub bardziej delikatnie badali teren i nigdy nic z tego nie wychodziło. Czyżby do władzy dorwali się wreszcie twardogłowi?

Zwolennicy bezwzględnej eksploracji w stylu Corteza i Pizarra? To jego nieopatrne i niedokończone „i to teraz, kiedy...”.

- Może mi pan powiedzieć, co się tam u was dzieje?

Założę się, że w tej chwili zagryzł wargi.

- To, czego można się było spodziewać po latach rządów partii miłujących życie. Mamy cholernie przeludnienie! To powinno ci wystarczyć za odpowiedź.

Powinno? Miałem ochotę zadać jeszcze z milion pytań, ale dałem sobie spokój. I tak nie będę wiedział, czy mówi prawdę. Czy w ogóle może powiedzieć prawdę. Trzeba jak najszybciej wracać do domu, zobaczyć wszystko na własne oczy.

- No dobrze, synu - odezwał się po chwili. - Jesteś gotów odebrać dokładne instrukcje?

Też pytanie! Na dokładne instrukcje czekam od niepamiętnych czasów!

- Jeśli dobrze rozumiem - Tajfun wlepił we mnie spojrzenie - to nasz szalony kapelan może jeszcze urosnąć do miana wielkiego bohatera.

Wzruszyłem ramionami. Co miałem powiedzieć?

- Strasznie, ten tego, niezdecydowane to nasze dowództwo, nie uważacie?

- Aż strach wracać - dorzucił Julian. - Co tam się dzieje na naszej wspaniałej planecie?

- Ty, drogi Julianie - odezwał się Junior - nie masz co się nad tym zastanawiać. Urwał się katu ze sznura.

Docień swoje szczęście. I dziękuj do końca życia zbiegowi okoliczności. I poniekąd księdzu.

Doktor rzucił mu ponure spojrzenie.

- Zgadza się - przytaknąłem. - Idiotyczny wyczyn naszego klechy być może uratował nam tyłki. Mam wrażenie, że na Ziemi panuje wcale nie gorszy bajzel niż niedawno na naszej wzorcowej jednostce. Nie bardzo wiedzą, co się właściwie dzieje i co może się wydarzyć jutro. Polityczny kocioł. Chyba będziemy mieli zmianę opcji w sprawie kolonizacji.

Przeludnienie, tyle wiem i z tego mogę wyciągać wnioski. Zapewne piękne słówka o szacunku dla obcych cywilizacji straciły mocno na aktualności. Zdaje się, że nie możemy czekać aż zakończy się terraformowanie tych wszystkich światów, które można przystosować dla kolonistów i nasi przywódcy skłaniają się ku opcji kolonizowania miejsc już zajętych.

Wyobrażacie sobie, jaką potęgę wtedy stanowiłaby misyjna działalność takich typów jak nasz księżunio?

Oczywiście oficjalnie ani dudu na ten temat, ale po cichutku... Niech to diabli, coś mi się wydaje, że wytyczyliśmy niechcący nową ścieżkę w dziejach zdobywania kosmosu. Ale też niech mnie szlag trafi, jeżeli jestem z tego powodu zadowolony!

- Nie tragizuj, ten tego - skrzywił się Borys. -

Najważniejsze, że nam nic nie zrobią...

Herman wodził pytającym spojrzeniem po naszych twarzach.

- Czy ktoś może mi powiedzieć, o czym mowa?

Kiedy przedtem szyper trzymał gadkę, robiłem przegląd modułów. Nie, Norbercie, nie udało mi się wyciągnąć instrukcji. Zaklinowała się między układem kontrolującym wyważenie a licznikami neutrin. Nie do ruszenia. No to jak, usłyszę jakieś wyjaśnienie? Co nas czeka po powrocie?

- Wyjaśnienie jest bardzo proste - wyręczył mnie Tajfun. - Czego się możemy spodziewać słyszałeś. A co do nas, mamy trzymać mordę w kubeł o tym, co zaszło naprawdę. Oficjalna wersja brzmi, że na pokład przedostała się obca, nieinteligentna forma życia, śmiertelnie groźna, a kapelan poświęcił swoje życie, żeby ją zwabić na pokład kapsuły ratunkowej i odpalić się z nią w przestrzeń.

- A co my będziemy mieli z tego krętactwa?

- Wszystko. Wypłaty, premie, a co najważniejsze, dochodzenie będzie tylko dla picu. Dowódca może zniszczyć wszystkie kompromitujące, materiały. Dostał już klucz dostępu do pamięci kompa. Będzie co robić, prawda? - wykrzywił się złośliwie w moim kierunku.

- Trzeba będzie jeszcze uzgodnić szczegóły zeznań mruknął Borys. - Bez tego, ten tego, ani rusz.

- Właśnie. - Teraz ja mogłem wykrzywić się złośliwie. - Nikt nie pójdzie spać, zanim nie zostanie ustalona spójna wersja wydarzeń. Łącznie z tym, w jaki sposób zniknął jeszcze jeden członek załogi.

Zapominacie, że wracamy także bez Krugera, który pewnie niebawem zacznie głosić obcemu światu dobrą nowinę. Jak to pięknie ujął Tajfun, nasi przeprowadzą dochodzenie tylko dla picu, ale czeka nas też międzynarodowa komisja, której nie możemy przecież powiedzieć słowa prawdy. Jej zatajenie to jeden z warunków pozostania bezkarnymi. Jakieś cenne uwagi, załogo?

Milczeli przez chwilę. Chyba po raz pierwszy mogłem dostrzec w ich twarzach oznaki prawdziwego zaangażowania w procesy myślowe.

- A może by olać wszystko i jednak powiedzieć jak było? - Julian poskrobał się po głowie. - Nasi się przestraszą, a wtedy i tak nic nie zrobią. A my nie będziemy musieli kombinować.

- Gdyby nawet, to może nikt nam nie uwierzyć, pierdolony idioto! - Herman uznał, że skoro zapisy i tak będą kasowane, nie musi już sobie żałować. - A poza tym dopiero by nam dali popalić! Słyszałeś przecież, nie ma już żadnych duchów, ani stref opętania!

- Co w takim razie stało się Krugerowi twoim zdaniem?

- Nic, kretynie! Ocipiał i tyle!

- Sam jesteś kretyn - syknął Tajfun. - Doktor tylko rzucił pomysł. Masz lepszy? Bo ja mam. Pozbądźmy się od razu kochanego pierwszego pilota! Junior sam sobie da radę! Zeznamy, że Kruger z Hermanem posprzeczali się i urządzili sobie pojedynek w sondach badawczych. Obaj zamknęli oczy, dali pełny ciąg, obierając kurs na zderzenie. Żaden nie chciał ustąpić.

Gruchnęło, pieprznęło, a potem nie mogliśmy znaleźć po nich najmniejszego śladu! Wyobrażacie sobie ten komfort? Czyż to nie kuszące? Do samej ziemi bez oglądania wrednej mordy Hermana!

- Ty świnió! Skoczyli sobie do gardeł.

- Spokój, koledzy - zawołał Borys. - Przestańcie się, ten tego, kompromitować.

- Sam się kompromitujesz! - wsiedli na niego obaj.

Wyszedłem. Nie miałem ochoty tego wysłuchiwać.

Zanim dojdą do jakiegoś porozumienia, ja prędzej osiwieję.

Chyba wolałbym już normalne dochodzenie dyscyplinarne.

To będzie cholernie długi lot.

PASTERZ UPIORÓW

Kiedy zapłonął dach, przerażona kobieta, tuląc do piersi kilkuletniego chłopca, rozkazała otworzyć drzwi.

Nie chciała, by z jej przyczyny ginęli niewinni ludzie.

Nie chciała, żeby szczyły w ogniu jej dzieci.

Machinalnie głaskała po głowie dziewczynkę uczeponą kurczowo matczynej spódnicy.

Do środka, chrząc kolczugą i ostrogami, wtargnął potężny woj, a zaraz za nim kilku innych.

Wywlekli wszystkich na zewnątrz. Obietnica zaniechania gwałtu okazała się łągarstwem. Rozpoczęto bezlitosną kaźń.

Jeden za drugim czeladź kładła głowy na pień, bez wyboru i mężczyźni, i okrutnie pohańbione niewiasty.

Na koniec wyrwano dzieci zrozpaczonej matce.

Chłopiec ogromnymi z przerażenia oczami wpatrywał się w twarz oprawcy. Ten roześmiał się i powiedział coś, co wywołało śmiech pozostałych.

- Ciebie, suko - zwrócił się do kobiety, łamiąc twardo słowiańską mowę - zawiedzimy do nowego pana. On cię wydoli pocieszyć, jak mniemam, choć różnie o nim powiadają w tym względzie.

Jego słowom towarzyszył rechot żołdaków.

- A może my ją wpierw pocieszymy, Udo?

- Zamknąć się! - warknął dowódca. - Mało wam było dziewczek?

Umilkli natychmiast. Udo popchnął brutalnie chłopca.

- Zadzierzgnąć go gdzie przy bramie. Krwi bękartów przelać nam pan zabronił, ale wszak w ten sposób jej i nie utoczymy.

Kobieta rzuciła się do przodu, ale zatrzymało ją mocne ramię, dierzące skrwawiony miecz. Szarpała się przez chwilę z oprawcą, po czym bezsilnie zwiśla, patrząc z przerażeniem i rozpaczą na to, co miało się zaraz stać. Chłopiec posłusznie poszedł za żołnierzem, w martwym bezruchu patrzył, jak tamten przerzuca linę przez belkę. Z oczu płynęły mu łzy, zupełnie jak idącemu na rzeź jagnięciu. Pętla na dziecięcej szyi wyglądała niczym okazały kołnierz. Nim zbrojny dobrze podciągnął drobne ciało na powrozie, kobieta chwyciła oburącz ostrze zagrządzającego jej drogę miecza, skierowała sztych w swoją pierś i zanim

zaskoczony wojak zdążył cokolwiek zrobić, postąpiła energicznie naprzód. Dziewczynka za jej plecami zaniosła się płaczem.

Przed Udem stanął mąż słusznej postury. Do tej pory trzymał się z boku, nie biorąc czynnego udziału w wydarzeniach.

- Nie podziękujcie wam Ostępa za takie wywiązanie się z zadania - odezwał się niskim, zdartym od wydawania komend głosem, wskazując na zwłoki kobiety.

Przywódca zbójów wzruszył ramionami.

- Ano nie podziękujcie - warknął i splunął ze złością na trupa. - Ścierwo głupie. Sam widziałeś, Żegota, żeśmy babie krzywdy nijakiej nie uczynili. A ją jeno Topór kazał przyprowadzić. O szczeniętach nic nie mówił. Ba, nawet wskazywał, żeby jakoś się ich pozbyć. Sam słyszałeś, tak i siak gadał, że dokładnie nie szło odgadnąć o co mu chodzi.

Żegota bez słowa bardzo długo patrzył mu w oczy.

Potem odwrócił się gwałtownie.

- Tę małą też na sznur. - Wskazał łkającą dziewczynkę. - I pogrzebać ich w jednym dole, tutaj na wzgórku. Krzyża jeno nie waźcie się stawiać. Pan Ostępa zakazał!

Życie od śmierci pozostaje oddzielone jedynie zwiewną mglistą zasłoną, muślinem nicości, w którym żadna istota nie ma prawa przebywać.

Życie tętni różowością, napiętą harmonią istnienia, zmienia oblicze swoje i oblicze świata. Śmierć, ściśle zawinięta w kokon o łagodnych, ciemnych barwach, otulona spokojem, napięciem bezruchu, przygląda się drwiąco beztroskiemu ruchowi życia, wiedząc, że trwa to tylko chwilę, że życie jest jedynie bezustannym, wytrwałym umieraniem sekunda po sekundzie, nieustającą podróżą ku jej dziedzinie.

Gdy przesycona miłością para kochanków zasypia znużona, a wydane nasienie podąża ku spełnieniu, gdy matka tuli niemowlę pewna, że może je przed czymkolwiek uchronić w ciepłe ramion, śmierć spogląda czerwonymi z bezsenności oczami i szczerzy w uśmiechu poźółkle, zęby. Przez mglistą zasłonę spogląda na życie - to jej przywilej i nagroda za grobowe bytowanie po koniec czasu. A życie nie potrafi jej dostrzec - to jego kara za mgnienie przyjemności.

Tylko czasem we śnie, kiedy zawiły koszmar spęta ciało i zetnie krew bezwładnym przerażeniem, życie może przebić wzrokiem muślinowe zawoje i dostrzec niewyraźny kształt, od którego natychmiast odwraca oczy, budząc się w przepoconej strachem pościeli.

Wtedy po przebudzeniu, strzeż się i miej oczy szeroko otwarte. Patrz czujnie na bliźnich, uważnie śledź ich poczynania i staraj się odgadnąć, czyje złe życzenia zesłały na

ciebie okropną wizję..Może odgadniesz, kto ma tyle złej woli i mocy w sobie, żeby zepchnąć cię w mdłe opłoty mglistej zaslony. Bądź czujny i módl się, ale bacz, żeby modlitwa nie stała się przekleństwem. Czyń pokutę, lecz uważaj, by nie wyniszczyła ona twojego ducha i nie zabiła w tobie człowieka.

Bo wtedy pewnej nocy ockniesz się nagle przerażony, ale obraz nie zniknie. Będziesz jak motyl zaplątany w pajęczą sieć, zbyt słaby by ją zerwać. Świat stanie się rozmazany, niewyraźny. Odczujesz strach przed ludźmi, a jednocześnie zaczniesz pragnąć spróbować ich bezbronnego ciepła.

Miłość i nienawiść. Chcesz zbliżyć się do nich, a jednocześnie są odpychający, tak że nabierasz ochoty, żeby mordować...

Wykopujesz trupy, tarzasz się w ich zgniliźnie, napawasz obrzydliwym smrodem, bierzesz je w taneczne obroty w nadziei, że przez zwyrodniały gest wskrzeszenia dotrzesz bliżej życia.

Ze stanu pół snu, pół śmierci budzi cię księżyc, bo tylko w jego skradzionym świetle można cokolwiek dostrzec. Ale i on jest wrogi - niepokoi i podsuwa okrutne myśli, pcha w pobliże ludzkich siedzib.

Gdy ogarnie cię żalność większa od twego szaleństwa, wołasz o pomoc. Ale twoja skarga jest dla ludzi jedynie potwornym, przerażającym wyciem w środku nocy.

Na Boga, Szatana, Nyję czy w co tam wierzysz, dlaczego uczyniłeś mnie strzygą?!

Lambertus, biskup krakowski, patrzył na przechadzającego się po komnacie - Jędrzeja Topora. W niepewnym blasku łuczywa kasztelan wyglądał na kilka lat starszego niż był w rzeczywistości. Milczenie przedłużało się, stawało krępujące. Pytanie, rzucone przez kasztelana przed chwilą, zawisło w powietrzu na kształt burzowej chmury, czyniąc atmosferę spotkania duszną i nieprzyjemną.

- Złe zawitało w nasze strony, ot co sędzę o sprawie - odezwał się w końcu biskup. - Co innego mam sądzić?

Bywa tak, gdy ostrza mieczy czerwienią się jeszcze krwią przelaną w bratobójczej wojnie. Zresztą i wiek się kończy. Są tacy, co gadają, iż niebawem nastąpi powtórne przyjście Pana i Sąd Ostateczny...

- Nie powiadałobyście byle czego, biskupie - zachnął się Jędrzej, przystając o krok przed dostojnikiem. - Mój naddziad wspominał, jak to w roku, gdy przybył do Chrobrego niemiecki cesarz, także wieszczono o końcu świata. Głupi pozbywali się dóbr, a sprytni je przejmowali i gromadzili. Dziś widać, że ci ostatni mieli słuszność, bo jak łatwo zauważyć,

świat nadal istnieje i dalej rządzi nim pieniądz, a nie sprawiedliwość boska. A mnie mnisi zadrezczają prośbami o pomoc! I to dzisiaj już, a nie na koniec świata dopiero!

Przysiadł ciężko na ławie przy okiennym wykuszu, podparł głowę dłonią.

- Bo też im strzygi żyć nie dają! Każdej pełni księżyca dobijają się do bramy! Coraz są też śmielsze i bardziej bezczelne. Patrząc tylko jak do środka wtargną!

- Niech sobie braciszekowie bramę srebrem obiją - mruknął Jędrzej. - Stać ich!

- Obili, a jakże, obili. Srebrzone okucia niby żebra na wrotach gęsto zostały ułożone. Ale potworów to nie odstrasza. Z bólu wyją, o srebro łapy smażą, ale ze szturmów nie rezygnują! Zupełnie jakby w środku znajdowało się coś, co je przyciąga tak silnie, że nie zważają na żadne niebezpieczeństwo ni ból.

- O czym myślicie?

Biskup wzruszył ramionami, na pozór obojętnie, jednak ukradkiem łypnął badawczo na kasztelana. Ten pochwycił spojrzenie, zerwał się jak oparzony.

- Ach, zatem i wy! - krzyknął. - I wy uważacie, że strzygi dobijają się o truchło mego świętej pamięci brata?

- Wątpię w to - Lambertus chrząknął niepewnie - jednak nietrudno dostrzec, że nękanie klasztoru zaczęło się od czasu, gdy złożono tam zwłoki dobrodzieja naszych benedyktynów... Dla maluczkich to wystarczający powód do gadania...

- I dla maluczkich, i dla wielkich, jak widzę. -

Jędrzej uspokoił się równie nagle jak wybuchnął. -

Każdy powód dobry, by rzucić na kogoś osławę... Ale i mnie samemu zaczęło to przychodzić na myśl...

- Co też powiadacie, kasztelanie - biskup zmarszczył brwi. - Czego mogłybyście chcieć piekielne poczwary od tak zacnego człowieka jak Ostępa, od dobroczyńcy Kościoła?

Chciał jeszcze coś dodać, ale przerwał mu zgrzytliwy śmiech Topora.

- Zaczny człek mówicie, biskupie? Dobroczyńca Kościoła? - Spoważniał. - Spowiadaliście go na łożu śmierci, wiecie równie dobrze jak ja, a pewnie i lepiej, jakie sprawy na sumieniu miał mój braciszek, ilu ludzi ukrzywdził. Wiecie zapewne i to, że parał się rzeczami wcale nieprzystojnymi bogobojnemu chrześcijaninowi, a co najgorsze, wysługiwał się nieczystym dla swoich celów! Tak po prawdzie to cień na imieniu Toporczyków położył. Nie on jeden zresztą - dodał ciszej. - Pewnie nie był gorszy niżli Sieciech.

- Nie gadajcie byle czego - szepnął biskup, błędąc.

- Ściany mogą mieć uszy nawet w waszym własnym dworcu. Palatyn wszędzie ma swoich ludzi, a ręce długie, że i w obcym kraju potrafi dosięgnąć wroga, zważać też nie zwykł na więzy krwi w swych porachunkach... Obaj wiemy, co myśleć, nie trzeba więc po próżnicy strzepić języka. Macie rację, że wasz brat, świeć Panie nad jego duszą, był grzesznym człowiekiem. Skoro już zaczęliście o tym mówić, nie wypada mi przeczyć. Zdarzało mu się pobłądzić, osobliwie w sprawie” Przedślawa Ostrzewa, ale i miał swoje powody.

Kasztelan znowu usiadł, wsparł głowę na rękę.

- Przypodobać się chciał Ostępa księciu Włodzisławowi - odezwał się głuchym głosem - i nienawiść swoją nasycić, którą żywił do Ostrzewa, odkąd ten ubiegł go w zalotach do białogłowy. Wiem, wiem... - Machnął niecierpliwie ręką. - Była mu obiecana i gdyby nie poparcie Śmiałego, musiałby Przedśław obejść się smakiem. Krzywda Ostępie była, jeno nie taka, co tłumaczyć może branie pomsty na bezbronnej niewieście czy małych dzieciach... Nie ta jedna zresztą zbrodnia na jego sumieniu. Wiem, że i w otruciu młodego Mieszka Bolesławowica maczał palce. Przeklęła go za to stara królowa. Wiem, bo byłem przy jej śmierci... Do dziś śni mi się jej wychudła, zniszczona twarz... Krzyczała, że upiory pomordowanych upomną się o przelaną krew... Sama wtedy wyglądała jak upiór.

Biskup poczuł przechodzący po plecach dreszcz.

- Ostro oceniacie swojego brata...

- Prawdę wszak gadam, a mogę, bo to moja krew!

Innym tego nie powiem i mówić źle o nim nikomu nie pozwolę, ale wam ufam i nie mam co się przed wami kryć.

Otrząsnął się nagle, jakby wyszedł z lodowatej kąpieli.

- Wróćmy jednak do rzeczy. Radźcie, co wypada czynić w tynieckiej sprawie. Bo że mnichom strzygi, mnisi wam, a wy mnie z kolei spokoju nie dacie, to pewne.

Lambertus zamyślił się, twarz mu zmierzchła.

W tej samej chwili rozległy się szybkie kroki i do komnaty wpadł zadyszany pacholik. Był błąd jak kreda, a po twarzy ściekały mu strużki potu.

- Jego wielmożność opat Jan doprasza się waszego przybycia do klasztoru. Coś tam się wydarzyło strasznego, że mnich, którego wieść - przyniósł słowa więcej wykrztusić nie umiał.

Strażnica nad bramą klasztorną była zbryzgana krwią niczym miejska jatka w zapusty. Opodal trupa rosłego, przybranego w pancerz, mężczyzny z rozerwaną grdyką, spoczywało nagie ciało dziecka, kilkuletniej może dziewczynki. Jak wszystko wokół, i ono było

pomazane posoką. Pod ścianą mnich w pokrytym rdzawymi plamami habicie oddawał ostatnie tchnienie.

- Nawet go nie tknęła - wyszeptał opat, wskazując zakonnik. - Z samego przestrachu serce musiało mu pęknąć.

Lambertus przyłożył do twarzy rąbek szaty.

Słodkawy zapach surowizny przyprawiał o mdłości.

- Jeżeli dobrze widzę - odezwał się Jędrzej, patrząc na trupa w kolczudze - to niejaki Udo, człowiek świętej pamięci Ostępy. Myślałem, że wyjechał. Ale widać nie miał nawet na tyle przyzwoitości...

- Po śmierci waszego brata, ofiarował nam swoje usługi - opat nadal mówił szeptem. - Odkąd strzygi poczęły podchodzić pod klasztor, każdą noc spędzał na wieży bramnej. Wierny był jak pies.

- Opowiedzcie, jak to się stało. - Biskup podszedł do okna. Powiew powietrza łagodził nieco odór panujący w pomieszczeniu.

- Nigdy jeszcze... - Opat pokręcił głową, zamilkł i dopiero po chwili podjął na nowo: - Nigdy jeszcze nie widziałem takiej furii u tych potworów - splunął i przeżegnał się. - Szturmowały bramę, choć swąd palonego ciała dochodził aż do mojej celi. Parzyły się o okucia, ale nie przestawały. Zaraz przybiegłem tutaj, słysząc straszny krzyk. Porzuciłem modlitwy, chwyciłem krucyfiks i przybiegłem...

Urwał, podszedł do okna, odsuwając na bok biskupa. Zaczepnął świeżego powietrza.

- Zobaczyłem, jak straszliwy upiór, klęcząc na piersi tego woja, chłepce krew... Brat Leon leżał pod ścianą, myślałem, że i jego ubiła poczwara... Nimem zdołał się zastanowić, przyskoczyłem do strzygi i wyciąłem ją w łeb krucyfiksem... Tak jakoś utrafiłem, że ramię krzyża przebiło skroń... Bryznęła posoką dookoła jakby pękł wielki pęcherz z krwią... A potem... potem...

Wskazał na dziecko.

- Ni stąd, ni zowąd ujrzałem w miejscu utrupionej strzygi tę dziewczuszkę tak, jak tu mnie leży...

- Tak - mruknął Jędrzej. - Znaczy, że poświęcone miejsce nie jest dla strzyg całkiem niedostępne.

- Właśnie - podchwycił Lambertus - zatem innego wyjścia nie widzę, jak obsadzić zbrojnymi klasztor i bronić bestiom dostępu za wszelką cenę, a jeśliby się dało, to i ubić. Dobrac do tego trzeba ludzi spośród najdzielniejszych, co tęższych pacholków z waszego

rodowego hufca. Zaś przez cały czas szukać komyszy strzygoni, bo przecież gdzieś się podziewać muszą gdy nie ma pełni lub gdy dzień je ze świata zegna...

- Tyle tylko z tego będę miał pożytku, że choć przez jakiś czas moi ludzie będą objadać mnichów zamiast pustoszyć zamkowe spiżarnie. - Niewesoło uśmiechnął się kasztelan.

- We wszystkim trzeba odnajdywać dobre strony. -

Odpowiedział uśmiechem biskup.

Opat patrzył na nich oczyma, w których widać było jeszcze ogromny strach, jaki stał się jego udziałem.

Wglądało na to, że wszystko, co dzieje się dookoła, dociera do jego umysłu z pewnym opóźnieniem.

- A co z tym? - Wskazał na dziewczynkę.

- Sami wiecie najlepiej. - Wzruszył ramionami Topór. - Głowę odjąć i członki, a potem zakopać w różnych miejscach, w cztery strony świata.

Opat przeżegnał się.

- Toż to pogańskie obyczaje... To wbrew naukom...

Jędrzej pochylił się nad zakonikiem. Górował nad nim więcej niż o głowę.

- Jak chcecie - wycedził, zbliżając swoją twarz do twarzy opata - możecie sobie pogrzebać tę małą w swojej kaplicy. A ona następnej pełni odpłaci wam za dobroć. Pogański czy nie, obyczaj nie wziął się znikąd.

Albo zrobicie jak mówię, albo możecie nie liczyć na moich zbrojnych i na moją kiesę!

- Nie czas, opacie Janie, na roztrząsanie, czy coś jest zgodne z naukami ojców Kościoła, czy nie - poparł kasztelana biskup. - Oni nie miewali do czynienia z upiorami. Przynajmniej nie z takimi...

Można było przypuszczać, że duch nawiedził pogorzelsko w księżycową noc, gdy zbrojny mąż stał bez ruchu z przymkniętymi oczyma, wdychając cierpką woń spalenizny.

- Co powiesz, Panie? - Wzniósł twarz ku niebu. -

Pozwoliłeś i na to? Wszak jesteś miłosierny, wszechmocny... - Głos mu się załamał. - Czy Ty w ogóle istniejesz? A może jesteś tylko tym, co sam stworzyłeś? Może jesteś tak samo podły jak cały ten świat?!

Chłop stojący przy wozie opodał, patrzył na woja z przerażeniem. Pewnikiem pan Ostrzew oszalał, gdy z niebem taką zaczął rozmowę. Na resztę niebezpiecznie przebywać w pobliżu takiego, bo to wiadomo, iż złe szaleńca zwykło się trzymać. Zaczął się chyłkiem

wycofywać, porzucając pod drzewem przyniesione narzędzia. Tańsze one niż zbawienie. Niech się możny pan sam nimi parają po nocy.

Przedślaw nie odwrócił się nawet słysząc skrzyp kół.

Towarzysz nie był mu już do niczego potrzebny. Nawet lepiej, że odszedł. To, co miał do zrobienia nie było sprawą nikogo innego, tylko jego własną.

Ponoć już dwa lata minęły od tragedii, a zgliszcza wciąż oddawały niebu ostry zapach skargi. Tak cuchnęły wie dookoła Akki, gdy przybyli tam dzień po wojskach przedniej straży. Wtedy właśnie postanowił powrócić do domu, porzucić Gotfryda i jego sprawę.

Obmierzło mu mordowanie pod znakiem krzyża. Zbyt wiele razy widział, jak wielcy panowie łamią święte przysięgi, by nie zacząć wątpić w przyrzeczenia jakichkolwiek książąt z Hermanem włącznie.

I miał rację...

A miało chronić jego rodzinę książęce prawo, gdy wyruszał na wyprawę! Tyle ono warte, co i rzekomy majestat bratobójcy... Złe nasienie. Jakże to się stało, że Kazimierzowi synowie byli tak różni?

Niespiesznie podszedł do drzewa, pod którym zostały złożone narzędzia, wziął łopatę i skierował się w stronę wybrzuszenia ziemi wyrastającego opodal pogorzelska. Kiedy odjeżdżał do Ziemi Świętej, tego wzgóreczka tutaj nie było.

- Witajcie, najmilsi - mruknął. - Witajcie, skarby moje. Czas was pogrześć w poświęconej ziemi. I nikt nie waży się wam tego odmówić...

Kasztelan rzucał się gwałtownie na łożu. Wiedział, że śpi, śniąc straszliwy koszmar, ale nie potrafił się przebudzić. Wyciągały się ku niemu szponiaste, potworne dłonie, a świszczący szept rozbrzmiewał wprost w głowie, grożąc straszliwymi mękami. Miał okrutne poczucie obcowania z czystym złem. Jego czoło pokrył lodowaty, lepki pot, a ciało drżało w strachu nigdy nie zaznanym na jawie. Kiedy w końcu wyrwał się z sennego oparu, leżał przez chwilę, ciężko dysząc, zanim klasnął w ręce i nakazał przynieść do komnaty światło.

Ostrzew długo patrzył w wykopany dół, chwycił się za głowę, potem spojrzał z wyrzutem w niebo.

- Za co?! - zawołał. - Czyż nie walczyłem na Twą chwałę, czyż nie mordowałem z Twoim imieniem na ustach?! Za co mnie tak doświadczasz? Za co ukarałeś moich bliskich?! Dlaczego uczyniłeś z nimi to". właśnie to...

Zgrzytnęła stal. W świetle księżyca zalśniło ostrze wąskiego, wschodniej roboty sztyletu.

- Niech zbrodnia dołączy do zbrodni. Nie ma już na tym świecie tego, na kim miałbym się pomścić. Pójdę po niego tam, gdzie jest teraz... Słyszysz mnie, Boże,

Panie na niebiesiach? Ja, Twój sługa, idę do Ciebie, by pomścić krzywdę! I nie próbuj mnie powstrzymać!

Niech na ten świat przyjdzie, kto ma dokonać za mnie pomsty! Panie mój... - szepnął.
- Królu... Jeśliś gdzie jest, wróć i pomścij... Przekleństwo na was, krzywdziciele niewinnych!

Spojrzał w głębię mogiły, zasłonił dłonią oczy.

- Dlaczego?!

Sztylet zatoczył krótkim błyskiem łuk i zakończył drogę w odsłoniętej piersi. Ciało zwaliło się ciężko na ziemię. Jeszcze tylko przez chwilę drżąc w konwulsjach ręka wyciągała się w stronę nieba zaciśniętą pięścią.

Twarz Jędrzeja Topora wyrażała złość i niepewność pomieszane w równych proporcjach. Opat, biskup i Żegota, setnik rodowej drużyny, patrzyli na niego z wyczekiwaniem. Zostali wezwani nagle, oderwani od zajęć, których w ostatnim czasie żadnemu z nich nie brakowało.

- Kilka pacierzy temu przyznał posłaniec z Płocka. -

Kasztelan oparł się ciężko o stół. - Przywiózł książęce rozkazy w naszej sprawie - przerwał, przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby wsłuchiwał się w ciszę, przez którą przebiegał się szum zaciągającej powoli ulewy. -

Otóż, moi panowie, miłośnicze nam panujący książę Włodzisław zabrania nam zabijać albo w jakikolwiek sposób krzywdzić strzygi, jeżeli wpierw nie przekonamy się, że któraś z nich nie jest - urwał i zaczął ciężkodyszeć - nie jest upiorem Bolesława! - wyrzucił gwałtownie.

- Czyim?!

- Jak powiadacie?!

- Nie zabijać?

Trzy okrzyki zlały się w jeden. Topór roześmiał się.

- Dobrze usłyszeliście. Nim zabijemy upiora, mamy wpierw się przekonać, czy to nie świętej pamięci książęcy braciszek powrócił, by podziękować za wszystko dobro, które uczyniono jemu i jego synowi!

- Ale jak?! - nie wytrzymał setnik. - Jak poznać, czy diabłu podobny stwór jest tym, czy kim innym? Wszak to widać dopiero po ubiciu ścierwa...

- Ty, Żegota... - Jędrzej uśmiechnął się złośliwie. -

Nie nazywaj pochopnie ścierwem czegoś, co może się okazać krewnym miłościwie nam panującego. To mogłoby zostać przez pewnych możliwych ludzi bardzo źle odebrane.

Setnik zamilkł i spojrzął niepewnie na kasztelana.

Mówi poważnie czy kpi? Z jego twarzy niewiele można było wyczytać.

- Co radzicie uczynić? Zapadło ciężkie milczenie.

- No, mówcie. - Jędrzej zajrzał w twarz Lambertusa.

- Radźcie, biskupie. Rozkaz księcia jasno mówi...

- Do licha z rozkazem! - Żegota zerwał się z ławy. -

Mamy dać się pozarzynać jak bezradne owce?! Róbmy dalej tak, jakby żadnego posłańca nie było!

- I ja tak uważam - poparł go opat. Biskup pokręcił głową.

- Nie może mieć pojęcia książę, co się tu u nas dzieje. Gdyby to zobaczył na własne oczy, zapewne nie wydałby podobnych poleceń. Jednakowoż wydał rozkazy i nie pozostaje nic innego, jak dać im posłuch.

Winien mu posłuszeństwo i kasztelan, i my wszyscy.

Topór patrzył ciężkim wzrokiem na swoich doradców.

- Wydał rozkazy - rzekł głucho. - I jak słusznie rzekł eminencja, jako kasztelan grodu i rękodajny jego książęcej wysokości zobowiązany jestem dopilnować, aby zostały wypełnione.

- Naprawdę zamierzacie to zrobić? Inaczej założycie sobie na szyję pętlę. - Biskup z napięciem wpatrywał się w twarz Jędrzeja.

Odpowiedziało mu milczenie.

Z zamyślenia wyrwało kasztelana głośnie walenie w drzwi.

- Wejść! - warknął groźnie. - Czego, Miłek, larum podnosisz? Czesi nas napadli?

Pachołek spojrzął nieprzytomnie.

- Czesi? - wymamrotał. - Czesi? Skądże, pokój przecie mamy. - Spojrzął niepewnie.

- Czego więc tak hałasujesz?

- Powiadają - złapał głęboki oddech - że Przedślaw Ostrzew powrócił!

Topór poczuł dreszcz przebiegający mu po plecach.

Ostrzew? Przecież miał zmarnieć gdzieś na szalonej wyprawie do grobu Chrystusa!

- Skąd wiadomość?

- Berkas, chłop z Morawicy o świtanu przybiegł.

Mówi, że sam Ostrzewa nie tylko widział, ale wraz z nim na pogorzelisku był.

- Dawać go tu natychmiast!

Pachołek zniknął. Po chwili pojawił się, ciągnąc za sobą słabo opierającego się chłopa.

- Tyś jest Berkas? - Topór spojrział surowo. -

Palatyna Sieciecha poddaniec?

- Ano ja. - Chłop zgiął się w nieporadnym ukłonie.

- Powiadaj, jak to z Przedstawem Ostrzewem było?

Berkas spojrział przestraszony na groźnego kasztelana i zaczął coś bełkotać pod nosem. Dopiero kiedy Miłek wymierzył mu lekkie uderzenie w potylicę, zaczął składniej opowiadać.

- Pod wieczór było, dnia łośńskiego, gdy wszedł do mojej chałupy pan Ostrzew. Zrazum go nie poznał, bo mocno był odmieniony. Ogorzały na gębie i w szatach jakichś dziwnych, com nigdy takich nawet u wielmożów nie widział. Niewiele czekając, za łeb mnie wziął i pyta, zali prawda to, iż Ostępa Topór, brat wasz znaczy, nie żywie. No, com miał odrzec, jak to prawda jako słońce na niebie? Tom przyświadczył, że będzie z rok już jak go pochowano. Straszna miał twarz pan Ostrzew, gdy imię waszego brata wymawiał... Jakoby o jakim diable mówił... Wybaczcie panie, mówię jak na spowiedzi... - dodał szybko, widząc, że rozdrażnił kasztelana.

Jędrzej opuścił rękę, którą szykował się skarcić chłopa.

- Mów! - rzucił zdławionym głosem.

- Ano kazał mi zebrać narzędzia jakie mam i pójść ze sobą. Bałem się odmówić, bo patrzył na takiego, co to dla niego ubić kogoś to jak splunąć, wiecem poszedł nic nie gadając. Straśne to było miejsce, gdzieśmy poszli, a dobrze już w noc było. Dawne pomieszkanie Ostrzewa, zanim je... - Berkas zaciął się, spojrział czujnie na Topora. Ten siedział bez ruchu z zaciśniętymi szczękami. - Myślałem, iż mi dusza piętami wycieknie, ale co tam, pomyślałem, pan Ostrzew nie lękają się, to i ja nie będę. Ale kiedym sobie przypomniał, że tam ponoć pochowana jego żona i dzieciśka, tom się poczuł mocno nieswojo. A jeszcze jak samemu Bogu pan Ostrzew zaczął wygrażać, uszedłem zaraz ile sił w nogach, sprzęty swoje pozostawiwszy. Ze dwa pacierze biegłem co sił, nimem obejrzał się za siebie. I bodaj bym tego nie czynił, panie, bo ujrzałem od tamtej strony światło sine bardziej niżli bywa księżyc w zimowej osnowie. Jakby kto upiorowi w oczy spojrział. - Berkas zatrząsł się na wspomnienie i przybladł wyraźnie. - Takim był przestraszony, że w chałupie ciągiem siedział, zanim mnie

stara wyгнаła do pana kasztelana iść. Że to, powiada, za wieść taką może się pańska łaska okazać...

Topór drgnął, wbił twardy wzrok w chłopca. Ten skulił się pod spojrzeniem, jakby się spodziewał tęgich razów.

- Uciekłeś więc, Berkas?

- Ano tak, wielmożny panie. Każdy by uciekł, bywszy na moim miejscu...

- I nie wiesz, co tam się dalej działo?

- Ano nie, wielmożny panie.

- Precz! Miłek, daj mu tam grosz jaki za to, że przyszedł i dobrze po karku, że nie przyniósł wieści od razu w nocy! Konie gotuj i przykaż Żegocie, by z kilkoma zbrojnymi przy bramie czekał. Pojedziemy miejsce obejrzeć.

- Boże, jak tam jest strasznie! - Miłek pochylił się do ucha Latocha. - Niby nic wielkiego, pogorzeliśko jak pogorzeliśko, ale zgroza wisi w powietrzu... Raz czułem coś takiego, gdym kiedyś sam wracał koło cmentarza. Ale wtedy to była ciemna noc, wietrzyśko takie, że zdawało się, jakby ci kto prosto w ucho klątwy krzyczał. A tu był dzień jasny, słońce na niebie wysoko, a mimo to po plecach ciary jak mrówki. Powiadam ci,

Latoch, ponuro niby w grobie.

- Było co tam chociaż?

- Nic, właśnie. Tyle, że mogiła rozkopana i pusta, ale to pewnie Przedślaw truchła wykopał, żeby gdzieś je przystojniej pogrzebać. Nie dziwota, boć to grzech, by w nie poświęconej ziemi leżeli. Ale strasznie tam...

Czułeś, jakby zza pleców miał ci się pokazać z nagłą upiór jakowyś albo sam diabeł... Jakby kto z każdego zakamarka spoglądał na ciebie przesywająco.

- E tam. - Stary żołnierz machnął ręką. - Czego to człek sobie nie pomyśli, gdy mu straszno.

- Powiadasz? - Miłek zaperzył się. - Dobra, może ja i strachliwy jestem, ale nasz kasztelan to chyba nie?

Zaprzeczysz?

- Ano nie. - Latoch z szacunkiem zdjął z głowy mykę. - Pan Topór dzielny mąż i też by była twierdzić, że podszyty tchórzem. Gdyśmy jeszcze razem ze świętej pamięci Bolesławem wojowali, nieraz widziałem, jak sobie w bitwie poczynał.

- Widzisz! A i pan nawet nietęgą miał minę. „Złe to miejsce - rzekł - pewnie dlatego, że zła tu wiele się wydarzyło i krwi niewinnej w ziemię wsiąkło. Strasznie tu, aż uwierzyć

można w babskie gadanie o miejscach, gdzie upiory a strzygi tańczą”. I przeżegnał się trzy razy, a my wszyscy razem z nim. Nawet Żegota, choć mówią o nim, że to zbrodzień co ze stryczka się zerwał i w Boga nie wierzy, a też znak krzyża uczynił. I co powiesz, Latoch?

- Ano, skoro sam pan tak rzekli i bożyli się, iście straszne musi być ono pogorzeliśko.

- Potem kasztelan z setnikiem na stronę się udali i naszeptowali coś długo, po czym Żegota zbrojnych zawinął i co koń wyskoczy pognął ku traktowi na Kraków. Nie dziwne to?

- Dziwne zaiste. - Latoch podparł głowę dłonią, pociągnął tęgi łyk piwa. - Nie na nasze to głowy, Miłek, a tyle ci powiem, że kasztelanowi naszemu zbrodzień jego brata żyć nie dają, jak powiadają, albo też i udział w grzechu księcia Włodzisława względem króla. A może, Miłek, wszystko razem?...

- Słusznie gadasz, Latoch. Nie na mój to rozum.

Biskup niepewnie popatrywał w stronę kasztelana.

Jędrzej, rozparty przy kominie, bez zmrużenia powiek patrzył na ogniki pełgające po pokrytych gorącą siwizną kawałkach drewna. Przed oczami wciąż miał ruiny domu na pogorzeliśku, swąd spalenizny i karbowane podobnym popiołem belki. Po ścianach refektarza ogień odbijał się fantazyjnymi mozaikami.

Opat Jan zdawał się podrzemywać, jednak kiedy biskup odezwał się, spojrzał na niego przytomnym, trzeźwym wzrokiem.

- Zdecydowaliście, kasztelanie? Jędrzej obrzucił go ponurym spojrzeniem.

- Zostawię tu trzydziestu zbrojnych, jakem przyobiecał. Jeno co do poszukiwań potworów, tego uczynić nie mogę. Wiąże mnie rozkazanie książęce, jak sami dobrze wiecie. Tyle, że posłałem Żegotę z dwoma ludźmi, by się w okolicy rozpatrzył. On tam na żadne rozkazy zważał nie będzie, jak go znam, choć mu to przykazałem.

Opat odetchnął z ulgą.

- Dobrze chociaż tyle.

Drzwi refektarza otworzyły się z impetem. Stanął w nich kasztelański żołnierz.

- Co tam, Rybik? - rzucił Topór. - Stało się co?

- Strzygi pod klasztorem! Opat przeżegnał się.

- Toż pełnia dawno minęła!

- Widać tym strzygom to nie wadzi - mruknął kasztelan. - Chodźmy zobaczyć.

W izbie nad bramą wciąż jeszcze przebijał się mdlący zapach krwi, mimo iż podłoga została dokładnie wyszorowana, a całe pomieszczenie okadzone siarką.

- Odsuńcie łuczywo! - Topór machnął niecierpliwie ręką. - W oczy prosto świeci i ślepi, że nic nie widzę!

Obie strzygi przyszły?

- Obie? - Rybikowi zatrząsał się głos. - Panie, ich jest zaś trzy!

- Trzy?! - zdumiał się biskup. - Wszak jedną sam opat...

- Zabierzcie wreszcie łuczywa - popędził Jędrzej - i dajcie samemu popatrzeć.

Wychylił się głęboko przez ciasne okienko. Na zewnątrz, oświetlone nikłym światłem księżycy w trzeciej kwadrze, wolno przesuwają się trzy sylwetki.

Trzy! Dobrze gadał Rybik!

- I co? Co tam widać? - Lambertus niecierpliwie targnął za połą kasztelana. - Ile ich jest?

- Trzy! - Kasztelan z trudem wy dobył z okiennego otworu krzepkie ciało. - Tyle, że przedtem miały być dwie mniejsze i jedna duża, tak?

- Nie inaczej - przyświadczył opat.

- No, to teraz są dwie duże i jedna mała!

Biskup przeżegnał się. Opat i Rybik poszli w jego ślady. Kasztelan znowu wyjrzał przez okno. Potwory zatrzymały się kilka stóp przed okutą srebrem bramą.

Jędrzej przetarł oczy. Od wyteżonego wpatrywania się w ciemność zaczynały łzawić.

- Co tam widzicie? - Lambertus znowu pociągnął płaszcz Topora.

- Idźcie do drugiego okna, sami zobaczycie! -

Szarpnął się zagadnięty niecierpliwie.

Usłyszał drobne kroki, skrzypnęła okiennica obok.

Tymczasem na dole strzygi stały bez ruchu. Patrzyły w górę, na wychylających się ludzi. Zbyt jednak było ciemno, żeby Topór mógł dostrzec jakieś szczegóły.

Coś jednak było nie tak, coś nie pasowało w tym, co widział. Cofnął się do izby.

- Przynieść wiązki zapalonych pochodni, migiem!

Lambertus patrzył pytająco ze swojego miejsca przy drugim okienku. Ale już w pomieszczeniu uczyniło się widno. Rybik podał kasztelanowi pochodnie. Ten chwycił je i natychmiast cisnął przez okno.

- Co robicie? - krzyknął opat. - Rozeźlicie je tylko!

Jędrzej nie słuchał. Na powrót wychylony, spoglądał w dół.

Strzygi nie zwróciły na ogień żadnej uwagi. Z natężeniem wpatrywały się w wyżkę nad bramą. Dwa zaślinione, pełne zębów pyski. Dwie pokraczne poczwary o pazurzastych, sięgających ziemi rękach.

Dwie! Bo trzecią był niewątpliwie człowiek, albo ktoś, kto człowieka przypominał. Spod głęboko nasuniętego kaptura połyskiwały oczy, świecące zupełnie jak u napotkanego w głębi lasu wilka. Jednak postać była ludzka. Biała dłoń wysunęła się z szerokiego rękawa, wyciągnęła się w kierunku patrzących i wykonała gest błogosławieństwa.

- Jezu Chryste! - Doleciał kasztelana zduszony okrzyk biskupa.

Obok Jędrzeja przepchnął się opat. Kasztelan słyszał jego świszczący oddech i czuł szybkie uderzenia serca.

Tymczasem zakapturzony zbliżył się ku pochodniom i niespiesznymi ruchami rozkopał je na wszystkie strony, po czym gasił szybkimi ruchami płaszcza. W tym czasie obie strzygi zaczęły wykonywać dziwne, płynne ruchy, jakby tańczyły w rytm niesłyszalnej muzyki.

Człowiek w kapturze wyjął z zanadru spore zawiniątko, szerokim gestem rzucił je ku bramie, a potem odwrócił się i powoli poszedł w stronę lasu.

Strzygi, nie zaprzestając płasów, podążyły z nim.

- Zawołać mi Latocha - warknął kasztelan. -

Natychmiast! I przynieść z dołu ten tłumok!

- Pasterz Upiorów - wyszeptał pobladyłymi wargami Latoch, wpatrując się w leżącą na ławie głowę Żegoty.

- Co tam mruyczysz, stary? - Opat niecierpliwie szturchnął go w ramię.

- To musiał być Pasterz Upiorów!

Lambertus otworzył szerzej oczy, kasztelan jęknął przeciągle.

- Myślałem, że to tylko głupie babskie gadanie. -

Biskup skrzywił się niechętnie.

- O strzygach pewnie mieliście to samo - odparł Topór. - Jest jedno, może być i drugie.

- Co to jest ten upiorny pasterz? - spytał opat. -

Wiecie wszak, że nie są mi znane wszystkie opowieści tego kraju. W mojej rodzinnej Moguncji...

- Nie upiorny pasterz - poprawił go kasztelan - ale Pasterz Upiorów.

Latoch przeżegnał się trzy razy.

- Strzeż nas, Panie, ode złego - wymamrotał.

- On go zabił. - Kasztelan wskazał głowę na ławie. -

Sam Pasterz to zrobił. Widzicie, że brak śladów zębów, a cięcie równe jak od miecza.

- Jakby garść zboża ściał sierpem - szepnął Lambertus. - I kropli krwi przy szyi nie widać...

- Czy w końcu dowiem się czegoś więcej? - zniecierpliwił się opat.

- Mów, Latoch - rozkazał Jędrzej. - Tyś najstarszy i najbardziej doświadczony. Pono jeszcze nawrót pogaństwa pamiętasz.

- Szczenięciem wtedy byłem - odparł - ale wiele mi w pamięci zostało. Wtedy pierwszy raz usłyszałem gadki o Pasterzu Upiorów. Powiadali, że Bolko, niewzdany syn Mieszka Wtórego, po śmierci w takiego potwora się obrócił i legionom złych duchów przewodzić począł. Gwałtownik to był i w gniewie miary nie znał, zupełnie jakby Chrobrego był synem, a nie łagodnego Mieszka. Widać tak to już jest. Wszak i Szczodry z lędźwi człeka wielkiej dobroci i cierpliwości wyszedł, a jaki był, wszyscy pamiętamy...

- Ty mów, stary, do rzeczy - mruknął kasztelan - a nie opowiadaj nam o Bolku, którego imię skazano na zapomnienie.

- Powiadają - podjął Latoch - że za owym Pasterzem wedle jego woli wszelki upiór, jak to wąż, strzyga, leszy czy topielica nawet, idzie. Sami wiecie, że stwory te głupie są z natury i do rządnych działań niezdolne.

Samopas też zwykły chadzać, a nawet gdy się stowarzyszą to nie na dłużej niżli jedną noc i to tylko w czas pełni. Bo to wąż pono w pogardzie ma strzygę, a leszy to i na wążerza, bywa, zapoluje. Lecz gdy się zjawi Pasterz Upiorów, wszystkie one w niezwykłej zgodzie zewsząd ściągają i wkoło niego się gromadzą, przyświeca im miesiąc czyli nie. Tak było i z Bolkiem Mieszkowicem, jak powiadał mój ojciec, a nie zwykł on słów na wiatr rzucać ni babskimi plotkami się zabawiać. Ponoć Pasterzem ten jest, kto pokrzywdzony za życia, po śmierci spokoju zaznać nie może i w poświęconej ziemi nie dano mu spocząć.

- Miej nas, Panie, w opiece - szepnął opat. -

Myślicie, że to Szczodry upiorem powrócił, jak to stara księżna w oczy rzuciła Hermanowi? A może to otruty knieżyc Mieszko przybył o swoje się upomnieć?

Lambertus machnął ręką.

- Ciało Mieszka spalone zostało właśnie po to, by po śmierci nie wrócił. Sam świętej pamięci Ostępa tego dopilnował. A i w święconej ziemi popioły jego spoczęły. Tegom ja z kolei dopatrzył, bo jakże to prochy niewinnego młodzieńca miał wiatr po polach rozwiewać.

- Myślicie, że to król? - spytał opat z drzeniem w głosie.

- Tak by wychodziło. - Biskup zapatrzył się w płomień na kominie. - Tak by wychodziło - powtórzył. -

A to znaczy, że bez książęcego zezwolenia nic nam uczynić nie wolno.

Zapadła cisza.

- Jedno mi tylko nie pasuje - odezwał się po chwili kasztelan. - Dlaczego upiory napały się na klasztor, w którym wręcz Stanisławowi schronienia odmówiono, gdy go Bolko ścigał, miał prześladować jeśli nie Sieciecha samego, to przynajmniej jego dziedziny?

- Co nam pozostaje robić? - Opat spojrzał wyczekująco na Jędrzeja.

- Czekać - odparł krótko Topór. - Czekać i mieć nadzieję, że Włodzisław swój nierozsądny rozkaz cofnie. Rano wyjechali do Płocka posłańcy.

- Jako do ojca naszego i opiekuna do was przychodzim. - Postawny chłop w haftowanej świątecznej sukmanie pochylił się, prawie zamiatając długimi siwymi włosami ziemię. - Ratujcie nas, panie, bo przyjdzie gospodarstwa porzucić i na tułaczkę się udać!

- Prawdę sołtys gada - odezwał się przybyły wraz z nim starzec. - Nie pomnę ani ja, anim nawet od mego ojca i dziada słyszał, by tyle złego w okolicy się pokazało, nawet kiedy grasowały pogańskie kupy, nim je książę Kazimierz uśmierzyli! Ot, wyszła z lasu jaka strzyga, tośmy ją widłami przegonili albo i zakłuli, porwała południca jakie dziecko, to i trudno, bywa tak, gdy matka nie dopilnuje, ale to, co teraz... - Machnął bezradnie ręką. - Mów, Gadek, dalej, mów...

Sołtys odchrząknął.

- Ano, wielmożny panie, rozzuchwaliło się złe tak, że i we własnym domu człek spokoju nie zazna. Tłuką po nocy do drzwi, blade jakieś twarze przez okna zagląдают a pchają kosmate łapska.

- Czego ode mnie chcecie, ludzie? - Kasztelan pochylił się do przodu na zydlu, jakby miał zaraz powstać.

- Ratujcie nas! - wykrzyknął starzec i padł na kolana. Po chwili Gadek niechętnie poszedł w jego ślady. - Tylko patrzeć jak w biały dzień Pasterz najedzie wsie z watahą upiorów!

- Mam związane ręce - mruknął Topór. - Nie mogę wam powiedzieć nic więcej, ale sam jestem bezradny, jako i wy!

- Wy, bezradni? - Gadek powstał z kolana, a w oczach pojawiły mu się złe błyski. - Wy macie swój kasztel, a mnisi klasztor warowny, jeno my wystawieni jesteśmy na pastwę złego! Wiemy, że wam książę zabronił na strzygi polować, że to niby król może być między nimi, ale nam za jedno kto z nas krew wyssie!

Jędrzej poderwał się, chwycił za gardło sołtysa.

- Skąd to wiesz, kto ci powiedział?

- Puście go, panie - odezwał się starzec. -

Tajemnica jest gdy wie jeden. Jeśli wie dwóch, wiadomo, kto zdradził, ale jeśli wtajemniczonych jest więcej, kto zdradził, prawdy nie dojdzie.

- Za wasze zuchwalstwo zawisniecie jeszcze dziś! - warknął kasztelan puszczając Gadka.

- Nas możecie i zabić. - Starzec zbliżył się do Jędrzeja. - Ale wiedźcie, że jeśli czegoś nie uczynicie, pewnego dnia kupy waszych własnych chłopów możecie ujrzyć pod zamkiem. My za jakież wasze sprawy umierać nie chcemy! A za sprawki waszego brata, niech spoczywa w pokoju, tym bardziej!

Jędrzej poczuł, jak krew bije mu do głowy, a przed oczami zatańczyły czerwone pląty.

- Straż! - zawołał zachrypłym od wściekłości głosem. - Powiesić tych dwóch przed bramą ku przestrodze! I niech wiszą dopóki sami ze sznurów nie odpadną!

Lambertus z wykrzywioną złością twarzą wpadł do komnaty kasztelana.

- Coście uczynili najlepszego? Kazaliście zabić tych, w których ludzie położyli zaufanie!

- Moja sprawa - warknął Topór. - Moi ludzie i moja sprawa!

- Ludzie może i wasi, ale kiedy się wieść rozniesie, jak sobie z wysłańcami poczynacie, nie będzie chętnych, żeby do was przyjść!

Ci chłopci ośmielili się grozić! Mnie grozić!

A nie przyszło wam do głowy, jak bardzo muszą być przerażeni, jeżeli ośmielili się do was przemawiać tak zuchwale? Prawdę na koniec rzekli, żeście ich powinni bronić.

Nikt nie ma prawa... - zaczął kasztelan, ale przerwało mu machnięcie ręki biskupa.

- To teraz nieważne. Teraz musicie wraz ze mną udać się do klasztoru.

Co się znowu stało?

Opat przysłał do mnie posłańca. Do mnie - podkreślił. Do was bezpośrednio najwyraźniej się obawiał...

- Dalibyście już spokój - mruknął Jędrzej.

- Wypowiadacie się, odbędziecie pokutę, to dam wam spokój. A na razie jedźcie ze mną. Wszystkiego dowiedziecie się na miejscu. A, i weźcie ze sobą silny poczet. Nigdy nie wiadomo, czy co nie zajdzie w drodze albo i chłopci się nie ruszą.

Spróbowałiby!

- Poczet weźcie!

Co powiadasz?! - Jędrzej ze zdumienia wytrzeszczył oczy na spoglądającego ponuro człowieka. - Bredzisz,

Chościk!

- Z wami chce Pasterz Upiorów gadać - powtórzył chłop. - Był u syna tego sołtysa, co go wczora kazaliście powiesić, jak... - zacisnął zęby, jakby nie chciał, żeby wyrwało mu się jakieś nieopatrzne słowo. -

Jeśli nie, zacznijcie wraz z poddanym mu pomiotłem wsie pustoszyć, gdy do klasztoru dostać się nie może.

- Dlaczego nie przyszedł z tym syn sołtysa? - spytał Topór podejrzliwie. - Z nim wszak, nie z tobą, ów stwór rozmawiał.

- Mnie posłali - odparł, patrząc mu prosto w oczy chłop. - Rodzina mnie onegdaj odmarła, więc i wszystko mi jedno. Ludzie boją się, byście nie uczynili z wysłańcami tego, co z tamtymi, którzy wiszą przy bramie.

Lambertus posłał kasztelanowi znaczące spojrzenie.

- Hardyś - rzucił Jędrzej. - Bacz, by ci...

- Nie czas na to - przerwał biskup. - Nie kłamiesz aby? - zwrócił się do chłopca.

- Co mam kłamać - mruknął Chościk, wzruszając ramionami. - Przysięgnąć mogę na krzyż i na co chcecie, bom sam owego Pasterza widział. Dziś przybędzie pod klasztorną bramę. A wy róbcie, co chcecie. My zaś - głos chłopca nabrał twardości - uczynim, co nam wypadnie.

- Grozisz? - Kasztelanowi włosy zjeżyły się na głowie z wściekłości. - Ośmielasz się grozić, chamski synu?!

- Ośmielam się. - Wysłannik wsi zmrużył oczy. -

Mnie za jedno, będę żył, zali wy mnie każecie zabić czy zrobią to strzygi! Ino ludziom w waszej dziedzinie za jedno nie jest! Żyć chcą w spokojności, a wasz obowiązek ich bronić!

Topór przyskoczył do chłopca i zdzielił go pięścią w twarz. Chościk zachwiał się i cofnął pół kroku.

- To wasza odpowiedź? - spytał zimno. - Ją mam zanieść waszym wioskom?

Topór uspokoił się.

- Mogę cię jeszcze kazać oćwiczyć i powiesić - wycedził. - Ale nie uczynię tego. Nie dziś w każdym razie. Odpowiedzi żadnej nie będzie, bo z własnymi poddanymi układać się zamiaru nie mam. Co zrobię, moja rzecz, a wy macie siedzieć w chałupach i nie gromadzić się nigdzie pod karą gardła!

- Co chcecie zrobić? - Chościk masował stłuczoną potężnym ciosem kasztelana szczękę. - Topór nam nie daruje, żeśmy ośmielili się mu stanąć okoniem. Wypada to przemyśleć, Wilik, jeżeli nie chcesz skończyć jak ojciec.

- A co nam za wybór? - Młody mężczyzna uderzył pięścią w ławę. - Z jednej strony kasztelan, a z drugiej strzygi! Sam słyszałeś, co Pasterz powiedział. Nie dam swoich na ztratę. A zechce się mścić Jędrzej, w lasy ujdziem i tyła z nas będzie miał!

- Z gromadą trza rzecz uzgodnić. Ty czyja możemy uciec, ale reszta...

- Reszta niech powie, żeśmy ich przymusili albo i oszukali. Wszystkich kasztelan wyciąć nie może, bo kto mu będzie tyrał. Na resztę nie taki on jak jego brat.

- Ojca twego zabić kazał...

- Boi się, jako i my. - Wilik poderwał się i przemierzył w obie strony ciasną izbę. - Dlatego taki się stał gwałtowny. Jeno dbać musimy o siebie sami, jak widać, bo nikto inny o nas nie zadba.

- Tedy radę starszych zwołaj. Ty teraz za ojca nam będziesz przewodził. I tobie jednemu damy przywództwo, jak w czas wojny.

- Jak w czas wojny - powtórzył cicho Wilik.

Kasztelan wyteżonym wzrokiem wpatrywał się w ciemną linię lasu coraz mniej wyraźną w zapadającym zmroku.

- Naprawdę chcecie wyjść do tego stwora z piekła rodem? - spytał opat.

- Wyjdę i zabiję gadzinę! - zgrzytnął Jędrzej. - Nie będzie mi chłopów buntować. Nie będzie mnie straszyć!

- Ale jeśli to król...

- Wiem kto to jest! - przerwał mu gwałtownie kasztelan. - To Przedśław Ostrzew! Wrócił pomścić krzywdy!

- Jesteście pewni?

- Sami pomyślcie. Były trzy strzygi, tak? Opat skinął głową.

- Dwie mniejsze i jedna duża. Potem zabiliście jedną i, jak mniemam, zadbaliście, by nie mogła powrócić mimo waszych w tym względzie skrupułów. Nie znałem Przedśławowych dzieci, ale tamta dziewczynka jako żywo przypominała z rysów żonę Ostrzewa. Wiem ja też, że on niedawno powrócił na swoje, a co zastał nie muszę mówić. Ślad po nim zaginął, a zaraz potem pojawił się Pasterz Upiorów. To musi być Ostrzew! I dlatego go poczwary słuchają!

- Może macie rację. Jak nad tym się zastanowić, to na pewno macie rację. A jak go zamierzacie zgładzić?

- Weźmiecie wody poświęconej i miecz mój ochrzciecie!

- Chrzcić miecz? - Opat aż zatchnął się z oburzenia.

- To niemożliwe! To się nie godzi! Toż to grzech śmiertelny!

Topór uniósł się z zydła.

- Nie godzi się? - syknął. - Grzech, powiadacie? A chcecie mieć spokój? Zresztą - dodał spokojniej - jeśli wam to zabrudzi sumienie, biskup rozgrzeszenie na pewno wam da! Sami go zresztą spytajcie.

- Chrzcić miecz - szepnął opat. - Mogę poświęcić, ale chrzcić?... Nawet sam papież na to by nie zezwolił.

Spotka nas kara Boża...

- Niech wreszcie spadnie to na mnie! - rzucił popędliwie Jędrzej. - Sam to zrobię! Wy mi dajcie tylko wodę! I formułki po łacinie wyuczcie!

- Chłopi gromadzą się pod lasem! - Biskup wpadł zdyszany do celi opata.

- A gdzie kasztelan? - spytał, rozglądając się.

- W kaplicy - powiedział drżącym głosem opat. -

Poszedł miecz ochrzcić... Powiada, że to pono jedyny sposób na Pasterza Upiorów.

Lambertus przybladł, poczuł jak od lędźwi pełnie ku sercu lodowata macka strachu.

- Oszalał - zająknął się. - Zupełnie oszalał!

Przekleństwo na siebie ściągnie! I na nas!

- Mówiłem mu, przestrzegałem, ale uparł się!

Pewnie już skończył i poszedł przed klasztor na spotkanie, bo najwyższy byłby czas.

- Boże Ojczy! - Lambertus przeżegnał się. - Chroń nas ode złego!

- Jesteś - odezwał się Pasterz Upiorów głuchym niskim głosem.

- Jestem. Tak jak chciałeś, szatańskie nasienie!

Topór mówił z zaciśniętymi szczękami. Oddychał głośno przez zęby, starając się powstrzymać mdłości.

Odór dolatujący od zakapturzonej postaci był bardziej obrzydliwy niż wszystko, co w życiu zdarzyło mu się napotkać. Rozejrzał się. Od strony lasu zbliżały się błyski pochodni. Chłopi przybyli zobaczyć, co się będzie działo. Już on im pokaże po wszystkim!

- Jesteś - powtórzył Pasterz. - I ja jestem. Jak widzisz rozkazałem swoim strygom pozostać w ukryciu, by pokazać, że nie chcę siał bezrozumnej grozy.

- A czego chcesz? - Jędrzej położył dłoń na rękojeści miecza.

- Nie domyślasz się? - W głosie zakapturzonego pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

- Na pewno się domyślasz. Głupi nie jesteś. Brata twego chcę!

- Ale dlaczego?

Ognie pochodni były coraz bliżej. Gromada mężczyzn półkolem stanęła opodal, tak żeby móc słyszeć rozmowę.

- Dlaczego? Bo rzucił przekleństwo Ostępa.

Przekleństwo najgorsze, straszniejsze niżli potępienie.

Niewinną niewiastę i jej dzieci zamienił w najbardziej odrażające stwory. I cierpią. Cierpią takie katusze, jakby za życia wyrządziły komuś okrutne zło! A mnie wezwano zza grobu, abym je uwolnił. Bo pokonać taką klątwę może tylko drugi potępienie! Bo stamtąd można wrócić tylko po to, żeby unurzać się w plugastwie, lecz w słusznej sprawie! Bo zdjęć przekleństwo można tylko, gdy taki jak ja przeklętnik, plugawe ciało twego brata weźmie w objęcia i w tany z nim się puści! Mam moc rozkazywać poczwarom i upiorom, mam moc rozkazywać złym duchom. I w mocy mojej wszystkie je odwołać, odesłać, gdzie być powinny. Ale wpię do truchła muszę zyskać dostęp.

Próbowały same strzygi tego dokonać, dlatego chciały się wdrzeć do klasztoru. Nic by na tym nie zyskały, ale ich pogrążone w wiecznym otępieniu myśli słusznie kierowały się w tę stronę. A trzeba ci wiedzieć, że być strzygą to męka najgorsza. Śmierć od najstraszniejszych tortur wydaje się przy niej łaską...

Tu rozległ się śmiech, który przyprawił kasztelana o lodowaty dreszcz.

- Domyślałeś się tego, prawda? Nie mogłeś się nie domyślać.

- Nie dam ci zbeczczyć ciała zmarłego! Tego nie uczynię za żadną cenę!

- Wyludnię twoje ziemie - zagrzmiął nieoczekiwanie głośno upiór. - Zwołam wszystkie upiory z wszystkich krain, a nie tylko te dwie nieszczęsne istoty! Spod ziemi wydobędę i tę, którą zabiliście i kazali ćwiartować.

Najdę twoją dziedzinę z całym wojskiem strzygoni i ich pobratymców. Ni jeden kłós tu po ich przejściu nie wyrośnie, wszystko pokryją ugory i lasy, a człeka jednego nawet nie uświadczysz!

Wśród chłopów zapanowało poruszenie. Topór próbował odgadnąć z dolatujących go słów co właściwie zamierzają. Czy staną ostatecznie po jego stronie, czy oczekują, że spełni

żądanie Pasterza Upiorów. Krwawy poblask zachodzącego słońca potęgował jeszcze ponure wrażenie.

- Tyś jest Ostrzew - powiedział kasztelan. -

Przedśław Ostrzew. Odsuń kaptur, poznałem cię, nie masz co się ukrywać pod zasłoną!

Znowu rozległ się mrozący krew w żyłach śmiech i gwałtownym ruchem kaptur został odrzucony na plecy.

- Poznałeś mnie? - spytał Pasterz. - Naprawdę?

Jędrzej poczuł jak krew odpływa mu z serca, a przerażenie obezwładnia wszystkie członki.

- Co widzicie? Mówcie!

Opat niecierpliwie przestępował z nogi na nogę, usiłując zobaczyć cokolwiek przez wąski otwór okna, który zasłaniał Lambertus. Drugie okienko zostało na wszelki wypadek zabite deskami, więc ciekawość opata wystawiona była na ciężką próbę.

- Wieśniacy podeszli jeszcze bliżej - odezwał się po chwili Lambertus. - Są już tak blisko, że pochodnie wyraźnie oświetlają i Jędrzeja, i złego ducha...

Rozmawiają. Kasztelan sięgnął do miecza, ale go jeszcze nie wy dobył... Mówi coś, tamten odpowiada...

Odrzuca kaptur. Chłopi przybliżają się jeszcze. Czy oni naprawdę się nie boją? Mnie strach prawie miesza zmysły! Kasztelan wy dobył miecz! Co on zamierza?

Rzeczywiście byłby Pasterz Upiorów nie królewskim, ale Przedśławowym duchem? Szkoda, że chociaż miesiąc nie świeci, bo przy mętnych ogniach trudno cokolwiek dostrzec wyraźnie.

Zamilkł i z napięciem wpatrywał się w coraz głębszą ciemność, rozświetlaną jedynie blaskiem pochodni.

- Stoją naprzeciwko siebie, nie ruszając się. Widać cały czas rozmawiają.

Znowu umilkł, ale nie na długo.

- Boże! - Cofnął się nagle, wpadając na stojącego tuż za jego plecami opata. - Mój Boże! Co on zrobił!

- Co się stało? Co tam się dzieje?

Lambertus bez słowa odsunął się od okna, ruchem ręki zaprosił do niego opata.

Ten natychmiast skorzystał z okazji, wyjrzał i poczuł, jak nagły lęk odejmuje mu władzę w nogach.

Miecz błyszczał ostrym, lodowobłękitnym światłem.

Nie był to poblask pochodni, wydobywał się z wnętrza żelaza. Blask ten urywał się nagle w dwóch trzecich gówni, w miejscu, gdzie sztych pogrążony był w ciele Pasterza Upiorów.

- Ochrzcilesz miecz? - raczej stwierdził niż zapytał Pasterz. Nie lepszy jesteś od swego brata. Mnie zdołasz nim zabić, ale na siebie ściągniesz po stokroć gorsze nieszczęście.

Patrzył spokojnie na sterzące z piersi ostrze, jakby nie robiło na nim żadnego wrażenia. Jednak jego słowa świadczyły o czym innym.

- Mnie zdołasz zabić, Jędrzeju. Tak jak twój brat zdołał zgładzić nieszczęsnego Mieszka. Podstęp, trucizna... ochrzczoney wbrew prawom nieba miecz...

Warn widać i to za jedno złamać boskie nakazy.

Topór puścił trzymaną dotąd w kurczowym uścisku rękojeść. Pasterz Upiorów zachwiał się, przyklęknął na jedno kolano.

- Mnie zdołasz zabić - powtórzył. - Lecz klątwa pozostanie... nie zaznasz do końca swoich dni spokoju...

Nie zaznasz spokoju po śmierci. A to, co będziesz musiał uczynić jest wielokroć gorsze niż wydanie ścierwa Ostępy na moją łaskę...

Zgromadzeni chłopci stali jak wmurowani, chłonąc to, co się przed nimi rozgrywało. Niejeden przeklinał w duchu godzinę, w której ośmielił się tu przybyć.

Niejeden chętnie by rzucił pochodnię i uciekł, gdyby nie było wstyd przed innymi.

- Już dziś, w godzinie mego powtórnego zgonu... -

Pasterz wyprostował się nagle, powstał na równe nogi, jakby mu przybyło sił. Wraz z ruchami jego ciała świecąca gównia wykonywała dziwaczne ruchy, kreśląc w powietrzu zawile, pozostające na krótką chwilę wzory. - Już dziś, w godzinie, w której tym ciosem uwolniłeś mnie, bym stanął nareszcie przed sądem Pana naszego, wzywam cię, Jędrzeju Toporze, wzywam cię, kasztelanie, wzywam cię, mój zabójco...

W powietrzu zaczęła się pojawiać i rozszerzać na wszystkie strony sina luna. Tego za wiele było obserwującym zajścia chłopom. Wszyscy naraz rzucili się do ucieczki. Tylko jedna postać pozostała na miejscu, niewidoczna poza kręgiem bladego światła.

- Padł nareszcie! - Tym razem to opat zdawał sprawę biskupowi z wydarzeń na zewnątrz.

Lambertus siedział z głową opartą na rękach.

- Upadł, a to diabelskie światło od razu znikło! Nic nie widzę. Cma taka, że choć oko wykol...

Wydobył się z okna i usiadł naprzeciwko biskupa.

- Co o tym sądzicie? - spytał. - Przeraza mnie to wszystko.

- Nie wiem, co mam sądzić - odparł głucho Lambertus. Siedzieli w zupełnej ciszy. Przerwały ją dopiero kroki na schodach. Drzwi otworzyły się. Stał w nich kasztelan. Był blady jak trup, w rękach trzymał miecz, na którym nie było znać nawet śladu krwi.

- Nadspodziewanie łatwo wam przyszło rozprawić się z tym diablím pomiotem! - odezwał się opat.

- Tak myślicie? - Jędrzej mówił z wyraźnym wysiłkiem.

- Padł przecież od pierwszego ciosu...

- Ano padł...

W jego głosie było coś takiego, że biskup podniósł głowę.

- Mówcie - powiedział z niepokojem. - Powiedzcie, na Boga, co tam się naprawdę stało? Kto to był ten Pasterz Upiorów? Rzeczywiście Ostrzew?

- Ostrzew - powiedział cicho kasztelan. - Co Ostrzew? - Spojrzał nieprzytomnie.

- Mówcie wreszcie! - powtórzył biskup. - Jak na spowiedzi...

- Potem - odparł niecierpliwie Topór. - Teraz muszę wydać rozkazy moim ludziom!

Wilik z napięciem przypatrywał się twarzy Chościka. Szara barwa skóry zaczęła ustępować pod zbawiennym wpływem grzanego miodu.

- Aleś się najadł strachu - sapnął Wilik. - Żeś się też odważył pozostać...

- A co mi tam - mruknął Chościk.

Rozejrzał się po izbie. Stłoczeni siedzieli tam wszyscy ze starszyny, czekając, co powie.

- Opowiadaj! Chościk łyknął z kubka.

- Kto był upiór wie każdy, kto chociaż raz króla widział. Tego oblicza się nie zapomina. Samiście słyszeli, jak mówił, że go Przedślaw Ostrzew wezwał, nim sam zakończył życie samobijstwem, a sam w upiora się zmienił. Wiecie, czego chciał...

- Wiemy, wiemy - przerwał mu niecierpliwie głos spod ściany. - Mów, co się stało potem.

- Potem? - Chościk uśmiechnął się krzywo. -

Niewiele. Tyła wam mogę rzec, że gdy się możni wadzą, choćby i zza grobu, i tak na nas, ubogich, się skrupi...

- Nie zabawiaj się w zgadulę, a mów! Uśmiech znikł z twarzy Chościka.

- Jak chcecie wiedzieć, to wam powiem, żebyście się modlili o długie życie dla naszego jaśnie kasztelana Jędrzeja. Bo po jego zgonie przyjdzie chyba z tej ziemi uchodzić!

- Co zaś gadasz - poruszył się niespokojnie Wilik. -

To nie koniec? Zabił przecie poczwarę.

- Ano zabił - potwierdził Chościk. - Byście jeno zostali, to byście i wy usłyszeli, co mu Pasterz przed śmiercią rzekł...

W tej chwili przed domem załomotały końskie kopyta i rozległy się krzyki.

- Co to? - Wilik wyjrzał przez okno. - Kasztelańscy!

To woje z hufca Topora... Jezu Chryste, ratuj się, kto może!!!

Chłodne wnętrze kaplicy koło zmysły podrażnione zewnętrznym skwarem i niemilosiernym blaskiem słońca, lekkim powiewem obmywając twarz niby strumień orzeźwiającej wody. Biskup przymknął oczy, aby przywykły nieco do miękkiego mroku świątyni.

Przez chwilę obserwował grę błysków pod powiekami, bawiąc się tym widokiem. Czekala go przykra rozmowa i chciał jak najbardziej przedłużyć czas, zanim do niej przystąpi.

Westchnął ciężko, otworzył oczy i spojrzał w kierunku ołtarza. Rozciągnięta na posadzce postać zdawała się rozmiarówomalże dziecka. Gdyby nie wiedział, kogo tu zastanie, mógłby przypuścić, że w istocie dziecie albo jakaś niewiasta pokutuje u stóp Pańskiego Stołu. I jeszcze gdyby nie nagie ostrze miecza połyskujące obok pokutnika.

Biskup zbliżył się ostrożnie. Miał nadzieję, że tamten zasnął i rozmowa odwlecze się jeszcze. Chciał się wycofać, jednak leżący w tej chwili odwrócił głowę i na widok dostojnika powstał ciężko. W zapadłych oczodołach źrenice jarzyły się gorączką.

- Witajcie, wasza dostojność - odezwał się schrypnięty, głuchy głos. - Przeszedłeś pocieszyć potępionego?

Lambertus przeżegnał się. Po grzbiecie przebiegły mu ciarki.

- Nie mówcie tak o sobie, kasztelanie - powiedział cicho.

- Nie mówcie tak w obliczu naszego Pana.

Jędrzej spojrzał w kierunku ołtarza.

- On. - wskazał ręką - odwrócił ode mnie swoje oblicze! Biskup podążył wzrokiem za dłonią kasztelana.

- On - odparł - nie odwraca się od swych owieczek.

To one raczej mają we zwyczaju oddalać się od Niego.

- Czego ode mnie chcecie, biskupie?

- Chcę wiedzieć, co się stało. Powiedzcie mi, dlaczego wczoraj kazaliście wymordować, wyciąć w pień własnych poddanych? Za to, że wam ośmielili się rzucić w oczy prawdę?

Topór pokręcił przecząco głową. Usiadł w kucki na posadzce, chwiejąc się lekko w tył i w przód.

- Za co zatem? Za to, że przybyli zobaczyć co się stanie pod klasztorem? A może widzieli tam coś, czego widzieć nie powinni?

Jędrzej nie odpowiedział, nie uczynił żadnego gestu poza rytmicznymi kiwnięciami.

- A więc o to chodzi - mruknął biskup. - Zaszło tam coś, co chcecie ukryć.

Odpowiedziało mu milczenie.

- Czy ten Pasterz Upiorów to był w istocie Ostrzew, czy...

- Dostojnik zawiesił głos.

Cisza stawała się coraz bardziej męcząca, a w biskupie narastała chęć ucieczki od przytłaczającej obecności czegoś, co towarzyszyło postaci Jędrzeja.

Gdyby nie duszpasterski obowiązek, nie przebywałby z nim ani chwili dłużej.

- Widzieli zbyt dużo, słyszeli zbyt wiele - nieoczekiwanie powiedział kasztelan.

Wyprostował się nagle, przyskoczył do Lambertusa, chwytając go za kołnierz sukni.

- Powiem wam jak na spowiedzi. - Jego oddech śmierdział przetrawioną gorzałką. -

Tak jak chcieliście!

To nie był Przedślaw! Sami się domyśliliście, że nie!

To był król. Jaki tam król! - Roześmiał się gorzko. -

Upiór jego, i tyle, co go Ostrzew przywołał przed grzesznym zgonem. Żądał, bym mu na pomstę wydał zwłoki Ostępy. Na diabelską ofiarę złożył nieszczęsne szczątki mego brata! Groził karą i piekłem na ziemi straszyl! A kmiotki słuchały o tym i o uczynkach zmarłego. Więc go przebiłem, choćby po to, żeby już przestał gadać... Puścił biskupa, targnął się za włosy.

- Wtedy mi zapowiedział, że po śmierci sam w takiego jak on się obrócę. I sam losu upiora zaznam.

Lubo dziś jeszcze ścierwo Ostępy przed klasztor cisnę, by nim strzygi ucieszyć, aby się przekleństwu wyrwać!

Przesądzony mój los! Czego bym nie uczynił, czeka mnie potępienie...

Lambertus cofnął się, jakby owionął go gorący podmuch.

- Co też powiadacie. Żeście wbrew rozkazowi ubili Pasterza, to wam księżę wybaczą. Nikt wszak nie musi wiedzieć kim był naprawdę, a ja z pewnością nie powiem. Żeście ośmielili się chrzcić miecz, za to odpowiecie już przed samym Bogiem, a on władny wybaczyć wszystko. Żeście chłopów w przypiływie szaleństwa kazali wybić, to na tej ziemi jeszcze odpokutujecie. A klątwę upiora zdejmie z was... choćby i sam papież...

Przerwał mu głuchy śmiech.

- Sami w to nie wierzycie.

- Ale... - Biskup zamilkł. - Co zamierzacie? - odezwał się po chwili.

Jędrzej usiadł na klęczniku, tyłem do ołtarza.

- Zawsze chciałem wiedzieć, jak to się stało - powiedział cicho - że się mój brat stał takim okrutnikiem. Że się ciemnymi sprawami parał... I zawsze dumny taki jakiś byłem z tego, iż sam inny jestem. A teraz wiem... Wystarczy jeden nieopatrzny gest, jeden rozkaz rzucony nie w porę, by stać się diabłem w ludzkiej postaci... Jak ja... Wystarczy jedno słowo, by życie odmienić. Czy sieje wypowie, czy usłyszy tylko, bez różnicy. Przekonali się o tym i moi chłopci. Nie wiem, ile słyszeli, bo nie widziałem kiedy pierzchli, ale zawsze... Kazałem ich wyciąć i kazałbym znów, by na ród własny cienia nie rzucać! Ale zbrodnia to jest i zbrodnią pozostania.

Przełknął głośno ślinę.

- Boję się - wyszeptał. - Boję się tej klątwy. Wiem, że nikt niczego przeciw niej nie zdziała... Wy czy nawet sam święty ojciec. Dośięgnie mnie nie tu, to za grobem, tam gdzie żadna ziemską siłą jej nie zatrzyma. Może gdybym spełnił żądanie Pasterza Upiorów...

Spojrzał najpierw z odrazą na leżący miecz, a potem w stronę płyty prowadzącej do grobowej krypty.

- Zbrodnia do zbrodni - szepnął biskup do siebie. -

To się nie godzi.

Jędrzej dosłyszał.

- Nie godzi się. Wiem!

- Co zamierzacie, kasztelanie?

Topór podniósł wzrok. Jego oczy lśniły już nie tylko gorętwą, ale i szaleństwem.

- Przyrzeczcie mi - powiedział - że cokolwiek by się stało, dopilnujecie, by po śmierci trupa mego spalono, a prochy rozsypano na wsze strony!

- Co też gadacie! - oburzył się biskup. - To byłby... - zawiesił głos.

- Grzech śmiertelny? - Zaśmiał się zgrzytliwie kasztelan. - Nie mówcie mi o grzechu.

Moje myśli są o wiele gorsze niż ta prośba...

Jego wzrok znów pobiegł w stronę krypty.

- O wiele gorsze - powtórzył.

TAJEMNICA ŚMIERCI ALBERTO DIAZA

Nie cierpię hiszpańskich miast. Wędrowcowi przybyłemu z Nowego Świata wydają się duszne i zatęchłe, wypełnione atmosferą tak starą, że wprost trudno nią oddychać. I tutejszy klimat, gorący i ostry...

Tak różny od wstrzemięźliwie łagodnego powietrza Filadelfii czy mojego rodzinnego Worcester. A przecież każdego roku przyjeżdżam do Kordowy, marnując, jak sądzą moi koledzy, połowę urlopu na jałowych posiedzeniach międzynarodowego sympozjum historycznego...

Znam to przeklęte miasto na pamięć. Na samym początku było mnie w stanie zachwycić ogromnym alkazarem, katedrą przebudowaną z wielkiego meczetu, trzynastowiecznymi kościołami, pałacami, Casa de los Villalones, del Indiano, Palacio de los Paez de Castillejo, klasztorem Santa Ana... Dzisiaj wszystkie te cuda budzą we mnie co najwyżej niechęć i poczucie niesmaku, zupełnie jak potrawa, która przejadła się dawno temu, a jednak miły gospodarz serwuje ją przy każdej okazji z uprzejmym uporem, więc nie wypada odmówić.

Pamiętam ten pierwszy raz, gdy przybyłem tu wydelegowany przez moją alma mater, dumny z zaszczytu i pokładanego we mnie zaufania, młody i pełen nadziei.

Z czasem miasto, a raczej to co się w nim znajduje, zabiło we mnie młodość i radość życia, pozbawiło spokojnego snu na resztę mojej ziemskiej egzystencji.

A może po prostu tak bardzo się zestarzałem w ciągu tych kilkunastu lat?... Nie, wiem na pewno, że to coś więcej niż zgorzknienie związane z wiekiem.

Jak zawsze zajmuję ten sam pokój hotelowy, który dziś wieczór, przemieniony w salę tortur mej duszy, znowu wystawi na próbę pełnię władz skołatanego umysłu.

Jak zwykle nierozgarnięty boy, ledwie dukający może ze trzy - cztery słowa po angielsku, czeka z dłonią wysuniętą po napiwek. Weź już te swoje pół pesety i odejdz! Zostaw mnie w spokoju razem z moim... Na razie wzdragam się nadać temu imię. Odwaga przyjdzie wraz ze zmierzchem. O ile popadniecie w stan podobny chorobie można nazwać odwagą...

Otwieram podręczną walizkę - na samym wierzchu spoczywa Biblia. Z drżeniem biorę ją do ręki, ostrożnie rozchylam kartki... „Wówczas Elias zbliżył się do całego ludu i rzekł: »Dopókiż będziecie chwiać się na obie strony? Jeżeli Jahwe jest prawdziwym Bogiem, to Jemu służcie, a jeżeli Baal, to służcie Jemu!«,». Znajome słowa objawienia - jeszcze nie

nadszedł czas przemiany. Dopiero gdy Ziemia odwróci oblicze od Słońca, litery księgi ułożą się w nowe wzory i odkryją prawdziwą treść. Słowa będą obojętne, podane wręcz zimno. Dziwnie beznamiętne słowa dojmujące jednak niesionym przesłaniem, płynącym z samego dna piekła i rozpacz.

Wieczorem, gdy ciemność otuli martwym muślinem białobrudne mury hotelu, zacznie się moja gehenna...

Wieczorem przy blasku świecy wyjdę naprzeciw przeznaczeniu.

Nie była piękna. Nie mogła być piękna - po prostu nie miała do tego prawa. Była czarownicą, co zostało stwierdzone z całą pewnością, nie godziło się więc, by przysługiwał jej przywilej urody. Zabrano go tej dziewczynie, kiedy zazdrosne wiejskie baby zaczęły gadać o uprawianiu czarów, kiedy prefekt Massimilio wniósł oskarżenie, ponieważ w czarnej magii właśnie postanowił znaleźć przyczynę swej wstydlivej dolegliwości dręczącej go od czasu, gdy bez powodzenia usiłował wymusić na dziewczynie usługi, które mógł otrzymać za niewielką opłatą w byle lupanarze. Najgorsze zaś było, że zupełnie przypadkowo ten tępy urzędnik miał rację...

Odebrano jej urodę najpierw na mocy prawa, a niedługo potem mocą katowskich kleszczy. Lecz Diaz pamiętał ją z początkowego okresu śledztwa, kiedy młode ciało kipiało pełnią rozkwitu, falowało życiem niczym lany pszenicy w czerwcowy skwar, gdy pełne piersi zdawały się wyrwać spod potarganego odzienia.

„Zginiesz, gdy ja zginę”, powiedziała wtedy w przestrzeń. Do kogo? Do nikogo? Do wszystkich? Lecz Diaz pojął z miejsca, że słowa te przeznaczone są właśnie dla niego. Nikt nie zareagował, ba - Alberto odniósł wrażenie, że nikt nawet nie usłyszał odezwania.

*Przeraziła go. W jej głosie brzmiała prawda. Była czarownicą - pierwszą prawdziwą czarownicą, jaką zdarzyło mu się sądzić. Och, oczywiście jako członek *bracchium saeculare* wiele razy uczestniczył w procesach przeróżnych wiedźm, nie mając co prawda właściwie nic do powiedzenia, jednak akceptował w duchu wyroki skazujące, bardziej czy mniej przekonany o winie oskarżonych, w imię obrony wiary tłumil w sobie wątpliwości. Ale dopiero teraz dotarło do niego z całą ostrością, że żadna z owych nieszczęsnych niewiast czarownicą być nie mogła. Tamte służyły diabłu, będącemu najczęściej wytworem ich samych lub ciemnego ludu imaginacji, przyznawały się do stosunków z pomniejszych demonami, bardzo często czyniły rzeczy obrzydliwe, jednak...*

Teraz, kiedy zobaczył prawdziwe opętanie, obudziły się w nim wątpliwości. Lecz najbardziej przeraziło go, iż w tamtych nieszczęśnicach dostrzegł oznaki zepsucia, zaś ta wydawała mu się zupełnie bez winy, czysta... Czy tak działa szatan?

Pochwycił drwiące spojrzenie ojca Armanda, inkwizytora - dominikanina. Czyżby stary diabeł widział, co dzieje się w jego duszy? Nie, to tylko złudzenie... Miał nadzieję, że to tylko złudzenie...

Rwana szczypcami nie wydała jęku. Przedtem milczała kluta szpilami i parzona gorącym łojem. Ani widok rozpalonego żelaznego pręta nie uczynił na niej żadnego widocznego wrażenia, ani potem jego dotknięcie. Diaz był wstrząśnięty, podobnie jak reszta obecnych przy przesłuchaniu. Tylko dominikanin uśmiechał się z zadowoleniem. Alberto zmełł w ustach przekleństwo - dominikanin, podle narzędzie kościelnych i świeckich panów, pies władzy przeciw, a nie Boga, w którego zapewne nawet nie wierzył. W mniemaniu Diaza ojciec Armando był diabłem... A on sam był w takim razie chłopcem na posyłki diabła...

Lecz dziewczyna nie patrzyła na zakonnika ani przez chwilę. „Zginiesz, gdy ja zginę”. Powtórzyła te słowa dźwięcznym, pełnym głosem, podnosząc nagle głowę i odwracając ku niemu zeszpeconą torturami twarz, po czym dodała: „Wkrótce On obejmie cię swymi ramionami!”.

To niemożliwe! Rozejrzał się po obecnych.

Wyglądało, jakby zastygli w pół ruchu, zdumieni czelnością wiedźmy. Lecz to tylko wrażenie. Znowu nikt nie okazał poruszenia. Czy to możliwe, żeby nic nie słyszeli?

Świadkowie właściwie nie byli potrzebni. Hardość oskarżonej i lekceważenie przez nią zadawanego bólu byty dostatecznymi podstawami, by uznać ją winną obcowania z szatanem. Lecz on, na mocy swych stosunkowo niewielkich kompetencji, nakazał przesłuchanie świadków. Dominikanin nie sprzeciwił się, wzruszył tylko ramionami, zaś prefekt Massimilio usiłował protestować, lecz umilkł skarcony ostrym spojrzeniem.

Wiedział, że jest winna, ale nie umiał znaleźć w niej winy. Wbrew zdrowemu rozsądkowi i wieloletniemu doświadczeniu miał nadzieję, że usłyszy jakiekolwiek zeznania, które będą w stanie potwierdzić lub podważyć oskarżenie albo przynajmniej pomogą jakoś wpłynąć na decyzję sądu. Jednak bzdury, jakie pletli podstawieni i zastraszeni ludzie były do tego stopnia niewiarygodne, że szybko przerwał żenujące widowisko. O wiele łatwiej było ferować wyroki w zwykłym trybunale... Prefekt Massimilio przesadził, aranżując to wszystko. Można było doprowadzić do skazania dziewczyny bez powoływania się na specjalne dodatkowe dowody.

Właściwie wystarczyłoby po prostu spojrzeć jej głęboko w oczy... Tak jak on spozrzał, gdy dziś wprowadzono ją do sali.

Odwróciła ku niemu twarz. Teraz to nie mogło być złudzenie, tym bardziej że wszyscy podążyli za jej spojrzeniem i zaczęli się wpatrywać w twarz Diaza. Nie odezwała się, ale jemu w głowie zabrzmiało znowu „zginiesz, gdy ja...”. Nie mógł pokazać po sobie wzruszenia czy wahania, nie mógł pozwolić, by ktokolwiek wysunął podejrzenie, iż członek trybunału znalazł się pod wpływem czarów oskarżonej. Ojciec Armando pewnym, twardym głosem zadawał przepisane procedurą pytania, które pozostawały bez odpowiedzi.

Diaz chciał odwrócić wzrok, lecz jakaś siła ujęła w żelazny uścisk głowę, nie pozwalając zamknąć powiek.

To ona! Ona! Ona? W jej oczach dostrzegł przerażenie.

Wtedy zrozumiał, że zniewalająca go siła pochodzi skądinąd... Kto zatem? „Zginiesz, gdy ja...”. Ukradkiem uczynił znak krzyża na piersi. Uścisk zelżał niechętnie, tylko ojciec Armando wstrząsnął się, jakby został żgnięty ostrogą. Czyżby...

Boże, czy to on zadał kolejne pytanie? Czy na jego miejscu nie mógłby zasiąść ktoś inny, zwykły, zajadły inkwizytor, a nie potworny w swoim kamiennym spokoju zakonnik?

Kat podchodzi do sądzonej, dzierżąc w obu dłoniach potężne kleszcze. Martwy uśmiech dominikanina...

Mój Boże, słowa tylekroć już czytane, znane prawie na pamięć, a za każdym razem czuję w krzyżu mrowienie przerażenia. Gdy dookoła panuje ciemność, wyczuwam wypełzające ze ścian koszmarny ludzi, którzy w tym hotelu śnili swe najintymniejsze i najbrudniejsze marzenia, przeżywali najbardziej skryte lęki. Staram się nie patrzeć na sufit, bo upstrzona tłustymi plamami biel znów może okazać się... Chryste!

Tylko nie myśleć o tym, nie myśleć! Czy dane mi będzie dzisiejszej nocy przeczytać więcej niż zwykle, zanim litery księgi znów poczną układać się w łacińskie biblijne wersety? Coś przemknęło poza kręgiem blasku - jak wielka ćma, albo... Nie myśleć!

Prostytutkę, przyslaną przez usłużnego prefekta, odesłał do wszystkich diabłów. Teraz żałował tej decyzji. Może jej niechciana obecność ocaliłaby go przed mękami wspomnień. W każdym razie z pewnością pomogłaby rozproszyć myśli nadchodzące nieuchronnie wraz z zapadającym zmierzchem.

Tyle już razy widział skatowanych ludzi, oglądał przypalane i darte mięso ludzkie, że stał się obojętny na ich krzywdę, a dziś nie mógł pogodzić się z widokiem ciała dziewczyny, zamienianego nieubłaganie w ruinę.

Czy rzuciła na niego urok, czy było to w nim samym, wypływało z samego dna duszy? Pewnie nigdy się tego nie dowie. Pewnie nie zdąży...

Drgnął nagle. Boże, czy tam, w ciemnym kącie, ktoś stoi? Odwrócił się gwałtownie, wyczuwając za plecami zwienny ruch. Pusto. Lecz wiedział, że w tym momencie przestał być sam.

Ubrał się czym prędzej i wyszedł na ulicę. Wydawało mu się, że w tłumie poczuje się bezpieczniej. Jednak w wieczornym mroku twarze mijanych ludzi lśniły mętną szarością, było w nich coś przywodzącego na myśl pośmiertny rozkład... Miał wrażenie, że uparcie ścigają go szklane spojrzenia przechodniów. Mimo to spacer ukoił nieco skolatane nerwy. Powrócił do kwatery. On, współpracownik sądu Świętej Inkwizycji, zaczyna się zachowywać jak niedowarzony mlókos albo przesądny wieśniak. A wszak nie może, nie wolno mu bać się demonów, z którymi powinien walczyć...

Noc jest przerażająca w swojej bezosobowości.

Dzień patrzy na świat gorącym okiem słońca, zaś ciemność pozbawiona jest oczu - spogląda na ciebie zewsząd, nie ma miejsca, do którego nie potrafiłaby sięgnąć. A gwiazdy są równie odległe i obojętne na los człowieka, co fosforyzujące stwory zamieszkujące przepaście wód oceanu. One także nie potrafią rozświetlić ani rozgrzać otaczających ich odwiecznych ciemności.

Pochylony nad księgą czuję na plecach skupione spojrzenie. Oglądam się - oczywiście w tej chwili jest tam pusto, za to uczucie, że ktoś patrzy nadchodzi z drugiej strony. Tak musi się dziać w miejscu, w którym każdy krok wyciska spod ziemi prastare demony...

Kiedy pojawisz się wreszcie, prześladowco, by uczynić zadość memu poświęceniu i ciekawości, które okazują się silniejsze niżli instynkt życia? Czy dopiero wtedy, gdy dojdę do końca opowieści? Czy andaluzyjska jesień okaże się pewnego dnia schyłkiem mojego życia, czy może końcem istnienia mej duszy?

Bo o tym, że coś się tutaj kiedyś skończy, jestem przekonany. Dziś, jutro czy za rok - to osobna sprawa.

Dziś, jutro czy za rok - to właściwie bez znaczenia.

Sufit zniżył się tuż nad łoże, jakby miał za chwilę zgnieść dręczone koszmarowymi wizjami ciało. Otoczyły go obojętne, eleganckie twarze z kasetonów.

„Zginiesz...” kochał ją „...gdy ja...” Kochał ją od pierwszej chwili. „Wkrótce On obejmie cię ramionami...” Kto?! Na Boga, kogo miała na myśli?!

Twarze wykrzywiły się w grymasie naśladowującym krzywy uśmiech dominikanina. Była winna... kochał ją... była winna... kochał ją... była niewinna. Niewinna?

Skąd ta myśl? Niewinna służka nieczystej siły? Twarze wokół zawirowały w szaleńczym tańcu. Kim jest ów „

On”? Szatanem? Czy może kimś jeszcze gorszym, o ile to możliwe? Pograżony w beznadziei i rozpacz wiedział, że odpowiedź na to pytanie wiąże się z potępieniem, jakkolwiek by nie brzmiała.

Szyderczy śmiech, ten sam, który rozległ się w chwili, kiedy Diaz zasłabł w czasie egzekucji. To śmiał się ojciec Armando, stary diabeł. On wiedział wszystko, niech go piekło pochłonie!

Chwilę potem z wyciem padł na ziemię dozorca więzienny, który zgwałcił dziewczynę w noc aresztowania. I jego objął płomień stosu - wyprysnął snopem iskier niczym karzące ramię i zapalił na nim odzienie. Jakże on wrzeszczał, tarzając się po ziemi!

Nikt nie pospieszył mu na pomoc. Ludzie bali się, że podobny płomień może dosięgnąć i ich, gdyby dotknęli przeklętego. Wszak nikt z obecnych nie miał wątpliwości, że nieszczęśnika doścignęło przekleństwo czarownicy.

Płaty spalonej krwi pomieszanej z kopciem słomianej podpalki opadały na rynek jeszcze przez kilkanaście minut po wygaszeniu ognia.

Twarze z kasetonów wirowały coraz szybciej, można było w tym ruchu usłyszeć straszliwy wrzask płonącego dozorca.

Krzyknął i usiadł na łożu. Skłębiona, mokra od cuchnącego strachem potu pościel lepiała się do ciała.

Sufit wrócił na swoje miejsce, tylko twarze w kasetonach nadal uśmiechały się szyderczo. W kącie przy drzwiach zamajaczyła jakaś postać. „On obejmie cię ramionami”, zahuczało w skolataną głowę. Stracił przytomność.

Nie wytrzymuję, spoglądam w górę. Powietrze wydziera się z płuc głuchym jękiem przerażenia.

Zalśniły okrutne twarze zebrane w kasetonach, skrzywione drwiąco i groźnie zarazem. Odwracam wzrok i zachłannie rzucam się w potok słów księgi. Jak daleko mnie dziś

zaprowadzi? Jak daleko posunę się w szaleństwie samobójczej ciekawości? Na samym początku, ponad dziesięć lat temu, zadałem sobie trud, by sprawdzić, czy w pierwszej połowie szesnastego wieku w miejscu mojego hotelu znajdowała się jakaś budowla. Pamiętam swoje przerażenie, gdy urzędnik w magistracie poinformował mnie obojętnym tonem, że owszem, stała tu jedna z rezydencji prefekta miasta, w której komnaty przeznaczone były dla szczególnie dostojnych gości...

Uchylone drzwi szafy. Pamiętam przecież doskonale, że ją zamykałem. Zawsze dokładnie zamykam szafy, szafki... nawet tę w łazience. W ich półotwartych drzwiach zawsze czai się jakaś tajemnica, może obecność, są niepokojące przez możliwości, które się za nimi kryją, a raczej które ludzka wyobraźnia potrafi za nimi ukryć.

Musiał przyłożyć rękę do jej śmierci - taką rolę wyznaczył mu sam monarcha. Świeckie ramię kościoła... Uważał zresztą, że lepiej byłoby dla niej samej, aby umarła niż miała wegetować okaleczona i zeszpecona po przesłuchaniach. Ale ona chciała żyć bez względu na wszystko. Bała się śmierci tak mocno, jakby obawiała się po drugiej stronie spotkania z czymś okropnym... Nie błagała o litość, nie wydała z siebie słowa skargi - wiedziała, że nie ma dla niej przebaczenia. Raz tylko miał wrażenie, że wyciągnęła błagalnym ruchem skrwawioną dłoń z kikutami palców.

Było to na chwilę przed tym, zanim sędzia powiedział „tak”, kiedy padło pytanie, czy jest winna. Zaraz potem powiedział „tak”, gdy trzeba było potwierdzić wyrok i skazać ją na stos.

Bał się. Bał się bodaj nie mniej od niej. Przecież oboje byli skazani... „Zginiesz, gdy ja zginę”...

Noc ma bardzo długie ręce... Noc ma dłonie zakończone jedwabnymi szponami lęku. Za chwilę znowu przeczytam o zbrodni Alberta, a wtedy serce przystanie na moment i ujrzę majaczącą w pełgającym świetle zamazaną twarz potwornego mnicha. Czy Wystarczy tym razem sił, by nie zapalić wszystkich lamp w pokoju, żeby czytać dalej przy blasku świecy?

Wiem przecież, że gdy pomieszczenie zaleje światło, słowa księgi zmieniają się znów w tekst objawienia, a wszelkie strachy znikną... Wiem? Tak sędzę... Tak było dotąd za każdym razem, ale czy tak się będzie działo zawsze?

Ojciec Armando nie był zdziwiony, gdy Diaz zaproponował przechadzkę do katedry. Alberto wiedział, że inkwizytor nigdy przedtem tu nie był, a pragnął zobaczyć słynne

„Zwiastowanie” Pedra de Cordoby znajdujące się na tablicy ołtarzowej. Tym bardziej iż swego czasu obraz ów zamówił kanonik kordobański Sanchez de Castro, będący jego dalekim krewnym.

W złodziejskim zaułku wydobył sztylet. W prawicy skupił całą nienawiść, jaką odczuwał dla tego wysłannika piekiel. Dominikanin patrzył mu w oczy bez zmrużenia. Patrzył, kiedy napastnik wziął krótki zamach, nie drgnęła mu powieka, kiedy ostrze zagłębiło się w ciało. Bez słowa osunął się wzdłuż ściany. Giń, stary diable! Niech razem z tobą zniknie opętanie i poczucie zniewolenia! Cokolwiek miałyby się potem zdarzyć...

W gasnących oczach ofiary Diaz dostrzegł obietnicę rychłego spotkania... i coś więcej, coś, co poruszyło go do głębi - ujrzał blask szczerego, płynącego z głębi duszy współczucia. Błąd! Popełnił błąd - to nie inkwizytor pozostawał we władzy demonów lecz on sam! Zabił jedyne go bodaj człowieka, który mógł mu pomóc, który wiedział dostatecznie dużo, żeby poradzić, co należy uczynić!

Jak pijany, czepiając się ścian budynków, pobiegł na przedmieścia, aż do ruin pałacu muzułmańskiej dynastii Omajjadów.

Za mną oczy, nade mną oczy, wokoło dziesiątki niewidzialnych oczu! Sparaliżowany lękiem nie jestem zdolny sięgnąć nawet do włącznika lampy. Mój wzrok wbrew woli podąża w kierunku kart księgi. Jestem niczym płaz wpatrzony w hipnotyzujące węzowe źrenice, przerażony i bezradny.

Mgła. Wszystko dokoła objął i zniewolił ciemny tuman. Świece przestały dawać światło. Ich płomyki stały się tylko niewyraźnymi punkcikami, aby po chwili rozwiać się w nieprzeniknionej ciemności. Otarł zroszone potem czoło. Na całym ciele czuł cuchnącą strachem wilgoć. „Zginiesz, gdy ja zginę”. Tak powiedziała na początku. Myślał wtedy, że umrze razem z nią, że to ona bezpośrednio jakoś spowoduje jego zgon. Teraz zrozumiał, że śmierć przyjdzie z innej strony, że wszystko jest o wiele bardziej zagmatwane niż przypuszczał. Klątwa czarownicy dotknęła już więziennego dozorca, potem poprzez jego ręce ojca Armanda, czy teraz kolej na niego? Tyle że jego zgon zapowiada się jako nieporównanie większy koszmar niż tamtych.

Znowu pożałował odesłanej prostytutki. Czarna mgła przesycona była przerażeniem, zwierzęcym, tępym strachem, zsyłającym koszmary.

Zaczął się osuwać w otchłań i wydało mu się, że będzie w nią spadać bez przerwy, aż do Dnia Sądu. W ostatniej chwili porwał w dłonie sznur - szorstki, konopny, który ukradkiem

ściągnął z katowskiego stołu, by mieć choć taką pamiątkę z procesu, który złamał mu serce, a może i życie. Na tym sznurze zawisł teraz nad przepaścią, by rozpocząć mozolną wspinaczką ku rzeczywistości.

Leżę na łóżku mokry od potu po śmiertelnym wysiłku, ogłupiały z przerażenia. Jak się tu znalazłem?

Zakrwawione dłonie pozostawiają ślady na pościeli, dodając do kwietnego motywu nowy, nieoczekiwany deseń. Znowu czuję na sobie chłodne spojrzenie nieprzyjaznego obserwatora. Kim jesteś, mój prześladowco? Boję się pomyśleć, jak mogłaby brzmieć odpowiedź. Teraz już wiem, że nie ma odwrotu, nie ma dla mnie ratunku.

Sznur zwisa spod kasetonów, dziś kilka stóp bliżej mnie niż rok temu. Kusi. Gdybym przerwał swoje wizyty dwa lata wcześniej, może zdołałbym się wyzwolić. Dziś jest za późno... Przeznaczenie i ciekawość... Ciekawość i przeznaczenie... Co dalej? Co dalej?!

Zataczając się jak pijany, podążam w stronę stolika z otwartą książką. Zachłannie wpijam wzrok w jej karty.

„Nazajutrz zaś tak powiedział Mojżesz do ludu:

»Popelniliście ciężki grzech; ale teraz wstąpię do Pana, może otrzymam przebaczenie waszego grzechu«,,

Koniec na dziś, czyżby za oknami świtało? Szarpnię ciężkie zasłony - jeszcze panują głębokie ciemności...

Dlaczego więc księga zamknęła się dla mnie w złudnych słowach objawienia? Lecz nie - oto szara kreseczka brzasku na wschodzie powiększa się z każdą chwilą. Do zobaczenia, sekretniku Alberta Diaza... do zmierzchu...

Wiem doskonale, że następnego wieczoru mogę przeczytać, iż inkwizytor Armando Diaz powiesił się na sznurze skradzionym katu. Odebrał sobie życie, gdy mroczna istota postanowiła wyjawić mu swe imię... Nie chciał go poznać - zapewne bał się, że zostanie potępiony jeżeli uzyska tę wiedzę. Nigdy jeszcze tego nie przeczytałem, ale jestem przekonany, że taki właśnie jest koniec. Mam podstawy, by tak sądzić, solidne podstawy...

Chcę dotrzeć do tego miejsca, a jednocześnie wszystko we mnie wzdraga się na samą myśl o tym.

Zdumiony patrzył to na strzępki skóry sterczące ze śliskiego od krwi powroza, to na odarte do żywego mięsa dłonie. Mgła przesłaniająca wzrok powoli zniknęła, rozwiewała się, wciągana podmuchem chłodnego powietrza w szparę pod drzwiami. Co się z nią stanie tam,

na korytarzu? Poczul się dziwnie osamotniony, gdy znikły ostatnie jej pasma. Potrząsnął głową. Skąd ta dziwna myśl o samotności? Wraz z ustąpieniem mgły powróciła możliwość widzenia.

Jednak zdała mu się bardziej przerażająca niż uprzednia ślepotą. Kontury przedmiotów były rozmyte, czy nie mogły znaleźć żadnego źródła światła, wszystko dookoła stało się szare i niewyraźnie białawe.

Nagle przeszedł go dreszcz. Na Boga, wszak nie jest sam! Tam, w kącie kłęb czarnego istnienia obserwuje każdy jego ruch!

Zadrzał. Czyżby przybył po niego sam książę ciemności, Szatan we własnej osobie? Znowu dreszcz - nie ta istota jest starsza od piekielnych demonów... Czyż nie jest starsza od samego... Boga?... I skąd ta pewność? Czy pochodzi od tej istoty, czy jest w nim samym?

Czaszki, góry czaszek. U dołu rozsypują się powoli poszarzałe ze starości, pokryte zieloną pleśnią czerepy, nad nimi dumnie bieleją kośćmi ich młodsze siostry, zaś te na samej górze jeszcze obłożą z rozkładającej się skóry, ukazując dopiero światu wylaniającą się spod niej gładką fakturę, upodabniając się do swoich starszych towarzyszek... I one, kiedyś obrócić się w proch, ale czeka je jeszcze długa droga w dół, przez wszystkie brudne odcienie bieli.

Poczul nagły podmuch lodowatego wiatru, jakby wyskoczył z gorącej kąpieli wprost na świeży śnieg - wizja zniknęła, Zatrząsł się niczym w ataku febry. Na chwilę zapomniał o przerażającej istocie, spokojnie obserwującej go ze swojego kąta, lecz zaraz przyszło opamiętanie. Opamiętanie czy opętanie? Te dwa pojęcia stanowiły w tej chwili jedno. Wbił rozszerzone strachem źrenice w niewyraźny kształt. Emanowała stamtąd niezwykła siła, przerażająca i zniewalająca w swojej pierwotnej dzikości. Nieokiełznana moc...

Kiedy zdążył przetrząść sznur przez hak mocujący żyrandol? Patrzył w górę na ciemną czeluść ponad głową z której zwisał powróż, a gorący wosk skupywał na twarzy. Zatem świece przez cały czas się palą jedynie on nie jest w stanie dostrzec ich światła. Trzęsące się dłonie zatańczyły konwulsyjnie na końcu sznura, formując go w kształt ostateczny...

Mój przyjaciel sprzed ponad czterech wieków był, wykształconym wprawdzie, ale przesadnym dzieckiem swojej epoki. Bał się tego, czego nie potrafił wyjaśnić, gotów prędzej umrzeć niż wydać się na pastwę sił nieczystych. Zawsze sądziłem, że jestem inny - nasiąknięty aroganckim naukowym podejściem nowoczesnego człowieka, pragnący poznać i rozświetlić tajemnicę samobójczej śmierci świeckiego przedstawiciela Świętego Oficjum.

Wierzyłem w swój rozsądek i naukowy chłód do chwili, kiedy kilka lat temu nie poczułem na sobie w środku nocy baczego spojrzenia, dokąd nie spostrzegłem skłębionego

kształtu w najciemniejszej części pokoju, dokąd zwieszająca się z nicości lina nie zaczęła z każdym rokiem pojawiać się coraz bliżej mojego łóżka, gdym odzyskiwał przytomność z otartymi do krwi rękami. Przedtem przyjeżdżałem wiedziony raczej ciekawością niż jakimikolwiek innymi pobudkami, przekonany, iż nowa treść Biblii, ujawniająca się tutaj w październikowe noce, jest bardziej złudą, zjawiskiem pokrewnym stanom narkotycznym niż rzeczywistości. Teraz przyjeżdżam ciągnięty nieprzepartym pragnieniem przeczytania jej do końca, każdego roku o jedno czy dwa zdania więcej, co rok zbliżam się do tragicznego finału. Przyjeżdżam wbrew rozsądkowi i wbrew własnym pragnieniom... Po każdym seansie grozy, o białym poranku czuję się zbrukany niczym dziewica wydana na pastwę rozpasanym żołdakom. A wieczorem zapalam świecę i zasiadam do lektury, drżąc z ciekawości, co tym razem przyniesie mi los...

Diaz odniósł wrażenie, że istota w kącie poruszyła się niespokojnie. Czymże ona jest? Może wysłannikiem piekła... A może demonem żyjącym na tej ziemi od czasów najdawniejszych? Jakimś przeklętym żydowskim Baalem, Molochem czy innym demonem, który przeszedł na służbę Szatana, gdy jedyny Bóg zapanował nad światem... Jezu Chryste, komu służyła skazana dziewczyna?! „Wkrótce On obejmie cię swymi ramionami”, przeleciały mu przez głowę jej ostatnie słowa. Przymknął na chwilę oczy, porażony przypomnieniem przerażającej sceny kaźni.

Poczuł, że szaleństwo zaczyna zaćmiewać jego umysł. Chwycił się za włosy, wyszarpując całe kępy, spazmatycznym, gwałtownym ruchem, uniósł głowę i zawył przeraźliwie, bardziej rozdzierająco niżli wygłodzony wilk. Ten dźwięk przeraził go i otrzeźwił zarazem. Zdał sobie naraz sprawę, że straszliwy nieproszony gość próbuje do niego przemówić, by wyjawić swoje prawdziwe imię. Nie, nie! Nie!!!

Zapadła ciemność. Drżącą dłonią szukam świecy.

Chciałbym, by okazało się, że zdmuchnął ją nagły ruch powietrza, zwykły przeciąg, oczywiście jednak tak nie jest. W zupełnej ciemności moja dłoń natrafia na woskową fakturę, pełźnie ku górze, by nagle cofnąć się gwałtownie, trafiwszy na płomień. Z przerażenia wydecham całe powietrze z płuc. Przez chwilę mam wrażenie, jakbym dusił się przygnieciony taflą lodowatej wody. Czuję, że z tyłu zbliża się do mnie coś strasznego, że za chwilę ogarnie mnie miękkim uściskiem...

W tej samej chwili, kiedy prawie już czuję na sobie potworny dotyk, świat rozjaśnia się nagłym blaskiem.

Znowu widzę pełgający płomycek świecy rozjaśniającej niewielki krąg dookoła. Lecz sposób w jaki oglądam otoczenie... To okropne patrzeć przez rubinową soczewkę wina wlanego do rżniętego kryształowego kielicha - wszystko jest niewyraźne, rozmazane i napiętnowane wszechobecną czerwienią.

W nozdrza uderza trupi zaduch - zapach odwiecznej starości - przemieszany z wonią gorącej stearyny. Ten swąd niesie ze sobą nieznośny niepokój. Litery w księdze tańczą przed oczami, stają się coraz trudniejsze do odczytania. Mam świadomość, że nade mną szczerzą zęby twarze w kasetonach. Cóż za potworny pomysł mieli nasi przodkowie, żeby umieszczać ludzkie oblicza na suficie!

Istota, tam w rogu, jakby przybliżyła się do mnie, a może urosła... Czegoś ode mnie chce... Nie, nie zniosę tego dłużej! Zaczynam rozumieć desperację - Alberto Diaza... Ta obecność jest nie do zniesienia!

Ukrył twarz w dłoniach. Były tak gorące, że musiał zaraz je cofnąć. W ogóle cały był rozpalony niczym chory na tyfus. Pamiętał, że ciemna istota przemówiła.

Nie - nie mógł sobie przypomnieć słów ani nawet ich sensu, pozostał jedynie potworny niesmak, poczucie kontaktu z czystym, pierwotnym złem, wcześniejszym niż jakiegokolwiek ludzkie pojęcie o nim. Boże, dlaczego nie pozwoliłeś zacisnąć pętli na szyi nim ów twór ujawnił swą istotę i pochodzenie? Diaz trzęsącymi się nadal dłońmi chwycił zwisający znikąd sznur. Gotowa pętla kusiła. Skończy niczym Judasz, to okropne!... Ale czyż jest od niego w czymkolwiek lepszy? Jak tamten sprzeniewierzył się sobie i Bogu, wydał na męki kogoś, kogo ukochał... Zamyślił się, przez chwilę patrzył w ciemność przed sobą, ale niecierpliwy ruch w kącie przypomniał o istnieniu straszego intruza, przynaglił do działania.

Ta straszliwa, niechciana obecność, badawcze spojrzenie ze strony niewyraźnego kłębu ciemności, obrzydliwe poczucie zbrukania samym przebywaniem w jego pobliżu... W czasach studenckich sporo jeździłem po kraju. Pewnego razu zawędrowałem aż do El Paso. W tamtym rejonie zachowało się sporo zabudowań misyjnych z siedemnastego i osiemnastego wieku, a że miałem podówczas zajęcia z pokrewnej tematyki, zainteresowałem się ich historią. W uczelnianej bibliotece natrafiłem na notatki portugalskiego misjonarza przebywającego w niewoli u Azteków, gdzieś w dalekiej dolinie górskiej. Opisywał święto groźnego, żądnego krwi boga Huitzilopochtli i obrzęd komunii, wydający się spotworniałą karykaturą tradycji chrześcijańskich. Sporządzano wizerunek bóstwa, używając do tego celu

ciasta ugniecionego z najrozmaitszych nasion pomieszanych z krwią zabitych dzieci. Potem, po obrzędach trwających do następnego dnia, figurę bożka dzielono między mężczyzn.

Począwszy od najstarszych, a na niemowlętach skończywszy, każdy musiał spożyć choćby najmniejszy kawałek... Misjonarz, mimo iż był tylko niewolnikiem przeznaczonym na ofiarę temu samemu Huitzilopochtli, został zmuszony do uczestniczenia w sakramencie.

Nigdy się z tego nie otrząsnął, nawet wiele lat po tym, jak został uratowany przez hiszpańskich żołnierzy, budził się z krzykiem w środku nocy, nękany przypomnieniem straszliwego doznania obcowania w komunii ze złem starszym niżli wszystko, co potrafił sobie wyobrazić... Na końcu dziennika znajduje się dopisek, że w dniu dwudziestym czwartym grudnia roku pańskiego 1582 nieszczęsny duchowny w przyływie szaleństwa odebrał sobie życie, pozostawiając list będący bezładną bazgraniną, z którego jedyne słowa, jakie dały się odczytać brzmiały „...skłębiona w ciemności wyciąga ku mnie swoje ramiona...”. Zabił swoje ciało, próbując ratować duszę.

Czy udało mu się ją ocalić? Tego nie dowiem się nigdy, chyba, że sam...

W tejże samej bibliotece zwędziłem wtedy stary egzemplarz Biblii, ten sam, który stał się moim przeznaczeniem i przekleństwem. Zabrałem go ukradkiem, wiedziony jakimś przymusem, który wtedy wytłumaczyłem sobie jako skłonność do psot, tak charakterystyczną dla młodych ludzi.

Czy szalonemu misjonarzowi dane było dowiedzieć się wbrew woli imienia tej samej bestii, która dręczyła Alberto Diaza i która teraz przychodzi po mnie? A może był to zupełnie inny demon? Och, pozbyć się go, zrobić coś, co uwolni mnie od skłębionego w ciemności, coraz wyraźniejszego kształtu i coraz głośniejszego pomruku rozlegającego się wprost pod czaszką!

Zrobię to, gdy nadejdzie pora... Oczywiście jeżeli zdołam znaleźć w sobie dość siły...

Lecz na razie dosyć - skończył się czas przeznaczony na odkrywanie tajemnicy, do następnego października moja Biblia pozostanie zwykłą księgą objawienia. Posunąłem się do przodu o dokładnie dwa zdania dalej niż ostatnio. Wiem, że bardzo niewiele pozostało do końca. Co stanie się za rok?...

Cóż, do zobaczenia, Kordowo, moja królowo piekła.

ZWYKŁA DZIEWKA

- Idę już, idę. I po co to tak walić! Mało drzwi z zawiasów nie wylecą!

Stary Zygfyrd z trudem schodził po stromych schodach. Łomotanie nie ustawało. Ktoś uparł się dostać do środka i nie zamierzał łatwo rezygnować.

Tijhar z niechęcią zmarszczył brwi. Tutejsi ludzie robią się coraz bardziej bezczelni i natarczywi. Trzeba będzie chyba zmienić miejsce pobytu.

- Czego? - Dobiegł z dołu chrypliwy bas Zygfyda.

Odpowiedział mu niewyraźny głos należący bez wątpienia do młodej kobiety.

- Pan nikogo nie przyjmuje! Nawet w takich nie cierpiących zwłoki sprawach!

Tym razem” niewieści głos wznosił się na wyższe tony.

- Powiedziałem chyba wyraźnie! - Zygfyrd zaczął się niecierpliwić. - Idź w swoją stronę. I zabierz nogę z drzwi!

Znowu podniesiony kobiecy głos.

- Mówilem, ale skoro nie chcesz odejść po dobroci, to... Rozległ się głuchy stuk i przytłumiony jęk. Czyżby sługa użył siły? Tijhar uśmiechnął się pod nosem. To dziewczucha musiała zdenerwować staruszkę! Po chwili na schodach rozległy się kroki. Na pewno jednak nie należały do Zygfyda. Były zbyt szybkie i lekkie. Drzwi otworzyły się gwałtownie, stanęła w nich obca postać.

- Czego chcesz? - rzekł Tijhar groźnie. Był bardziej zdziwiony bezczelnością przybyłej, niż naprawdę zły. -

Nie słyszałaś, dziewczko, co dzieje się z takimi, którzy ośmielają się zakłócać mój spokój?

- A co, zamieniasz ich może w żaby? - W głosie dziewczyny nie było śladu strachu. - A zamień i mnie.

Może znajdzie się jakiś rąbnięty księżę całujący wszelką gadzinę napotkaną na drodze i zostaną jego żoną! Zawsze to jakaś szansa na poprawienie sobie losu, czyż nie? - Roześmiała się.

Zacisnął usta w wąską kreskę. Cóż za bezczelność!

Nikt i nie ośmielił się tak do niego odzywać odkąd ukończył nauki u Bjorga Wędrowca. A było to...

Machnął w duchu ręką. Nieważne.

- Zaraz się przekonasz, bezczelna dziewucho, co czeka podobnych tobie natrętów. -
Uniósł dłonie na wysokość twarzy, zwracając ich wnętrza ku przybyłej. -

Albo się wyniesiesz, albo...

- Nic z tego! - Dziewczyna przybladła co prawda i cofnęła się pół kroku, ale wyraz jej twarzy świadczył o wielkiej determinacji. - Nigdzie nie pójde, choćbyś miał ze mnie drzeć pasy i solić! Przyszłam do ciebie po pomoc i ty mi jej udzielasz! Potem możesz używać na mnie swoich czarów do woli!

Spojrzał na nią z uwagą.

- Odważna jesteś.

- Odważna? A gdzież tam! W życiu! Naprawdę to łydki mi tak latają, że ledwie się nie przewrócę.

Spróbowałbyś stanąć teraz przed sobą samym i sprzeciwić się sobie! Wiesz, jak wyglądasz, Tijharze?

Jak wściekły demon!

W tej chwili przykuśtykał Zygryd. Krzywił się niemiłosiernie, trzymając za nabierający barwy wiśni policzek.

- Co mu zrobiłaś? - Tijhar wskazał na sługę.

- A bo z łapami się do mnie przystawiał. Za cycki łapał, zboczeniec jeden!

- Ja? - zaperzył się Zygryd. - Ja ciebie za cycki?!

Jak można mnie posądzać, że mógłbym taką kozę...

- Kozę nie kozę - przerwała mu dziewczyna - a z gałęziami było się do mnie nie cisnąć!

- Och, ty...

- Spokój! - krzyknął Tijhar. - Nie dość, że zakłóciłaś mój spokój, dziewko... masz chyba jakieś imię... Jak cię wołają?

- Kasandra.

- Kasandra - powtórzył czarnoksiężnik. - Jakie to też prosty lud ostatnio daje wyszukane imiona swemu potomstwu. No, no... Ktoś, do cholery, powinien tego w końcu zabronić! Kasandra... Gdzie ci wynaleźli tę Kasandrę? A może twój ojciec jest miłośnikiem sztuki antycznej?

Spojrzał ironicznie na dziewczynę, oczekując na jakąś odpowiedź. Doczekał się jedynie wzruszenia ramion.

- Otóż - podjął po chwili - nie dość, że zakłóciłaś spokój tego domu, to jeszcze naruszyłaś nietykalność cielesną mojego wiernego sługi. Spodziewasz się, że po tym wszystkim będę chciał z tobą w ogóle rozmawiać?

- Owszem, spodziewam się. A nie będziesz?

Tijhar siedział rozparty wygodnie w ulubionym fotelu. Mebel ten przypominał zresztą raczej tron niż zwykły przedmiot codziennego użytku. Kasandra z zainteresowaniem rozglądała się po izbie.

- I ty, moje dziecko - odezwał się czarnoksiężnik - uważasz, że porzucę wszystko, żeby szukać twojego męża. Dlaczego?

- Bo go porwali - odparła rzeczowo. - Gdyby wszystko było w porządku, przecież nie przychodziłabym do ciebie...

- Wiem, już mówiłaś, że został porwany. - Machnął niecierpliwie ręką. - Ale to jest raczej sprawa dla miejscowego sierżanta niż dla mnie...

- Dla tego przygłupa nawet kradzież kury jest zbyt wielkim wyzwaniem, a co dopiero... Zresztą mówiłam, że to robota nieczystych mocy. Bies go chwycił, gdy poszedł za dom przed pokładzinami. Nawet tego biedak nie zdążył...

- Nieczystych mocy, powiadasz. - Tijhar pokiwał głową. - Słyszałem, że w tej okolicy nieczyste moce porywają owce. Wilki im na imię, o ile się orientuję, ale mieszkańcy Podgórki nie mówią o nich inaczej niżli...

- Nie kpij, czarnoksiężniku!

- No dobrze. Założywszy nawet, że ci wierzę, naprawdę spodziewasz się, że dla grubokościstej prostej dziewczuchy rzucę pracę i polecę szukać jej zapewne nie mniej grubokościstego kochanka?

- Nie musisz mnie traktować od razu jak głupiej.

Wiem przecież, że wy, zajmujący się magią, niczego nie zrobicie za darmo.

- Ach, a ty zapewne masz pieniądze. Jakiś ukryty głęboko skarb. Co to jest? Posrebrzana brzytwa po dziadku czy wspaniałe korale po babce? A może ten twój Johanek to jakiś wielki wioskowy bogacz, który obsypie mnie złotem w zamian za uwolnienie?

- Oczywiście, że nie mam nic, niepotrzebnie wysilasz się na drwiny. Nie zniechęcisz mnie, czarnoksiężniku. Ja oferuję ci w zamian siebie..

- Siebie? - Czarnoksiężnik zerknął na nią z niedowierzaniem i uśmiechnął się ironicznie. - Chcesz mi się oddać? O to chodzi?

- Chodzi o moje życie - odparła poważnie. - Możesz potem ze mną zrobić, co zechcesz. Krew młodej dziewczyny jest ponoć bardzo cenna...

- Przestań! - warknął. - Znam te opowieści gminu.

Nie, Kasandro, naprawdę doceniam twoje poświęcenie, ale nie jest mi potrzebna ani twoja krew, ani włosy łonowe, ani palce, ani żadna z tych rzeczy, którą możesz sobie wyobrazić! Widzisz tu dookoła jakieś słoje, butle, pęki ziół, tajemnicze sprzęty?

Rozejrzała się uważnie.

- No nie... Same książki. Ale co innego miałyby być w bibliotece... Czary pewnie odprawiasz gdzie indziej.

- To nie jest zwyczajna biblioteka. To właśnie moja pracownia. Nie potrzebuję żadnego z tych świństw, o których gadają ludzie. Jestem czarnoksiężnikiem, dziewczyno. Czarnoksiężnikiem - powtórzył - a nie wróżem czy jakimś podrzędnym wizardem - szarlatanem! Tak... - zamyślił się - swoją drogą musisz kochać tego swojego męża, jeśli chcesz poświęcić dla niego aż tak wiele...

- Zaraz tam kocham - mruknęła. - Ojciec kazali, to i poszłam za niego, bo całe cztery morgi miał. Gdzie było o miłości gadać. Ale skoro to już mój chłop, muszę go znaleźć. Nie godzi się inaczej.

- Tak... - Tijhar przypatrywał się uważnie twarzy dziewczyny. - A widziałaś ty przynajmniej tego biesa, co go niby porwał?

- Żeby nie widziała, sama bym pomyślała, że wilki, bo ich się namnożyło ostatnimi czasy jak króli na kapuścianym polu. Ale akurat byłam przy oknie, gdy ta bestia nad ziemię Johanka uniosła. Wyglądała jak smok z bajek. Księżyc świecił jasno, tom i dobrze widziała.

- Jak smok, powiadasz? - Tijhar poruszył się niespokojnie.

- Tak, właśnie. Jeszcze pysk ku mnie zwrócił i powiedział coś, czego zupełnie nie rozumiem.

- Co takiego? W jakiejś obcej mowie?

- Nie, po naszymu gadał. Powiedział: „Odnajdziesz mnie wszędzie, bo wszędzie czekać będę”, czy coś takiego. To bez sensu, nie uważasz?

Tijhar wstał z fotela, zaczął przechadzać się po pokoju.

- To nie jest bez sensu, Kasandro - powiedział cicho.

- To ma bardzo wielki sens. Tak naprawdę on tego nie mówił do ciebie. On chciał, żeby te słowa dotarły do mnie.

- To jak, pomożesz mi, Tijharze?

- Właściwie, ile ty masz lat, dziewczyno? - Tijhar wrzucił do ognia grubą gałąź. -
Podróżujemy razem od kilku dni, a nawet cię o to nie zapytałem.

Polana kryła się w mroku. Przyjazny dotąd las zaczął się wydawać obcy i groźny.

- Szesnaście. Myślałam, że jako czarnoksiężnik wiesz takie rzeczy bez pytania.

- A chciałabyś, żebym czytał w myślach bez twojej zgody?

- Chyba nie - powiedziała niepewnie. - Nie! - zdecydowała - Na pewno nie!

- No widzisz. Jesteśmy razem na szlaku, obowiązuje nas lojalność. I mnie, i ciebie po
równu, pamiętaj o tym! Szesnaście lat... To okropne, że tak szybko wydali cię za męż...

- Rodzić już mogę! - oburzyła się. - Nie jestem dzieckiem! Czy ty uważasz może...

- Dobrze, już dobrze... - Machnął ręką. - Wiesz,

Kasandro, że od wielu lat, od tak dawna, że tego właściwie nie pamiętam, nikt nie
odważył się zwracać do mnie po imieniu? Nawet mój stary Zygfyrd. Dopiero ty...

- Skoro raz zaczęłam, wtedy na początku, jakoś głupio było skończyć. Ale jeżeli
chcesz, zacznę używać odpowiedniego tytułu. Jak mam się do ciebie zwracać?

Eminencjo, wasza dostojność, czy jakoś tak?

- Nie. - Uśmiechnął się. - Niech już zostanie jak jest.

To nawet zabawne i miłe.

- A ty ile masz lat? - zacięła się.

- Nie uwierzyłabyś.

- Tak dużo czy tak mało?

- A jak myślisz?

Obrzuciła go krytycznym spojrzeniem.

- Zastanówmy się - zamruczała. - Podobno czarnoksiężnicy żyją dłużej niż zwykli
ludzie.

Wyglądasz na jakieś trzydzieści, może trzydzieści pięć - mrucała chwilę pod nosem.

- Wiem! Pewnie ze siedemdziesiąt albo osiemdziesiąt, zgadłam?

Roześmiał się. Zdążyła już polubić ten uśmiech.

Jego twarz stawała się wtedy łagodniejsza, zacierał się na niej wyraz dostojności i
wyniosłej mądrości.

- Pomyliłaś się i to bardzo. Ale dam ci jeszcze jedną szansę. Jeżeli zgadniesz teraz,
potwierdzę. Więcej prób nie będzie. Spójrz mi w oczy. Głęboko.

Przysunął się bliżej ognia.

Wzruszyła ramionami i przybliżyła się do niego.

- O Boże! - wyszeptała po chwili. - Jakie piękne!

Czy chcesz, żebym się w tobie zakochała, Tijharze?

- Głębiej patrz, nie zważaj na pozory! Głęboko!

Przestań skupiać się na powierzchni!

Przez długą chwilę słychać było jedynie jej głośny oddech.

- Jak przepaść - szepnęła - jakbym się zapadała... Ile zmęczenia... ile cierpienia...

Nawet starcy mają więcej nadziei w oczach niż ty!

Potrząsnęła gwałtownie głową, odchyliła się do tyłu.

- Tijharze, ty masz najmarniej z pół tysiąca lat!

- Czteryśta osiemdziesiąt trzy, ściśle rzecz ujmując.

- Nigdy bym...

- A kogóż my tu mamy? - Rozległ się z ciemności chrypliwy głos. - Popatrz no, Roderick, zakochana parka spogląda sobie w oczka pośrodku lasu! Widać tam co chociaż po ciemaku?

- Tak, co my uczynimy z tą gołąbeczką, chłopcy? - odpowiedział z drugiej strony miły młodzieńczy baryton.

- A masz jakieś pomysły?

Obleśny, mrozący krew w żyłach rechot. W chybotliwym kręgu światła pojawiły się niewyraźne cienie.

- Cóż - odezwał się znowu ten schrypnięty - nie jest może dziewczucha za piękna, ładniejsze zdarzało się chędożyć, ale co trzeba między nogami na pewno ma.

A i cyczuchy jakie się tam pewnikiem znajdują. Hej, ropuszko, zabawiałaś się kiedy z pięcioma naraz?

Kassandra przełknęła ślinę, zerknęła na Tijhara.

Siedział bez ruchu, z przymkniętymi oczami, wyglądał jakby myślami krążył zupełnie gdzie indziej.

- A co? - zawołała, z trudem pokonując dławienie w krtani. - Myślisz, że ciebie jednego na mnie nie starczy?

A możeś nigdy tego nie robił bez pomocy kompanii i sam kobiecie dogodzić nie umiesz?

- Kąśliwa dziewczka - zawołał inny - to ci dojadła,

Kruty. Nic nie powiesz? Hej, Roderick, Krutemu chyba języka w gębie brakło!

- Ścierwo! - schrypnięty zaklął paskudnie. - Nie bój się ty... kutasa mi nie zabraknie!

- Przestańcie ujadać - powiedział ten z miłym głosem - i do roboty.

- Patrzcie, jej chłop siedzi i ani drgnie! Siedz tak, kochaniutki. Jak skończymy to ci ją może oddamy.

Pocieszysz się suczką jeszcze. Dobrze gadam,
Roderick?

- Zamknąć się i bierzcie ich. Koniec żartów. Tobołki i ubrania obszukać dokładnie. Jego na gałąź, dziewuchę zerznąć należycie, a potem wiecie co!

- Ja pierwszy! - wrzasnął Kruty. - Pokażę dziwce co znaczy porządny chłop, a nie taki chudy szczap jak ten jej!

Ruszyli ze wszystkich stron. Kasandra spoglądała na Tijhara z niepokojem. Zrobi coś w końcu czy nie? Jest czarnoksiężnikiem, przecież dla niego rozprawić się z tymi opryszkami to tyle co... Chyba, że stara Jakucha miała słuszność, gdy gadała, że te opowieści o mocy czarnoksiężskiej między bajki trzeba włożyć...

Byli coraz bliżej, pewni siebie, zadowoleni. Prawie już czuła ciężki odór niemytych, rozpalonych chucią ciał. Tijhar nadal siedział bez ruchu. Westchnęła z rezygnacją. Trzeba będzie zapłacić za naiwność...

Wyciągnęły się po nią drapieżne ręce.

W tej chwili czarnoksiężnik poderwał się z ziemi. W mgnieniu oka wylądował za plecami najbliższego zbója. Jednocześnie masywna dłoń chwyciła Kasandrę za ramię. Wykręciła się i z całej siły zacisnęła zęby na grubym, śmierdzącym słoniną i cebulą paluchu. Rozległ się wściekły ryk. Razem z nim doleciał z boku okrzyk bólu. Przeraziła się, że krzyczy Tijhar. Jednak nie - to pierwszy napastnik rozłożył się na ziemi, bluzgając krwią z szerokiej rany zadanej jego własnym mieczem.

Tego, co było dalej, Kasandra właściwie nie widziała.

Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Ledwo kilka razy brzęknęło żelazo, gdy zbóje usiłowali stawić czoła wirującemu wśród nich czarnoksiężnikowi. Po chwili jak ucięty nożem zamilkł ostami krzyk. Wokół ogniska leżał wianuszek trupów.

Kasandra przyglądała się poboju z niedowierzaniem.

- O Boże - wymamrotała. - Spodziewałam się, że użyjesz raczej jakiegoś fajnego zaklęcia.

- Ach tak, powinny huczeć gromy, tryskać słupy ognia, a najlepiej, żeby stało się jasno jak w dzień? -

Tijhar krzątał się przy zabitych.

- No, przynajmniej jakaś mała błyskawica, od której by padli. Nie wiedziałam, że użyjesz jakiejś magii polegającej na... nie wiem czym. Szybkości?

- To nie była magia.

- Nie? W życiu nie widziałam, żeby ktoś tak szybko się poruszał. Żeby tak machał mieczem... To muszą być czary!

- Nie. To tylko owoc nauk pobieranych niegdyś u sławnego Dragana Hurdy. Ale ty pewnie nigdy o nim nie słyszałaś?

Potrząsnęła przecząco głową.

- To był wielki rębacz. I dobry kompan.

- Był?

- Nie żyje od przynajmniej stu pięćdziesięciu lat.

Zbliżył się do dziewczyny.

- Masz. - Rzucił jej na kolana jakiś przedmiot. - To dla ciebie. Należy ci się za strach, który przeżyłaś. I za ostry jęzor.

- Matko moja! - zawołała, podnosząc wspaniałą kolię. Płomienie ogniska załamywały się krwawymi blaskami na krawędziach kamieni. - Toż to najprawdziwsze brylanty, prawda?

- Mhm - przytaknął czarnoksiężnik. - Pewnie należały do jakiejś możnej szlachcianki, która miała nieszczęście napotkać tych opryszków.

Zważyła naszyjnik w dłoni. Zmarszczyła brwi w zamyśleniu.

- Nie chcę go! - odrzuciła klejnot do Tijhara.

- Dlaczego?

- Nie chcę nosić cudzego nieszczęścia. Wyobrażam sobie, jak ją potraktowali... Nie sprzedam go przecież, bo to tak, jakbym sprzedawała ludzką krzywdę. A sama takiego klejnotu nigdy nie założę. Wyglądałabym jak kaczka przystrojona w orle pióra.

Czarnoksiężnik milczał dłuższą chwilę.

- Zastanawiasz mnie, dziewczyno - mruknął. -

Naprawdę mnie zastanawiasz. Czy w istocie masz tylko szesnaście lat?

- Powiedz, dlaczego nie użyłeś magii na tych zbójów? Byłoby szybciej i bezpieczniej, nie?

Mżył niewyraźny deszczyk, z koni unosiły się kłęby pary.

- Jesteś strasznie męcząca, wiesz?

- Więc odpowiedz, wtedy przestanę pytać!

- Ty nigdy nie przestaniesz pytać! Odpowiem na jedno, znajdziesz sobie coś następnego. Już się zdążyłem przekonać.

- A prawda! Bo ciekawa jestem. Całe życie siedziałam w Podgórce, to tyle wiem, co kapelan mnie nauczył, a sam nie jest za mądry.

- No dobrze - westchnął. - Niech ci będzie. Po prostu nie chciałem marnować sił na taki drobiazg. A poza tym magia jest jak odcisk buta. Dla tego, kto się nią zajmuje, jej pozostałości są równie czytelne, co złamane gałązki czy przewrócone kamyki dla wprawnego tropiciela. Zresztą ci zbójce nie byli warci najpodlejszego nawet zaklęcia.

- Czy to chodzi o równowagę? Spojrzał zdziwiony.

- Skąd ci to przyszło do głowy? Skąd o niej w ogóle wiesz?

- Kapelan mówił. On pluł co drugie słowo, kiedy wspominał o tobie czy o czarach w ogólności, ale czegoś się tam zdołałam od niego dowiedzieć.

- Nie taki głupi ten twój księżulo, jak mówisz. Ale nie, nie chodzi o równowagę. Z nią jest trochę inaczej niż się powszechnie sądzi... Prawdę mówiąc, jest z nią zupełnie inaczej.

- A jak?

Tijhar odchylił głowę do tyłu i zaniósł się śmiechem.

Drobny deszczyk osiadał na nieogolonej twarzy.

Kasandra pomyślała, że z tym zbójcekim zarostem i w wyświechtanym skórzanym płaszczu jest o wiele bardziej interesujący niż wtedy, kiedy był wymuskany i pachnący.

- Z czego się śmiejesz?

- Ty chcesz, żebym ci zrobił szybki wykład z ogólnej teorii magii?! Ja sam uczyłem się tego dwadzieścia parę lat, a do swoich własnych przemyśleń dochodziłem... Właściwie dochodzę do dzisiaj. Nie zrozumiałabyś pewnie ani jednego słowa, gdybym zaczął o tym mówić.

- Nie to nie. Możesz uważać mnie za głupią, jak chcesz. Umilkła z nadąsaną miną.

- Dzisiaj zanocujemy w jakiejś wsi - odezwał się po dłuższej chwili. - Dość już niespodzianek, nie uważasz?

Milczała ze wzrokiem utkwionym w końską grzywę.

- Zawsze jesteś taka uparta?

Kasandrze drgnęły szczęki, jakby chciała coś odpowiedzieć, ale powstrzymała się. Z zaciętymi ustami nadal obserwowała kark wierzchowca.

- Wiesz, że milczenie nazywane bywa złotem, prawda? Ludzie mówiący mało zazwyczaj cieszą się u innych dobrą opinią. Bo kto milczy i słucha tylko, ten dowodzi swej mądrości. Nie daj się temu zwieść. W moim życiu przekonałem się nieraz, że owszem, zdarza się, iż ludzie mądrzy mało mówią, ale zupełne milczki są z reguły kompletnymi idiotami. Milczenie ma po prostu ukrywać ich mizериę umysłową.

Gdyby spojrzenie mogło palić, Tijhar zamieniłby się bez wątpienia w kupkę popiołu. Najpierw on, a potem nieszczęsne zwierzę, na którym Kasandra jechała, bo skierowała wściekły jeszcze wzrok z powrotem na jego grzywę.

- Dobrze, wygrałaś - westchnął zrezygnowany czarnoksiężnik. - Nie cierpię twoich pytań, ale jako milcząca mimoza jesteś jeszcze gorsza. Jeżeli będzie czas, wytłumaczę ci w miarę przystępnie, jak to jest z magią... A teraz rozejrzyjmy się za jakąś wsią.

- Dobrze. - Kasandra wyprostowała się i popędziła konia. - A dlaczego nie zrobiliśmy tego przedtem?

Dlaczego mijaliśmy wszystkie osady?

- Zobaczysz. Niebawem sama się przekonasz.

- Znowu tajemnice, tak? Mnie nie warto o niczym mówić. Po co to się przejmować zwykłą dziewczką, nie?

- Bogowie! - mruknął czarnoksiężnik pod nosem. -

A mogłem siedzieć w domu i patrzeć, jak dojrzewa zboże na polach. Dlaczego zgodziłem się na to szaleństwo?

- Co mówiłeś?

- Panie - sołtys kłonił się w pas - honor to dla nas będzie i cześć wielką nam wyrządzisz, gdy zechcesz gościć przyjąć.

- Dzięki wam, sołtysie, za dobre słowo. Wyznaczcie nam jakąś kwaterę, a opłacę ją należycie.

- Ależ mowy o tym nie ma, żebyśmy pieniądze jaki przyjmować mieli od wielkiego czarnoksiężnika!

Tijhar skrzywił się niechętnie.

- To bardzo zacnie z waszej strony...

Sołtys, czapkując bez ustanku, poprowadził ich do chałupy w głębi wsi. Kasandra pociągnęła czarnoksiężnika za rękaw.

- Dlaczego jesteś taki niezadowolony? Nie chcą pieniędzy, to chyba dobrze?

- Właśnie, że niedobrze. To oznacza, że zaraz zaczną się pielgrzymki. Nie omieszkają wykorzystać faktu, że tu dotarliśmy.

- Nie rozumiem.

- Ci ludzie najwyraźniej doskonale wiedzą, że czarnoksiężnik na szlaku, a po mnie przecież widać, że na nim jestem, nie może odmówić żadnej prośbie w zamian za gościnę.

Nawet gdyby przyszło uzdrowić najzwyczajszą krowę, rozumiesz? Nawet gdyby musiał zająć się rzeczami, z którymi poradziłaby sobie za pół miedziaka byle znachorka!

- Ale w naszej wsi...

- W waszej wsi był kapelan, który pilnował, żeby owieczki trzymały się z dala od złego czarnoksiężnika i jemu podobnych, to po pierwsze. A po drugie, ja u was po prostu mieszkałem i za wszystko płaciłem jak trzeba.

Nie korzystałem z niczyjej uprzejmości. O, zobacz sama, ilu już się kłębi przed naszą kwaterą.

- Myślisz, że wszyscy po prośbie? A właściwie to skąd oni wiedzą, że jesteś czarnoksiężnikiem? Przecież im nie mówiłeś... Ani nie czyniłeś żadnych znaków.

- A ty skąd wiesz, że jestem?

- Wiem i już. Pół mojego życia cię widywałam...

- A widziałaś kiedy, jak rzucam zaklęcie?

- Nie. Nikt po prawdzie tego we wsi nie widział.

- To skąd masz pewność, że nie jestem oszustem?

Zastanowiła się przez chwilę.

- To się czuje...

- No właśnie.

- Ale ci w lesie... Oni nie czuli?...

- Oni byli zbyt zajęci myślami o czym innym, żeby się nade mną zastanawiać.

- Aha. A ci tutaj z kolei pewnie o niczym innym nie myślą? A ty jesteś niezadowolony, bo będziesz musiał używać zaklęć i zostawisz ślady, tak? A dlaczego tak bardzo nie chcesz zostawiać śladów?

- Na wszelki wypadek.

- O Boże, nigdy więcej! - Kasandra tarła zaczerwienione z bezsenności oczy. - Już chyba lepiej było spotkać zbójców niż tych dobrych ludzi!

- Wyjątkowo bezczelna wieś - przytaknął Tijhar.. - Mam nadzieję, że to już koniec.

W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Weszła starucha, ciągnąc za rękę opierającą się dziewczynę.

- Po prośbie, jasny panie, my po wielkiej prośbie - wyśpiewała od progu dziwnie łamiącym się głosem.

- No, co? - Tijhar opadł na ławę. - O co chodzi?

- Ano, widzicie, jasny panie - baba zaczęła terkotać jak zepsuty kołowrotek - jeden taki był u nas, na parobka się najał, Kozubek mu było, ale i miesiąca nie usiedział jucha, ino dziewczuchę mi spaskudził i uszedł gdzie w szeroki świat, a jakże to jej samej biduli z brzuchem zostać, toż wstyd na całą wieś, że tak bez chłopa dzieciśko ma się chować...

- Chcesz zapewne, żebym powiedział, gdzie teraz przebywa ten Kozubek? - Tijhar podparł głowę na dłoni. - Dobrze. Daj mi jakiś przedmiot, który do niego należał.

- Ale gdzież tam, jasny panie, po co to komu takie nicpotem, pożytek żaden, poszedł se w świat i niech ta w tym świecie zostanie, a wy nam inną przysługę uczynicie.

- Czego chcesz?

- Dla was to pewnikiem tylko palcem kiwnąć, żeby brzucha nie było, a dla nas to wielka łaska i o to przyszły my błagać...

- Mam spędzić płód, tak? - upewnił się Tijhar.

- Ano tak jakby, jasny panie - ucieszyła się starucha.

Twarz czarnoksiężnika ściągnęła się gniewem.

- Chcesz, ścierwo, żebym zabił niewinne dziecko?

- Jakie tam ono dziecko, drugi miesiąc ledwo upłynął, toć jeszcze nawet nie widać...

- To że brzucha nie widać nie znaczy, że dziecko w nim nie jest człowiekiem, że duszy nie ma! - Tijhar mówił z trudem przez zaciśnięte zęby. - Nie wiesz to, stara wiedźmo, że nie wolno spędzać płodów? Nie wolno tego czynić nawet zwykłym zielarkom, choć wiem, że tego nie pilnują, a czarnoksiężnikom jest to szczególnie zabronione! Klątwa za to na mnie i na was by spadła!

Kasandra po raz pierwszy naprawdę złękła się maga.

Miał straszny wyraz oczu. Jednak starucha albo była za głupia, żeby to dostrzec, albo zbyt pewna swego.

- E ta, jeden taki był tu onegdaj, to i bez żadnego gadania za gościnę się odwdzięczył, gdy moją starszą nieszczęście takie pościgło!

- Posłuchaj, babo - Tijhar pochylił się, jego oczy zalsniły ogniem wściekłości - podaj mi tylko jego imię, a powiadam ci, że gdy go znajdę, pójdą z niego wióry!

A teraz won mi z oczu, głupia gadzino!

Stara dopiero zrozumiała, że gniew czarnoksiężnika może się przelać w każdym momencie. Mamrocząc niewyraźnie pod nosem, cofała się w stronę drzwi.

- Kasandra - odezwał się spokojnym głosem Tijhar. -

Idź, powiedz sołtysowi, że już koniec. Ile można?

Przecież musimy trochę pospać.

Wróciła po krótkiej chwili.

- Co, już? - zdziwił się czarnoksiężnik.

- Nie, nie. Tu zaraz za obejściem spotkałam tych ludzi. Bali się wejść. Mówią, że nikomu dotąd nie udało się mu pomóc.

Dwóch mężczyzn wniosło na noszach chudego chłopca.

- On jest sparaliżowany - wyjaśniła Kasandra. -

Poradzisz coś?

Jechali w milczeniu. Kasandra z chmurną miną obserwowała mijane drzewa.

- Odezwiesz się w końcu? - zagadnął Tijhar.

Odpowiedziało mu milczenie.

- O co ci właściwie chodzi? O tego sparaliżowanego chłopaka?

Kasandra zacięła mocniej usta.

- On nie mógł zostać uzdrowiony - powiedział cicho czarnoksiężnik. - Nie zamierzam się z tego tłumaczyć, ale tyle powinnaś wiedzieć. Choćby Bóg zstąpił z nieba, jak chcą wyznawcy wielu religii, i on by go nie uleczył. Nie z braku mocy, tylko żeby go nie skrzywdzić.

- Co ty mówisz? - Kasandra na chwilę zapomniała o gniewie. - Błędnie!

- Błędni ten, kto wierzy. Ja wiem, że żadnych bogów nie ma. W każdym razie nie są tacy, jak to sobie ludzie wyobrażają, błędnie więc nie mogę.

- Ale dlaczego nie chciałeś uleczyć tego chłopca?

Może nie mogłeś? Powiedz, jeżeli nie mogłeś, zrozumiem!

- Mogłem. Ale on nie chciał..

Kasandra zachłysnęła się powietrzem z oburzenia.

- Jak to nie chciał?! Nie chciał być zdrowy? Nie wierzę!

- Nie musisz.

- No tak - powiedziała z goryczą. - Jestem taką sobie zwykłą dziewczką i po co mi cokolwiek tłumaczyć!

Wiadomo, tłukiem się urodziłam i tłukiem umrę!

Tijhar popędził nieco konia, zagroził dziewczynie drogę. Zdziwiona ściągnęła wodze.

- Posłuchaj, Kasandro! Wyruszyłem szukać twojego męża, do którego nic nie mam, a powiem więcej, mam go za nic! Wyruszyłem, bo się rozplakałaś i padłaś na kolana! Bo nie

mogłaś znieść wstydu, że ci męża zabrakło tuż po ślubie. I zauważyłaś pewnie, że od wielu dni jesteśmy w drodze! Znaczy, że udało się mnie przekonać!

Miał spokojną twarz, ale w słowach dawało się wyczuć tłumioną pasję.

- A ty w zamian pokazujesz mi swoje humory i okazujesz czarną niewdzięczność!

Magia to moja praca.

Chyba wiem lepiej od ciebie, jak jej należy używać? A może nie? W takim razie poproszę cię pokornie o udzielenie mi paru nauk.

Przez chwilę patrzyła mu zuchwale w oczy, potem opuściła głowę.

- No tak, masz rację... Przepraszam. Nie powinnam cię oceniać. W końcu to ty jesteś tutaj czarnoksiężnikiem i wiesz, co robisz...

- Właśnie. Ruszajmy dalej, skoro to już ustaliliśmy.

Jechali w milczeniu.

- Jednak - nie wytrzymała w końcu Kasandra - mógłbyś mi czasem wyjaśnić to i owo!

Tijhar załamał ręce.

- Jaka ty jesteś uparta! Znałem kiedyś podobną niewiastę. Była wielką i piękną czarodziejką, nazywali ją Anną Dobrą, ale charakterek miała taki jak ty.

Identyczny! Uparta była jak osioł! I strasznie złośliwa. I urocza - dodał cicho, tak że Kasandra nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

- To jak będzie? - Trąciła poufale strzemieniem jego strzemię.

- Potem.

- Ale jeszcze dzisiaj, dobrze?

Kasandra otuliła się szczerlnie kocem. Z przyjemnością wsłuchiwała się w niski głos czarnoksiężnika. Zdawało jej się, że głębokie brzmienie przenika ją na wskroś i ogrzewa wraz z ciepłem ogniska.

- Każdy z nas musi wziąć na swe barki ciężary życia. Dla ciebie, na ten przykład, jest to w tym momencie poszukiwanie męża, którego właściwie nie kochasz. Dlaczego to robisz?

- Bo inaczej się nie godzi...

- No właśnie. To jest twój ciężar. Dla mnie to brzemień odpowiedzialności, które trudno sobie wyobrazić, jeżeli nie jest się czarnoksiężnikiem. Dla chłopca będzie to decyzja o tym, co i w jakiej ilości zasieje w danym roku... Nie śmieję się. Dla ciebie to naturalne, ja też wiem, że rolnik nie zastanawia się nad tym w ten sposób. Ale jest to jego ciężar. Jeden z ciężarów. Każdy niesie co innego. A ten sparaliżowany chłopiec... nie chłopiec już nawet, ale młody mężczyzna...

Zamilkł nagle, wsłuchując się w odgłosy lasu.

- Co z nim było, powiedz wreszcie!

- Cśśś - szepnął Tijhar; - Słyszysz?

Kasandra przekrzywiła głowę, starając się uchwycić dźwięk, o który chodziło Tijharowi.

- Nie... zaraz... wycie wilka... O to chodzi?

- Nie wilka, ale wilków - poprawił ją. - A ja wiem, gdzie jesteśmy. I że tu nie powinno być żadnych wilków, ani jednego! Zbliżamy się do siedziby wielkiego lorda Myrddina, a on nienawidzi tych zwierząt. Kazał swego czasu wybijać wszystkie, jakie się pojawiają. Tu nie powinno być wilków... - powtórzył.

- Ale są! Powiedz mi w końcu, jak to było!

- No właśnie, są - Tijhar mówił do siebie, nie zwracając uwagi na zniecierpliwienie Kasandry. - To zastanawiające. Zastanawiające jest również, że tak szybko dotarliśmy do hrabstwa Myrddina. Byłem pewien, że leży ono dużo dalej na zachód...

- Później się nad tym będziesz zastanawiać! -

Dziewczyna aż podskoczyła z niecierpliwości. - Skończ wreszcie o tym...

- Zbieraj się - przerwał jej czarnoksiężnik. -

Jedziemy!

- Przecież jest noc! Ja chcę odpocząć!

- Odpoczniesz, kiedy wrócisz ze swoim Johankiem do domu. Zbieraj się, zakładaj siodło! Im szybciej dotrzemy do zamku Myrddina, tym lepiej. Nie miałem wprawdzie w planie odwiedzać tego starego dziwaka, ale czuję, że może mi pomóc w wyjaśnieniu paru nurtujących mnie spraw!

Zatrzymał się, bo Kasandra zagroziła mu drogę.

Patrzyła mu prosto w oczy z dziwnym wyrazem twarzy.

- Nam może pomóc - rzekła z naciskiem. - Nam! Nie zapominaj, że nie jesteś sam!

- Już ty nie dasz o tym zapomnieć!

- Ale dokończysz w drodze opowiadać o tym sparaliżowanym?

- Nie teraz, dziecko, błagam cię! Jak sama przed chwilą zauważyłaś, jest noc. Będę musiał bardzo uważać, żebyśmy nie pobłądzili!

- No to kiedy? Zawsze będziesz się tak wykręcał?

- Coś się dzieje - mruknął Tijhar do siebie.

- Co mówiłeś? - Kasandra zastrzygła uszami.

- Coś się dzieje - powtórzył. - Siedziałem w tej waszej Podgórce jak u pana Boga za piecem i widzę, że coś przegapiłem.

- Ale o co chodzi?

- Spójrz na pola, dziewczyno.

- Cały czas spoglądam - wzruszyła ramionami. - Nic innego tutaj nie ma. Tylko lasy i pola. Co mam niby zobaczyć? Żyto jak żyto, a pszenica jak pszenica.

Zaczyna się już osypywać.

- I właśnie o tym mówię. Czy to nie jest przypadkiem pora żniw, co?

- No tak. - Uderzyła się dłonią w czoło. - Chodzi ci o to, że na polach powinno być rojno jak pod kościołem w odpust? Ale może tutaj mają inne obyczaje?

- Naprawdę tak myślisz?

- Nie.

W tej chwili na środku pola wyrosła wirująca przejrzysta kolumna.

- Boże, południca! - Kasandra zasłoniła oczy. - Nie patrz na nią, bo cię porwie!

- Ależ z ciebie dzieciuch. - Zaśmiał się. - Przecież to zwykły wiatr! Wir wywołany gorącem, a nie żaden duch! To powietrze idzie od ziemi ku górze i wiruje...

- Ja tam swoje wiem. - Spojrzała przez palce i zaraz mocniej zacisnęła powieki. - Stara Jakucha mówiła, że widziała, jak taka południca porwała dorosłego chłopca i o kamienie nim cisnęła. Biedak ducha wyzionął!

- Całkiem możliwe, bo wir bywa bardzo silny, ale zapewniam cię, że to zupełnie naturalne zjawisko!

- Tak, tak - mruknęła - naturalne. Naturalne jak każdy duch! Usłyszała westchnienie.

- Już jej nie ma, możesz przestać się wygłupiać.

Myślałem, że jesteś trochę mądrzejsza. Patrzyłem przez cały czas na tę twoją południcę i jakoś mnie nie porwała.

- Ciebie może nie. Ale ty jesteś czarnoksiężnikiem, a ja zwykłą dziewczką.

- No tak. - Machnął ręką zrezygnowany. - W ten sposób wszystko można wytłumaczyć.

- A właśnie, wytłumaczyć. Przypomniałam sobie.

Miałeś mi opowiedzieć o tym... No wiesz.

Tijhar zgrzytnął zębami.

- Nie wściekaj się. Obiecałeś!

- Teraz bardziej zajmują mnie te leżące odłogiem pola. Muszę się nad tym zastanowić. Bardzo głęboko.

Możesz mi nie przeszkadzać?

- Ja wiem! Ty nigdy mi tego nie wyjaśnisz. Ty chcesz, żebym ja z ciekawości umarła, prawda?

Zamek lorda Myrddina wylaniał się powoli zza krzywizny horyzontu. Musiał być bardzo wysoki, bo od chwili, kiedy wynurzyły się czubki wież minął już szmat czasu, a jechali prze: cięż dość szybko.

- Wygląda jak ozdoba na torcie, który kiedyś widziałam, kiedy matka zabrała mnie do miasta. Aż chce się schrupać. W życiu bym nie pomyślała, że jeden zamek może mieć tyle wież i wieżyczek...

- Zdziwisz się dopiero, kiedy dojedziemy. -

Uśmiechnął się Tijhar. - O ile pamiętam, wewnątrz jest siedem dziedzińców na różnych poziomach.

- Niemożliwe! A tak naprawdę, po co tam jedziemy?

- Chcesz odzyskać męża? - No tak, chociaż...

- Co „chociaż”? Rozmyśliłaś się?

- Nie... Pomyślałam tylko, że chcę go uratować. Z tym odzyskaniem... Nie wiem, jak to powiedzieć...

Nagle zdała sobie sprawę, że Tijhar jej nie słucha.

Wyężonym wzrokiem wpatrywał się w osadę, która wyloniła się zza zagajnika.

- Na co patrzysz?

- Tam dzieje się coś dziwnego.

Teraz i ona to dostrzegła. W osadzie panowało poruszenie. Korowód barwnych postaci wysypywał się właśnie na drogę.

- Co to, jakieś święto?

- Jeżeli nawet, to wygląda bardzo... hm... dziwnie.

Korowód podzielił się na pół i ruszył w ich stronę dwoma wężami po obu stronach drogi.

- Dziwnie - powtórzył Tijhar.

- Co w tym takiego dziwnego, powiesz mi wreszcie?

Święto jak święto. Widać takie mają zwyczaje...

- Nie słyszysz? Zastanowiła się.

- Nie, nic nie słyszę.

- No właśnie, Kasandro! Czy widziałaś kiedyś wiejskie święto bez śpiewów i muzyki? One towarzyszą nawet pogrzebom! A to... To raczej jakaś ofiara przebłągalna. Oni nie świętują. Oni są po prostu przerażeni.

Ludzie szli w ich kierunku. Kasandra uważnie się im przypatrywała. Byli coraz bliżej, wreszcie zrównali się z nimi. Szli z oczami wbitymi w jakiś odległy punkt, nie zwracając zupełnie uwagi na podróżnych.

- Boże - szepnęła - to straszne... Tijharze, ja się boję!

Każdy z idących trzymał w objęciach sphywający krwią kłęb. Kawaty mięsa - świeżo zarżnięty drób, świńskie półtusze... Wyglądało to, jakby uczestnicy procesji przytrzymywali rękami własne wylewające się wnętrzności. Konie zaczęły się boczyć i płoszyć.

Wierzchowiec Kasandry nagle stanął dęba i bił na oślep kopytami. Dziewczyna kurczowo uczepiła się grzywy, przechyliła niebezpiecznie. W tej chwili wodze zostały ściągnięte żelazną dłonią. Kasandra potoczyła dookoła błędnym wzrokiem. Zwierzę czarnoksiężnika stało spokojnie, sprawiając wrażenie jakby spało, a Tijhar trzymał przy pysku jej konia, przemawiając do niego niskim, wibrującym głosem. Jeden z pątników, ugodzony kopytem, leżał z rozbitą głową, a pozostali mijali go obojętnie, jakby zupełnie nic się nie wydarzyło. Czarnoksiężnik pochylił się nad rannym.

- Co z nim? - spytała drżącym głosem Kasandra.

- Przeżyje - odparł. - Kości ma całe, stracił tylko przytomność. Zabierzemy go do wsi i zostawimy w jakiejś chałupie. Złaz z konia, dziewczyno, i pomóż mi przerzucić go przez siodło.

- Co to było? Gdzie ci ludzie poszli? Wiesz o co w tym chodzi?

- Nie jestem pewien. Mogę się jedynie domyślać.

- To podziel się ze mną swoimi domysłami...

- W swoim czasie, Kasandro, w swoim czasie.

Ostrożnie! To człowiek, a nie worek pszenicy! Bądźże uważniejsza!

- W swoim czasie, w swoim czasie! - warczała niezadowolona. - Pewnie, po co to gadać ze zwykłą, prostą dziewczką! Po co to głupia ma cokolwiek wiedzieć!

Tijhar westchnął ciężko.

- No, dobrze. Ci ludzie nieśli ofiarę wilkom... W tych okolicach nigdy nie bywało podobnych obrzędów.

Tym bardziej jestem zaniepokojony. No jak, zadowolona wreszcie?

- Chyba żartujesz!

Wielki lord Myrddin przypominał zaszuszonego żółwia. Wrażenie to podkreślał dodatkowo ubiór - sztywny, obszerny kołnierz wyglądał jak otwór skorupy, z którego na cieniutkiej szyi wystawała nieduża, pomarszczona głowa. Kiedy weszli, drzemał w wielkim, miękkim fotelu z nogami wyciągniętymi w stronę ogromnego kominka. Zresztą wszystko w tym zamku wydawało się Kaśandrze ogromne.

Służący chrząknął.

- Mój panie...

- Wynos się, wałkoniu - warknął Myrddin, nie otwierając oczu. - Mówiłem, żeby mi nie przeszkadzać, kiedy pracuję.

- Sami widzicie, panie - tchnął lokaj w ucho Tijharowi. - Zupełnie zdziwaczał. Siedzi tak całymi dniami, puszczając bąki i twierdzi, że ciężko pracuje.

- Słyszałem! - Lord poderwał się zwawo. Kasandra była zdumiona energią, jaka z niego w tej chwili biła. -

Słyszałem, Arthwyr. Każde słowo mnie doleciało, ty tępy niedźwiedziu! Jak śmiesz jakimś obcym... Zaraz...

Przyjrzał się uważnie twarzy czarnoksiężnika.

- Niech mnie wilki pożrą! Czyż to nie nadobny Tijhar we własnej osobie? Cóż to za bogi cię sprowadzają? Jakiż jest powód twojej wizyty?

- Zdziwienie, drogi lordzie. Zwykle zdziwienie.

- O, a czymże to?

Myrddin uczynił zapraszający gest, poczekał aż Tijhar zajmie miejsce i usiadł na swoim fotelu. Zydęł, na którym spoczął czarnoksiężnik był jedynym sprzętem do siedzenia w komnacie. Kasandra przez chwilę zastanawiała się co robić, w końcu stanęła za plecami Tijhara.

- Co cię tak zdziwiło, że zaszczyciłeś mnie dzisiaj swoją obecnością?

- Wiedziałeś, że przyjdę, prawda?

- Miałem nadzieję. Mów, co cię dręczy.

- Kilka rzeczy. Zresztą dobrze wiesz, co. Po pierwsze: obecność wilków na twoich ziemiach.

Myślałem, że kazałeś je wytrzebić!

- Tak... Arthwyr, nicponiu, przynieś no wino i szklanice! Dla wszystkich. I jakieś krzesło dla damy, durniu!

- Ja nie jestem żadną damą, tylko... - zaczęła Kasandra, ale Myrddin niecierpliwie machnął ręką.

- Płeć to płeć i swoje prawa ma. Nie będzie przy mnie żadna niewiasta sterczała, skoro może siedzieć!

Pociągnął nosem, splunął w ogień.

- Są wilki, są. Daje się zauważyć, co?

- No właśnie. I te obrzędy, które dzisiaj widziałem.

Przecież zakazałeś oddawania czci wilkom. Jak mogłeś do tego dopuścić?

- Widać straciłem pazur - rzucił z niechęcią lord. -

Nie potrafię dopilnować wszystkiego jak należy...

- Ty nie potrafisz?! - Tijhar pokręcił głową z niedowierzaniem. - Z tą bandą zbirów, którą widziałem na podzamczu? Pewnie nazywasz tych rzeźników swoimi gwardzistami czy jakoś podobnie.

- I to jest właśnie najgorsze. - Myrddin skrzywił się, przez co stał się jeszcze bardziej podobny do żółwia. -

Na watahy nie skutkuje ani stałe wyrzynanie, ani nawet magia, wiesz? A ludzie w wioskach... Wyobraź sobie, że rzucają na pożarcie wilkom nawet niemowlęta, bo jakiś bałwan powiedział im, że tak się od nich uchronią, gdy nadejdzie Czarna Godzina! Zanedbują zbiory, a przecież w zimie będą głodować! I nic nie mogę na to poradzić! Nie skutkują nawet karne wyprawy moich żołnierzy! Musiałbym pozabijać wszystkich chłopów!

A przecież tego nie zrobię!

- Rozumiem. Co się dzieje?

- Co się dzieje! - Myrddin wznosił oczy do sufitu. -

On się mnie pyta! Człowieku, czy na tym zadupiu, w którym się ostatnio zaszyłeś, nie miałeś żadnych wiadomości ze świata?

- W każdym razie niewiele. Opowiesz mi?

Wszedł Arthwyr z ogromną tacą. Zręcznie rozstawił na stole nakrycia i poczęstunek, po czym ulotnił się jak duch.

- Świetny służący - powiedział lord. - Chociaż zbyt mocno się spoufala. O co pytałeś?

- Czy opowiesz mi, co się dzieje? Rzeczywiście nieco się odizolowałem...

- Nieco! - Roześmiał się Myrddin. - Zamieszkałeś w takiej zapadłej dziurze, że koty pewnie się tam parzą w grudniu zamiast...

- To wcale nie jest zapadła dziura! - zaprotestowała Kasandra.

Myrddin spojrział na nią jak pies na muchę.

- Nie odzywaj się, dziewucho, kiedy starsi rozmawiają - i nie pozwalając wejść sobie w słowo ciągnął: - A sam nie zauważyłeś, że świat jakby zaczął się kurczyć?

- Dopiero kiedy tu dotarliśmy. Wydawało mi się dziwne, że tak szybko...

- No właśnie.

- Wiesz, co jest przyczyną?

- Może i wiem, ale to nie jest rozmowa na teraz. -

Wskazał wzrokiem Kasandrę.

Zauważyła to.

- No tak - rzekła z jawnym przekąsem - zwykłej dziewczki nie dopuszcza się do poważnych męskich rozmów. Zwykła dziewczucha powinna opuścić czcigodne towarzystwo. Więc opuszcza!

- Skąd ty ją wytrzasnąłeś, Tijhar? Ona tak zawsze?

- Często. Jest bardzo przeczuloną na swoim punkcie.

Kasandra wodziła wzrokiem od jednego do drugiego. Miała wielką ochotę dorzucić jakąś złośliwość, jednak coś ją powstrzymało. Obaj byli bardzo poważni i skupieni, a lekki ton rozmowy krył jakąś groźną głębię.

- A właściwie, co ona z tobą robi? - Morholt porwał jej męża...

Myrddin spojrzał zdziwiony.

- Morholt? Kiedy?

- Ponad tydzień temu.

- To niemożliwe! To nie był Morholt.

- Jak to, niemożliwe. - Tijhar zmarszczył brwi. - To był on. Powiedział te swoje: „Znajdziesz mnie wszędzie, bo wszędzie czekać będę”. To musiał być Morholt. Tylko on potrafi wygadywać takie bzdury! To jego stały tekst, kiedy chce się ze mną kolejny raz zmierzyć. Ale tym razem pogonię mu kota...

- Powtarzam, że to niemożliwe! Morholt nie żyje od ponad pół roku!

- Teraz ja z kolei mówię, że to niemożliwe! Skoro ona go widziała...

- Nie żyje! - powtórzył z naciskiem Myrddin. -

Wilki go zeżarły w jego własnej jaskini.

- Wilki?

- Tak, właśnie. No co, zaczynasz myśleć? Wiesz już, kto postanowił cię wyciągnąć z ciepłutkich wiejskich pieleszy, strojąc się w postać świętej...; nie to niedobre słowo w odniesieniu do naszego przyjaciela... niesławnej pamięci Morholta?

- Wyjdź, Kasandro - rzucił ostro Tijhar.

- Ale...

- Wyjdź i nie dyskutuj teraz ze mną!

- Co, wyrzucili cię?

Arthwyr krzątał się przy kuchni. Kroił cebulę.

Intensywny zapach unosił się w całym pomieszczeniu. -

Mhm.

- Przy mnie też stary lord nic nie mówi, ale swoje wiem.

- Arthwyr - powiedziała w zamyśleniu. - Cóż to za dziwne imię?

- Królewskie...

Kasandra otworzyła szeroko oczy.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś królewskiego rodu? I służysz u jakiegoś tam lorda?

- Nie - chłopak roześmiał się. Miał piękny, pociągający uśmiech.? - Stary wszystkich swoich służących tak nazywa.

-?

- Z tego, co wiem i czego mogę się domyślać, był niegdyś doradcą króla o takim imieniu. Doradcą, czy nadwornym czarnoksiężnikiem... Kto wie tego starego grzyba - mógł być wszystkim, samym królem nawet.

Ów Arthwyr wyruszył na wyprawę w poszukiwaniu świętego przedmiotu, jakiejś misy z boską krwią, czy czegoś w tym guście, a w kraju zostawił żonę pod opieką najlepszego przyjaciela. Jak to zwykle bywa, przyjaciel żonę uwiódł, a jego samego chciał pozbawić władzy. W każdym razie kiedy król powrócił, zastał tak potworny zamęt, że nie pozostało mu nic innego jak przystąpić do domowej wojny. Zwyciężył, co prawda, w wielkiej bitwie, ale niedługo potem doszedł z ran, mimo starań samego lorda. Myrddin podobno tak mono przeżył jego śmierć, że na jakiś czas postradał zmysły.

Pewnie dlatego nazywają go do dziś Myrddinem Szalonym. Możliwe, że Arthwyr był jego synem... To by wiele tłumaczyło... ale nie wiem tego na pewno. W każdym razie stary sklerotyk cały czas pielęgnuje tamte wspomnienia.

Mimo lekceważącego brzmienia słów, gdy mówił o lordzie, Kasandra słyszała w głosie chłopaka wyraźną nutę ciepła.

- Kochasz go? - spytała.

- Ja? - Znowu się zaśmiał. Spoważniał nagle. - Jego nie można nie kochać. Jest jak dobry ojciec. Potrafi się gniewać, potrafi być nawet srogi, ale krzywdy nie czyni. I dba o mnie...

- A jak masz naprawdę na imię?

- Modrick.

- Więc jesteś jednak wysoko urodzony? To przecież szlacheckie imię.

- A co, Kasandra to może nie? - Uśmiechnął się, żeby złagodzić mimowolną złośliwość.

Był młody i świeży. I taki inny od wiejskich chłopców, których znała, czy od pełnego onieśmielającego majestatu Tjihara. Był taki...

Kasandra potrząsnęła głową, żeby odpędzić natrętne myśli.

- Modricku?...

- Tak? - Odwrócił się do niej, czekając, co powie.

- Jak to jest?... Czy ty wiesz, co się dzieje?

- Z czym? Chodzi ci o... - Uczynił ręką szeroki gest.

- Tak, o świat.

- Staiy mówi, że świat oszalał. Ale on zawsze tak mówił. Gorzej, że ostatnio zaczął dodawać, iż świat się kończy.

- Myślisz, że tak jest?

- Wierzę mu. Może ma sklerozę i bywa nieznośny, ale żyje już tyle, że można mu wierzyć w takich sprawach.

- Boże... Czy nic nie da się zrobić?

- Nie wiem. Myrddin mówi, że nadchodzi czas wilka. Że wilk pożera świat...

- Czy to coś znaczy?

- On nienawidzi wilków. To trochę dziwne, bo dla innych zwierząt jest dobry. Widziałem kiedyś, jak zmija zakradła się do jego komnaty. Drzemała pod kołdrą zwiniętą przy szkandeli. Dobrze jej było w ciepelku i kiedy Myrddin ją ruszył, zaczęła się wściekać. Kto inny by ją zabił bez wahania. Ale nie Myrddin. Przemawiał do niej łagodnie, aż gadzina uspokoiła się i usnęła.

Wtedy wyniósł ją ostrożnie na błonia. Ale wilki... Nie, dla nich nie zna litości. Czas wilka... Nie wiem, co to znaczy, ale brzmi groźnie. A kiedy mówi o tym stary, ciarki chodzą po plecach. Zupełnie jakby już coś podobnego przeżył i wiedział czym to grozi.

Zapadło milczenie. Przyglądali się sobie nawzajem z coraz większym zainteresowaniem.

- Wybacz, Kasandro, że to mówię - odezwał się w końcu Modrick. - Znamy się mało, właściwie wcale... -

Głos miał dziwny, przytłumiony wzruszeniem. - Ale przecież żyjemy tylko chwilę. A ta chwila może się okazać krótsza niż byśmy przypuszczali... Czy mówił ci ktoś kiedyś, że jesteś szalenie pociągająca?

- Kpisz chyba! - Było jej przyjemnie usłyszeć coś podobnego, ale jednocześnie poczuła przyływ złości. -

Jestem zwykłą dziewczką. Najzwyklejszą wiejską dziewczuchą o grubej kości, wypasioną na kluchach i kapuście ze słoniną!

- Nieprawda - powiedział cicho. Spojrzał na nią spod opuszczonych powiek. Miał długie, ciemne rzęsy.

Niejedna dziewczyna mogłaby mu pozazdrościć, pomyślała Kasandra. - Jesteś piękna. To piękno jest w tobie, wewnątrz, ale je widać. Nie dasz rady go ukryć.

Zmrużyła oczy.

- O co ci właściwie chodzi?

- O nic - westchnął. - Świat się kończy. Każdy chce otrzymać trochę ciepła. Ja, ty, Myrddin pewnie nawet wielki Tijhar. A mnie przyjdzie szeznać, dogłądając starego sklerotyka, jeśli się nic nie zmieni.

Odwrócił się gwałtownie i wrócił do krojenia cebuli.

- Nigdy bym nie przypuszczała, że jest tak źle...

- Skąd miałybyś wiedzieć. Przecież nawet twój czarnoksiężnik niczego się nie domyślał! Zresztą to trwa od niedawna. Miesiąc, może dwa, choć czasem wydaje się, że minęło już wiele lat...

Było w nim tyle smutku, że wiedziona nagłym impulsem podeszła, dotknęła jego ramienia. Spojrzał na nią oczami pełnymi łez.

- To ta cebula... - Otarł policzek. - Strasznie jadowita... Chyba nie myślisz, że ja...

- Jasne.

- Kasandro...

- Tak?

- Przyjdiesz do mnie dziś w nocy? - wyrzucił. -

Nie! Przepraszam! Nie chciałem! Nie powiedziałem tego!

Uśmiechnęła się łagodnie.

- Jestem mężatką, Modricku.

- Przepraszam - powtórzył. - Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Przepraszam!

- Nie przepraszaj. Nie gniewam się.

Milczenie, które zapadło wcale nie było krępujące, choć wypełniało je napięcie i oczekiwanie. - Modricku?

- Słucham.

Przez chwilę patrzyła na niego spod przymrużonych powiek.

- Przyjdę do ciebie, Modricku. Przyjdę na pewno...

Przecież żyjemy tylko chwilę, prawda?

Tijhar uważnie przyglądał się Kasandrze. W świetle poranka jej twarz była kredowobiała, a z ruchów przebijało zmęczenie.

- Nie pospałaś dzisiaj, co?

Skrzywiła się i zamruczała coś niewyraźnie.

- Warto było chociaż?

Tym razem zaczerwieniła się. Rzuciła czarnoksiężnikowi ciężkie spojrzenie, ale zaraz ukryła oczy za rzęsami.

- Nie ma się czego wstydzić, Kasandro. Ludzka rzecz. Ja to rozumiem i naprawdę nie mam nic przeciwko. Jediną osobą, która mogłaby być niezadowolona z tej sytuacji jest twój mąż. Ale jemu przecież nikt nic nie powie, prawda? A może wolisz zostać tutaj?

- Przestań ze mnie kpić - syknęła. - Znam swoje obowiązki!

- Nie kpię - odparł poważnie. - Po prostu naprawdę uważam, że powinnaś zostać.

- Wiem, co powinnam!

- Kasandro. Tu już nie chodzi o twojego Johanka, rozumiesz? On może nawet już nie żyje! Uświadom to sobie! Gra toczy się o coś więcej. Gdybym od razu wiedział o co, nie wiem, czy odważyłbym się wyruszyć.

- Ty już wiesz, kto go porwał, prawda?

- Myślę, że tak.

- Kto?

- Posłuchaj, dziewczyno. - Podeszedł bliżej, chwycił ją pod brodę i spojrzał głęboko w oczy. - Powinnaś zostać!

- Ale...

- Powtarzam, że nie idzie o twojego kmiotka! To wszystko jest o wiele... poważniejsze!

- Świat się kończy, tak? Pokiwał głową.

- Kończy. I kurczy. Jedno oczywiście wynika z drugiego. Można powiedzieć, że nasz świat jest pożerany.

- To ten czas wilka, tak? Tijhar drgnął.

- Czas wilka - powtórzył cicho. - Wiesz więcej niż bym chciał, żebyś wiedziała. To może bez znaczenia, ale nie chciałbym... I nie patrz tak! Zostaniesz?

- Nie! Idę z tobą!

- To bez sensu! Zostaniesz!

- Rozkazujesz mi?

- Ja tylko grzecznie proszę!

- Musiałbyś użyć magii, żeby mnie zatrzymać.

- Dlaczego jesteś taka uparta?

- Nie domyślasz się? - Spojrzała spod rzęs.

- Czy ty... - Tijhar zmarszczył brwi. - Nie, to niemożliwe!

- Możliwe - szepnęła. - Kocham cię, Tijharze i dobrze o tym wiesz. Może to dla ciebie bez znaczenia, ale kocham cię... Od czasu, kiedy kazałeś spojrzeć sobie w oczy, wtedy przy ognisku, zanim napadli nas zbójce...

Przez chwilę trawił tę wiadomość.

- Nawet pomimo tego, że nie uleczyłem tamtego chłopca? Myślałem, że nigdy...

- Byłam rano u Myrddina. Zapytałam go. Wiem już, dlaczego tak postąpiłeś. I wiem, dlaczego chłopak nie chciał być uzdrowiony. Ale tak naprawdę to i tak nie miało znaczenia. Droczyłam się tylko...

Tijhar milczał, wpatrując się w twarz dziewczyny.

Potrząsnęła głową. Grzywa włosów opadła na oczy.

Odgarnęła je machinalnym ruchem.

- Wiem, że to nie ma sensu. Wiem... Taka zwykła dziewczka jak ja...

- Bredzisz, Kasandro. - Machnął niecierpliwie ręką.

- Dla mnie to bardzo miłe wiedzieć, że po prawie pół tysiącu lat ktoś może mnie jeszcze obdarzyć jakimkolwiek uczuciem. Przywiązałem się do ciebie w drodze, może nawet... - Ugryzł się w język. Co się ze mną dzieje, pomyślał, świat chyba rzeczywiście dobiega kresu! Panuj nad sobą, czarnoksiężniku! -

Uważam, że powinnaś zostać.

- No, teraz to już na pewno nie! - westchnął ciężko.

- Zostaniesz!

- Niech z tobą jedzie - rozległ się starczy głos.

Myrddin stał na szczycie schodów prowadzących na dziedziniec. Modrick podtrzymywał go pod rękę.

- Niech z tobą jedzie - powtórzył. - Może się przydać. Tam, gdzie zmierzasz czeka przeznaczenie.

Wiesz przecież, że ono jest zawsze o włos przed tobą...

Muszę to tłumaczyć?

- Może tam zginąć!

- Tu też może zginąć. - Lord uśmiechnął się smutno.

- Jeżeli nie dasz rady go powstrzymać, wszyscy zginiemy. A może spotka nas jeszcze gorszy los?

Śpiesz się, Tijharze. On nadchodzi... nadchodzi...

- Czas wilka - szepnęła Kasandra.

- Czas wilka - poruszyły się bezgłośnie wargi Modricka.

- Czas wilka. - Myrddin wzdrygnął się, jakby przeszył go lodowaty sztych. -

Nadchodzi... Fenrir!

Kasandra poczuła nagłą słabość w nogach i mrowienie przerażenia płynące od krzyża w górę pleców. Powietrze pociemniało, jakby wypowiedzenie tego imienia wysssało z niego słoneczne promienie. Z oddali przypląnęło przejmujące wycie, a właściwie jego odległy pogłos. A może to było tylko złudzenie?

- Tak, zgadza się. - Tijhar zwarł z trzaskiem szczęki.

Dalsze słowa wycedził przez zaciśnięte zęby. - To Fenrir! Jest blisko!

- Bardzo blisko - przytaknął lord. - Bliżej niż myślisz!

Kasandra rozglądała się po okolicy, starając się nie poruszać głową. Miała wrażenie, że każdy jej ruch jest obserwowany czujnym, nieprzychylnym spojrzeniem.

- Jak tu ponuro - szepnęła. - Tak musi wyglądać pustynia, o której mówił kapelan. Nie ma nawet śladu zieleni... Wszystko jest takie szare, rozmyte... głucho...

- To oznacza, że jesteśmy coraz bliżej celu. - Tijhar rozprostował ramiona. - A pustynia jest piękna. Groźna, surowa, ale piękna. To tutaj - ręką zatoczył szeroki łuk - to jedynie jej marna kopia.

- Boję się, Tijharze...

- Trzeba było zostać - syknął zniecierpliwiony. -

Modrick na pewno by się ucieszył.

Powiedział to, żeby oderwać ją od smutnych myśli, żeby po swojemu zaczęła się wściekać i odcinać. Ona jednak słuchała ze spuszczoną głową.

- Tijharze...

- Tak?

- Jeżeli to wszystko się dobrze skończy... Czy będę musiała wracać do Podgórkki?

Zerknął na nią zdziwiony.

- Dlaczego o to pytasz?

- Bo... bo... Nieważne. Co Myrddin mówił o przeznaczeniu? Że jest zawsze o włos przed tobą? O co w tym chodzi?

- Naprawdę za dużo chcesz wiedzieć. To nie są sprawy dla ciebie. Bez obrazy. Tylko mi się tu znowu nie unoś!

- Nawet nie miałam zamiaru. - Rozejrzała się po szarej pustaci. - Jest zbyt strasznie... Cisza była niesamowita. Nawet odgłos kopyt wydawał się przytłumiony i nierealny.

- Ta czarodziejka, o której mówiłaś...

- Która?

- No, ta Anna... Do której jestem podobna z charakteru. Anna Dobra...

- Tak?

- Kochałaś ją?

- Tak...

- Bardzo?

- Tak...

- Co się z nią stało?

- Nie wiem, pewnie gdzieś żyje i jest królową albo kimś podobnym.

- A dlaczego nie jesteście razem?

- Znowu zadajesz za dużo pytań! Nie mogłem z nią być i koniec. Tyle ci powiem, że boli mnie to do dzisiaj.

Wystarczy?

- Przepraszam... Ja nie...

- Cicho już! Musisz tyle gadać?

- Ja się po prostu boję.

- A ja słyszę szum morza. Zbliżamy się do celu.

Czuję już jego obecność...

- Czyją? - Rozejrzała się niespokojnie.

- Ja też cię czuję, Tijharze. - Rozległ się głęboki, wibrujący głos. - Czuję cię i czekam na ciebie!

Koń pod Kasandra stanął dęba. Świat fiknął kozła, poczuła mocne uderzenie w plecy, a zaraz po nim mdlący zawrót głowy. Nie czuła już, jak Tijhar podniósł ją z ziemi, żeby przełożyć przez siodło swego wierzchowca. Nie słyszała oddalającego się tętentu kopyt umykającego w przerażeniu drugiego zwierzęcia.

Plaża przy brzegu wyglądała identycznie jak pustynia, którą przebyli. Ołowiane chmury nadawały wodzie barwę ziemi, tak że trudno było zorientować się dokładnie, gdzie kończy się piach, a zaczyna morska toń.

Kasandra rozglądała się dookoła z wysokości siodła.

Tijhar stał kilkanaście kroków przed nią, zapatrzony w dal. Zdawał się nieobecny. Może zresztą tak „było w istocie? Może wspominał teraz swoją Annę? Poczula ukłucie zazdrości. Ty głupia, skarciła się zaraz, przecież on to wielki czarnoksiężnik, a ona sławna i piękna czarodziejka. Gdzie ci do nich? Gdzie ci do niego?

Tijhar odwrócił się. Miał spokojną twarz. Właściwie nawet nie tyle spokojną, co pogodną. Zdumiała się.

Jakże w tym podłym miejscu można cieszyć się pogodą ducha?

- No, moja droga, nadchodzi godzina prawdy. -

Uśmiechnął się ciepło.

Było w nim teraz coś miękkiego, coś co przywodziło na myśl niewinną chłopięcość Modricka. Mimowolnie odpowiedziała uśmiechem.

- Tijharze, czy ty... - zaczęła, ale słowa w gardle zmroziło niesamowite wycie.

Od szarej monotonności chmur oderwał się ogromny ciemny kształt. W miarę, jak zbliżał się ku ziemi, wycie narastało. Wreszcie stało się tak głośne, że Kasandra chwilami przestawała je Słyszeć.

- Smok - szepnęła. - To ten smok...

Myrddin drgnął, otworzył zażawione oczy. Płomień na kominku przygasł, powiało chłodem. Spojrzał w okno. Od zachodu nadciągały sinogranatowe chmury.

Wielki lord znowu przymknął powieki. Na jego twarzy odmalowało się niezwykle skupienie.

W zamkowej kuchni Modrick upuścił wazę z zupą.

Stary będzie się wściekał... Nie, nie będzie się wściekał.

Pewnie nie będzie na to już czasu. Och, dobrze by było usłyszeć kolejną połajankę. To by oznaczało, że jeszcze...

Ludzie podążający z ofiarnymi darami zatrzymali się w pół kroku. Prowadzący procesję zawrócił. Nie pozostaje nic innego jak zamknąć się w domach, by przeczekać nieszczęście. Można liczyć jedynie na to, że wilki zostały prześlągane... że oszczędzą...

Stara zatrzasnęła drzwi chałupy. Zerknęła w stronę córki. Pewnie to i dobrze na koniec, że ten okropny czarnoksiężnik nie dał usunąć dziecka. Zawsze to byłby grzech, a niechybnie zbliża się czas sądu. Jak nic będą grzechy ważyć.

Kapelan w Podgórce przeżegnał się. Jakże okropna jest ta nagła ciemność na dworze! A wszystko przez heretyków i kacerzy. Popełniono błąd, że nie wybito różnych tam czarnoksiężników i innych wróży, kiedy był na to czas! A teraz skutki... Wilki zaczynają wyc.

Boże, o tej porze dnia! Dnia?... Nocy?... Boże!!!

Smok wylądował, wbił w czarnoksiężnika zimne oczy. Przerażliwe wycie ucichło. Kasandra pomacała uszy. Pewnie popękały od tego ryku! Nie, jednak nie widać krwi.

- Fenrir - powiedział powoli Tijhar. - Stary podły Fenrir. Jego głos brzmiał głucho i bardzo cicho, jakby dolatywał z oddali. Kasandra przełknęła ślinę. Lepiej.

- Tijhar - zagrzmiał smok. - Stary głupi Tijhar.

Wiedziałem, że przyjdiesz!

- Odkąd to stroisz się w smocze piórka, wilku? -

Czarnoksiężnik zmrużył oczy. - Czyżby w twojej właściwej postaci przestało być wygodnie? A może uznałeś, że ta jest ciebie godniej sza niż skóra zwykłego psa?

Smok wstrząsnął się jakby przeszył go dreszcz, kontury ciała zamazały się i zaczęły kurczyć. Po chwili na piasku stał ogromny wilk. Wzrostem przewyższał Tijhara.

- Skoro tak wolisz, marny magiku - głos był chrapliwy, warczący, jakby dobywał się z krtani nie nawykłej do ludzkiej mowy. - Mnie to obojętne. Jeśli chcesz mogę przybrać postać żółwia, pantery, tygrysa...

- Przestań się popisywać - mruknął czarnoksiężnik. -

Na kim chcesz zrobić wrażenie? Na mnie czy na tej dziewczynie?

- No tak, ty jak zawsze w towarzystwie. Ona ma ci pomóc?

- Ona przyszła jedynie po męża, którego jej porwał.

Wilk uniósł łeb, zawył przeciągle. Kasandra z przerażeniem patrzyła na jego czarną paszczę. Nagle dotarło do niej, że to nie jest zwykłe wycie. Potwór w ten sposób się śmieje! Okropność!

- Och, Tijharze... - Znowu wpił oczy w czarnoksiężnika. Mówił coraz płynniej i wyraźniej: - Ty jak zawsze skłonny do wielkich porywów... Tak, zakładałem się sam ze sobą czy zaczniesz szukać tego kmiotka! I wygrałem. Tak czy inaczej!

- Oddaj go i niech dziewczyna odejdzie! Potem staniemy do walki.

- Najpierw staniemy do walki! Jeżeli mnie pokonasz, ten chamuś będzie wolny.
Zresztą sam wiesz, że nie o niego chodzi!

Tijhar odwrócił się do Kasandry.

- Bierz konia i zmykaj!

- Zostanę!

- Spełniłaś swój obowiązek! Twój Johanek może i tak już nie żyje. Nie ma sensu...

- Zostaję z tobą i koniec! Fenrir warknął.

- Długo będziecie tak się przepychać? Stawaj, śmierdzący czarodzieju!

Tijhar przeciągnął się. Trzasnęły stawy.

- Mogłeś mnie zaatakować wszędzie - powiedział. -

Mogłeś na mnie napaść choćby w Podgórce. Ale zwabiłeś mnie nad morze. Zawsze tak robisz. I wiem dlaczego się teraz spieszysz. Chcesz zacząć, zanim skończy się przypływ, co? On dodaje ci sił!

- Wiele się nauczyłeś przez te lata...

- Ale i mnie on będzie sprzyjał!

- Nie odważysz się. - Fenrir zjeżył sierść na karku. -

Nie naruszysz równowagi!

- Nie naruszę - przytaknął. - Nie można naruszyć czegoś, czego nie ma!

Wilk zgrzytnął zębami.

- Wiesz już o tym?

- Wiem. I dlatego wiem też, że mogę walczyć z tobą sam i czerpać moc zewsząd, skąd będę tylko mógł!

Fenrir wyszczerzył mlecznobiałe zęby.

- Dojrzałeś, Tijharze. Dojrzałeś bardzo szybko jak na czarnoksiężnika. Przerażająco szybko, przyznaję.

Staremu Myrddinowi zajęło to o wiele więcej czasu.

Tak dużo, że nie ma już siły stanąć do walki: Ale to ci nie pomoże, mały człowieczku. Pożrę i ciebie, i ten świat. Jestem o wiele silniejszy niż kiedykolwiek dotąd!

- Ale głupi jesteś tak samo jak zawsze! Fenrir ryknął z wściekłości.

- Zaczynamy, człowieku! Nie ma na co czekać!

Czy tak ma wyglądać wielki pojedynek o losy świata? Przeciwnicy po prostu stali i patrzyli sobie w oczy. Wilk przysiadł na łapach, a Tijhar stanął w rozkroku. Kasandra wodziła wzrokiem od jednego do drugiego. Dopiero po chwili zaczęła do niej docierać niesamowita

aura, jakieś niezwykle napięcie, jakby powietrze lada moment miało rozbłysnąć w potężnym wybuchu. Czarnoksiężnik pochylił się do przodu jakby stawiał opór silnym podmuchom powietrza, choć, dookoła było cicho, zasnęła nawet pełznąca od morza bryza.

Wilk warknął, Tijhar zachwiał się, wyprostował i znowu lekko pochylił. Tym razem on wydobył z siebie głuchy pomruk. Fenrir zastrygł uszami, a jego wielkie oczy rozjarzyły się jadowitym czerwonym blaskiem.

- Zdechniesz, magiku - warknął. - Trzeba było zdobyć więcej siły!

Wilcze wargi uniosły się, obnażając wielkie kły barwy starej kości słoniowej. Przeciągły bulgot przetoczył się w powietrzu niczym potężny grom. Ciało Tijhara przeszło dreszcz. Wyciągnął przed siebie ręce, jakby tym gestem chciał powstrzymać przeciwnika.

Wilk ryknął ogłuszająco, a czarnoksiężnik oderwał się od ziemi i niesiony podmuchaem przeleciał kilka kroków. Ciężko opadł na piach, zachwiał się, jednak ustał na nogach. Zaczęła nim miotać straszliwa siła.

Zdawało się, że jeszcze chwila, a pozbawiony sił runie na piach. Kasandra czuła, że wtedy nastąpi koniec...

Rzuciła się do przodu, żeby podtrzymać czarnoksiężnika, ale jej dłoń przeszła przez niego jakby był zgęstkiem mgły. Dopiero teraz spostrzegła, że jego postać blednie i rozmywa się w powietrzu. Przerazona spojrzała na Fenrira. I on stawał się coraz bardziej przezroczysty, lecz działo się to o wiele wolniej niż w przypadku Tijhara. Z pyska toczył pianę, a okrutne oczy gorzały coraz intensywniejszą czerwienią.

- Giń! Giń, marny magu!

Na spokojnym dotąd morzu wyrosły wysokie, spienione fale. Chmury skłębiły się w obłądnym tańcu, tworząc nad przeciwnikami ogromny, sinoszary wir.

Tijhar walczył ostatkiem sił. Przejrzysta postać zdawał się rozrywać w pasemka pod wpływem niesamowitej mocy bijącej od wilka.

- Kasandro... - Głos zdawał się dochodzić z bardzo daleka. - Pomóż mi...

- A jednak - warczenie wilka było równie dalekie. -

A jednak po coś ją przyprowadziłeś. A myślałem, że się nie liczy.

- Kasandro... - Głos Tijhara zamierał. - On jest zbyt silny...

Boże, co ona ma zrobić? Co robić?! Nagły błysk rozjaśnił jej umysł. Wiedziała. A przynajmniej sądziła, że wie. Nie było zresztą czasu na zastanawianie się.

Bez wahania weszła w miejsce, gdzie cień czarnoksiężnika chwiał się miotany nadludzką mocą na wszystkie strony. Ze strachem spojrzała w oczy Fenrira.

Wilk drgnął, zaskoczony pojawieniem się dziewczyny.

Giń - powiedziała w myślach - zdechnij potworze!

Fenrir rozwarł pysk. Zdawało się, że zaraz rozlegnie się jego wyjący rechot. Jednak nie. Przeszło go drzenie, zatrząsł się zupełnie jak przed chwilą czarnoksiężnik i wydał z siebie cieniutki pisk. Jak nadeptnięty szczeniak.

Kosmate ciało rozblysło oślepiającym blaskiem.

Podmuchił Kasandrę o ziemię. Dostrzegła jeszcze Tjihara, który stał, sianiając się, z dłonią wyciągniętą przed siebie.

Na piasku leżała postać w białym niegdyś giele.

Chmury zaczęły się rozwiewać, przepuszczając pierwsze promienie słońca. Jeden z nich padł na nieruchome ciało. Człowiek drgnął, poruszył się niemrawo.

Kasandrę usiadła.

Tjihar stał wpatrzony w linię horyzontu.

- To już?

Nie poznała własnego głosu. Był jakiś niższy, soczysty, brzmiał dziwnie.

- Już. - Odwrócił się do niej. - Dziękuję, Kasandro.

- Ratowałam tylko swoje życie.

- Moje także. I wielu innych ludzi. Wszystkich ludzi...

- Czuję się taka wyczerpana...

- To normalne. Podjęłaś niesłychany trud.

Postać na piasku uniosła się na rękach. Na Kasandrę spojrziała para modrych, pełnych niezrozumienia oczu.

- To wy żeście mnie uwolnili? Dzięki wam! - Rzucił się do nóg czarnoksiężnika.

Tjihar zachwiał się i byłby runął, gdyby Kasandrę nie przyskoczyła go podtrzymać.

- I wy, jasna pani? Warna tyż dziękuję! - Teraz ją zaczął podejmować pod kolana.

- No co ty, Johane! - fuknęła. - Wstań i przestań robić z siebie widowisko!

- Znacie moje imię, jasna pani? - Johanek wytrzeszczył na nią oczy.

- Nie poznajesz mnie?

Patrzył na nią coraz większymi oczami, a na jego twarzy malował się ogromny wysiłek.

- No, Johane!

Poczuła na ramieniu dotknięcie.

- Musisz mu powiedzieć, kim jesteś.

- Jak to? Dlaczego?

- Zmieniłaś się. Nie jesteś już tą samą zwykłą wiejską dziewczuchą, którą poznałem. Zeszczupiałaś w drodze, wyszlachetniałaś, nabrałaś... wewnętrznego blasku, godności. I miałaś kontakt z magią. To zmienia,

Kasandro. Człowiek potem nie jest już taki sam. Ani na zewnątrz, ani w środku.

Znowu się zachwiał, zupełnie jakby mówienie bardzo go wyczerpało.

- Kasandrą? - Johanek zmarszczył brwi. - Kasandrą?

No tak, to ty! O, widzę, że trzeba cię będzie należycie odpaść! Gdzie taka chuda szkapa za gospodynię będzie.

A terazki - zwrócił się do Tijhara - dzięki wam, panie, ale trza mi żonę do dom brać, boż to wstyd, by się po świecie lada z kim wycierała! A tam pewnie i pole nie obrobione, i...

- Milcz, buraku! - warknęła. Johanek ucichł z otwartymi ustami.

- Tijharze, co ci jest?

- Kasandro, ja...

- Kasandrą! - Johanek odzyskał głos. - Jak ty do ślubnego gadasz? O, czekaj no, babo, jeno do dom wrócim, już ja ci pokażę... Abo i powrotu czekać nie będę!

Zamierzył się na dziewczynę. Nawet nie drgnęła.

Zwróciła tylko na niego spojrzenie. Miała w oczach gniew i żal, i jeszcze coś, co kazało Johankowi zamrzeć w pół ruchu.

- Tijharze, chcę zostać z tobą. Nie mam zamiaru dokonać życia na polu pszenicy, zaharowana na śmierć... Chcę, żebyś mnie uczył!

- To niemożliwe, moja droga.

- Niemożliwe?! Nie chcesz?

- Chcę. - Na jego wargach pojawiła się krew. -

Tylko, że... nie mogę... Ja umieram.

- Boże...

- Kasandrą, co to ma znaczyć? - Johanek zacisnął pięści z wściekłości. - Mnie przysięgałaś i ze mną masz wracać, a nie...

- Zamkniesz się wreszcie, kmiecie? - zasyczała. -

Nie nadużywaj mojej cierpliwości! Tobie przysięgałam, ale nie mam zamiaru zdechnąć w brudnej chałupie, patrząc na twoją durną gębę!

Tijhar osunął się w jej objęcia. Usiadła na piasku, ujęła w dłonie głowę czarnoksiężnika.

- Dlaczego, mój miły? Dlaczego? - Łzy potoczyły się jej po policzkach.

- To walka - wyszeptał. - Byłą ponad moje siły.

Gdyby nie ty... Kasandro, naprawdę chcesz się uczyć?

- Chcę, ale tylko przy tobie. Uśmiechnął się blado.

- Mnie już nie ma... Gdy zacznie się odpływ, odejdę i ja... Kasandrą z niepokojem spojrzała na morze. Jasne fale przelewały się, znacząc piach delikatnymi liniami.

- Wróć lepiej z tym swoim Johankiem, dożyj życia w spokoju, dochowaj się dzieci. Nie idź w moje ślady.

Wszystko jest złudą... i cierpieniem.

- Nie mogę już, Tijharze. Wiesz, że nie mogę. Nie będę umiała...

- Wiem. W takim razie idź do Myrddina. Powiedz mu... On będzie wiedział, co dalej. Niech znajdzie Annę, ona cię przyjmie... Będzie wiedział... Będzie... - Głos czarnoksiężnika zamierał. - I powiedz jej ode mnie, że... ja zawsze... ja ją zawsze...

Głowa opadła na kolana Kasandry. Krople łez spływały na znieruchomiałą twarz Tijhara.

Pogrążona w żalu zapomniała o obecności Johanka.

Ocknęła się dopiero, kiedy dotknął nieśmiało jej ramienia.

- A co ze mną będzie? Kasandrą! Jak ja wrócę do wsi? Przecie sam nijak nie trafię. A jak tak przyjdę bez ciebie? Toż to ludzie będą gadali; żeś ode mnie uciekła!

Miała na końcu języka ostrą odpowiedź, ale powstrzymała się.

- Odprowadzę cię do Podgórci, Johane. A potem pójdę w swoją stronę.

- Ale ludzie...

- A ludziom powiedz, że umarłam. Powiedz im tak,

Johane. Właściwie to nawet nie skłamiesz.